

Epidemia

Cook Robin



calibre 0.9.43

EPIDEMIA

(Tłumaczył Maciej Kański)

PROLOG

Zair, Afryka

7 września 1976 r.

Dwudziestojednoletni student biologii Uniwersytetu Yale, John Nordyke, obudził się o brzasku na skraju zairskiej wioski, położonej na południe od Bumby. Wysunął się ze swojego przesiąkniętego potem śpiwora, by wyjrzeć przez siatkową połę nylonowego namiotu górskiego. W jego uszach odgłosy deszczu w tropikalnym lesie zlewały się z pogwarem budzącej się wioski. Delikatny podmuch wiatru przyniósł ciepłą, ostrą woń krowiego łajna, zmieszana z gryzącym zapachem palenisk. Wysoko nad głową dostrzegł sylwetki małp grasujących wśród bujnej roślinności, która zasłaniała widok nieba.

W nocy spał niespokojnie i teraz podnosił się z pośłania chwiejnie i ociężale. Czuł się znacznie gorzej niż poprzedniej nocy, kiedy to w jakąś godzinę po kolacji dostał napadu dreszczy i gorączki. Przyszło mu na myśl, że pomimo starannej profilaktyki i zażywania arechiny nie uchronił się jednak przed malarią. Problem polegał na tym, że nie sposób było uniknąć całych chmar moskitów, każdego wieczoru nadciągających znad mokradeł ukrytych w bagnistej dżungli.

Chwiejnym krokiem udał się do wioski, gdzie zapytał o najbliższy szpital. Wędrowny kaznodzieja poinformował go, że w Yambuku, małym miasteczku odległym o kilka kilometrów na wschód, znajduje się belgijski szpital misyjny. Nękany chorobą i strachem, chłopak pospiesznie zwinął obóz, wepchnął namiot oraz śpiwór do plecaka i niezwłocznie wyruszył do Yambuku.

John zdecydował się wziąć sześciomiesięczny urlop z college'u by zająć się fotografowaniem zwierząt Afryki, między innymi zagrożonego wyginięciem gatunku goryla górskiego. Było to marzenie jego dzieciństwa - podążyć śladami legendarnych

dziwiętnastowiecznych badaczy, którzy pierwsi odkrywali tajemnice Czarnego Łądu.

Yambuku okazało się niewiele większe niż wioska, którą dopiero co opuścił, a szpital misyjny swym wyglądem nie budził zaufania. Było to kilka żalosnych budynków, skleconych z żuźlowych pustaków, a każde z pomieszczeń aż się prosiło o natychmiastowy remont.

Dachy kryte były porzewiałą, falistą blachą lub na podobieństwo chat tubylczych - strzechą.

Nigdzie nie było widać żadnych oznak elektryfikacji.

Po dokonaniu rejestracji u zakonnicy, odzianej w tradycyjny habit, posługującej się wyłącznie francuskim, przyszło mu czekać na swoją kolej w otoczeniu tłumu tubylców reprezentujących wszystkie możliwe stadia osłabienia i najróżniejsze choroby. Przyglądając się im, pomyślał ze strachem, czy aby nie nabawi się tu czegoś gorszego od swych obecnych dolegliwości. W końcu został przyjęty przez belgijskiego lekarza o udręczonym wyrazie twarzy, który mówił trochę po angielsku, jakkolwiek niewiele.

Postawiona w wyniku pospiesznego badania diagnoza potwierdziła przypuszczenia Johna co do ataku malarii. Lekarz zaordynował mu zastrzyk chlorochiny i nakazał zgłosić się ponownie, jeśli w ciągu dnia nie nastąpi polepszenie.

Badanie było skończone. John posłusznie ustawił się w kolejce do gabinetu zabiegowego w oczekiwaniu na zastrzyk. Wtedy właśnie zauważył, że w szpitalu bynajmniej nie obowiązuje zasada dokładnej sterylizacji: pielęgniarka nie używała igieł jednorazowych, lecz posługiwała się na przemian jedną z trzech posiadanych strzykawek. John był przekonany, że krótkie zanurzenie ich w roztworze sterylizacyjnym w znikomym tylko stopniu przyczyniało się do oczyszczenia z zarazków. Nadto pielęgniarka najzwyczajniej wyławiała strzykawki z roztworu palcami. Gdy nadeszła jego kolej, John miał ochotę skomentować ten fakt, lecz jego znajomość francuskiego okazała się niewystarczająca. Poza tym dobrze zdawał sobie sprawę z tego, że pilnie potrzebuje lekarstwa.

Przez następne kilka dni John winał sobie, że powstrzymał się od uszczypliwych uwag, albowiem jego stan znacznie się poprawił. Chłopak pozostawał w pobliżu Yambuku, zajmując się fotografowaniem scen z życia plemienia Budza - zapalczywych łowców, z ochotą demonstrujących swoje męstwo jasnowłosemu cudzoziemcowi. Trzeciego dnia, kiedy czynił przygotowania, by ruszyć śladami Henry'ego Stanleya w górę rzeki Zair, nagle zwałił go z nóg gwałtowny nawrót choroby. Najpierw pojawił się silny ból głowy, po którym wystąpiły nagle dreszcze, gorączka, nudności i biegunka. W nadziei, że - podobnie jak poprzedni - również i ten atak wkrótce przejdzie, John zaszył się w namiocie i przeczekał noc, wstrząsany dreszczami, mając o domowym cieple, czystej pościeli i komfortowej łazience na końcu korytarza. Ranek zastał go wyczerpanym i odwodnionym po serii wymiotów. Z trudem udało mu się pozbierać swoje rzeczy i wyruszyć w drogę do szpitala. Dotarłszy na miejsce, osunął się bezwładnie na podłogę, a z jego ust bluznęła jasnoczerwona struga krwi. Jakąs godzinę później ocknął się w pokoju, w którym oprócz niego było jeszcze dwóch pacjentów cierpiących na ciężki rodzaj malarii, odporny na wszelkie dostępne specyfiki.

Ten sam lekarz, który badał Johna poprzednio, zaalarmowany jego stanem, tym razem stwierdził niespotykane objawy dodatkowe: tajemniczą wysypkę na piersiach oraz mikroskopijne pęknięcia naczyń krwionośnych w białkach oczu. Pomimo iż trwał przy swej poprzedniej diagnozie, był teraz wyraźnie zaniepokojony. To nie wyglądało na typowy przypadek malarii. Lekarz zdecydował się podać dodatkowo chloramfenikol, na wypadek gdyby chłopiec miał dur brzuszny.

16 września 1976 r.

Doktor Lugasa, Okręgowy Komisarz Zdrowia w rejonie Bumba, spoglądał przez otwarte okno swego biura na rozlane wody rzeki Zair, roziskrzzone w porannym słońcu.

Pomyślał ze smutkiem, że dawna nazwa „Kongo” zawierała jednak w sobie pewien fascynujący element tajemniczości. Powracając do spraw zawodowych, przeniósł wzrok na leżący na biurku list, dopiero co otrzymany z misyjnego szpitala w Yambuku, a donoszący o zgonie amerykańskiego turysty, niejakiego Johna Nordyke’a, oraz bawiącego w tamtych okolicach rolnika z plantacji znad rzeki Ebola. Lekarz z misji twierdził, że ich śmierć nastąpiła na skutek nieznanej i błyskawicznie rozprzestrzeniającej się infekcji. Dotychczas zaraziło się nią dwóch pacjentów umieszczonych w jednej sali z Amerykaninem, czworo domowników goszczących nieszczęsnego rolnika i pielęgnujących go podczas choroby, a także dziesięciu pacjentów ambulatoryjnych szpitala.

Doktor Lugasa zdawał sobie sprawę z faktu, że ma dwa wyjścia: po pierwsze, mógł nawet nie kiwnąć palcem w tej sprawie i to wydawało mu się najrozsądniejsze. Bóg jeden wie, jakiego rodzaju endemiczne epidemie rozszalały się gdzieś tam głęboko w buszu. Drugą możliwością było wypełnienie przyprawiającej o zawrót głowy sterty formularzy urzędowych, zgłaszających ów przypadek do Kinszasy, gdzie z kolei ktoś taki jak on, tyle że wyżej postawiony, prawdopodobnie zdecyduje, iż najlepiej nic w tej sprawie nie robić.

Doktor Lugasa doskonale wiedział, że jeśli zdecyduje się wypełnić formularze, będzie zobowiązany odbyć podróż do Yambuku, a sama myśl o tym była mu szczególnie niemiła, zwłaszcza teraz, w niezwykle wilgotnej i parnej porze roku.

Z pewnym poczuciem winy doktor Lugasa zmiął w dłoni list i wrzucił go do kosza na śmieci.

23 września 1976 r.

Tydzień później na lotnisku Bumba doktor Lugasa nerwowo przestępował z nogi na nogę obserwując, jak wysłużony DC-3 schodzi do lądowania. Pierwszy pojawił się w wyjściu doktor Bouchard, jego przełożony z Kinszasy. Poprzedniego dnia Lugasa zatelefonował do

Boucharda, informując go o wybuchu poważnej epidemii nieznanego pochodzenia w okolicy szpitala misyjnego w Yambuku. Dotknęła ona nie tylko lokalną ludność, ale również personel szpitala. W rozmowie Lugasa ani słowem nie wspomniał o liście, który otrzymał stamtąd tydzień wcześniej.

Po krótkim powitaniu na pasie startowym obaj lekarze wcisnęli się do toyoty corolli, należącej do Lugasy. Bouchard zapytał, czy nadeszły jakieś nowe wiadomości z Yambuku. Lugasa odchrząknął, wciąż jeszcze wytrącony z równowagi porannymi informacjami radiowymi. Według doniesień zmarło jedenaście osób z siedemnastoosobowego personelu szpitala, powiększając liczbę stu czternastu ofiar spośród mieszkańców wioski. Szpital zamknięto z powodu braku ludzi zdolnych do jego obsługi.

Doktor Bouchard zarządził kwarantannę dla całego rejonu Bumby. Niezwłocznie zatelefonował kilkakrotnie do Kinszasy, po czym polecił bynajmniej nie kwapiącemu się do podróży Lugasie zorganizowanie transportu do Yambuku w celu bezpośredniej oceny sytuacji.

24 września 1976 r.

Kiedy następnego dnia obaj lekarze stanęli na opuszczonym dziedzińcu szpitala misyjnego w Yambuku, powitała ich złowroga cisza. Wzdłuż balustrady pustego tarasu przemknął szczur, w nozdrza przybyszów uderzył zgniły odór. Przyciskając do nosa bawełniane chusteczki, z niechęcią wysiedli z land rovera i ostrożnie zajrzeli do najbliższego budynku. Leżały tam zwłoki dwóch osób, powoli rozkładające się z powodu upału. Dopiero w trzecim budynku natknęli się na pozostałą jeszcze przy życiu pielęgniarkę, mającą w gorączce. Przeszli do opuszczonej sali operacyjnej, gdzie - i tak zbyt późno szukając ochrony przed wirusem - zaopatrzyli się w rękawiczki, fartuchy i maski. Drżąc z niepokoju o własne zdrowie, zajęli się chorą pielęgniarką, a następnie poczęli rozglądać się za resztą personelu.

Wśród trzydziestu ciał, które napotkali, znaleźli zaledwie czterech innych pacjentów wykazujących jeszcze słabe oznaki życia.

Doktor Bouchard drogą radiową nawiązał łączność z Kinszasą i poprosił o natychmiastową pomoc sił powietrznych Zairu w przetransportowaniu pacjentów drogą lotniczą z misji do stolicy. Jednakże zanim skontaktowano się z oddziałem chorób zakaźnych szpitala uniwersyteckiego, aby ustalić sposób izolacji pacjentów podczas transportu, w Yambuku przy życiu pozostała jedynie pielęgniarka. Bouchard zaznaczył, że należy zastosować najdoskonalsze z istniejących technik izolacji, ponieważ stopień zaraźliwości i śmiertelności epidemii, z którą się zetknęli, stawiał ją w szeregu najbardziej niebezpiecznych chorób znanych ludzkości.

30 września 1976 r.

Belgijska pielęgniarka, przewieziona samolotem do Kinszasy, zmarła szóstego dnia pobytu w klinice, o trzeciej nad ranem, pomimo intensywnej terapii podtrzymującej. Ostatecznej diagnozy nie postawiono. Otrzymane w wyniku sekcji zwłok próbki krwi, wątroby, śledziony i mózgu wysłano do Instytutu Medycyny Tropikalnej w Antwerpii, do Centrum Kontroli Epidemiologicznej w Atlancie (CKE) oraz do Placówki Badań Mikrobiologicznych w Porton Down w Anglii. Liczba zachorowań w rejonie Yambuku wzrosła do dwustu dziewięćdziesięciu odnotowanych przypadków, a współczynnik śmiertelności sięgnął dziewięćdziesięciu procent.

13 października 1976 r.

Niemal jednocześnie w trzech międzynarodowych laboratoriach udało się wyodrębnić wirusa z Yambuku. Strukturą przypominał on wirusa zwanego Marburg, zaobserwowanego po raz pierwszy w 1967 roku podczas tragicznej epidemii wśród pracowników laboratoryjnych, przeprowadzających eksperymenty na małpach ugandyjskich.

16 listopada 1976 r.

Dwa miesiące po wystąpieniu pierwszych oznak epidemii uznano, iż rozwój nieznanej choroby z Yambuku został zahamowany, gdyż przez kilkanaście tygodni nie odnotowano nowych przypadków zachorowań.

3 grudnia 1976 r.

Odwołana została kwarantanna w rejonie Bumby i wznowiono zawieszony dotąd połączenia lotnicze. Wirus Ebola najwyraźniej powrócił do swego pierwotnego źródła, którego lokalizacja pozostała jednak tajemnicą. Powołany w celu rozstrzygnięcia tej kwestii międzynarodowy zespół badaczy, mający w swym składzie doktora Cyrilla Dubcheka z Centrum Kontroli Epidemiologicznej, który w dużej mierze przyczynił się kiedyś do zlokalizowania wirusa gorączki Lassa, przebadał dokładnie okolicę w poszukiwaniu ogniska epidemicznego wirusa Ebola, uwzględniając ssaki, ptaki i owady. Wszystko bez rezultatu. Badacze nie znaleźli żadnej, nawet najmniejszej wskazówki.

Los Angeles, Kalifornia

14 stycznia, współcześnie

Doktor Rudolf Richter, wysoki, postawny okulista, rodem z Niemiec Zachodnich, współzałożyciel Kliniki Richtera w Los Angeles, poprawił okulary i spojrzał na reklamowe ulotki, leżące przed nim na owalnym stole w sali konferencyjnej szpitala. Siedzący po prawej stronie William, jego brat i wspólnik, absolwent szkoły biznesu, z podobną uwagą przeglądał reklamówki. Materiał dotyczył kampanii zaplanowanej na następny kwartał, mającej na celu pozyskanie nowych zwolenników, a tym samym ich wpłat członkowskich w ramach programu zdrowotnego kliniki. Został on ułożony przede wszystkim z myślą o ludziach młodych, którzy jako grupa odznaczyli się stosunkowo dobrym zdrowiem. Jak słusznie zauważył William, właśnie oni mogli okazać się prawdziwą żyłą złota w całym tym interesie, którego podstawę stanowił system przedpłat zdrowotnych.

Ulotki zrobiły dobre wrażenie na Rudolfie. Uznał je za pierwszą przyjemną niespodziankę tego dnia. Ranek bowiem zaczął się fatalnie - najpierw stłuczka przy wjeździe na autostradę do San Diego, po której pozostało paskudne wgniecenie w karoserii nowego

BMW, potem operacja na oddziale nagłych wypadków, następnie zaś nieprzyjemne zdarzenie w trakcie badania siatkówki oka u pacjenta chorego na AIDS z rzadkimi komplikacjami, który niechcący kaszlnął mu prosto w twarz. Na domiar złego jednej z małp, na których przeprowadzał doświadczenia w ramach programu badań nad opryszczką oka, udało się go ukąsić. Co za dzień!

Rudolf sięgnął po projekt reklamy, która miała ukazać się w niedzielnym magazynie „Los Angeles Times”. Była doskonała. Skinął głową na Williama, który z kolei dał znak agentowi reklamowemu, by ten kontynuował prezentację. Następny punkt stanowiła sprawnie zmontowana, trzydziestosekundowa reklama telewizyjna, przewidziana do emisji w bloku wiadomości wieczornych. Ukazywała ona plażę w Malibu, na której beztrudnie dziewczyny w strojach bikini grały w siatkówkę z przystojnymi młodzieńcami. Rudolfowi przywiodła na myśl kosztowne produkcje reklamowe pepsi-coli, choć jej zadanie było przecież inne: miała zarekomendować koncepcję systemu przedpłat na świadczenia zdrowotne, wprowadzanego przez Klinikę Richtera w odróżnieniu od konwencjonalnej służby zdrowia funkcjonującej na zasadzie opłat za konkretne usługi.

Oprócz Rudolfa i Williama w konferencji uczestniczyli także inni lekarze, z ordynatorem kliniki, doktorem Navarre’em, włącznie. Wszyscy byli członkami zarządu i posiadali pewną liczbę udziałów kliniki.

William odchrząknął i zapytał, czy ktoś z obecnych chciałby zadać pytania. Nikt się nie zgłosił. Gdy agenci reklamowi opuścili salę, wszyscy zgodnie zaaprobowali przedstawiony materiał. Po krótkiej dyskusji nad projektem utworzenia nowej kliniki satelitarnej, związanym ze wzrastającą liczbą zgłoszeń z rejonu Newport Beach, spotkanie dobiegło końca.

Doktor Richter udał się do swojego gabinetu, gdzie z zadowoloną miną włożył ulotki

reklamowe do swojej teczki. Jak na pobierającego skromną pensję lekarza kliniki, gabinet miał urządzony z przepychem. Jednakże pensja ta stanowiła zaledwie ułamek dochodów Rudolfa, które czerpał głównie z zysków przynoszonych przez posiadane przezeń udziały kliniki. Zarówno Klinika Richtera, jak i sam doktor Rudolf Richter mieli obecnie niezgorszą kondycję finansową.

Richter sprawdził wezwania i udał się na pooperacyjne wizyty do swych pacjentów. Były to dwa przypadki odwarstwienia siatkówki z dość skomplikowaną historią choroby. Obaj pacjenci czuli się już dobrze. W powrotnej drodze do gabinetu przyszło mu na myśl, że jak na jedyne go okulistę w całej klinice przeprowadzał niepokojąco mało operacji. Biorąc jednak pod uwagę sporą liczbę okulistów praktykujących w Los Angeles, powinien się cieszyć z tych kilku pacjentów, których leczył. Tym większą wdzięczność żywił wobec swojego brata, który przed ośmioma laty przekonał go do idei założenia kliniki.

W gabinecie zrzucił biały fartuch, włożył niebieski blezer, po czym wyszedł, trzymając w ręku skórzaną teczkę. Minęła już dziewiąta wieczorem i dwupoziomowy parking kliniki był niemal pusty. W ciągu dnia nie dało się tam wetknąć szpilki, dlatego też William już kiedyś wspominał o potrzebie jego rozbudowy, nie tylko ze względu na zwiększenie liczby miejsc do parkowania, lecz również odpis amortyzacyjny. Takich zawilosci Rudolf w gruncie rzeczy nie pojmował i nawet nie starał się zrozumieć.

Zatopiony w rozważaniach nad ekonomicznymi problemami kliniki, doktor Richter nie zauważył dwóch mężczyzn, wyczekujących w osłoniętym od światła zaułku parkingu. Nie dostrzegł ich nawet wtedy, gdy wynurzyli się z cienia i ruszyli jego śladem. Mieli na sobie ciemne, urzędowe garnitury. Ramię wyższego było nienaturalnie zgięte, jakby zastygłe w pół ruchu. W ręku trzymał grubą teczkę, uniesioną wysoko z powodu unieruchomienia stawu łokciowego.

Zbliżając się do samochodu, Richter wreszcie usłyszał za sobą przyspieszone kroki. Za gardło chwycił go nieprzyjemny skurcz. Z trudnością przełknął ślinę i rzucił za siebie nerwowe spojrzenie. Dwóch mężczyzn wyraźnie zmierzało w jego kierunku. Kiedy ich sylwetki oświetlił blask lampy umieszczonej pod sufitem, Richter dostrzegł, że mieli na sobie eleganckie garnitury, czyste koszule i jedwabne krawaty. Poczł się nieco pewniej, mimo to w miarę zbliżania się do samochodu jego kroki stawały się szybsze i dłuższe. Nerwowo szperając w kieszeni, wyszarpnął z niej kluczyki, otworzył drzwi od strony kierowcy, wrzucił do środka teczkę i sam wsunął się na siedzenie, gdzie poczuł znajomy zapach skórzanych obić. Zamykał już drzwi, gdy nagle stawily opór, powstrzymane czyjąś ręką. Doktor Richter niechętnie uniósł wzrok i napotkał kamienne, pozbawione wszelkiego wyrazu oblicze jednego z mężczyzn. Pod wpływem pytającego spojrzenia doktora, przez twarz mężczyzny przemknął grymas uśmiechu.

Richter ponownie spróbował zamknąć drzwi, lecz nieznajomy mocno trzymał je od zewnątrz.

- Przepraszam, doktorze, czy może mi pan powiedzieć, która godzina? - spytał uprzejmie.

- Oczywiście - odparł z ulgą Richter, zadowolony, że chodzi o rzecz tak niewinną.

Spojrzał na zegarek, lecz nim zdążył cokolwiek odpowiedzieć został brutalnie wywleczony z samochodu. Próbował, bez większego przekonania, stawiać opór, który zresztą został błyskawicznie złamany. Niespodziewany cios wymierzony otwartą dłonią w twarz rzucił go na ziemię. Poczł, jak czyjeś ręce pospiesznie obmacują go w poszukiwaniu portfela, po czym usłyszał odgłos rozdzieranego materiału. Jeden z mężczyzn lekceważąco prychnął: „Biznesmen!”, drugi zaś rzucił: „Bierz teczkę!” Jednocześnie Richter poczuł, że zrywają mu zegarek z nadgarstka.

W chwilę później było już po wszystkim. Do uszu Richtera doszedł odgłos oddalających się kroków, trzaśnięcie drzwiami i ostry pisk opon na gładkiej, betonowej nawierzchni parkingu.

Przez moment jeszcze leżał w bezruchu, ciesząc się, że wyszedł cało z tego zdarzenia.

Odnalazł i włożył okulary. Lewe szkło było pęknięte. Jako chirurg najbardziej obawiał się o swoje dłonie, dlatego też, zanim jeszcze podniósł się z betonowej posadzki, uważnie je zbadał. Następnie zajął się swoim wyglądem. Biała koszula i krawat były pobrudzone smarem. Z przodu blezera brakowało guzika - na jego miejscu w materiale widniała niewielka dziura w kształcie podkowy. Prawa nogawka spodni była rozdarta od przedniej kieszeni aż do kolana.

- Boże, co za dzień! - mruknął do siebie. Poranna stłuczka wydała mu się teraz błahostką. Po chwili wahania podniósł z ziemi kluczyki i wszedł z powrotem do kliniki. Ze swego gabinetu wezwał strażnika, zastanawiając się cały czas, czy powiadomić policję. Doszedł jednak do wniosku, że mogłoby to zaszkodzić dobrej opinii kliniki, a poza tym, w czym mogła tu pomóc policja... Uporawszy się z tym problemem, zatelefonował do żony, by poinformować, że zjawi się w domu nieco później, niż zamierzał.

W łazience przyjrzał się uważnie swej twarzy. Na prawym policzku, nieco nad kością policzkową, widniało rozcięcie, w którym utkwili drobiny parkingowego żwiru. Energicznie przemył ranę środkiem dezynfekującym, próbując jednocześnie ustalić, w jakim stopniu przyczynił się do powiększenia majątku swoich napastników. Zawartość portfela oszacował na jakieś sto dolarów, kilka kart kredytowych i identyfikacyjnych z jego licencją lekarza stanu Kalifornia włącznie. Najbardziej bolała go jednak strata zegarka, był to bowiem prezent od żony. Cóż, kupi się nowy, pomyślał, kiedy rozległo się pukanie do zewnętrznych drzwi gabinetu.

Przybyły strażnik ochrony rozplątywał się w przeprosinach tłumacząc, że nigdy dotąd nic podobnego się nie zdarzyło i że ogromnie żałuje, iż w chwili napadu nie było go w pobliżu. Zapewnił Richtera, że zaledwie pół godziny wcześniej przechodził tamtędy w ramach rutynowego obchodu. Doktor uspokoił go, stwierdził, że nie ma do niego pretensji, oraz że pragnie jedynie, by podobny incydent nigdy się nie powtórzył. Następnie wyjaśnił powody, dla których nie wezwał policji.

Nazajutrz doktor Richter czuł się nie najlepiej, ale złożył to na karb wydarzeń poprzedniego dnia oraz źle przespanej nocy. O piątej trzydzieści po południu poczuł się jednak tak słabo, że zaczął rozważać możliwość odwołania umówionej randki ze swą kochanką, sekretarką w dziale rejestrów medycznych kliniki. Ostatecznie zjawił się w jej mieszkaniu, lecz wyszedł wcześniej niż zwykle, by trochę odpocząć. Mimo tego przez całą noc nie zmrużył oka, przewracając się z boku na bok.

Następnego dnia był już poważnie chory. Kiedy po przeprowadzeniu kolejnego badania podniósł się znad aparatury, poczuł silne zawroty głowy. Starał się nie myśleć o ugryzieniu małpy i fatalnym kaszlu pacjenta z AIDS. Dobrze wiedział, że wirus HIV nie jest groźny przy tak przelotnym kontakcie, jednakże nie wyjaśniona przyczyna nagłej infekcji wciąż zaprzętała mu głowę. Około wpół do czwartej pojawiły się dreszcze i dokuczliwy, migrenowy ból głowy. Sądząc, że to gorączka, Richter odwołał zaplanowane na popołudnie wizyty i udał się do domu, niemal pewny, że złapał grypę. Gdy stanął w progu domu, jego żonie wystarczyło jedno spojrzenie na trupioblada twarz i czerwone obwódki wokół oczu, by natychmiast wysłać go do łóżka. O ósmej ból głowy nasilił się tak bardzo, że Richter zdecydował się zażyć percodan. Kiedy jednak żona nalegała, by wezwać doktora Navarre'a, nazwał ją panikarką i zapewnił, że wkrótce będzie zdrow jak ryba. Połknął dalmane i zapadł w sen. Obudził się o czwartej nad ranem i słaniając się na nogach powłókł do łazienki, gdzie

zwymiotował krwawym strumieniem. Zaniepokojona żona niezwłocznie zadzwoniła po pogotowie. Nie miał dość sił, by zaprotestować. Uświadomił sobie, że jest to najpoważniejsza choroba, jaka mu się dotąd przytrafiła.

20 stycznia

Coś przeszkodziło Marissie Blumenthal. Nie była pewna, czy bodziec pochodził z zewnątrz, czy z zakamarków jej własnego umysłu - w każdym razie nie mogła już się skupić.

Podniosła wzrok znad książki i ku swemu zdumieniu zauważyła, że bladozimowa biel za oknem przeszła już w atramentową czerń. Nic dziwnego - dochodziła siódma wieczorem.

- Santa Madonna - mruknęła Marissa, używając jednego z wyrażzeń, pozostałych z okresu dzieciństwa. Poderwała się na równe nogi i natychmiast zakręciło jej się w głowie.

Godziny spędzone na dwóch rozłożonych krzesłach w zacisznym kącie biblioteki Centrum Kontroli Epidemiologicznej w Atlancie dały teraz znać o sobie. Na dodatek przypomniało jej się, że jest umówiona na wieczór i że planowała wrócić do domu przed wpół do siódmej, by zdążyć się przygotować.

Dźwigając opasłe tomisko *Wirusologii* Fieldsa, ruszyła w stronę półki z zamówionymi pozycjami, rozprostowując jednocześnie zdrętwiałe mięśnie nóg. Wprawdzie biegała już tego ranka, lecz zamiast codziennego odcinka czterech mil, odbyła zaledwie dwumilową przebieżkę.

- Pomóc ci wrzucić tego potwora na półkę? - zażartowała pani Campbell,

bibliotekarka o macierzyńskim sercu, nigdy nie rozstająca się ze swoją popielatą, wełnianą kamizelką, którą właśnie zapięła, czytelnia bowiem nie należała do najlepiej ogrzewanych pomieszczeń.

Jak w każdym dobrym żarcie, tak i w stwierdzeniu pani Campbell tkwiło ziarno prawdy. Podręcznik ważący dziesięć funtów stanowił jedną dziesiątą wagi ciała Marissy: przy swoich stu funtach Marissa mierzyła zaledwie pięć stóp. Mimo to zapytana o wzrost odpowiadała: pięć stóp i dwa cale. Nie uważała jednak za stosowne wyjaśniać, że owe dwa cale były ni mniej, ni więcej tylko wysokością obcasów. Aby odłożyć podręcznik na półkę,

musiała go rozkołysać i niemalże wrzucić pomiędzy inne książki.

- Chciałabym, żeby ktoś umieścił zawartość tej książki w moim mózgu - odparła. -

Taka pomoc byłaby przeze mnie mile widziana.

Pani Campbell roześmiała się cicho. Jak większość pracowników CKE była osobą przyjacielską i pełną wewnętrznego ciepła. W opinii Marissy atmosfera Centrum bardziej przypominała instytucję akademicką niż agencję federalną, który to status nadano mu w 1973 roku, głównie z powodu wszechobecnego ducha poświęcenia i całkowitego oddania nauce. Wprawdzie sekretarki, tak jak i reszta personelu, kończyły pracę o wpół do czwartej, lecz pozostali pracownicy nierzadko przesiadywali do późnych godzin nocnych, często wychodząc dopiero nad ranem. Kierowała nimi wiara w sens własnej pracy.

Wielkość biblioteki, z której Marissa właśnie wyszła, pozostawiała wiele do życzenia.

Połowa książek i periodyków, stanowiących zbiory Centrum, była poutykana tu i ówdzie w różnych pomieszczeniach całego kompleksu. Tutaj wyraźnie dawało się odczuć, że CKE jest agencją federalną, która wobec nieustannych cięć budżetowych sposobem musi wyszarpywać fundusze na swą działalność. Marissa zauważyła, że nawet budynki CKE wyglądają jak siedziby agencji federalnych. Ściany holu straszyły brudną, biurową zielenią, a na podłodze leżała bura wykładzina winylowa, nosząca wyraźne ślady zużycia, zwłaszcza w partii środkowej. Na ścianie, tuż obok drzwi windy, widniało obowiązkowo uśmiechnięte oblicze Ronalda Reagana. Tuż pod obrazem ktoś przylepił kartkę z napisem: „Niezadowoleni z tegorocznego przydziału funduszy niech poczekają do przyszłego roku!”

Marissa weszła po schodach piętro wyżej. Jej klitka, szumnie zwana biurem, znajdowała się o jedną kondygnację wyżej nad biblioteką. Był to niewielki magazyn bez okien, prawdopodobnie używany kiedyś przez sprzątaczkę jako schowek na szczotki i wiadra. Pomiedzy ścianami z pomalowanych pustaków żużlowych znajdowało się zaledwie tyle

miejsca, by ustawić metalowe biurko, segregatory, lampę i obrotowe krzesło. Mimo ciasnoty Marissa mogła uważać się za jedną z wybranych - walka o każdy metr kwadratowy powierzchni w Centrum nie słabła ani na chwilę.

Marissa dobrze wiedziała, że pomimo wszystkich niedogodności, Centrum działało doskonale. Przez lata swego istnienia świadczyło nieocenione usługi nie tylko w Stanach Zjednoczonych, lecz również za granicą. Marissa miała w pamięci przypadek sprzed wielu lat, kiedy to CKE przyczyniło się do rozwikłania tajemnicy choroby legionistów. Setki takich przykładów namnożyło się od czasu, gdy CKE powstało w 1942 roku jako Centrum Kontroli Malariai, w celu zahamowania tej choroby na południu Ameryki. W 1946 roku przemianowano je na Centrum Chorób Zakaźnych. Powstały wówczas odrębne laboratoria prowadzące badania bakterii, grzybów, pasożytów, wirusów i riketsji. W następnym roku utworzono laboratorium chorób odzwierzęcych, zajmujące się schorzeniami zwierzęcymi, które mogą być przenoszone również na człowieka. Należą do nich dzuma, wścieklizna i wąglik. W roku 1970 nastąpiła kolejna zmiana nazwy, tym razem na Centrum Kontroli Epidemiologicznej.

Wkładając do teczki czasopisma, Marissa zamyśliła się nad pełną sukcesów przeszłością CKE. To właśnie historia Centrum zaciekała ją kiedyś na tyle, że postanowiła wstąpić do tej organizacji. Po zakończeniu podyplomowego stażu w klinice pediatrycznej w Bostonie zgłosiła się na dwa lata do sekcji wywiadu epidemiologicznego i została przyjęta jako inspektor wywiadowczej służby epidemiologicznej. Miała pełnić funkcję kogoś w rodzaju medycznego detektywa. Zaledwie trzy i pół tygodnia temu, tuż przed Bożym Narodzeniem, ukończyła kurs przygotowawczy, który przysposabiał ją teoretycznie do nowej roli. Obejmował on administrację publicznej służby zdrowia, biostatykę i epidemiologię, to znaczy badanie i kontrolę chorób w obrębie określonej populacji.

Na twarzy Marissy pojawił się krzywy uśmiezek. Zakładając granatowy płaszcz pomyślała, że wprawdzie przeszła kurs wprowadzający, lecz, jak to się często zdarzało w jej karierze medycznej, czuła się kompletnie nieprzygotowana do rozwiązania realnej sytuacji krytycznej. Powierzenie jej jakiegokolwiek zadania, jeśli w ogóle nastąpi, będzie oznaczać gigantyczny przeskok od metod akademickich do empirycznych. Umiejętność opisanie przypadków poszczególnych chorób w formie spójnego opowiadania, w którym ujmuje się przyczyny choroby, jej rozprzestrzenianie i czynnik nosicielstwa, wydawała się nie mieć nic wspólnego z podejmowaniem decyzji zmierzających do zahamowania epidemii dotykającej żywych ludzi. W gruncie rzeczy, była pewna, że wkrótce otrzyma takie zadanie, nie wiedziała jedynie kiedy.

Marissa spakowała swoją teczkę, zgasiła światło i zamknąwszy drzwi biura, ruszyła korytarzem w kierunku windy. Oprócz niej w przygotowawczym kursie epidemiologii uczestniczyło czterdzieści osiem osób, w większości - podobnie jak ona - wykwalifikowanych lekarzy. Znajdowali się wśród nich mikrobiolodzy, kilka pielęgniarek, a nawet jeden stomatolog. Marissa zastanawiała się, czy wszyscy oni również przechodzą kryzys wiary we własne siły. W świecie medycznym z reguły nie mówi się głośno o takich rzeczach; jest to sprzeczne z funkcjonującym stereotypem lekarza.

Po ukończeniu kursu została przydzielona do Departamentu Wirusologii, do Specjalistycznego Oddziału Patogenów, który umieściła na pierwszym miejscu, układając listę swych preferencji spośród dostępnych miejsc pracy. Spełniono jej prośbę ze względu na najlepsze wyniki w grupie. Pomimo swej znikomej wiedzy wirusologicznej, którą usiłowała obecnie poszerzyć, przesiadując godzinami w bibliotece, Marissa zgłosiła się do tego departamentu, gdyż rozprzestrzeniająca się w ostatnich latach epidemia AIDS wysunęła wirusologię na czoło badawczych dziedzin medycyny. Dotychczas znajdowała się ona w

cieniu bakteriologii, teraz zaś oznaczała „akcję” i działania, w których Marissa pragnęła wziąć czynny udział.

Na korytarzu stało kilka osób czekających na windę. Wymieniając pozdrowienia, Marissa stwierdziła, że zna paru tych ludzi, pracujących głównie w Departamencie Wirusologii, którego biura znajdowały się na drugim końcu korytarza. Pozostałych osób nie spotkała dotychczas, lecz mimo to odpowiedziały one na jej powitanie. Mogła przechodzić kryzys zaufania do swych umiejętności zawodowych, ale przynajmniej czuła się akceptowana.

Na parterze Marissa ustawiła się w kolejce, by wpisać godzinę wyjścia. Wymóg ten obowiązywał wszystkich opuszczających biura po godzinie siedemnastej, a następnie poszła w stronę parkingu. Zima w niczym nie przypominała tu tego, co Marissa przez cztery poprzednie lata musiała znosić w Bostonie, nie zadała więc sobie trudu, by zapiąć płaszcz. Jej czerwona honda prelude o sportowej sylwetce wyglądała dokładnie tak jak ją zostawiła rano: zakurzona, brudna i zaniedbana. Na zderzakach nadal widniały tablice stanu Massachusetts, ich wymiana należała do tych spraw, które zawsze mogą poczekać.

Dom, który wynajmowała Marissa, znajdował się o parę minut drogi od CKE. Tereny wokół Centrum zajmował Uniwersytet Emory, który na początku lat czterdziestych przekazał część gruntów na potrzeby CKE. Uniwersytet otaczały liczne osiedla reprezentujące cały wachlarz w skali zamożności, od niższej klasy średniej do wystawnego bogactwa. Marissa znalazła swój dom w części takiego osiedla, zwanej Druid Hills. Wynajęła go od małżeństwa, które w ramach szeroko zakrojonego planu kontroli urodzeń w Afryce zostało wysłane do Mali.

Marissa skręciła na plac Drzewka Brzoskwiniowego. Była to popularna tutaj nazwa.

Odnosiła wrażenie, że mianem drzewka brzoskwiniowego ochrzczono w Atlancie dokładnie

wszystko. Minęła po lewej stronie swój dom - niewielki, jednopiętrowy budynek osadzony na drewnianym szkielecie, nieźle utrzymany, może z wyjątkiem ogrodu. Styl architektoniczny był trudny do określenia, wyjąwszy dwie jońskie kolumny od strony frontowej werandy. Okna zaopatrzone w imitacje okiennic z wyciętymi w środku serduszkami. Opisując je rodzicom, Marissa użyła określenia „słodziutkie”.

Skręciła na następnym skrzyżowaniu, a potem jeszcze raz w tym samym kierunku.

Posiadłość, na której stał jej dom, ciągnęła się aż do następnej przecznicy, tak więc, aby dostać się do siebie od strony garażu, Marissa musiała okrążyć cały teren i wjechać od tyłu zabudowań. Wprawdzie od frontu znajdował się wyasfaltowany wjazd w kształcie pętli, lecz nie łączył się on z drogą prowadzącą od tylnej bramy do garażu. Prawdopodobnie dawniej takie połączenie istniało, lecz przeszło do historii po wybudowaniu kortu tenisowego, który obecnie tak gęsto zarósł chwastami, że z trudnością można było określić jego położenie.

Pamiętając o wieczornym spotkaniu, Marissa nie wstawiła samochodu do garażu, a jedynie zaparkowała tyłem do budynku. Na schodach dobiegło ją powitalne szczekanie spaniela, którego otrzymała w prezencie od koleżanki z kliniki pediatrycznej.

Marissa nigdy nie zamierzała mieć psa, ale sześć miesięcy wcześniej niespodziewanie doświadczyła rozpadu związku, który, jak sądziła, zmierzał ku małżeństwu. Jej wybranek, Roger Shulman, neurochirurg w klinice Massachusetts General, nagle oznajmił jej, że przyjął posadę na kalifornijskim uniwersytecie UCLA w Los Angeles i że ma zamiar pojechać tam bez niej. Marissa była zaskoczona, dotychczas bowiem planowali wspólny wyjazd wszędzie tam, gdzie Roger miałby szansę dokończenia stażu. Zgodnie z tymi zamiarami zgłosiła się już uprzednio do placówek pediatrycznych w San Francisco i Houston. Roger nigdy wcześniej nawet słowem nie wspomniał o UCLA.

Jako najmłodsza w rodzinie, pozostając w cieniu trzech starszych braci i zimnego,

apodyktycznego ojca neurochirurga, Marissa nie miała warunków, by wyrosnąć na osobę zdecydowaną i pewną siebie. Rozstanie z Rogerem nie przyszło jej więc łatwo. Każdego ranka z trudnością znajdowała tyle sił i chęci, by zwlec się z łóżka i pojechać do szpitala. Widząc Marissę w beznadziejnej depresji, przyjaciółka Nancy podarowała jej pieska. Z początku dziewczyna niechętnie patrzyła na nowego domownika, z czasem jednak Taffy - takie bowiem cukierkowo słodkie imię widniało na olbrzymiej kokardzie zawiązanej na jego szyi - zdobył jej serce i, jak słusznie przypuszczała Nancy, odwrócił uwagę Marissy od osobistych rozczarowań. Obecnie Marissa miała bzika na punkcie pieska, gdyż obdarzany miłością, odpłacał jej tym samym. Rozpoczynając pracę w CKE, Marissa martwiła się, co stanie się z Taffym, gdy ona zostanie dokądś wysłana w ramach badań. Problem rozwiązał się, gdy Judsonowie, jej sąsiedzi po prawej, poznali i polubili Taffy'ego, po czym zaofiarowali się, wręcz zażądali, by Marissa zostawiała u nich psa za każdym razem, kiedy będzie musiała wyjechać z miasta. Było to dla niej zrządzenie losu.

W drzwiach Marissa musiała odpędzić rozentuzjasmowanego psa, krążącego wokół niej w podskokach, i wyłączyć system alarmowy. Kiedy właściciele po raz pierwszy objaśniali jej zasadę działania alarmu, Marissa słuchała ich jednym uchem, teraz jednak była zadowolona z posiadania tego zabezpieczenia. Pomimo iż przedmieścia były o wiele bezpieczniejsze od centrum miasta, nocą Marissa czuła się tu bardziej samotna niż w Bostonie. W kieszeni płaszcza nosiła nawet pilota straszaka, który pozwalał jej uruchomić alarm już przy bramie, w razie gdyby dostrzegła podejrzaną światłość lub hałas w domu. Gdy Marissa przeglądała codzienną pocztę, Taffy wyładowywał nagromadzoną podczas jej nieobecności energię, biegając bez ustanku wokół rosnącego od frontu błękitnego Świerka. Judsonowie z pewnością wyprowadzili go na spacer około południa, lecz mimo to zamknięcie w kuchni do momentu powrotu Marissy było stanowczo za długim okresem dla

ośmiomiesięcznego szczeniaka.

Niestety, Marissa zmuszona była ukrócić zapędy psiaka do intensywnych ćwiczeń biegowych, ponieważ minęła już siódma i nie zostało zbyt wiele czasu do umówionej na ósmą kolacji. Od pewnego czasu spotykała się z Ralphem Hempstonem, wziętym okulistą, i chociaż nie doszła jeszcze do siebie po odejściu Rogera, ceniła towarzystwo Ralpha, jego elegancki sposób bycia oraz to, że wydawał się zadowolony, gdy zapraszał ją na kolację, koncert lub do teatru, a nie próbował przy tym zaciągnąć jej do łóżka. Dopiero na dzisiejszy wieczór po raz pierwszy zaprosił ją do swego domu, zaznaczając, że będzie to duże przyjęcie, a nie intymne tête à tête.

Ralph wydawał się akceptować fakt, że ich związek rozwija się własnym rytmem.

Marissa doceniała to i była mu wdzięczna, choć podejrzewała, że przyczyną mogła być różnica wieku, sięgająca dwudziestu dwóch lat: ona miała trzydzieści jeden, a on pięćdziesiąt trzy.

Z kolei drugi mężczyzna, z którym Marissa spotykała się w Atlancie, był od niej o cztery lata młodszy. Tad Schockley, doktor mikrobiologii, zatrudniony w departamencie, do którego przydzielono Marissę, zadurzył się w niej od momentu spotkania w bufecie, w pierwszym tygodniu jej pobytu w Centrum. Stanowił dokładne przeciwieństwo Ralpha Hempstona: był rozbijająco nieśmiały, nawet gdy chodziło o zaproszenie do kina. Umawiali się ze sobą kilkanaście razy i na szczęście Tad, podobnie jak Ralph, nie narzucał się Marissie w sensie fizycznym.

Marissa wzięła prysznic, owinęła się ręcznikiem i niemal automatycznie zabrała się do makijażu. W dramatycznym wyścigu z czasem przerzuciła całą stertę ubrań, błyskawicznie eliminując niektóre kombinacje. Nie starała się wyglądać zgodnie z ostatnim krzykiem mody, choć lubiła pokazać się z jak najlepszej strony. Zdecydowała się w końcu na jedwabną

spódnicę i sweter, będący gwiazdkowym prezentem. Sięgał jej do pól uda, dzięki czemu sprawiała wrażenie nieco wyższej. Wsunąwszy stopy w czarne pantofelki, obrzuciła uważnym spojrzeniem swe odbicie w lustrze.

Jeśli pominąć niewielki wzrost, Marissa była całkiem zadowolona ze swego wyglądu.

Rysy miała drobne i delikatne, a jej ojciec, zapytany przez nią przed laty, czy uważa, że jest ładna, użył słowa „śliczna”. Miała ciemnobrązowe oczy z gęstymi rzęsami i bujne, falujące włosy w kolorze najlepszego gatunku sherry. Od szesnastego roku życia nosiła je w ten sam sposób: spadające na ramiona albo zaczesane do tyłu i zebrane szylkretową spinką.

Dom Ralpa odległy był zaledwie o pięć minut drogi, lecz jego otoczenie różniło się znacznie od osiedla, na którym mieszkała Marissa. Domy były tam dużo większe, otoczone starannie przystrzyżonymi trawnikami. Dom Ralpa znajdował się na rozległej posesji, do której prowadziła malowniczo wijąca się droga dojazdowa. Po obu jej stronach rosły azalie i rododendrony, które według Ralpa kwitły wiosną wprost zachwycająco.

Sam dom był dwupiętrową budowlą w stylu wiktoriańskim, z górującą nad całością ośmiokątną wieżą w prawym narożniku. Pod nią szeroka weranda, okolona fantazyjnie przystrzyżonym żywopłotem, biegła wzdłuż całego budynku, opasując jego lewy narożnik. Nad wejściem frontowym, które stanowiło dwoje szerokich drzwi, znajdował się owalny balkon o zadaszeniu w kształcie stożka, doskonale harmonizującym z podobnym zwieńczeniem wieżyczki.

Już sama sceneria wydała się Marissie wystarczająco odświeżająca. Wszystkie okna płonęły jasnym światłem. Stosując się do wskazówek Ralpa, Marissa okrążyła dom z lewej Strony. Sądziła, że przyjedzie jako jedna z ostatnich, na podjeździe nie spostrzegła jednak żadnego samochodu.

Mijając dom, spojrzała w górę na prowadzące na drugie piętro spiralne schody

pożarowe. Zwróciła na nie uwagę któregoś wieczoru, gdy Ralph musiał zawrócić do domu po biper. Wyjaśnił jej wówczas, że poprzedni właściciel umieścił na górze pomieszczenia dla służby, w związku z czym miejski wydział budownictwa wymógł na nim dobudowanie tych schodów. Na tle białego drewna elewacji czarna, metalowa klatka schodowa sprawiała groteskowe wrażenie.

Marissa zaparkowała samochód przed wjazdem do garażu, który swoją skomplikowaną bryłą doskonale pasował do domu, i zapukała do tylnych drzwi, znajdujących się w nowym skrzydle, niewidocznym od frontu. Nikt jej nie otworzył. Zajrzała przez okno i zobaczyła, że w kuchni praca wre na pełnych obrotach. Postanowiła nie sprawdzać, czy drzwi są otwarte. Obeszła dom i zadzwoniła do drzwi frontowych. Natychmiast ukazał się w nich Ralph i mocno uściskał Marissę na powitanie.

- Dziękuję, że przyszłaś trochę wcześniej - powiedział, pomagając jej zdjąć płaszcz.

- Wcześniej? Byłam pewna, że się spóźniłam.

- Ależ skąd - odparł Ralph. - Goście nie powinni się pojawić przed wpół do dziewiątej.

- Powiesił jej płaszcz do szafy.

Ku swemu zdziwieniu Marissa spostrzegła, że Ralph założył wytworny smoking.

Musiała przyznać, że było mu w nim bardzo do twarzy, choć sama poczuła się trochę niepewnie.

- Mam nadzieję, że jestem odpowiednio ubrana - powiedziała. - Nie wspomniałeś, że ma to być oficjalne przyjęcie.

- Wyglądasz olśniewająco, jak zwykle. Po prostu korzystam z okazji, by raz na jakiś czas pokazać się w smokingu. Pozwól, że oprowadzę cię po domu.

Marissa podążyła za nim, stwierdzając po raz kolejny, że jeśli chodzi o wygląd, Ralph stanowi ideał lekarza: zdecydowane, sympatyczne rysy twarzy i siwiejące klasycznie włosy.

W ślad za Ralphem weszła do salonu, który urządzony był ciekawie, choć nieco ascetycznie.

Służąca w czarnym stroju stawiała właśnie na stole przystawki.

- Tutaj zaczniemy przyjęcie - poinformował ją Ralph. - Napoje będą podawane w pokoju obok.

Rozsunął dwuskrzydłowe panelowe drzwi i wprowadził ją do pomieszczenia, w którym po lewej stronie za barem młody człowiek zawzięcie polerował kieliszki. Za łukowatym przejściem znajdowała się właściwa jadalnia. Marissa doliczyła się nakryć na co najmniej dwanaście osób.

Przeszli przez jadalnię do nowego skrzydła domu, gdzie znajdował się salon i przestronna, nowocześnie wyposażona kuchnia. Troje czy czworo ludzi zajmowało się tam szykowaniem kolacji.

Upewniwszy się, że przygotowania idą zgodnie z planem, Ralph poprowadził Marissę z powrotem do salonu, gdzie wyjaśnił jej, iż zaprosił ją nieco wcześniej w nadziei, że przyjmie propozycję pełnienia obowiązków pani domu. Marissa zgodziła się nie bez pewnego zdziwienia - w końcu spotkała się z Ralphem zaledwie pięć czy sześć razy.

W tej chwili rozległ się dzwonek przy drzwiach - pierwsi goście przybyli na przyjęcie.

Na swoje nieszczęście Marissa nigdy nie miała zdolności zapamiętywania nazwisk.

Udało jej się zanotować w pamięci państwa Hayward, a to z powodu niewiarygodnej siwizny doktora Haywarda. Ponadto rozpoznawała jeszcze państwa Jackson, ze względu na noszony przez panią Jackson brylant wielkości piłki golfowej, oraz państwa Sandberg - psychiatrów.

Onieśmielona wspaniałymi futrami i biżuterią, Marissa z trudem zdobyła się na krótką rozmowę z kilkoma gośćmi. Z całą pewnością żaden z nich nie prowadził praktyki lekarskiej w jakimś zapomnianym przez Boga miasteczku.

Kiedy pokój zapełnił się już gośćmi, z których każdy trzymał w ręku kieliszek,

ponownie rozległ się dźwięk dzwonka. Nie mogąc nigdzie znaleźć Ralpa, Marissa pospieszyła do drzwi. Ku swemu najwyższemu zdumieniu rozpoznała w przybyłym mężczyźnie doktora Cyrilla Dubcheka, swego szefa ze Specjalistycznego Oddziału Patogenów w Departamencie Wirusologii.

- Witam panią doktor - pozdrowił ją swobodnie Dubchek, bynajmniej nie zaskoczony jej obecnością.

Marissa była wyraźnie zakłopotana. Nie spodziewała się, że Ralph zaprosi kogoś z CKE. Dubchek oddał służącej płaszcz, odsłaniając granatowy garnitur skrojony według mody włoskiej. Był to człowiek o zniewalającej powierzchowności: jego cera miała oliwkowy odcień, a znamionujące inteligencję oczy były czarne jak węgiel. Twarz o ostrych rysach nadawała mu wygląd arystokratyczny. Przesunął palcami po zaczesanych do tyłu włosach i stwierdził z uśmiechem:

- No proszę, znów się spotykamy.

Marissa niepewnie odwzajemniła uśmiech i wskazała ręką w kierunku salonu:

- Bar znajduje się tam.

- A gdzie Ralph? - spytał Dubchek, zaglądając do zatłoczonego salonu.

- Prawdopodobnie jest w kuchni - odrzekła Marissa.

Dubchek skinął głową i wszedł do salonu. W tej chwili rozległ się dzwonek u drzwi.

Tym razem Marissę zupełnie zamurowało. Na podeście stał Tad Schockley we własnej osobie!

- Marissa? - wykrztusił Tad, szczerze zdziwiony.

Marissa opanowała się błyskawicznie i wpuściła go do środka. Odbierając od Tada płaszcz, nie omieszkała zapytać:

- Skąd znasz doktora Hempstona?

- Wyłącznie z oficjalnych spotkań. Byłem zaskoczony, kiedy otrzymałem od niego list z zaproszeniem - uśmiechnął się Tad. - Pomyślałem sobie jednak, że przy mojej pensji nie odmawia się darmowych posiłków.

- Wiedziałaś, że Dubchek również jest zaproszony? - Głos Marissy brzmiał niemal oskarżycielsko.

Tad przecząco potrząsnął głową.

- Nie, ale co to za różnica? - Zaglądnął do jadalni, rzucił okiem na główne schody. - Piękny dom, nie ma co.

Marissa mimo woli uśmiechnęła się. Ze swoimi krótko obciętych włosami koloru jasnego piasku i świeżą, młodzieńczą cerą Tad z pewnością nie wyglądał na doktora medycyny. Ubrany był w sztruksową kurtkę i popielate flanelowe spodnie, które również dobrze mogły uchodzić za dżinsy. Na szyi miał zawiązany grubo tkany krawat.

- Słuchaj - zwrócił się do Marissy - a ty skąd znasz doktora Hempstona?

- Jesteśmy przyjaciółmi - odparła wymijająco, gestem wskazując drogę do baru.

Kiedy przybyli już wszyscy goście, Marissa opuściła swoje stanowisko przy drzwiach wejściowych. Przy barze zamówiła kieliszek białego wina i zmieszała się z tłumem gości. Na chwilę przed rozpoczęciem posiłku zamieniła kilka słów z doktorem Sandbergiem i państwem Jackson.

- Witamy w Atlancie, młoda damo - powitał ją doktor Sandberg.

- Dziękuję, bardzo mi miło. - Marissa z najwyższym wysiłkiem starała się opanować, by nie pożerać wzrokiem brylantowego pierścienia pani Jackson.

- Jak pani trafiła do CKE? - zagadnął doktor Jackson głębokim, donośnym głosem.

Nie tylko wyglądem przypominał Charltona Hestona; z takim głosem na pewno mógłby zagrać Ben Hura.

Wpatrzona badawczo w jego błękitne oczy, Marissa gorączkowo zastanawiała się, jak odpowiedzieć na to z pozoru szczere pytanie. Z całą pewnością nie wolno jej było mówić o ucieczce byłego narzeczonego do Los Angeles i związanym z tym pragnieniem zmiany otoczenia. Nie takiej motywacji oczekiwano w CKE.

- Zawsze interesowałam się problemami publicznej opieki zdrowotnej - rozpoczęła od niewinnego kłamstwa. - Fascynują mnie opowieści o pracy medycznych detektywów. - Uśmiechnęła się. Przynajmniej to stwierdzenie było zgodne z prawdą. - Obrzydło mi zagłębienie w zakatarzone nosy i zakładanie sączków w uszach.

- Praktyka pediatryczna - powiedział doktor Sandberg. Było to stwierdzenie, nie pytanie.

- Szpital Dziecięcy w Bostonie - Marissa pospieszyła z wyjaśnieniem. Rozmawiając z psychiatrami, zawsze czuła się trochę niepewnie. Nie mogła pozbyć się wątpliwości, czy są oni w stanie lepiej zanalizować pobudki jej działania od niej samej. Wiedziała przecież, że jedną z przyczyn, dla których wybrała medycynę, była chęć podjęcia rywalizacji z braćmi o względy ojca.

- Jakie jest pani zdanie na temat medycyny klinicznej? - zapytał doktor Jackson. - Myślała pani kiedykolwiek o własnej praktyce?

- Tak, oczywiście - odparła Marissa.

- W jakiej formie? - indagował dalej doktor Jackson, nieświadomie wprawiając Marissę w stan coraz większego zakłopotania. - Pracy solo, w zespole czy w klinice?

- Podano do stołu - oznajmił Ralph, przekrzykując gwar rozmów.

Doktor Jackson i doktor Sandberg udali się na poszukiwanie swych żon, czym sprawili Marissie niemałą ulgę. Podczas rozmowy przez moment czuła się jak na przesłuchaniu.

W jadalni okazało się, że Ralph usadowił Marissę naprzeciw siebie, dokładnie na drugim końcu długiego stołu. Po prawej stronie miała doktora Jacksona, który na szczęście zdążył już zapomnieć o swym niefortunnym pytaniu. Po lewej usiadł siwowłosy doktor Hayward.

W trakcie posiłku Marissa zorientowała się, że uczestniczy w kolacji z samą śmietanką środowiska medycznego Atlanty. Jej współbiesiadnicy nie byli przeciętnymi lekarzami, lecz właścicielami najlepiej prosperujących prywatnych praktyk w mieście.

Wyjątek stanowili Dubchek, Tad, no i ona.

Kilka kieliszków doskonałego wina sprawiło, że Marissie rozwiązał się język. W którymś momencie z pewnym zakłopotaniem odkryła, że wszyscy przy stole słuchają jej opowieści o dzieciństwie spędzonym w Wirginii. W porę nakazała sobie milczenie i przywołała na twarz uśmiech, co dało pożądane rezultaty, jako że rozmowa zesłała na temat opłakanego stanu medycyny amerykańskiej i wywrotowej działalności organizacji propagujących systemy przedpłat na opiekę zdrowotną, podkopujących w ten sposób pozycję prywatnych praktyk lekarskich.

Patrząc na wspaniałe futra i biżuterię gości, Marissa nigdy by nie przypuszczała, że dzieje im się aż taka krzywda.

- A co pan powie o CKE? - zagadnął Cyrilla doktor Hayward. - Czy dotknęły was ograniczenia budżetowe?

Cyrill roześmiał się cynicznie, a na jego policzkach pojawiły się głębokie bruzdy.

- Każdego roku staczamy bitwy z Biurem Administracji i Finansowania i z Komisją Budżetową. Z powodu cięć w budżecie musieliśmy zlikwidować pięćset stanowisk pracy.

Doktor Jackson odchrząknął:

- Co zatem stałoby się w przypadku wybuchu epidemii grypy, podobnej do pandemii z

lat 1917-1918? Zakładając, że konieczna byłaby interwencja pańskiego departamentu, czy ma pan odpowiednią liczbę pracowników?

Cyrill wzruszył ramionami.

- To zależy od wielu czynników. Jeżeli w szczepie nie zachodzą mutacje antygenów powierzchniowych, co daje nam możliwość wyhodowania go w kulturze tkankowej, jesteśmy w stanie w miarę szybko sporządzić szczepionkę. Jak szybko, trudno mi w tej chwili powiedzieć. Tad, jak uważasz?

- Przy odrobinie szczęścia - odparł Tad - jest to możliwe w ciągu miesiąca. Żeby przeciwdziałać chorobie, potrzeba więcej czasu na wyprodukowanie dostatecznej ilości szczepionki.

- Przypominam sobie niepowodzenie podczas epidemii świńskiej grypy kilka lat temu - wtrącił doktor Hayward.

- Wtedy nie była to wina CKE - odparł Cyrill. - Nie mieliśmy żadnych wątpliwości co do szczepu, który pojawił się w Fort Dix. Nikt nie wie, dlaczego to nie on się rozprzestrzenił. Marissa poczuła czyjaś dłoń na ramieniu. Odwróciła się i ujrzała jedną z ubranych na czarno kelnerek.

- Pani doktor Blumenthal? - zapytała dziewczyna szeptem.

- Tak.

- Telefon do pani.

Marissa rzuciła spojrzenie na Ralpha siedzącego na drugim końcu stołu. Jednak zajęty był rozmową z panią Jackson. Przeprosiła sąsiadów i podążyła za kelnerką do kuchni. Wtedy dopiero poczuła przypływ niepokoju, znany jej od czasu, gdy po raz pierwszy wezwano ją w nocy do chorego. To mogło być tylko CKE. W końcu cały czas pozostawała na dyżurze i przed wyjściem z domu lojalnie podała numer Ralpha, pod który mieli zadzwonić w razie

potrzeby. Nikt inny nie wiedział, gdzie będzie tego wieczora.

- Doktor Blumenthal? - spytała telefonistka z CKE, gdy Marissa podniosła słuchawkę.

Następnie połączyła ją z oficerem dyżurnym.

- Gratuluję - rozpoczął jowialnie. - Otrzymaliśmy zgłoszenie od Głównego

Epidemiologa stanu Kalifornia. Proszą nas o pomoc w Los Angeles. Chodzi o przypadek

nieznanej, ale najwyraźniej poważnej choroby w szpitalu o nazwie Klinika Richtera. Ma pani

rezerwację na samolot Deltę na zachodnie wybrzeże. Odlot dziś w nocy o pierwszej dziesiątej.

Zatrzyma się pani w hotelu Tropic Motel, pokój jest już zarezerwowany. Zapowiada się niezła

zabawa. W każdym razie życzę powodzenia!

Odłożywszy słuchawkę na widełki, Marissa trzymała przez chwilę rękę na telefonie,

usiłując złapać oddech. Czowała się zupełnie nie przygotowana, żeby sprostać temu zadaniu.

Biedni, me me podejrzewający mieszkańcy Kalifornii zaalarmowali CKE, oczekując

pomocy eksperta epidemiologii a tu nagle pojawi się ona, Marissa Blumenthal, wszystkiego

pięć stop wzrostu. Ruszyła do jadalni, by pożegnać się z gośćmi Ralpha.

21 stycznia

Odnalezienie walizki na obrotowym taśmociągu bagażowym, oczekiwanie na minibus firmy wynajmującej samochody, wynajęcie auta (pierwszy wóz na samym początku odmówił posłuszeństwa) oraz znalezienie drogi do Tropic Motel zajęło Marissie tyle czasu, że na niebie zdążyły się już pojawić pierwsze oznaki świtu.

Podpisując listę gości, Marissa nie mogła odpędzić od siebie myśli o Rogerze.

Postanowiła jednak, że nie zadzwoni do niego, przyrzekła to sobie kilkakrotnie jeszcze na pokładzie samolotu.

Sam motel sprawiał przygnębiające wrażenie, ale Marissie nie robiło to żadnej różnicy. Nie myślała spędzać tutaj dużo czasu. Umyła ręce i twarz, zaczesła włosy i poprawiła spinkę. Nie znajdując już żadnej przyczyny, by odwlekać wizytę w Klinice Richtera, Marissa zeszła na dół do samochodu i zasiadła za kierownicą. Ujmując ją w dłonie, poczuła, że poca jej się ręce.

Klinika znajdowała się niedaleko przestronnego placu, co było bardzo wygodne. O tej porze stało tam zaledwie parę samochodów. Marissa wjechała na kryty parking, pobrała kartę parkingową i znalazła miejsce nie opodal wjazdu. Cała budowla sprawiała wrażenie nowoczesnej, włącznie z parkingiem, kliniką i siedmiopiętrowym budynkiem, który Marissa trafnie uznała za szpital. Marissa wysiadła z samochodu, przeciągnęła się i wyjęła swoją teczkę, w której znajdowały się notatki z wprowadzenia do epidemiologii - tak jakby mogły w czymkolwiek pomóc - notatnik, ołówki, mały podręcznik wirusologii diagnostycznej, szminka oraz paczka gumy do żucia. Niezły dowcip.

Znalazłszy się wewnątrz budynku, Marissa rozpoznała znajomą szpitalną woń środków dezynfekcyjnych, zapach, który w jednej chwili sprawił, że poczuła się swojsko. W rejestracji nie było nikogo, zapytała więc człowieka, który zmiatał podłogę, w jaki sposób

dostać się do skrzydła szpitalnego. Ten w odpowiedzi wskazał jej czerwony pasek na podłodze. Podążając za tym oznaczeniem, Marissa dotarła na oddział nagłych wypadków.

Ruch był znikomy - zaledwie kilku pacjentów, obsługiwanych przez dwie pielęgniarki, siedziało w poczekalni. Marissa odnalazła lekarza dyżurnego i przedstawiła się.

- Wspaniale! - powitał ją entuzjastycznie. - Dobrze, że pani jest! Doktor Navarre oczekiwał pani przez całą noc. Proszę poczekać, przyprowadzę go..

Marissa odruchowo zaczęła obracać w palcach spinacz. Podniósłszy wzrok, napotkała spojrzenie dwóch pielęgniarek. Uśmiechnęła się, a one odwzajemniły uśmiech.

- Może napije się pani kawy? - spytała wyższa.

- Z przyjemnością - odrzekła Marissa. Obok dotychczasowego niepokoju, zaczęła również odczuwać zmęczenie spowodowane zaledwie dwugodzinnym, niespokojnym snem na pokładzie samolotu.

Popijając małymi łydkami gorący płyn, Marissa przypomiwała sobie opowiadania detektywistyczne Bertona Roueche, związane z problematyką medyczną, zamieszczane przez „New Yorkera”. Marzyło jej się rozwikłanie sprawy podobnej do tej, kiedy to John Snow, ojciec współczesnej epidemiologii, położył kres epidemii cholery w Londynie poprzez wykrycie metodą dedukcji jej źródła, znajdującego się w jednej z miejskich pomp. Znaczenie jego osiągnięcia polegało na tym, iż miało ono miejsce, na długo zanim sformułowano teorię chorób wirusowych. Czyż nie byłoby wspaniale rozstrzygnąć podobny problem?

W drzwiach poczekalni stanął przystojny brunet i mrużąc oczy od jaskrawego światła, skierował się wprost ku Marissie. Rozciągnął usta w szerokim uśmiechu.

- Doktor Blumenthal, nawet sobie pani nie wyobraża, jak się cieszymy z pani przybycia.

Potrząsnął jej dłonią i dopiero wtedy przyjrzał się jej dokładnie. Jego entuzjazm zgasł

momentalnie na widok niewielkiego wzrostu Marissy i jej młodzieńczego wyglądu.

Uprzejmość nakazała mu jednak zapytać, jak przebiegła jej podróż i czy nie jest głodna.

- Myślę, że najlepiej zrobimy, przechodząc od razu do rzeczy - odparła Marissa.

Doktor Navarre skwapliwie przytaknął. Prowadząc Marissę do sali konferencyjnej szpitala, zdążył się przedstawić jako szef oddziału medycyny, jednak w żadnym stopniu nie wpłynęło to na zmianę samopoczucia Marissy. Była przekonana, że wiedza doktora Navarre na temat chorób zakaźnych jest po tysiącokroć rozleglejsza od jej własnej.

Navarre wskazał Marissie miejsce przy okrągłym, konferencyjnym stole, sam zaś sięgnął po słuchawkę, by zatelefonować. Czekając na połączenie wyjaśnił jej, że epidemiolog stanowy, doktor Spenser Cox niezwłocznie chce z nią rozmawiać.

- Doskonale - stwierdziła Marissa, uśmiechając się z przymusem.

Rozmawiając przez telefon, Cox wydawał się równie zachwycony obecnością Marissy, jak początkowo Navarre. Poinformował ją, że na nieszczęście zajęty jest obecnie sprawą epidemii wirusowego zapalenia wątroby B w rejonie zatoki San Francisco, która, jak sądził, może być powiązana z AIDS.

- Mam nadzieję, że doktor Navarre wyjaśnił już pani, iż do chwili obecnej w Klinice Richtera zanotowano zaledwie siedem przypadków zachorowań - ciągnął Cox.

- Doktor Navarre nie zdążył mi jeszcze nic powiedzieć - odparła Marissa.

- Jestem pewien, że właśnie zamierzał to uczynić - powiedział Cox. - Mam tutaj do czynienia z prawie pięciuset przypadkami wirusowego zapalenia wątroby B, zatem sama pani rozumie, że nie będę mógł natychmiast do pani dołączyć.

- Oczywiście - zapewniła go.

- Życzę powodzenia - zakończył Cox. - A przy okazji, jak długo pracuje pani dla

CKE?

- Niedługo - przyznała Marissa.

W słuchawce zaległa krótka chwila ciszy, po czym rozległ się głos Coxa:

- No cóż, proszę mnie informować na bieżąco.

Marissa oddała słuchawkę doktorowi Navarre'owi, który odwiesił ją na widełki.

- Przedstawię pani fakty - jego głos przybrał monotonną barwę jak podczas odczytywania sprawozdań medycznych. Jednocześnie lekarz wydobył z kieszeni plik standardowych

kart

informacyjnych.

-

Odnotowaliśmy

siedem

przypadków

niezidentyfikowanej,

lecz

z całą pewnością poważnej choroby gorączkowej,

charakteryzującej się występowaniem krańcowego wyczerpania oraz reakcją całego

organizmu. Tak się składa, że pierwszy z pacjentów poddanych hospitalizacji to

współzałożyciel kliniki, doktor Richter. Następnie pracownica z działu kartotek medycznych.

- Navarre wykladał na stół karty informacyjne, z których każda zawierała historię choroby

jednego pacjenta. Układał je w kolejności występowania przypadków.

Otworzywszy teczkę w sposób na tyle dyskretny, by uniemożliwić doktorowi

Navarre'owi stwierdzenie jej zawartości, Marissa wydobyła notes i ołówek. Posłużyła się

wiedzą zdobytą na dopiero co ukończonych kursach, podczas których uczono ją, jak

klasyfikować informacje na proste i zrozumiałe kategorie. Na początek choroba: czy rzeczywiście była zjawiskiem nowym? Czy problem faktycznie istniał? Na tym etapie kalkulacje sprowadzały się do tabliczki mnożenia i podstaw statystyki. Marissa musiała scharakteryzować chorobę, mimo iż nie była w stanie postawić szczegółowej diagnozy. Następnie należało ustalić dane ofiar epidemii, takie jak: wiek, płeć, kondycja fizyczna, sposób odżywiania, hobby itd., po czym stwierdzić, w jakim czasie i okolicznościach pojawiły się u pacjentów pierwsze symptomy choroby. Wszystko to miało na celu wykrycie cech wspólnych, jeśli takie istniały. Pozostawała jeszcze do rozważenia kwestia przenoszenia choroby, która mogła okazać się znacząca w wykryciu czynnika zakaźnego. Ostatecznie należało wyizolować nosiciela lub rezerwuar wirusa. W teorii brzmiało to niezwykle prosto, lecz Marissa przeczuwała, że będzie to niełatwe zadanie nawet dla kogoś tak doświadczonego jak Dubchek.

Dziewczyna wytarła spoconą dłoń o spódnicę i ponownie ujęła ołówek.

- A więc - zaczęła, wpatrując się w pustą kartkę - skoro nie postawiono dotychczas diagnozy, jakie możliwości rozważa się w tej chwili?

- Dokładnie każdą - odparł doktor Navarre.

- Włącznie z grypą? - spytała, mając jednocześnie nadzieję, że nie zabrzmi to zbyt naiwnie.

- To mało prawdopodobne - odrzekł Navarre. - U pacjentów występują wprawdzie symptomy oddechowe, lecz nie są one dominujące. Ponadto badania serologiczne nie wykazały obecności wirusa grypy u żadnej z siedmiu osób. Nie wiemy, co im dolega, ale z całą pewnością nie jest to grypa.

- Czy są jakieś przypuszczenia? - indagowała Marissa.

- Przeważnie teorie negatywne - odparł Navarre. - Podyktowane są one negatywnymi

wynikami wszystkich dotychczasowych badań: posiewu krwi, analizy moczu, hodowli plwociny, analizy kału, nawet próbek płynu mózgowo-rdzeniowego. Podejrzewaliśmy malarię i nawet zastosowaliśmy kurację przeciw niej, pomimo iż rozmaz krwi nie wykazał obecności pasożytów. Przeprowadziliśmy również kurację przeciwtyfusową z użyciem tetracykliny i chloramfenikolu, wbrew wynikom badań hodowli. Nie dało to żadnych rezultatów, podobnie jak użyte poprzednio środki antymalaryjne. Stan pacjentów pogarsza się z każdą chwilą, niezależnie od naszych działań.

- Musi pan chyba mieć jakąś diagnozę roboczą? - zaryzykowała Marissa.

- Oczywiście - odparł Navarre. - Przeprowadziliśmy niezliczoną liczbę konsultacji ze specjalistami chorób zakaźnych. Panuje ogólne przekonanie, że mamy do czynienia z wirusem, choć istnieje też niewielka możliwość, że jest to leptospiroza.

Przerzucił kilka z leżących na stole kart, po czym wyciągnął jedną z nich.

- O, właśnie. Proszę, oto najnowsze diagnozy: leptospiroza, o której już wspomniałem, żółta febra, denga, mononukleozą lub też, żeby nie pominąć spraw podstawowych, infekcja enterowirusowa, arbowirusowa czy może adenowirusowa. Nie muszę chyba dodawać, że w dziedzinie diagnostyki nadal drepczemy w miejscu, podobnie jak w dziedzinie terapii leczniczej.

- Jak długo doktor Richter przebywa w szpitalu? - spytała Marissa.

- Dzisiaj mija piąty dzień jego hospitalizacji. Sądzę, że powinna pani zobaczyć pacjentów, aby przekonać się, z czym mamy do czynienia.

Nie czekając na reakcję rozmówcy, doktor Navarre podniósł się i ruszył do wyjścia. Aby dotrzymać mu kroku, Marissa musiała niemal biec. Przeszli w ten sposób przez wahadłowe drzwi i znaleźli się na terenie właściwego szpitala. Pomimo zdenerwowania Marissa dostrzegła luksusowe, eleganckie wykładziny na podłodze oraz przypominający hotel

wystrój wnętrz.

Weszli do windy, gdzie Navarre przedstawił Marissę szpitalnemu anesteziologowi.

Przywitała się z nim uprzejmie, lecz myślami była gdzie indziej. Męczyła ją obawa, że wizyta u zarażonych pacjentów nie przyniesie żadnego pożytku, a jedynie ujawni przed tutejszymi lekarzami jej niewielkie doświadczenie. Nie myślała o tego typu sytuacjach, kiedy zapisywała się na kurs epidemiologii w Atlancie, a teraz nagle urosło to do rangi problemu. Cóż jednak mogła na to poradzić?

Na piątym piętrze znajdował się oddział pielęgniarstwa. Doktor Navarre przedstawił Marissę pielęgniarce nocnej zmiany, które właśnie przygotowywały się do przejęcia obowiązków.

- Wszyscy pacjenci, a jest ich siedmioro, znajdują się na tym piętrze - wyjaśnił lekarz.

- Mamy tu najbardziej doświadczony personel. Dwoje chorych w stanie krytycznym umieściliśmy w separatkach na oddziale intensywnej terapii, na drugim końcu korytarza.

Pozostali są w oddzielnych pokojach. Oto ich dane chorobowe.

Dłonią wskazał stosik ułożonych na ladzie kart.

- Zakładam, że chce pani najpierw zobaczyć doktora Richtera - powiedział, wręczając jej kartę z nazwiskiem tego pacjenta.

Marissa przede wszystkim zwróciła uwagę na wyszczególnione tu główne objawy chorobowe. U progu piątego dnia pobytu w szpitalu ciśnienie krwi Richtera poważnie spadło, a temperatura ciała nadal wzrastała. Nie wróżyło to nic dobrego. Marissa przebiegła wzrokiem resztę wyników. Wiedziała, że będzie musiała spędzić nad nimi więcej czasu, lecz już teraz jedno spojrzenie przekonało ją, że analizy zostały wykonane bez zarzutu, lepiej niż mogłaby to zrobić sama. Badania laboratoryjne były tak dokładne i wyczerpujące, że po raz kolejny zastanowiła się, co, na Boga, tu robi, odgrywając rolę autorytetu.

Na początku karty znajdowała się rubryka zatytułowana „Historia choroby”.

Natychmiast zwróciła uwagę na następujący fakt: sześć tygodni przed wystąpieniem pierwszych objawów choroby doktor Richter brał udział w zjeździe okulistów w stolicy Kenii, Nairobi.

Marissa czytała dalej ze wzrastającym zainteresowaniem. Tydzień przed pojawieniem się oznak chorobowych Richter uczestniczył w konferencji poświęconej zagadnieniom chirurgii powieki, odbywającej się w San Diego. Zanim znalazł się w szpitalu, dwa dni wcześniej, ukąsił go *Cercopitheceus aethiops*. Z pytaniem, co oznacza ta nazwa, zwróciła się do doktora Navarre’a.

- To gatunek małpy - wyjaśnił. - Doktor Richter je hodował. Prowadził na nich badania nad opryszczką oka.

Marissa przyjęła wyjaśnienie skinieniem głowy i ponownie spojrzała na wyniki badań laboratoryjnych. Stwierdziła u pacjenta niską liczbę białych krwinek, niskie OB oraz małą liczbę trombocytów. Pozostałe wyniki analiz wskazywały na niewydolność wątroby i nerek. Nawet elektrokardiogram wykazywał nieznaczne zaburzenia pracy serca. Ten człowiek był ciężko chory.

Marissa odłożyła kartę.

- Czy wszystko jasne? - zapytał Navarre.

Mimo iż potakująco skinęła głową, Marissa wołała raczej odwlec chwilę spotkania z pacjentami. Nie łudziła się bynajmniej, że odkryje jakiś dotychczas nie zauważony objaw fizyczny, który dopomógłby jej w samodzielnym rozwiązaniu zagadki. Wizytę u pacjentów musiała traktować wyłącznie jako sprawdzian swych umiejętności aktorskich, nie na miejscu i na dodatek ryzykowny. Niechętnie podążyła za doktorem Navarre’em.

Przeszli na oddział intensywnej terapii, gdzie Marissa rozpoznała charakterystyczne

„dekoracje” szpitalne w postaci skomplikowanych urządzeń elektronicznych. Chorzy przypominali bezbronnie ofiary, unieruchomione za pomocą płataniny kabli i przewodów. W powietrzu unosił się ostry zapach alkoholu, słychać było szmer respiratorów i urządzeń kontrolujących pracę serca. Po oddziale rutynowo krzątały się pielęgniarki.

- Umieściliśmy doktora Richtera w tym pokoju - powiedział Navarre, zatrzymując się przed zamkniętymi drzwiami. Z ich lewej strony ścianę stanowiła przezroczysta tafla, przez którą Marissa dostrzegła sylwetkę pacjenta. Podobnie jak u pozostałych chorych znajdujących się na tym oddziale, nad jego głową widniał swoisty baldachim z pojemników do kroplówki, a z tyłu łóżka lampa katodowa nieustannie wykreślała na podłączonym ekranie przebieg elektrokardiogramu.

- Sądzę, że powinna pani włożyć maskę i fartuch - powiedział Navarre. - Ze zrozumiałych względów przestrzegamy wymagań izolacji.

- Oczywiście - zgodziła się Marissa, usiłując ukryć swą gorliwość. Gdyby to od niej zależało, zamknęłaby się w hermetycznym balonie. Włożyła fartuch, po czym zajęła się czepkiem, maską i butami, na koniec wsuwając dłonie w gumowe rękawiczki ochronne, podobnie jak to uczynił doktor Navarre.

Na widok pacjenta, który wyglądał tak, jakby miał zaraz rozstać się z życiem, oddech Marissy stał się przyspieszony i płytki. Twarz Richtera miała kolor popiołu, oczy były zapadnięte, a skóra zwiotczała. Na prawym policzku, nieco powyżej kości policzkowej, widniała blizna. Wargi były wyschnięte i spieczone, a zęby pokrywał osad zakrzepłej krwi. Patrząc na tego złożonego chorobą mężczyznę, Marissa czuła się zupełnie bezradna, jednakże podświadomość dyktowała jej, iż powinna coś uczynić, zwłaszcza że za jej plecami doktor Navarre uważnie śledził każdy ruch.

- Jak się pan czuje? - zwróciła się do Richtera, zdając sobie sprawę z tego, że było to

pytanie beznadziejnie głupie i raczej retoryczne. Mimo tego Richter otworzył oczy i wyszeptał chrapliwie:

- Nie najlepiej.

- Czy to prawda, że w zeszłym miesiącu był pan w Afryce?- zapytała Marissa. Tym razem, aby coś usłyszeć, musiała się pochylić nad jego twarzą. W tym momencie zrobiło jej się go żal.

- To było sześć tygodni temu - wyszeptał.

- Czy miał pan tam kontakt z jakimkolwiek zwierzętami? - kontynuowała.

- Nie - udało mu się wykrztusić po dłuższej chwili. - Widziałem wiele zwierząt, ale nie miałem z nimi do czynienia.

- Czy stykał się pan z kimś, kto był chory?

Richter potrząsnął przecząco głową. Mówienie najwyraźniej wiele go kosztowało.

Marissa wyprostowała się i wskazując na ślad rozcięcia pod okiem pacjenta, zwróciła się do doktora Navarre'a.

- Wie pan, skąd to się wzięło?

Navarre skinął głową.

- Napadnięto go dwa dni przedtem, zanim zachorował. Upadając, rozciął sobie policzek o krawężnik.

- Biedny facet - stwierdziła Marissa i dreszcz ją przeszedł na myśl o nieszczęściu

Richtera. Po chwili zastanowienia dodała: - Sądzę, że to na razie wystarczy.

Zaraz za drzwiami prowadzącymi na właściwy oddział intensywnej terapii znajdował się duży worek plastikowy w metalowej obręczy. Marissa i Navarre wrzucili do niego ubrania ochronne i wrócili na piąte piętro, na oddział pielęgniarski. Marissa skwapliwie umyła ręce.

- Myślę o tej małpie, która ugryzła doktora Richtera - zaczęła.

- To samiec - odparł Navarre. - Odbywa teraz kwarantannę. Poza tym zrobiliśmy mu wszelkie możliwe badania i wydaje się zupełnie zdrowy.

Najwyraźniej pomyśleli już o wszystkim. Marissa sięgnęła po kartę choroby Richtera, by sprawdzić, czy zanotowano pęknięcia naczyń krwionośnych w spojówkach. No tak, oczywiście.

Wzięła głęboki oddech i skierowała wzrok na doktora Navarre'a, który spoglądał na nią wyczekująco.

- No, cóż - powiedziała niepewnie. - Będę musiała poświęcić dużo czasu na zapoznanie się z kartami chorobowymi.

Nagle przypomniała sobie, że czytała kiedyś o chorobie zwanej „wirusową gorączką krwotoczną”. Występowała ona niezmiernie rzadko, pochodziła z Afryki i była śmiertelna. W nadziei na uzupełnienie roboczych diagnoz stawianych przez lekarzy kliniki, Marissa wspomniała o tej chorobie doktorowi Navarre'owi.

- WGK, owszem wzięliśmy ją pod uwagę - odparł. - Miedzy innymi dlatego skontaktowaliśmy się tak prędko z CKE.

Dość już tych diagnoz „na zebkę”, pomyślała Marissa, nawiązując do medycznej zasady, która mówi, że słysząc tętent kopyt, należy myśleć raczej o koniach niż o zebkach.

Odetchnęła z ulgą, gdy doktor Navarre został wywołany do nagłego wypadku.

- Ogromnie mi przykro, ale muszę natychmiast udać się na oddział nagłych wypadków

- powiedział. - Czy mogę Pani jeszcze w czymś pomóc?

- Sądzę, że można by bardziej rygorystycznie izolować pacjentów. Przeniósł ich pan wprawdzie na właściwy oddział, lecz myślę, że powinno się tych chorych umieścić w odosobnionym skrzydle szpitala i zastosować wobec nich zasadę wydzielonej opieki,

przynajmniej do czasu, aż nie uzyskamy bliższych informacji na temat rozprzestrzeniania się choroby.

Navarre wbił wzrok w Marissę. Przez chwilę zastanawiała się, co też sobie pomyślał.

Następnie usłyszała jego głos:

- Ma pani zupełną rację.

Zabrawszy siedem kart choroby do pokoiku na tyłach oddziału pielęgniarskiego, Marissa poczęła je pilnie studiować. Dowiedziała się z nich, że oprócz doktora Richtera na tę samą chorobę zapadły również cztery kobiety i dwóch mężczyzn. Wszyscy oni prawdopodobnie pozostawali ze sobą w bliskim kontakcie lub zetknęli się z tym samym źródłem wirusa. Marissa powtarzała sobie, że jej podejście do każdego zadania, a w szczególności tego pierwszego, polegać ma przede wszystkim na zebraniu jak największej liczby informacji i przesłaniu ich do Atlanty. Ponownie analizowała kartę doktora Richtera, dokładnie czytając wszystko, łącznie z notatkami pielęgniarek. W swym notatniku na oddzielnej kartce zapisała każdy szczegół, który mógłby mieć jakiegokolwiek, najmniejsze nawet znaczenie, jak na przykład wystąpienie u pacjenta krwawych wymiotów. Nie był to żaden z objawów grypy. Przez cały czas Marissę prześladowała myśl o pobycie Richtera w Afryce na sześć tygodni przed wystąpieniem objawów choroby. Z pewnością miało to jakieś znaczenie, mimo iż miesięczny okres inkubacji wydawał się nieprawdopodobny, może z wyjątkiem malarii, której jednak u Richtera nie stwierdzono. Owszem, przy niektórych chorobach wirusowych, jak na przykład AIDS, okres inkubacji przekraczał nawet miesiąc, lecz AIDS nie należy do ostrych, wirusowych chorób zakaźnych. Okres inkubacji tych epidemii wynosił zazwyczaj około tygodnia, z kilkudniową tolerancją. Marissa z mozołem wynotowywała z kart choroby różnorakie dane dotyczące wieku, płci, stylu życia, środowiska zawodowego i bytowego każdego z pacjentów i każdemu poświęcała osobną stronę w

notatniku. Dość szybko doszła do wniosku, że ma do czynienia z mocno zróżnicowaną grupą. Poza doktorem Richterem w gronie pacjentów znalazła się sekretarka pracująca w dziale kartotek medycznych w Klinice Richtera, dwie gospodynie domowe, hydraulik, agent ubezpieczeniowy oraz pośrednik w handlu nieruchomościami. Ustalenie jakichkolwiek cech wspólnych w tak różnorodnym towarzystwie nie należało do zadań łatwych, a jednak wszyscy oni musieli zetknąć się z tym samym źródłem choroby.

Lektura kart dała Marissie szerszy obraz kliniczny choroby. Początkowe objawy następowały raczej nagle i polegały na silnych bólach głowy oraz mięśni, występowała także wysoka gorączka. W następnym stadium pacjenci uskarżali się na bóle brzucha, biegunkę, wymioty, podrażnienie gardła, kaszel i bóle w klatce piersiowej. Zimny dreszcz przebiegł po plecach Marissy, gdy uświadomiła sobie, na co się naraża. Przetarła oczy, które z powodu niewyspania bolały ją tak, jakby dostał się do nich piasek. Należało jeszcze odwiedzić pozostałych pacjentów, czy jej się to podobało, czy nie. Zbyt wiele było luk, szczególnie w odtworzeniu tego, co każdy z tych ludzi robił w dniach poprzedzających ujawnienie się choroby.

Marissa najpierw odwiedziła sekretarkę, którą umieszczono na oddziale intensywnej terapii, w pokoju sąsiadującym z izolatką doktora Richtera. Następnie zajęła się pozostałymi pacjentami. Na każdą wizytę starannie przygotowywała swe ochronne ubranie. Choroba dała się poważnie we znaki wszystkim pacjentom, mówienie przychodziło im z największą trudnością. Marissa uparcie jednak zadawała przygotowane wcześniej pytania, pragnąc stwierdzić przede wszystkim, czy chorzy znali się osobiście. Na ogół otrzymywała odpowiedź przeczącą, z wyjątkiem tego, że wszyscy znali doktora Richtera, a także należeli do programu zdrowotnego kliniki! Rozwiązanie było tak oczywiste, że Marissa nie potrafiła zrozumieć, dlaczego nikt nie wpadł na to wcześniej. Doktor Richter mógł sam zarazić pozostałych, mógł

nawet zetknąć się z sekretarką z działu medycznego. Marissa poprosiła oddziałową o pełną dokumentację przypadków ambulatoryjnych kliniki.

Oczekując na dostarczenie materiałów, odebrała telefon od doktora Navarre'a.

- Obawiam się, że mamy kolejny przypadek zachorowania - poinformował ją lekarz. -

To jeden z techników laboratoryjnych kliniki. Jest teraz w sali nagłych wypadków. Chce go pani zobaczyć?

- Czy znajduje się w odosobnieniu? - zapytała Marissa.

- Zrobiliśmy w tym względzie wszystko, co w naszej mocy, przynajmniej na razie - odrzekł Navarre. - Na piątym piętrze przygotowujemy odizolowane skrzydło, do którego przeniesiemy wszystkich pacjentów natychmiast po zakończeniu prac adaptacyjnych.

- Im szybciej to nastąpi, tym lepiej - stwierdziła Marissa. - Na razie doradzam wstrzymanie prac laboratoryjnych, poza najpilniejszymi.

- Zgadzam się z panią - odparł Navarre. - A co do tego chłopca, czy chce go pani zobaczyć?

- Już idę - odpowiedziała Marissa.

W drodze na oddział nagłych wypadków Marissa nie mogła pozbyć się wrażenia, że znajdują się u progu wybuchu poważnej epidemii. W sprawie laboranta istniały dwie równie niepokojące możliwości: pierwsza, że nabawił się choroby w ten sam sposób co reszta, to znaczy przez kontakt z aktywnym źródłem śmiertelnośnego wirusa grasującego na terenie Kliniki Richtera; druga zaś - i tę uważała Marissa za bardziej prawdopodobną - że został wystawiony na działanie czynnika chorobotwórczego podczas wykonywania analiz materiału pochodzącego od zainfekowanych.

Nowy pacjent został ulokowany przez personel oddziału nagłych wypadków w jednej z izolatek psychiatrycznych. Na drzwiach widniał napis: Wstęp wzbroniony. Marissa

przebiegła wzrokiem kartę choroby laboranta. Miał dwadzieścia cztery lata i nazywał się Alan Moyers. Temperatura ciała w skali Fahrenheita wynosiła 103,4 stopnia. Przywdziawszy po raz kolejny ochronny fartuch, maskę, czepek, rękawiczki i obuwie, Marissa weszła do niewielkiego pomieszczenia. Napotkała wpatrzony w siebie, błyszczące oczy chorego.

- Domyślam się, że czuje się pan nie najlepiej - zagadnęła.

- Mam uczucie, jakby przetoczył się po mnie samochód ciężarowy - odparł Alan. -

Nigdy nie czułem się tak źle, nawet kiedy w zeszłym roku przechodziłem grypę.

- Jakie objawy zauważył pan najwcześniej?

- Ból głowy - odparł Alan. Położył palce po obu stronach czoła i wyjaśnił: - W tych miejscach czuję ból. To nieznośne. Czy mogę dostać na to jakiś lek?

- A dreszcze?

- Pojawiły się zaraz po tym, jak rozbolała mnie głowa.

- Czy w ostatnim tygodniu zdarzyło się panu coś nadzwyczajnego?

- Co na przykład? - odparł Alan, zamykając oczy. - W ostatniej kolejce postawiłem na Lakersów i wygrałem.

- Interesuje mnie bardziej pańska praca zawodowa. Może został pan ukąszony przez jakieś zwierzę?

- Nie. Nigdy nie zajmowałem się zwierzętami. Proszę powiedzieć, co mi dolega?

- Pomówmy teraz o doktorze Richterze. Zna go pan?

- Jasne. Wszyscy znają doktora Richtera. Ach, coś mi przyszło do głowy. Ukłułem się igłą od pojemnika próżniowego. Nigdy przedtem mi się to nie zdarzyło.

- Czy pamięta pan nazwisko badanego wówczas pacjenta?

- Nie. Jedynie to, że nie był chory na AIDS. Bałem się tego, więc sprawdziłem jego diagnozę.

- Jak ona brzmiała?

- Nie była sprecyzowana, ale jeśli ktoś choruje na AIDS, to zawsze to zaznaczają. Nie mam chyba AIDS, prawda?

- Nie, Alanie. Nie ma pan AIDS - odparła Marissa.

- Chwała Bogu - odetchnął Alan. - Przez moment obleciał mnie strach.

Marissa wyszła w poszukiwaniu doktora Navarre'a, lecz okazało się, że musiał się zająć przypadkiem zatrzymania pracy serca u pacjenta dopiero co dowiezionego przez ambulans. Marissa poprosiła pielęgniarkę o przekazanie wiadomości, że udaje się na piąte piętro. W drodze do windy zaczęła układać w myślach swą rozmowę z doktorem Dubchekiem.

- Przepraszam bardzo.

Czując na ramieniu czyjąś dłoń, Marissa odwróciła się i ujrzała przed sobą krępego, brodatego mężczyznę w okularach w drucianej oprawce.

- Czy pani doktor Blumenthal z CKE?

Zakłopotana faktem, że ktoś ją rozpoznał, Marissa skinęła głową. Mężczyzna zatarasował sobą wejście do windy.

- Jestem Clarence Hearn z „Los Angeles Times”. Moja żona pracuje tu na nocnej zmianie na oddziale intensywnej terapii. Mówiła mi, że była pani u doktora Richtera. Na co właściwie on jest chory?

- W chwili obecnej jeszcze tego nie wiemy - odrzekła Marissa.

- Czy to coś poważnego?

- Sądzę, że na to pytanie równie dobrze może odpowiedzieć pańska żona.

- Ona twierdzi, że ten człowiek umiera i że w szpitalu zanotowano sześć podobnych przypadków, nawet u sekretarki z działu kartotek. Wygląda mi to na początek epidemii.

- Nie jestem przekonana, czy słowo „epidemia” jest tu na miejscu. Wprawdzie zanotowano dziś jeszcze jedno zachorowanie, lecz jest to jednocześnie jedyny przypadek w ciągu ostatnich dwóch dni. Mam nadzieję, że ostatni, choć nikt nie jest w stanie niczego przewidzieć.

- Brzmi to bardzo groźnie - podsumował dziennikarz.

- Zgadza się - odparła Marissa. - Ale wybaczy pan, nie mogę dłużej rozmawiać.

Spieszę się.

Wyminęła natarczywego reportera i wskoczyła do windy, która zawiozła ją na piąte piętro. Z pokoju znajdującego się za oddziałem pielęgniarstka zatelefonowała do doktora Dubcheka. W Atlancie była za kwadrans trzecia, Marissa nie miała więc problemów, by uzyskać połączenie.

- Jak tam pani pierwsze zadanie? - zapytał.

- Trochę mnie przytłacza - przyznała Marissa, po czym w skrócie opisała Dubchekowi wszystkie siedem przypadków, z którymi się zetknęła, przyznając, że nie udało jej się ustalić nic ponad to, co stwierdzili już lekarze z kliniki.

- Nie powinna się pani tym przejmować - pocieszył ją. - Musi pani pamiętać, że epidemiolog analizuje dane pod innym kątem niż klinicysta, zatem te same dane mogą mieć różne znaczenie. Oni patrzą na każdy przypadek osobno, pani zaś musi postrzegać całość obrazu. Proszę mi opowiedzieć o tej chorobie.

Marissa przedstawiła mu zespół cech klinicznych, posiłkując się przy tym notatkami.

Wyczuła szczególne zainteresowanie Dubcheka faktem, iż u dwojga pacjentów wystąpiły krwawe wymioty, u innego zaobserwowano krwawą biegunkę, oraz że troje z nich miało przekrwione oczy. Kiedy wspomniała, że doktor Richter brał udział w konferencji okulistycznej w Afryce, Dubchek wykrzyknął:

- Na Boga, czy pani wie, co pani opisuje?

- Nie do końca - odparła Marissa. Była to stara dewiza stosowana w szkołach medycznych: lepiej przyjąć postawę neutralną, niż zrobić z siebie głupca.

- Wirusową gorączkę krwotoczną - wyjaśnił Dubchek - i jeśli pochodzi ona z Afryki, będzie to gorączka Lassa. Chyba że jest to Marburg lub Ebola. Jezu Chryste!

- Ale ta konferencja miała miejsce ponad sześć tygodni temu.

- Do diabła - zaklął Dubchek ze złością. - Maksymalny okres inkubacji przy tego rodzaju piorunującej chorobie nie przekracza dwóch tygodni. Nawet w kategoriach kwarantanny dwadzieścia dni to i tak dużo.

- Doktor Richter został też ukąszony przez małpę, którą badał dwa dni przedtem, nim zachorował - podsunęła Marissa.

- To z kolei za krótko na jakikolwiek okres inkubacji. Potrzeba pięciu lub sześciu dni.

Gdzie teraz znajduje się ta małpa?

- Poddano ją kwarantannie - wyjaśniła Marissa.

- W porządku. Nie wolno pozwolić, by cokolwiek stało się temu zwierzęciu, szczególnie jeżeli zdechnie. Musimy przeprowadzić testy na wirusa. Jeżeli ta małpa ma coś wspólnego z chorobą, musimy wziąć pod uwagę ewentualność wirusa Marburg. W każdym razie objawy wskazują na wirusową gorączkę krwotoczną i dopóki nie stwierdzimy czegoś innego, będziemy się trzymać tej wersji. Od pewnego czasu obawialiśmy się tej choroby. Problem polega na tym, że nie ma dotąd żadnej szczepionki ani też kuracji zwalczającej ją.

- Jak wygląda stopień śmiertelności? - spytała Marissa.

- Jest wysoki. Proszę mi powiedzieć, czy doktor Richter ma wysypkę na skórze?

Marissa nie mogła sobie przypomnieć.

- Sprawdzę to - zapewniła.

- Przede wszystkim chciałbym, żeby pobrała pani od wszystkich siedmiu pacjentów próbki krwi i moczu oraz wymaz z gardła w celu stwierdzenia kultur wirusowych. Następnie wyśle je pani niezwłocznie do CKE. Proszę skorzystać z usług wysyłkowych Deltę. Tak będzie najprędzej. Krew niech pani pobierze osobiście i, na Boga, niech pani uważa na siebie. Proszę również, jeśli to możliwe, dostarczyć próbki krwi tej małpy. Przed wysyłką niech pani zapakuje je w suchy lód.

- Przed chwilą widziałam kolejny przypadek choroby. To jeden z techników laboratoryjnych kliniki.

- Proszę jego również uwzględnić w badaniach. Brzmi to coraz gorzej. Pacjenci muszą być kompletnie odizolowani, z zastosowaniem zasady wydzielonej opieki. I niech pani przekaże odpowiedniej osobie, że zabraniam przeprowadzania jakichkolwiek prac laboratoryjnych do chwili mego przyjazdu.

- Już to zrobiłam - powiedziała Marissa. - Przyjedzie pan osobiście?

- Oczywiście - odparł Dubcek. - Ta sprawa może dotyczyć bezpieczeństwa narodowego. Jednakże trochę czasu zajmie przygotowanie ruchomego laboratorium Vickersa. W tym czasie chciałbym, aby rozpoczęła pani ustanawianie kwarantanny dla osób będących w kontakcie z chorymi. Ponadto, niech pani spróbuje dotrzeć do organizatorów tamtej afrykańskiej konferencji i ustalić, czy którykolwiek z pozostałych uczestników imprezy zapadł na tę chorobę. I jeszcze jedno: ani słowa dla prasy. Zrobiono zbyt wiele szumu wokół AIDS, by opinia publiczna mogła pogodzić się z groźbą kolejnej śmiertelnej choroby zakaźnej. Wybuchłaby panika na wielką skalę. I, Marisso, niech pani pamięta, by przed wizytą u chorych zakładać kompletne ubranie ochronne, nawet gogle. Dostanie je pani na oddziale patologii, jeśli nikt inny nie będzie ich miał. Przyjadę tak szybko, jak tylko to będzie możliwe.

Odkładając słuchawkę, Marissa poczuła niepokój. Nurtowała ją myśl, czy aby nie wystawiła się na działanie wirusa. Potem przypomniała sobie o rozmowie z Clarence'em Hernsem z „Los Angeles Times”. Cóż, co się stało, to się nie odstanie. Cieszyła ją myśl o przyjeździe Dubcheka. Zdawała sobie sprawę, że utknęła w tej historii po same uszy od samego momentu przyjazdu do Los Angeles.

Marissa zostawiła wiadomość dla doktora Navarre'a, po czym przy pomocy jednej z pielęgniarek zabrała się do przygotowania przyrządów służących do pobrania krwi. Potrzebowała pojemników próżniowych z antykoagulantami, woreczków plastikowych oraz podchlorynu sodu do dezynfekcji narzędzi. Musiała także przygotować pojemniki na mocz i pędzelki do wymazu. Następnie połączyła się z laboratorium mikrobiologii i poprosiła o pojemniki do przechowywania materiału wirusowego, opakowanie transportowe i suchy lód. Gdy zadzwonił Navarre, przekazała mu zalecenie Dubcheka odnośnie do wprowadzenia zasady wydzielonej opieki oraz zaprzestania prac laboratoryjnych do czasu jego przybycia ze specjalistyczną aparaturą. Wspomniała również o konieczności ustanowienia systematycznej kwarantanny dla wszystkich, którzy zetknęli się z chorymi. Navarre nie oponował, zaszokowany przypuszczeniem Dubcheka, że mają do czynienia z wirusową gorączką krwotoczną.

Idąc za radą Dubcheka, Marissa pobrała gogle z oddziału patologii. Nigdy nie przyszło jej na myśl, że można zarazić się za pośrednictwem oczu, lecz rozumiała, że powierzchnia gałki ocznej, pokryta błoną śluzową, była w równym stopniu narażona na atak wirusa co śluzówka nosa. Odziana w fartuch, kaptur, maskę, gogle, rękawiczki i buty, Marissa wyruszyła do izolatki Richtera, by pobrać próbki krwi.

Zanim przystąpiła do zabiegu, obejrzała jeszcze ciało Richtera w poszukiwaniu wysypki. Skóra na ramionach była czysta, lecz na prawym udzie widniało tajemnicze

zaczerwienienie wielkości ćwierćdolarówki. Marissa uniosła nieco koszulę Richtera i odkryła na niemal całym ciele delikatne, lecz wyraźne grudkowo-plamkowe zmiany skórne. Z podziwem pomyślała o Dubcheku, który sugerował ich obecność.

Najpierw pobrała krew, następnie zaś drugi pojemnik napełniła moczem z cewnika.

Zabezpieczywszy oba, opłukała je w roztworze podchlorynu sodu, a następnie wsunęła do woreczka. Gdy jego zewnętrzna powierzchnia została starannie zdezynfekowana, Marissa poleciła zabrać go z pokoju.

Po zmianie ryszunku ochronnego wybrała się do Helen Townsend, sekretarki z działu medycznego. Powtórzyła wszystkie te czynności, które wykonała poprzednio u doktora Richtera, z poszukiwaniem wysypki włącznie. Również na ciele Helen widoczne były delikatne zmiany, lecz ani na udzie, ani w innym miejscu Marissa nie znalazła plamki w postaci zaczerwienionego kółka. Stan Helen był nieco lepszy od tego, w jakim znajdował się Richter, lecz żaden z pacjentów nie czuł się na tyle dobrze, by zapytać Marissę o cel jej badań. Jedynie Alan Moyers zebrał dość sił na protest. W pierwszej chwili nie chciał w ogóle pozwolić Marissie na pobranie krwi, zanim nie wyjawi mu diagnozy. Był śmiertelnie przerażony. Dał za wygraną dopiero wówczas, gdy Marissa szczerze oznajmiła mu, że nie ma pojęcia, z jaką chorobą mają do czynienia, i dlatego właśnie musi wykonać badanie krwi. Marissa nie uczyniła najmniejszej próby pobrania krwi od małpy. Opiekun zwierząt miał tego dnia wolne i dziewczyna nie chciała samotnie zmagać się ze zwierzęciem, które sprawiało wrażenie zdrowego, lecz bynajmniej nie było przyjaźnie usposobione. Dowodziło tego obrzucenie Marissy odchodami przez siatkę otaczającą klatkę.

Po zapakowaniu próbek i upewnieniu się, że wszystkie koreczki zamykające probówki umieszczone są dostatecznie ciasno, by zapobiec przenikaniu dwutlenku węgla z suchego lodu do krwi, Marissa osobiście zawiozła przesyłkę na lotnisko i nadała ją do Atlanty.

Szczęśliwym trafem udało jej się wysłać próbówki najbliższym lotem bez międzylądowania.

W drodze powrotnej do kliniki Marissa wstąpiła do niewielkiej biblioteki szpitalnej.

Znalazła tam kilka standardowych podręczników, zawierających podstawowe informacje o chorobach wirusowych. Przerzuciła spiesznie strony mówiące o gorączce Lassa oraz wirusach Marburg i Ebola. Zrozumiała, dlaczego Dubchek tak żywo zareagował na jej informacje.

Choroby te należały do najbardziej śmiertelnych, jakie zna ludzkość.

W klinice, na piątym piętrze, Marissa dowiedziała się, że ośmiu chorych przeniesiono już do wyizolowanego skrzydła. Dostarczono jej również kartoteki pacjentów ambulatoryjnych, o które prosiła wcześniej. Przekazawszy wiadomość dla doktora Navarre'a, Marissa zabrała się do ich studiowania.

Pierwsza kartoteka należała do pośrednika w handlu nieruchomościami, Harolda Stevensa. Marissa zaczęła od końca i natychmiast spostrzegła, że ostatni wpis stanowiła notatka o wizycie u doktora Richtera. Stevens cierpiał na chroniczną jaskrę z otwartym kątem przesączania i z tego powodu regularnie odwiedzał gabinet Richtera. Ostatnia kontrola miała miejsce 15 stycznia, czyli cztery dni przed przyjęciem chorego do szpitala.

Chcąc potwierdzić swą diagnozę, Marissa przejrzała szybko ostatnie wpisy we wszystkich kartotekach. Każdy z grupy chorych pacjentów miał wpisana wizytę u doktora Richtera piętnastego lub szesnastego stycznia. Wyjątek stanowiła Helen Townsend, sekretarka z działu medycznego oraz Alan, technik laboratoryjny. W kartotece ambulatoryjnej Helen Townsend jako ostatnia wpisana była wizyta u ginekologa, z rozpoznaniem zapalenia pęcherza. Alan natomiast ostatni raz był w zeszłym roku u ortopedy w związku ze skręceniem kostki, którego nabawił się w rozgrywkach szpitalnej ligi koszykówki. Wyjawszy zatem sekretarkę i laboranta, można było sądzić, że źródło epidemii znajdowało się w organizmie doktora Richtera. Fakt, iż tuż przed pojawieniem się pierwszych symptomów choroby zetknął

się z pięcioma późniejszymi pacjentami, nie był bez znaczenia.

Marissa tłumaczyła jeden z wyjątków w ten sposób, iż przyjęła, że laborant zaraził się poprzez ukłucie skażoną igłą. W przypadku Helen Townsend nie miała na razie gotowego wyjaśnienia. Musiała założyć, iż sekretarka spotkała się z doktorem Richterem wcześniej, tego samego tygodnia. Objawy choroby zanotowano u niej zaledwie w czterdzieści osiem godzin po przywiezieniu Richtera. Być może na początku tygodnia Richter przebywał dłużej w dziale kartotek medycznych.

Rozważania Marissy przerwał dyżurny, który przekazał pytanie doktora Navarre'a, czy zechciałaby zejść na dół do sali konferencyjnej.

Dopiero powrót do pomieszczenia, w którym rozpoczęła dzień, uzmysłowił Marissie, jak długo pracowała. Czuła się nieludzko zmęczona. Navarre zamknął drzwi i przedstawił ją znajdującemu się w pokoju mężczyźnie. Był to William Richter, brat doktora Richtera.

- Chciałem osobiście podziękować pani za przybycie - odezwał się William. Pomimo nieskazitelnego garnituru w delikatne prążki, w który był ubrany, jego wymizerowana twarz stanowiła nieme świadectwo bezsenności.

- Doktor Navarre przekazał mi pani wstępną diagnozę. Pragnę zapewnić, że w miarę posiadanych środków i możliwości uczynimy wszystko, by zahamować rozwój choroby. Jesteśmy jednak zaniepokojeni negatywnym wpływem, jaki może mieć obecna sytuacja na dobre imię naszej kliniki. Sądzę, że zgodzi się pani ze mną, iż nie powinno się nadawać tej sprawie rozgłosu.

Marissa poczuła na te słowa wzbierające uczucie gniewu, spowodowane świadomością, że stawką jest tu życie wielu ludzi. Przypomniała sobie jednak, iż Dubchek powiedział jej przez telefon to samo.

- Rozumiem pańskie zaniepokojenie - odrzekła; nie dawało jej spokoju wspomnienie,

iz rozmawiała już z dziennikarzem. - Ale uważam, że powinniśmy przedsięwziąć dalsze kroki mające na celu ustanowienie kwarantanny.

Poczęła tłumaczyć konieczność dokonania podziału osób stykających się z chorymi na kontakty pierwszego i drugiego stopnia. Kontakt pierwszego stopnia obejmuje tych, którzy rozmawiali z chorymi lub dotykali ich, do drugiego stopnia natomiast zaliczać się będzie tych, którzy stykali się z osobami objętymi kontaktem pierwszego stopnia.

- Mój Boże - westchnął Navarre - mówimy o tysiącach ludzi.

- Niestety, tego się obawiam - odparła Marissa. - Potrzebne nam będą wszelkie rezerwy personelu, jakie posiada klinika. Możemy również poprosić o pomoc ze Stanowego Wydziału Zdrowia.

- Będziemy mieli dość własnych ludzi do obsługi - stwierdził Richter. - Wolałbym, by sprawa nie wyszła poza obręb tych murów. Zastanawiam się jednak, czy nie powinniśmy z tym poczekać do momentu postawienia ostatecznej diagnozy.

- Jeśli będziemy zwlekać, może okazać się za późno - odparła Marissa. - Odwołamy kwarantannę, gdy okaże się niepotrzebna.

- Nie uda nam się ukryć tego przed prasą - jęknął Richter.

- Prawdę mówiąc - zaczęła Marissa - prasa mogłaby odegrać pozytywną rolę, pomagając nam w dotarciu do wszystkich osób objętych kwarantanną. Przy kontakcie pierwszego stopnia ludzie muszą pozostać w całkowitym odosobnieniu przez tydzień i mierzyć temperaturę dwa razy dziennie. Jeżeli stwierdzą gorączkę przekraczającą 101 stopni Fahrenheita, powinni zgłosić się tutaj, do kliniki. Natomiast kontakt drugiego stopnia nie wymaga izolacji. Ludzie mogą prowadzić normalny tryb życia, przy czym raz dziennie powinni sprawdzać temperaturę ciała. - Marissa wstała z krzesła i wyprostowała się. - Doktor Dubchek może po przyjeździe wprowadzić dodatkowe zarządzenia, nakreślony przeze mnie

plan jest zgodny ze standardową procedurą CKE. Jego realizację pozostawiam Klinice Richtera, moim zadaniem jest dotarcie do pierwotnego siedliska wirusa.

Wyszła z sali konferencyjnej, pozostawiając dwóch mężczyzn w stanie najwyższego zdumienia. Przechodząc z części szpitalnej do budynku kliniki, zatrzymała się przy stanowisku informacyjnym, by zapytać o gabinet doktora Richtera. Dowiedziawszy się, że znajduje się on na drugim piętrze, udała się tam niezwłocznie.

Drzwi gabinetu nie były zamknięte na klucz. Marissa zapukała i weszła do środka. Za biurkiem siedziała sekretarka Richtera. Najwyraźniej nie spodziewała się niczyjej wizyty, gdyż na widok Marissy nerwowo zdusiła papierosa i wrzuciła popielniczkę do szuflady biurka.

- W czym mogę pani pomóc? - zwróciła się do Marissy. Miała około pięćdziesiątki, o czym świadczyły srebrnosiwe, starannie ondulowane włosy. Na plakietce z nazwiskiem widniał napis: panna Cavanagh. Na samym koniuszku nosa opierały się oprawki okularów do czytania, połączone na wysokości skroni złotym łańcuszkiem, który okalał jej szyję.

Marissa wyjaśniła, kim jest i dodała:

- Pilnie muszę ustalić, w jaki sposób doktor Richter nabawił się tej choroby. Pragnę w tym celu zrekonstruować wydarzenia dwóch tygodni, poprzedzających atak choroby. Czy jest pani w stanie odtworzyć jego plan zajęć w tym czasie? Zamierzam o to samo poprosić żonę doktora.

- Myślę, że udałoby mi się to zrobić - odrzekła panna Cavanagh.

- Czy przypomina sobie pani jakieś nadzwyczajne zdarzenie z tego okresu?

- Na przykład? - spytała panna Cavanagh z niewzruszonym wyrazem twarzy.

- Na przykład ukąszenie doktora przez małpę i pobicie na parkingu przez nieznanych sprawców! - głos Marissy nabrał szorstkiego tonu.

- Takie rzeczy mogą się zdarzyć każdemu - odparła filozoficznie panna Cavanagh.

- Zdaję sobie z tego sprawę - powiedziała Marissa. - Może pamięta pani jeszcze coś innego?

- W tej chwili nic mi nie przychodzi do głowy... Chwileczkę, miał stłuczkę samochodową.

- W porządku, to już coś - zachęcająco stwierdziła Marissa. - Niech pani nadal o tym myśli. A tak przy okazji, czy to pani czyniła przygotowania do wyjazdu doktora na konferencję afrykańską?

- Owszem.

- A na sympozjum w San Diego?

- Również.

- Chciałabym otrzymać numery telefonów organizacji sponsorujących te spotkania.

Gdyby pani była uprzejma poszukać ich dla mnie, będę bardzo wdzięczna. Poza tym, chciałabym dostać listę pacjentów doktora Richtera, przyjętych w ciągu ostatnich dwóch tygodni przed jego chorobą. I jeszcze jedno: czy zna pani Helen Townsend?

Panna Cavanagh zdjęła okulary i pozwoliła im swobodnie zawisnąć na łańcuszku.

Towarzyszyło temu pełne dezaprobaty westchnienie.

- Czy Helen Townsend cierpi na tę samą chorobę, co doktor Richter?

- Mamy podstawy sądzić, że tak - odparła Marissa, bacznie obserwując reakcję panny Cavanagh. Sekretarka wiedziała coś na temat Helen Townsend, lecz nie chciała tego ujawnić.

Jej palce nerwowo muskały klawiaturę maszyny do pisania. - Czy Helen Townsend była pacjentką doktora Richtera? - nalegała Marissa.

Panna Cavanagh podniosła na nią wzrok.

- Nie, była jego kochanką. Ostrzegałam go i proszę, złapał przez nią jakąś chorobę.

Powinien mnie posłuchać.

- Czy doktor widział się z nią krótko przed chorobą?

- Tak, spotkali się poprzedniego dnia.

Marissa utkwiła spojrzenie w swej rozmówczyni. To nie Helen Townsend zaraziła Richtera, było odwrotnie. Nie wyrzekła jednak słowa. Elementy łamigłówek ułożyły się w całość. Wszystkie siedem przypadków zachorowań związanych było z Richterm. W kategoriach epidemiologicznych było to niezwykle ważne odkrycie. Oznaczało, że doktor Richter był przypadkiem wyjściowym i że wyłącznie on miał bezpośredni kontakt z nieznanym źródłem wirusa. Obecnie rekonstrukcja każdego jego kroku z dokładnością co do minuty stała się sprawą ogromnej wagi.

Marissa poleciła panie Cavanagh rozpocząć odtwarzanie planu zajęć Richtera z ostatnich dwóch tygodni. Powiedziała, że pojawi się jeszcze u niej, lecz w razie potrzeby będzie osiągalna dzięki systemowi przywoławczemu, obsługiwanemu przez centralę szpitalną.

- Czy mogę zadać pani jedno pytanie? - odezwała się panna Cavanagh z lękiem w głosie.

- Oczywiście - odparła Marissa, kładąc rękę na klawiszach.

- Czy ja też mogę zachorować?

Dotąd Marissa odpędzała od siebie tę myśl, nie chcąc niepokoić starszej kobiety, ale nie mogła jej okłamać. Należało ją uznać za kontakt pierwszego stopnia.

- Taka możliwość istnieje - odrzekła. - Poprosimy panią o ograniczenie swych zajęć w ciągu jednego lub dwóch tygodni, a osobiście radziłabym pani mierzyć temperaturę dwa razy dziennie. Sądzę jednak, że nic pani nie dolega, skoro dotąd nie pojawiły się żadne objawy.

Po powrocie do skrzydła szpitalnego Marissa musiała zwalczyć własne obawy i

rosnące zmęczenie. Zbyt wiele miała jeszcze do zrobienia. Czekają ją znużone i szczegółowe przeglądanie kartotek kliniki, w których miała nadzieję odnaleźć odpowiedź na pytanie, dlaczego tylko niektórzy spośród pacjentów doktora Richtera zarazili się wirusem. Zamierzała także zadzwonić do pani Richter. Sądziła, że przy pomocy żony i sekretarki uda jej się zrekonstruować w miarę kompletny harmonogram zajęć doktora z ostatnich dwóch tygodni poprzedzających chorobę.

Na piątym piętrze natknęła się na Navarre'a. Wyglądał na równie zmęczonego jak Marissa.

- Stan doktora Richtera gwałtownie się pogarsza - powiedział. - Krwawi dosłownie z każdego miejsca: z ukłuć po zastrzykach, z dziąseł. Za chwilę odmówią posłuszeństwa nerki, a ciśnienie jest katastrofalnie niskie. Podaliśmy mu interferon, ale nie działa. W tej chwili nikt nie ma pojęcia, czego możemy jeszcze spróbować.

- W jakim stanie znajduje się Helen Townsend? - rzuciła Marissa.

- Jej stan także się pogarsza - odparł Navarre. - Właśnie zaczęła krwawić.

Ciężko opadł na krzesło.

Przez chwilę Marissa stała niezdecydowana, po czym sięgnęła po słuchawkę.

Wykręciła numer do Atlanty w nadziei, iż okaże się, że Dubcek jest już w drodze. Ku jej udręce, odebrał telefon osobiście.

- Sprawy zaczęły się komplikować - zameldowała Marissa. - Dwoje pacjentów wykazuje poważne objawy krwotoczne. W kategoriach klinicznych wygląda to coraz bardziej na wirusową gorączkę krwotoczną, a nikt tu nie wie, jak ulżyć tym ludziom.

- Niewiele można zrobić - odparł Dubcek. - Spróbujcie heparynizacji. Potem pozostaje jedynie terapia podtrzymująca i na tym nasze możliwości się kończą. Jeżeli zdołamy postawić szczegółową diagnozę, będziemy mogli podać im surowicę odpornościową

o wysokiej zawartości przeciwciał, pod warunkiem, że w ogóle uda się ją uzyskać. Jeśli już przy tym jesteśmy, to otrzymaliśmy właśnie pobrane przez panią próbki i Tad zabrał się już do ich analizowania.

- Kiedy pan przyjedzie? - spytała Marissa.

- Wkrótce - padła odpowiedź. - Laboratorium Vickersa jest już przygotowane do drogi.

Marissa gwałtownie ocknęła się ze snu. Na szczęście nikt nie zastał jej śpiącej w pokoiku na oddziale pielęgniarstwie. Rzuciła okiem na zegarek - było piętnaście po dziesiątej. Sen zmorzył ją zaledwie na pięć czy dziesięć minut.

Zakręciło jej się w głowie, gdy podniosła się z krzesła. Ból rozpałał jej skronie, a w gardle czuła nieprzyjemne drapanie. Modliła się, by te objawy okazały się wynikiem przemęczenia, a nie symptomem gorączki krwotocznej.

Wieczór spędziła pracowicie. Na oddziale nagłych wypadków zanotowali cztery kolejne zachorowania. Pacjenci skarżyli się na silne bóle głowy, wysoką gorączkę i wymioty. Jeden z nich zdradzał już objawy gorączki krwotocznej. Wszyscy należeli do rodzin poprzednich ofiar choroby, co potwierdzało konieczność wprowadzenia kwarantanny. Wirus atakował trzecie pokolenie. Marissa przygotowała nowe próbki i wyekspediowała je do Atlanty nocnym lotem.

Gdy uznała, że znalazła się już u kresu sił, postanowiła udać się do motelu. Zbierała się właśnie do wyjścia, gdy jedna z pielęgniarek zakomunikowała, że pani Richter czeka na rozmowę. Zdając sobie sprawę z tego, iż odkładanie tego spotkania byłoby z jej strony okrucieństwem, Marissa udała się do świetlicy dla odwiedzających. Anna Richter, dobrze ubrana, atrakcyjnie prezentująca się kobieta pod czterdziestkę, starała się odtworzyć rozkład zajęć męża z ostatnich dwu tygodni. Jednocześnie widać było, że jest bardzo zdenerwowana, i

to nie tylko ze względu na stan męża, lecz również z obawy o ich dwoje małych dzieci. W związku z tym Marissa nie domagała się szczególnej dbałości o szczegóły. Pani Richter przyrzekła jej sporządzić nazajutrz dokładniejszy, chronologiczny zapis wydarzeń ostatnich tygodni. Marissa odprowadziła ją do BMW, po czym odnalazła swój samochód i pojechała do motelu, gdzie zaraz po wejściu do pokoju padła na łóżko i zasnęła.

22 stycznia

Następnego ranka Marissa ze zdumieniem spojrzała na stojące przed główną bramą szpitala wozy telewizyjne - ich anteny nadawcze odcinały się wyraźnie na jasnym tle porannego nieba. Przy wejściu na kryty parking zatrzymał ją policjant, któremu musiała pokazać identyfikator CKE.

- Kwarantanna - wyjaśnił policjant, kierując ją do głównego wejścia, okupowanego przez wozy telewizyjne.

Marissa posłusznie zawróciła, zastanawiając się, co mogło zajść podczas tych ponad sześciu godzin jej nieobecności. Po podłodze wiły się w węzowych splotach kable telewizyjne, prowadzące do sali konferencyjnej. Zdziwiający ożywienie panowało również w głównym holu. Zauważywszy doktora Navarre'a, Marissa spytała go, co się dzieje.

- Pani koledzy zapowiedzieli konferencję prasową - wyjaśnił. Nie ogolone i zapadnięte policzki lekarza wyraźnie świadczyły o nieprzespanej nocy. Wyjął spod pachy gazetę i wskazał Marissie artykuł. NOWA EPIDEMIA AIDS krzyczał nagłówek. Ilustrację do artykułu stanowiło zdjęcie Marissy rozmawiającej z Clarencem Hernsem.

- Zdaniem doktora Dubcheka nie wolno dopuścić do szerzenia się fałszywych informacji - powiedział Navarre.

Marissa jęknęła:

- Ten dziennikarz zaskoczył mnie tuż po przyjeździe. Naprawdę nic takiego mu nie mówiłam.

- Teraz to nie ma znaczenia - odparł Navarre, kładąc pocieszającym gestem rękę na jej ramieniu. - Doktor Richter zmarł dziś w nocy. Ponadto mamy cztery dalsze przypadki, niemożliwością byłoby zachować tajemnicę przed prasą i telewizją.

- Kiedy przyjechał doktor Dubchek? - spytała Marissa, ustępując z drogi

kamerzystom, zmierzającym do sali konferencyjnej.

- Krótco po północy - odrzekł Navarre.

- A skąd się tu wzięła policja? - pytała dalej, zauważywszy drugiego umundurowanego policjanta przy drzwiach prowadzących do szpitala.

- Gdy rozniosło się, że doktor Richter umarł, pacjenci zaczęli masowo wypisywać się ze szpitala, zanim Stanowy Komisarz do Spraw Zdrowia nie wydał zarządzenia o objęciu całego kompleksu kwarantanną.

Marissa przeprosiła doktora Navarre'a i przepchnęła się przez ciżbę reporterów zgromadzonych przed salą konferencyjną. Z jednej strony zadowolona była z tego, że Dubchek przejął odpowiedzialność, z drugiej jednak męczyło ją pytanie, dlaczego nie skontaktował się z nią po przyjeździe. Kiedy weszła na salę, Dubchek właśnie zaczął mówić.

Dawał sobie świetnie radę. Jego opanowany i poważny sposób bycia spowodował, że na sali natychmiast zrobiło się cicho jak makiem zasiał. Na początku przedstawił siebie oraz pozostałych członków ekipy z CKE. Byli to: doktor Mark Vreeland, szef Departamentu Epidemiologii Medycznej, doktor Pierce Abbott, dyrektor Departamentu Wirusologii; doktor Clark Layne, dyrektor Szpitalnego Programu Chorób Zakaźnych oraz doktor Paul Eckstein, dyrektor Centrum Chorób Zakaźnych.

Po dokonaniu prezentacji Dubchek zdementował wiadomość o „nowej epidemii AIDS”. Wyjaśnił, że epidemiolog stanu Kalifornia poprosił CKE o pomoc w rozpoznaniu kilku nie wyjaśnionych przypadków choroby, której przypisuje się pochodzenie wirusowe.

Patrząc na gorliwie notujących dziennikarzy, Marissa mogłaby przysiąc, że nie dali się przekonać ogólnikowym słowom lekarza. Widmo nieznaney i przerażającej choroby wirusowej stanowiło dla nich nie lada sensacje.

Dubchek poinformował następnie, że zanotowano dotychczas zaledwie szesnaście przypadków zachorowań i że jego zdaniem sytuacja została opanowana. Wskazując na Layne'a oznajmił, że będzie on nadzorował przebieg kwarantanny i dodał, iż dotychczasowe doświadczenia wskazują na możliwość opanowania tego rodzaju choroby poprzez ścisłą izolację szpitalną.

Na to zerwał się Clarence Hearn z pytaniem:

- Czy to prawda, że doktor Richter przywiózł wirusa z konferencji w Afryce?

- Nie możemy tego stwierdzić - odparł Dubchek. - Istnieje taka możliwość, choć jest ona wątpliwa. Okres inkubacji wirusa musiałby być niezmiernie długi, gdyż od powrotu doktora Richtera z Afryki upłynął już ponad miesiąc. Przy tego rodzaju chorobie trwa on zwykle około tygodnia.

Kolejny dziennikarz podniósł się z miejsca:

- Wiadomo, że okres inkubacji wirusa AIDS może trwać nawet pięć lat, jak zatem może pan ograniczać go w tym wypadku do zaledwie jednego tygodnia?

- Sęk w tym - odparł Dubchek, okazując lekkie zniecierpliwienie - że wirus AIDS w niczym nie przypomina tego, z którym się obecnie borykamy. Jest sprawą niezmiernie ważną, by zostało to zrozumiane przez media i podane do wiadomości publicznej.

- Czy wyodrębniliście tego nowego wirusa? - padło kolejne pytanie.

- Jeszcze nie - przyznał Dubchek. - Ale nie spodziewamy się, by nastęcało to jakiegokolwiek trudności. Głównie dzięki temu, że nie jest to wirus tego typu, z jakim mamy do czynienia w przypadku AIDS. Wyhodowanie odpowiednich kultur nie powinno trwać dłużej niż tydzień.

- Jak może pan twierdzić, że jest to wirus inny niż AIDS, skoro jeszcze go nie wyodrębniliście? - ciągnął ten sam reporter.

Dubchek wbił w niego wzrok. Marissa wyczuła w jego głosie pogardę, gdy spokojnie odpowiedział:

- Lata praktyki dowodzą, że diametralnie odmienne objawy kliniczne wywoływane są przez diametralnie różne od siebie mikroorganizmy. To wszystko na dzisiaj. Będziemy państwa informować na bieżąco. Dziękuję, że pofatygowaliście się państwo tutaj o tak wczesnej porze.

Po tych słowach w sali wybuchła istna burza pytań, każdy z dziennikarzy usiłował przekrzywić pozostałych w nadziei uzyskania jeszcze jednej odpowiedzi. Dubchek zignorował wszystkich i wyszedł z sali z pozostałymi lekarzami. Marissa bezskutecznie usiłowała dopchać się do swego szefa. Dopiero na zewnątrz umundurowany policjant zastąpił reporterom drogę, nie wpuszczając ich do części szpitalnej. Marissa przedostała się tam dzięki karcie identyfikacyjnej. Dopadła Dubcheka przy windzie.

- A, tu pani jest! - ucieszył się, a jego ciemne oczy błysnęły na jej widok. Głos brzmiał ciepło i przyjaźnie, gdy przedstawiał Marissę pozostałym lekarzom.

- Nie sądziłam, że przybędzie aż tak liczna grupa - przyznała, gdy wchodzili do windy.

- Nie mieliśmy wyboru - stwierdził Layne.

Abbott potwierdzająco skinął głową.

- Pomimo to, co powiedział Cyrill na konferencji, epidemia z którą mamy do czynienia, wygląda bardzo poważnie. Wystąpienie afrykańskiej wirusowej gorączki krwotocznej w świecie uprzemysłowionym to koszmar, męczący nas od momentu pojawienia się tej choroby.

- Jeżeli jest to właśnie afrykańska gorączka wirusowa - dodał Eckstein.

- Jestem przekonany - stwierdził Vreeland. - Tak samo jak o tym, iż nosicielem jest ta małpa.

- Nie pobrałam próbek od małpy - lojalnie przyznała Marissa.

- Nie szkodzi - uspokoił ją Dubchek. - Uspiliśmy to zwierzę i w nocy wysłaliśmy próbki organów do Centrum. Sekcja wątroby i śledziony powie więcej niż badanie krwi.

Winda zatrzymała się na piątym piętrze, gdzie dwóch laborantów z CKE zajmowało się badaniem próbek z laboratorium Vickersa.

- Przykro mi z powodu tego artykułu w „Los Angeles Times” - odezwała się Marissa, gdy zostali sami z Dubchekiem. - Reporter nie dał mi czasu do namysłu, zagadnął mnie zaraz po wejściu do szpitala.

- W porządku - uspokoił ją Dubchek. - Niech to będzie ostatni raz.

Uśmiechnął się i mrugnął do niej. Marissa nie miała zielonego pojęcia, co miało oznaczać to mrugnięcie, nie mówiąc już o uśmiechu.

- Dlaczego nie skontaktował się pan ze mną po przyjeździe? - spytała.

- Wiedziałem, że jest pani skonana - wyjaśnił Dubchek. - Poza tym, nie było takiej potrzeby. Większą część nocy zajęło nam zorganizowanie laboratorium, przeprowadzenie autopsji małpy i uzyskanie potrzebnego rozeznania. Poprawiliśmy również izolację poprzez zainstalowanie wentylatorów. Niemniej jednak muszę pani pogratulować. Doskonale się pani sprawiła, przygotowując nam pole do działania. Wprawdzie w tej chwili jestem zavalony papierkową robotą - kontynuował - niemniej jednak pragnę usłyszeć, czego się pani dotąd dowiedziała. Może moglibyśmy zjeść razem kolację, powiedzmy dziś wieczorem.

Zarezerwowałem dla pani pokój w naszym hotelu, z pewnością lepszy niż ten w Tropie Motel, który pani zajmuje.

- Jestem z niego zadowolona - odparła Marissa. Przeszył ją dziwny dreszcz, jak zwykle wtedy, gdy intuicja coś jej podpowiadała.

Powrót do klitki na oddziale pielęgniarskim oznaczał dla Marissy nadrabianie

zaległości w robocie papierkowej. Najpierw zatelefonowała do organizacji sponsorujących ostatnie dwie konferencje medyczne, na których obecny był doktor Richter. Musiała sprawdzić, czy ktokolwiek ze współuczestników spotkań, oprócz Richtera, zapadł na chorobę pochodzenia wirusowego. Następnie z oporami wykręciła numer do pani Richter, myśląc o tym, jaki ból sprawiać musi tej kobiecie każdy telefon. Chciała zapytać, czy może odebrać zapis wydarzeń ostatnich dni życia Richtera, obiecany poprzedniego wieczora.

Telefon odebrała sąsiadka, która była wyraźnie zbulwersowana jej prośbą, jednakże po krótkiej rozmowie z wdową poinformowała Marissę, że czekają na nią za pół godziny.

Marissa zatrzymała się przed pięknie położonym domem Richterów i nacisnęła przycisk dzwonka. Otworzyła jej ta sama sąsiadka, która odebrała telefon, i nie kryjąc potępienia, wskazała jej drogę do pokoju. W kilka chwil później pojawiła się Anna Richter. Przez jedną noc przybyło jej dziesięć lat, tak przynajmniej można by sądzić po jej wyglądzie. Błada twarz i włosy, jeszcze wczoraj starannie ułożone, a teraz pozlepiane w strąki, świadczyły o cierpieniu tej kobiety.

Sąsiadka pomogła jej usiąść na krześle i wówczas Marissa ze zdumieniem spostrzegła, że pani Richter trzyma w rękach kilka kartek, które nerwowo zwija w rulon i rozwija bezwiednie. Była to prawdopodobnie lista zajęć zmarłego doktora Richtera, o którą Marissa prosiła poprzedniego dnia. Nieszczęście tej kobiety przytłoczyło dziewczynę tak bardzo, że nie bardzo wiedziała, co powiedzieć. Na szczęście Anna bez wstępów wręczyła jej trzymane kartki ze słowami:

- I tak nie mogłam zasnąć w nocy, a może w ten sposób da się uratować jakąś inną rodzinę. - Oczy zaszyły jej łzami. - To był taki dobry człowiek... ojciec... moje biedne dzieci.

Marissa domyśliła się, że pomimo romansu z Helen Townsend, doktor Richter musiał być dobrym mężem. Żal Anny powodu straty wydawał się rzeczywisty, dlatego też Marissa

wymknęła się najszybciej, jak na to pozwalały zasady przyzwoitości.

Notatki, które przebiegła wzrokiem, zanim jeszcze włączyła silnik samochodu, okazały się nad wyraz szczegółowe. Stwierdziła, że w połączeniu z informacjami uzyskanymi od panny Cavanagh oraz zapiskami w książce przyjęć Richtera, dadzą one dość pełny obraz zajęć doktora w ostatnich kilku tygodniach.

Po powrocie do szpitala Marissa zabrała się do rekonstrukcji wydarzeń ostatnich dni Richtera. Każdy dzień stycznia odnotowywała na oddzielnej kartce.

Odkryła, że doktor uskarżał się panie Cavanagh na pacjenta nazwiskiem Meterko, zarażonego AIDS i cierpiącego na nie wyjaśnione schorzenie siatkówki. Wydało jej się to warte bliższego zbadania.

Po południu zadzwonił telefon. Marissa ze zdumieniem usłyszała w słuchawce głos Tada Schockleya. Połączenie było tak dobre, że przez sekundę pomyślała, iż Tad dzwoni z Los Angeles.

- Nie - rozwiął jej złudzenia. - Jestem nadal w Atlancie. Muszę koniecznie rozmawiać z Dubchekiem. Telefonistka w centrali powiedziała, że możesz wiedzieć, gdzie on się teraz znajduje.

- Jeśli nie ma go w pokoju CKE, to sądzę, że pojechał do hotelu. Z tego co wiem, cały zespół nie zmrużył oka tej nocy.

- W porządku, spróbuję go znaleźć w hotelu, na wszelki wypadek jednak, czy mogłabyś przekazać mu wiadomość?

- Oczywiście - zgodziła się Marissa.

- Bynajmniej nie jest to dobra wiadomość.

Odruchowo wyprostowała się i przycisnęła mocniej słuchawkę do ucha.

- Czy to coś osobistego?

- Nic z tych rzeczy - odparł Tad ze śmiechem. - Chodzi o wirusa, z którym macie do czynienia. Próbkę, którą przysłałaś, są niesamowite, zwłaszcza te od doktora Richtera. Jego krew to prawdziwa bomba wirusowa, przeszło miliard jednostek na milimetr. Wystarczyło jedynie odpowiednio ustawić wirusa i przyjrzeć mu się przez mikroskop elektronowy.

- Czy wiesz, co to jest? - spytała Marissa.

- Na sto procent - odparł Tad podnieconym głosem. - Tylko dwa rodzaje wirusa wyglądają tak jak ten, a badania pośrednim strumieniem antyciał wskazują na Ebolę. Doktor Richter cierpi na gorączkę krwotoczną Ebola.

- Cierpiał - poprawiła go Marissa, nieco dotknięta entuzjazmem Tada, który wydał jej się nie na miejscu.

- Czy to oznacza, że nie żyje?

- Zmarł dziś w nocy - wyjaśniła Marissa.

- Można się było tego spodziewać. Ta choroba ma pięćdziesięcioprocentowy wskaźnik śmiertelności.

- Mój Boże! - wyrwało się Marissie. To przecież najbardziej śmiertelny ze wszystkich znanych wirusów.

- Niektórzy przyznają ten wątpliwy przywilej wirusowi wścieklizny - odparł Tad - ale osobiście sądzę, że masz rację. Problem w tym, że niewiele wiadomo na temat Eboli ze względu na rzadkość jego występowania. Kilka epidemii w Afryce, to wszystko. Wielka niewiadoma. Będziesz miała masę roboty, próbując wyjaśnić, w jaki sposób wirus przywędrował do Los Angeles.

- Możliwe, że nie będzie to takie trudne - odrzekła Marissa. - Tuż przed wystąpieniem pierwszych objawów choroby, doktor Richter został ukąszony przez małpę pochodzącą z Afryki. Doktor Vreeland jest przekonany, że to zwierzę jest źródłem wirusa.

- To bardzo prawdopodobne - zgodził się Tad. - Małpy wywołały epidemię gorączki krwotocznej w sześćdziesiątym siódmym. Wirusowi nadano nazwę Marburg, od miasta w Niemczech, gdzie pojawił się po raz pierwszy. Swoją, strukturą przypomina Ebolę.

- Przekonamy się już wkrótce - stwierdziła Marissa. - Teraz ja mam dla ciebie informację. Wycinki wątroby i śledziony są już w drodze. Byłabym zobowiązana, gdybyś natychmiast je zbadał i przekazał mi wyniki.

- Z przyjemnością - odparł Tad. - Na razie zajmę się wirusem Ebola i sprawdzę, czy da się łatwo wyhodować. Chcę się dowiedzieć, do jakiego szczepu należy. Przekaż Dubchekowi i pozostałym, że mają do czynienia z Ebolą. Niech będą ostrożni. Odezwę się jeszcze do ciebie. Trzymaj się, cześć.

Marissa wyszła ze swej klitki i zajrzała do pokoju CKE po drugiej stronie korytarza.

Nie było tam nikogo. Weszła do sąsiedniego pomieszczenia, w którym pracowali technicy i zapytała, gdzie podzieli się wszyscy. Powiedziano jej, że część lekarzy zeszła na dół na oddział patologii w związku ze śmiercią kolejnych dwóch pacjentów, pozostali zaś udali się na oddział nagłych wypadków, gdzie zanotowano następne przypadki zachorowań. Natomiast doktor Dubchek pojechał do hotelu. Marissa przekazała im nowinę na temat Eboli i zobowiązała do poinformowania o tym całego personelu. Sama zaś wróciła do papierkowej roboty.

Hotel Beverly Hilton był dokładnie taki, jak opisał go Dubchek. Bez wątpienia prezentował się bardziej okazale niż mało nowoczesny Tropic Motel, ponadto znajdował się znacznie bliżej Kliniki Richtera. Mimo niewątpliwych zalet tego miejsca, Marissa, powłócząc nogami, ledwie nadążała za kamerdynerem, prowadzącym ją przez hol ósmego piętra do pokoju. Stała w progu, podczas gdy kamerdyner zapalił wszystkie światła, w podziękowaniu za co otrzymał na odchodnym dolara.

Marissa nie miała poprzednio dość czasu, by rozpakować wszystkie swe rzeczy w motelu. Uczyniło to przeprowadzkę łatwiejszą. Prawdopodobnie nie zmieniłaby lokum, gdyby nie nalegania Dubcheka. Zadzwonił do niej po południu, w kilka godzin po jej rozmowie z Tadem. Ona sama nie telefonowała w obawie, że może go obudzić. Od razu przekazała mu wiadomość o zidentyfikowaniu choroby jako gorączki krwotocznej Ebola. Nie wydawał się wcale zaskoczony, zupełnie jakby się tego spodziewał. Wytłumaczył Marissie, jak dojechać do hotelu i dodał, że wystarczy tylko zabrać z recepcji klucz do pokoju 805, gdyż wszystkie formalności zostały już załatwione. Zaprosił ją też na kolację o wpół do ósmej, przy czym stwierdził, że najlepiej będzie, jeśli Marissa zajrzy przedtem do jego pokoju, znajdującego się o parę drzwi od 805. Najlepiej zaś będzie, jeśli zamówi kolację do pokoju, tak żeby mogli w jej trakcie przejrzeć notatki.

Marissa marzyła o tym, by wyciągnąć się na łóżku. Była wyczerpana fizycznie, lecz zegarek wskazywał już dobrze po siódmej. Wyjęła z torby kosmetyczkę i weszła do łazienki. Przygotowania do kolacji polegały jedynie na pobieżnym myciu, przyczesaniu włosów i nieznacznym poprawieniu makijażu. Z teczki wyjęła zapiski dotyczące rozkładu zajęć Richtera w okresie bezpośrednio poprzedzającym chorobę. Ściskając luźne kartki pod pachą, stanęła przed pokojem swego zwierzchnika i zapukała.

Dubchek otworzył jej drzwi z uśmiechem i gestem zaprosił do środka. Dyskutował właśnie przez telefon z Tadem, czego Marissa mogła się domyślić z treści rozmowy. Odgadła, że do Tada dotarły już próbki pobrane od małpy i że nie wykazały one absolutnie niczego.

- Chcesz powiedzieć, że mikroskop elektronowy nie wykrył ani śladu wirusa? -

zdziwił się Dubchek.

Nastąpiły szczegółowe wyjaśnienia Tada dotyczące najprawdopodobniej wyników poszczególnych testów. Dubchek uważnie słuchał. Dziewczyna spojrzała na zegarek i

obliczyła szybko, że w Atlancie musi być już prawie jedenasta. Najwyraźniej Tad pracował w godzinach nadliczbowych. Patrząc na Dubcheka, Marissa zdała sobie sprawę, że człowiek ten działa na nią deprymująco. Przypomniła sobie własne zmieszanie, kiedy pojawił się na przyjęciu u Ralpa, a jednocześnie z zażenowaniem stwierdziła, że z jakichś nie wyjaśnionych przyczyn zaczyna się nim interesować. Od czasu do czasu ze słuchawką przy uchu rzucał jej spojrzenie i za każdym razem jego ciemne oczy rozjaśniały się nagłym błyskiem, gdy napotykał jej wzrok. Był bez marynarki i krawata, a u nasady szyi widać było trójkąt opalonej na brąz skóry.

W końcu odłożył słuchawkę i podszedł do Marissy, wciąż na nią patrząc.

- Z całą pewnością nie widziałem dziś nic piękniejszego i jestem pewien, że Tad zgodziłby się ze mną. Niepokoi się faktem, że naraża się pani na takie ryzyko.

- Nie sądzę, bym narażała się bardziej niż pozostali - odrzekła niezadowolona z takiego obrotu rozmowy.

Dubchek uśmiechnął się.

- Sądzę, że Tad nie uważa pozostałych za równie atrakcyjnych jak pani.

Próbując skierować rozmowę na sprawy służbowe, Marissa zapytała o rezultat testów, przeprowadzonych na próbkach wątroby i śledziony pobranych od małpy.

- Jak dotąd wynik negatywny - odparł Dubchek, kwitując ten fakt machnięciem ręki. -

Ale to tylko badania pod mikroskopem elektronowym. Tad równocześnie założył kultury wirusa. Będziemy wiedzieć więcej za jakiś tydzień.

- Tymczasem - kontynuowała Marissa - możemy szukać innych rozwiązań.

- Chyba tak - zgodził się. Sprawiał wrażenie nieobecnego myślami. Przeciągnął palcami po powiekach i usiadł naprzeciw Marissy.

Pochyliła się, podając mu notatki.

- Sądziłam, że to pana zainteresuje.

Wziął kartki do ręki i przeglądał je, słuchając jednocześnie jej komentarza.

Zachowując chronologiczną kolejność, Marissa opisała swoje czynności od momentu przybycia do Los Angeles. W sposób przekonywający dowodziła, że doktor Richter był przypadkiem pierwotnym Eboli, rozprzestrzeniającym chorobę na innych pacjentów.

Wspomniała o jego związku z Helen Townsend, a także o obu sympoziach, w których uczestniczył. Dodała, że organizacje sponsorujące konferencje obiecały przysłać kompletną listę uczestników z adresami i numerami telefonów.

W trakcie jej monologu Dubchek potakiwał co jakiś czas, aby pokazać, że słucha, lecz mimo to wydawał się rozkojarzony i bardziej skupiał się na twarzy Marissy niż na słowach.

Widząc, że on prawie nie reaguje na jej wyjaśnienia, dziewczyna, zbита z tropu, umilkła, gorączkowo zastanawiając się, czy nie popełniła jakiegoś rażącego błędu. W odpowiedzi Dubchek westchnął i uśmiechnął się.

- Dobra robota - powiedział. - Trudno wprost uwierzyć, że to pani pierwsze zadanie w terenie.

Podniósł się na odgłos pukania do drzwi.

- Mam nadzieję, że to nasza kolacja. Umieram z głodu.

Posiłek nie należał do najlepszych. Mięso i warzywa zdążyły już ostygnąć. Marissa pomyślała, że należało raczej zejść do jadalni. Spodziewała się rozmowy na tematy zawodowe, tymczasem rozmawiali o wszystkim, począwszy od przyjęcia u Ralpha i jej z nim znajomości, po pracę w CKE i wrażenia związane z pierwszym zadaniem. Kończyli właśnie jeść, gdy Dubchek niespodziewanie odezwał się:

- Chciałbym, żeby pani wiedziała, że jestem wdowcem.

- Przykro mi - odparła szczerze Marissa, zastanawiając się nad powodem, dla którego

zdradzał jej szczegóły swego życia prywatnego.

- Sądziłem, że powinna pani o tym wiedzieć - dodał, jakby czytając w jej myślach. -

Moja żona zginęła w wypadku samochodowym dwa lata temu..

Marissa skinęła głową, nadal nie wiedząc, w jaki sposób ma zareagować.

- A pani? - spytał Dubчек. - Spotyka się pani z kimś?

Marissa milczała przez chwilę, bawiąc się uszkiem filiżanki. Nie miała najmniejszej ochoty opowiadać o zerwaniu z Rogerem.

- Nie, na razie nie mam nikogo - wykrztusiła. Zastanawiała się, czy Dubчек wie o jej randkach z Tadem. Wprawdzie nie była to żadna tajemnica, ale też nie myślała tego rozgłaszać wszem i wobec. Żadne z nich nie uważało za potrzebne opowiadanie o swych sprawach pracownikom laboratorium. Nagle Marissa poczuła się jeszcze bardziej niezręcznie.

Naruszano jej podstawową zasadę, polegającą na niemieszaniu spraw prywatnych z zawodowymi. Spojrzała na Dubcheka i musiała przyznać, że był atrakcyjnym mężczyzną.

Chyba dlatego czuła się przy nim tak onieśmielona. Ale nawiązanie bardziej osobistych stosunków nie interesowało jej zupełnie, jeśli trafnie odgadła jego zamiary. Pragnęła jak najszybciej opuścić ten pokój i wrócić do pracy.

Dubчек podniósł się z krzesła i odsunął je na bok.

- Powinniśmy już chyba ruszać z powrotem do kliniki.

Czekała z niecierpliwością na taką propozycję. Wstała i podeszła do stolika, by zabrać swoje notatki. Kiedy wyprostowała się, poczuła, że stoi za jej plecami. Nim zdążyła zareagować, Dubчек położył jej ręce na ramionach i odwrócił ją do siebie. Była tak zaskoczona, że stała jak sparaliżowana. Ich usta zetknęły się na moment. Odskoczyła, a trzymane w ręku papiery upadły na podłogę.

- Przepraszam - powiedział Dubчек. - Tego nie było w moich planach. Ale

przyznam, że od momentu twojego przybycia do CKE kusiło mnie, by to zrobić. Bóg mi świadkiem, że nie jest w moim stylu umawiać się z kimś, kto ze mną pracuje na co dzień, ale po raz pierwszy od śmierci żony poważnie zainteresowała mnie inna kobieta. Z wyglądu wcale jej nie przypominasz. Jane była wysoką blondynką. Lecz masz w sobie podobny zapał do pracy. Była muzykiem, a kiedy grała, na jej twarzy pojawiał się taki sam wyraz podekscytowania, jaki dostrzegłem u ciebie.

Marissa milczała. Miała świadomość, że postępuje podle, że Dubchek bynajmniej nie narzucał się jej, ale czuła się tak zażenowana i zawstydzona, że nie miała zamiaru rozładować napięcia choćby słowem.

- Marisso - odezwał się łagodnie. - Chciałbym spotkać się z tobą po powrocie do Atlanty, ale jeżeli jesteś związana z Ralphem lub zwyczajnie nie chcesz... - zawiesił głos. Schyliła się, by podnieść notatki z podłogi.

- Jeżeli mamy wrócić do szpitala, to sądzę, że powinniśmy już wychodzić - odparła szorstko.

Sztywno podążył za nią do windy. Później, siedząc w swoim wynajętym samochodzie, Marissa zbesztala się w myślach. Cyrill był najbardziej atrakcyjnym mężczyzną, jaki zwrócił na nią uwagę od czasu Rogera. Dlaczego więc zachowała się tak nierozsądnie?

27 lutego

Prawie pięć tygodni później, siedząc w taksówce wiozącej ją z lotniska na plac

Drzewka Brzoskwiniowego, Marissa rozmyślała nad tym, czy uda się jej przywrócić przyjacielskie stosunki z Dubchekiem na stopie zawodowej teraz, kiedy oboje wrócili do

Atlanty. Dubchek wyjechał w kilka dni po ich rozmowie w Beverly Hilton, a parę spotkań w Klinice Richtera cechowała pewna niezręczność i szorstkość.

Rozświetlone okna mijanych domów odsłaniały przed Marissą codzienne sceny życia rodzinnego. Poczula się niezwykle samotna.

Zapłaciła za taksówkę, po czym wyłączyła alarm w domu i pospieszyła do Judsonów po Taffy'ego. Czekala tam na nią poczta z ostatnich pięciu tygodni. Pies zachłystywał się ze szczęścia na jej widok, a Judsonowie sprawiali wrażenie uradowanych. Zamiast wytykać jej długą nieobecność, zachowywali się tak, jakby ich największym zmartwieniem było rozstanie z Taffym.

W domu Marissa włączyła ogrzewanie. W pomieszczeniach zrobiło się ciepło. Z psem u boku czuła się zupełnie inaczej. Szczeniak nie odstępował jej na krok i zachłannie domagał się zainteresowania z jej strony.

Z myślą o kolacji Marissa zajrzała do lodówki. Niektóre produkty - jak się okazało - nie wytrzymały próby czasu. Zamknęła drzwiczki z mocnym postanowieniem umycia lodówki następnego dnia. Przyszło jej zadowolić się kolacją złożoną z suszonych fig i coca-coli, połykanych nad stosem poczty. Poza kartką od jednego z braci i listem od rodziców, były to w większości farmaceutyczne śmieci, nadające się jedynie do kosza.

Dźwięk telefonu zaskoczył ją, jednak kiedy w słuchawce usłyszała głos Tada, który dzwonił, by powitać ją w Atlancie, zrobiło jej się przyjemnie.

- Może wyskoczmy na drinka? - zapytał. - Przyjadę po ciebie.

W pierwszej chwili Marissa zamierzała wymówić się zmęczeniem po podróży, jednak w porę przypomniała sobie, że w ostatniej rozmowie telefonicznej, którą odbyła z nim z Los Angeles, Tad mówił jej, że właśnie zakończył prace nad programem badań związanym z AIDS i z zapalem zabrał się do zgłębiania tajników wirusa, którego nazywał Ebola Marissy. Zmęczenie natychmiast ustąpiło miejsca ciekawości. Spytała, jak wyglądają testy.

- Świetnie! - odparł Tad. - Ten materiał idzie jak burza w kulturach tkanek Vero 98.

Badania pod kątem morfologicznym są już zakończone, przeszedłem teraz do analizy białkowej.

- Chciałabym przyrzeć się twojej pracy - stwierdziła Marissa.

- Z przyjemnością pokażę ci wszystko, co będę mógł zaofiarować się. - Niestety, większość prac odbywa się w laboratorium o najwyższym stopniu izolacji.

- Domyślam się - rzekła Marissa.

Zdawała sobie sprawę z tego, że wirus o tak śmiertelnej sile mógł być poddawany badaniom jedynie w pracowni, która izolowała mikroorganizmy, powstrzymując ich rozprzestrzenianie. Marissa wiedziała o istnieniu tylko czterech takich pracowni na całym świecie: właśnie w CKE, w Anglii, Belgii i Związku Radzieckim. Nie była pewna czy posiada takową Instytut Pasteura w Paryżu. Ze względów bezpieczeństwa wstęp do laboratorium miała jedynie garstka upoważnionych. Marissa do nich nie należała. Jednakże zetknąwszy się z niszczycielską mocą Eboli, ciekawa była przebiegu badań prowadzonych przez Tada.

- Nie masz przepustki - wyjaśnił Tad, zdziwiony jej pozorną naiwnością.

- No tak - odparła Marissa - ale co w tym strasznego. że pokażesz mi, jak pracujesz w tej chwili nad Ebola, a zaraz potem pójdziemy na drinka? W końcu jest już późno. Nikt się nie dowie, jeśli wpadniemy teraz na chwilę do laboratorium.

W słuchawce zaległa cisza.

- Wstęp do laboratorium mają tylko uprawnieni pracownicy - powiedział po chwili

Tad żalonym tonem.

Marissa z premedytacją manipulowała nim, gdyż naprawdę nie widziała nic złego w tym, że wejdą razem do laboratorium.

- Nikt się nie dowie - zaszcebiotała przymilnie. - Poza tym ostatecznie jestem częścią waszego zespołu.

- Chyba tak - potwierdził niechętnie Tad.

Widać było, że walczy ze sobą. Na jego decyzji zaważył fakt, że Marissa uzależniła ich spotkanie od swej wizyty w laboratorium. Postanowił w końcu, że przyjedzie po nią za pół godziny, ale nie wolno jej puścić pary z ust na ten temat.

Marissie nie trzeba było nic więcej.

- Nie jestem pewien, czy dobrze robię - wyznał Tad, kierując samochód w stronę kompleksu CKE.

- Daj spokój - odparła Marissa. - Jestem pracownikiem Wywiadowczej Służby Epidemiologicznej, Specjalnego Oddziału Patogenów, na litość boską! - Celowo nadała swojemu tonowi nieznaczny odcień irytacji.

- Moglibyśmy jutro poprosić o wydanie dla ciebie przepustki - zaproponował Tad.

Marissa spojrzała przyjacielowi w twarz.

- Strach cię obleciał? spytała oskarżycielskim tonem.

Prawdą było, że Dubchek wracał następnego dnia z Waszyngtonu i mogliby wystosować do niego oficjalną prośbę o wydanie przepustki. Ale Marissa miała pewne wątpliwości co do rezultatu takiej prośby. Przez ostatnie kilka tygodni od Dubcheka wiało arktycznym chłodem, a powodem tego była jej własna głupota. Sama nie wiedziała, dlaczego nie zdobyła się na przeprosiny albo wręcz na wyznanie, że chciałyby spotkać się z nim

któregoś wieczora. Z każdym upływającym dniem chłód w ich wzajemnych stosunkach narastał, zwłaszcza z jego strony.

Tad zaparkował samochód. W milczeniu skierowali się do głównego wejścia. Umysł Marissy zaprzątnięty był rozważaniami na temat męskiego ego.

Pod czujnym okiem strażnika wpisali się do rejestru i okazali identyfikatory CKE. W kolumnie „Cel wizyty” Marissa wpisała „biuro”. Czekali chwilę na windę, a gdy przyjechała, udali się na trzecie piętro. Przeszli długość całego gmachu i wyszli na zewnątrz, gdzie otoczony drucianą siatką pomost prowadził z głównego budynku do laboratoriów oddziału wirusologii. Podobne przejścia łączyły wszystkie budynki Centrum na większości pięter.

- Laboratorium wymaga najdalej posuniętych środków ostrożności - powiedział Tad, otwierając drzwi prowadzące na oddział wirusologii. - Trzymamy tu próbki wszystkich patologicznych wirusów znanych ludzkości.

- Wszystkich? - spytała Marissa, najwyraźniej zdumiona.

- Tak - odparł Tad tonem dumnego ojca.

- A wirus Ebola? - zapytała.

- Mamy próbki Eboli ze wszystkich poprzednich epidemii. Mamy Marburga, ospę, skądinąd już nie występującą, polio, żółtą gorączkę, dengę, AIDS. Wymień cokolwiek, wszystko tu jest.

- Boże! - wyrwało się Marissie. - Menażeria okropności.

- Można tak to określić.

- W jaki sposób przechowuje się te próbki? - spytała.

- Są zamrożone za pomocą ciekłego azotu.

- Czy zachowują zdolność infekowania? - indagowała dziewczyna.

- Wystarczy je rozmrozić.

Przeszli zwyczajnie wyglądającym korytarzem, mijając mnóstwo ciasnych, ciemnych pomieszczeń biurowych. Marissa była już wcześniej w tej części budynku, kiedy Dubchek wezwał ją do swego biura.

Tad zatrzymał się przed drzwiami do komory niskich temperatur, przypominającej wielkie rzeźnicze lodówki.

- Może cię to zainteresuje - powiedział, otwierając ciężkie skrzydło. W środku paliło się światło.

Nie bez obaw Marissa przestąpiła próg komory. Poczwała na policzkach chłodny i wilgotny powiew. Tad był tuż za nią. Wzdrygnęła się ze strachu, kiedy drzwi zamknęły się za nimi z metalicznym odgłosem zapadki zabezpieczającej.

Wnętrze komory wypełniały rzędy półek, na których znajdowały się maleńkie fiołki, setki tysięcy maleńkich fiołek.

- Co w nich jest? - spytała Marissa.

- Zamrożona surowica odrzekł Tad, biorąc w palce jedną z fiołek, na której widniał numer i data. - Próbki wszystkich znanych, a także wielu innych, nie zidentyfikowanych chorób, pobrane od pacjentów z całego świata. Służą do badań immunologicznych i oczywiście nie posiadają mocy zarażania.

Mimo wszystko Marissa odczuła ulgę, gdy z powrotem znaleźli się w holu.

Jakieś pięćdziesiąt stóp za wejściem do komory niskich temperatur korytarz skręcał w prawo pod ostrym kątem. Tuż za zakrętem znajdowały się masywne drzwi ze stali. Nieco powyżej kulistej klamki umieszczona była klawiatura przycisków, przypominających system alarmowy w domu Marissy. Niżej znajdowała się szczelina na kartę magnetyczną, podobną do tych, jakie stosuje się w automatach bankowych. Tad pokazał Marissie kartę, którą nosił na szyi na rzemyku. Wsunął ją w szczelinę.

- W tej chwili komputer rejestruje nasze wejście - wyjaśnił. Następnie wybrał na przyciskach numer swego kodu: 43-23-39.

- Nieźle wymiary - zauważył żartobliwie.

- Piękne dzięki - odparła ze śmiechem Marissa. Tad również roześmiał się z własnego dowcipu.

Odkąd okazało się, że na oddziale nie ma oprócz nich żywej duszy, Tad wyraźnie się uspokoił. Po krótkiej chwili mechaniczny szcęk oznajmił odblokowanie zamka. Tad przyciągnął drzwi do siebie. Oczom Marissy ukazał się zupełnie inny świat: zamiast obskurnego, zagraconego korytarza ujrzała nagle skomplikowane układy świeżo zamontowanych przewodów o kolorowych oznaczeniach, różnorakie przyrządy pomiarowe i inne futurystyczne akcesoria. W pomieszczeniu panował półmrok tak długo, dopóki Tad nie otworzył drzwi do gabinetu, odsłaniając tablicę elektrycznych wyłączników. Włączał je według określonej kolejności. Pierwszy zapalał światło w pokoju, w którym się znajdowali. Był wysoki niemal na dwa piętra i zawierał masę wszelkiego rodzaju sprzętu. W powietrzu czuło się delikatną woń fenolowego środka dezynfekcyjnego, wywołującego w Marissie skojarzenie ze szkolnym gabinetem, w którym przeprowadzano sekcję zwłok. Kolejny przełącznik rozświetlił rząd okien, okalających wysoki na dziesięć stóp, walcowaty zbiornik, ciągnący się przez całe pomieszczenie. Na jego końcu znajdowały się owalne drzwi, przypominające wodoszczelny wjazd na okrętach podwodnych. Ostatni przełącznik wywołał delikatny pomruk jakiegoś elektrycznego agregatu.

- To kompresory - wyjaśnił Tad w odpowiedzi na pytające spojrzenie Marissy. Nie udzielił jednak żadnych bliższych wyjaśnień. Zamiast tego zatoczył ręką w powietrzu i powiedział:

- Oto centrum dowodzenia laboratorium. Stąd kontroluje się wszystkie wentylatory i

filtry, a nawet generatory promieni gamma. Spójrz na tę masę zielonych światełek.

Oznaczają, że w tej chwili wszystko pracuje bez zarzutu. Przynajmniej taką mam nadzieję!

- Co to oznacza: „Taką mam nadzieję”? - W głosie Marissy brzmiał niepokój. Dopiero spojrzawszy na uśmiechniętą twarz Tada, zdała sobie sprawę, że drażnił się z nią. Nie była już jednak przekonana, czy chce kontynuować tę wizytę. W domowym zaciszu wydawało jej się to doskonałym pomysłem, lecz teraz, w otoczeniu nieznanymi urządzeniami i śmiertelnymi wirusów, jej pewność uległa zachwianiu. Tad jednak nie dał jej czasu do namysłu. Otworzył hermetyczne drzwi i gestem ręki zaprosił dziewczynę do środka. Przechodząc przez sześciocalowy próg, Marissa musiała lekko schylić głowę. Tad wszedł za nią, zamknął i zaryglował drzwi. Nagłe uczucie klaustrofobii omal nie ścięło Marissy z nóg, zwłaszcza że z racji nagłej zmiany ciśnienia musiała kilka razy przełknąć ślinę, by odetkać kanały słuchowe. Wzdłuż komory biegł rząd świetlikowatych okienek, które Marissa wcześniej widziała z zewnątrz. Po obu stronach urządzenia stały ławy i pionowe szafki, a na drugim końcu znajdowały się półki oraz owalny właz hermetyczny.

- Niespodzianka! - Tad rzucił jej bawełniany kombinezon. - Ciuchom ulicznym wstęp wzbroniony.

Po krótkiej chwili wahania, kiedy to Marissa rozpaczliwie rozglądała się wokół w poszukiwaniu choćby najmniejszego ustronnego zakątka, dała za wygraną i rozpięła bluzkę.

Rozbieranie się do bielizny w obecności Tada wprawiło ją w ogromne zakłopotanie, mimo iż chłopak starał się przez ten czas nie spoglądać w jej stronę.

Zmieniwszy ubranie, przeszli przez następne drzwi.

- W kolejnych pomieszczeniach, które mijamy w drodze do laboratorium, panuje coraz niższe ciśnienie. Oznacza to, że ruch powietrza występuje wyłącznie w jedną stronę, do laboratorium, a nie na zewnątrz - wyjaśnił Tad.

Drugie pomieszczenie, w którym się znaleźli, przypominało wyglądem poprzednie, choć nie miało okien. Zapach fenolu stał się wyraźniejszy. Rząd niebieskich kombinezonów z tworzywa zwisał z wieszaków. Tad chwilę przebierał w nich, aż znalazł jeden, który jego zdaniem pasował na Marissę. Wzięła ubranie i przyjrzała mu się. Przypominało skafander astronautyczny, choć pozbawione było workowatej kieszeni na plecach i ciężkiego hełmu. Podobnie jak skafander kosmiczny chroniło wszystkie części ciała, wyposażone było bowiem również w rękawice i buty. Część okrywającą głowę wykonano z przezroczystego plastyku. Cały kombinezon zapinało się na zamek błyskawiczny, biegnący od podbrzusza do szyi. Z tyłu, jak długi ogon, sterczał przewód tlenowy.

Tad wskazał na zielone przewody, biegnące po obu stronach pomieszczenia na wysokości piersi i wyjaśnił, że całe laboratorium wyposażone jest w system takich instalacji. W regularnych odstępach umieszczono jasnożółte rozgałęźniki przewodów z nasadkami do zamocowania węża tlenowego, połączonego z kombinezonem. Tad wyjaśnił, iż wewnątrz skafandra panuje dodatnie ciśnienie wypełniającego go powietrza, dzięki czemu nigdy nie oddycha się powietrzem z laboratorium. Tak długo kazał Marissie ćwiczyć podłączanie i odłączanie węża tlenowego, aż uznał, że w dostawczym stopniu opanowała tę sztukę.

- W porządku, czas się ubierać - stwierdził Tad, pokazując Marissie, jak ma zakładać swój strój. Był to skomplikowany proces, a największą trudność sprawiło Marissie umieszczenie głowy w zamkniętym kapturze. Spojrzała przez przezroczystą plastikową szybę, która błyskawicznie zaparowała od oddechu.

Tad kazał jej podłączyć przewód tlenowy i natychmiast do wnętrza skafandra popłynęło świeże powietrze, chłodzące ciało i odparowujące ścianki kaptura. Tad zapisał zamek w kombinezonie Marissy, po czym wprawnymi ruchami sam się ubrał. Nappełnił skafander powietrzem, a następnie odłączył przewód tlenowy i trzymając go w ręce, ruszył w

stronę drzwi na końcu pomieszczenia. Marissa uczyniła to samo, aby jednak nadążyć za Tadem, kołysała się kaczym chodem.

Po prawej stronie drzwi znajdowała się tablica przełączników elektrycznych.

- Wewnętrzne oświetlenie laboratorium - objaśnił Tad, pstrykając przełącznikami.

Jego głos, tłumiony skafandrem, ledwie docierał do Marissy, dodatkowo zagłuszany przez szum napełniającego jej strój powietrza. Przeszli przez kolejne hermetyczne drzwi, które Tad starannie zamknął za sobą.

Następne pomieszczenie było o połowę mniejsze od poprzednich, ściany zaś i biegnące po nich przewody pokrywał biały, kredowy nalot. Na podłodze leżała plastikowa kratownica.

Na moment podłączyli węże tlenowe, po czym przeszli przez ostatnie drzwi na drodze do laboratorium. Marissa kroczyła tuż za Tadem, trzymając w ręku przewód tlenowy, który podłączała za każdym razem, gdy uczynił to Tad.

Oczom Marissy ukazała się przestronna, prostokątna sala z centralnie umieszczoną wysepką stanowisk laboratoria, okrytych czapami wyciągów służących do wentylacji. Wzdłuż ścian umieszczono całą masę najrozmaitszych urządzeń - wirówki, inkubatory, różne rodzaje mikroskopów, terminale komputerowe i mnóstwo innych, których przeznaczenia Marissa nie mogła się nawet domyślać. Po lewej stronie znajdowały się superszczelne drzwi, zamknięte na zasuwę.

Tad poprowadził Marissę prosto do jednego z inkubatorów i otworzył szklane drzwiczki. Probówki z kulturami tkanek umieszczone były w powoli obracającej się kuwecie.

Tad wyjął jedną i podał Marissie ze słowami:

- Oto Ebola.

Oprócz niewielkiej ilości płynu, który zawierała probówka, jej wewnętrzna ścianka z

jednej strony pokryta była cienką warstwą żywych komórek, zainfekowanych wirusem. W tych komórkach wirus dokonywał własnej replikacji. Mimo pozornie niewinnego wyglądu zawartości probówki, Marissa była w pełni świadoma, że znajdujący się w niej wirus mógł uśmiercić wszystkie żywe istoty w Atlancie, a może nawet w całych Stanach Zjednoczonych. Na taką myśl dziewczyna wzdrygnęła się i mocniej przytrzymała probówkę w dłoniach.

Tad odebrał naczynie z jej rąk i przeszedł do jednego z mikroskopów. Umieścił pod nim hermetyczną próbkę, wyregulował ostrość obrazu, po czym odsunął się od okularu, by zrobić miejsce Marissie.

- Widzisz te ciemne grudki w cytoplazmie? - spytał.

Marissa potakująco skinęła głową. Nawet poprzez plastikową szybę mogła z łatwością dostrzec wspomniane przez Tada ciała wtrętowe, jak również jądra komórkowe o nieregularnym obrysie.

- To pierwsze oznaki inwazji wirusa - wyjaśnił Tad. - Dopiero co założyłem te kultury. Zdolności tego wirusa do reprodukcji są niewiarygodne.

Marissa podniosła się znad okularu mikroskopu, a Tad zabrał probówkę i odstawił ją na miejsce do inkubatora. Następnie zaczął relacjonować przebieg swych skomplikowanych badań. Wskazywał przy tym na specjalistyczne urządzenia, z których korzystał podczas pracy, a także opisywał ze szczegółami konkretne eksperymenty, które przeprowadzał.

Marissie trudno było się skupić. Nie przyszła tu po to, by omawiać z Tadem przebieg jego badań, lecz w żadnym razie nie mogła mu tego powiedzieć.

W końcu poprowadził ją korytarzem do istnego labiryntu klatek, w których trzymano zwierzęta doświadczalne. Klatki te piętrzyły się niemal po sam sufit. Żyły w nich małpy, króliki, świnki morskie, szczury i myszy, tysiące oczu wpatrywało się w Marissę, niektóre apatyczne, jakby niewidzące, inne zionące zacieklą nienawiścią. Tad wyciągnął pojemnik z

gryzoniami, które nazywał szwajcarskimi myszami śnieżnymi. Miał właśnie zamiar pokazać je Marissie, lecz okazało się to niemożliwe.

- Słowo daję! - wykrzyknął. - Wstrzyknąłem im pierwszą dawkę zaledwie dziś po południu, a już prawie wszystkie zdechły - spojrzał na nią. - Twój wirus Ebola jest naprawdę groźny. Zupełnie jak w epidemii zairskiej z siedemdziesiątego szóstego.

Marissa niechętnie zajrzała do pojemnika ze zdechłymi myszami.

- Czy można dokonać porównania różnych szczepów?

- Bez problemu - odparł Tad, usuwając nieżywe zwierzęta. Wrócili do głównego laboratorium, gdzie Tad wyszukał dla nich nowy pojemnik. Przez cały czas, kiedy się krzątał, odpowiadał na pytania Marissy, choć trudno jej było go zrozumieć, gdy nie znajdował się bezpośrednio przy niej. Plastikowy kombinezon nadawał jego głosowi głuche brzmienie, zupełnie jak gdyby przemawiał do niej Darth Vader z *Gwiezdnych wojen*.

- Teraz, kiedy zacząłem sporządzać charakterystykę twojego wirusa Ebola - mówił - łatwo będzie porównać go z wcześniej występującymi szczepami. Te myszy to dopiero początek. Na razie trzeba, będzie poczekać na ocenę statystyczną wyników.

Kiedy już ułożył ciała zdechłych myszy w pojemniku do sekcji, podszedł do drzwi zamkniętych na zasuwę.

- Nie sądzę, byś miała ochotę tu wchodzić - rzucił i nie czekając na odpowiedź, otworzył drzwi i zniknął za nimi. Leciutki obłok mgiełki uniósł się w powietrzu, kiedy drzwi uderzyły w ciągnący się za Tadem wąż tlenowy. Marissa natychmiast spostrzegła powstałą szczelinę i odważnie postanowiła podążyć za przyjacielem. Jednak zanim zdążyła ruszyć się z miejsca, Tad był już z powrotem i pospiesznie zatrzasnął za sobą drzwi.

- Mam również zamiar dokonać porównania struktury polipeptydów oraz wirusowego RNA między twoim wirusem a poprzednimi szczepami Eboli - podjął przerwany wątek.

- Wystarczy! - roześmiała się Marissa. - Przy tobie czuje się jak ostatnia idiotka.

Zanim coś z tego zrozumie, czeka mnie kilka nocy nad podręcznikiem wirusologii.

Przejdźmy może raczej do drugiego punktu naszego wieczoru i chodźmy na drinka.

- Z przyjemnością - odparł Tad z entuzjazmem.

Przy wyjściu czekała tylko jedna niespodzianka. W pomieszczeniu o ścianach

pokrytych kredowym osadem spadł na nich deszcz dezynfekującego fenolu. Tad roześmiał się na widok zaskoczenia na twarzy dziewczyny.

- Teraz już wiesz, jak czuje się muszla klozetowa.

Kiedy przebierali się w swoje ubrania, Marissa spytała, co znajduje się za drzwiami, za które Tad wyniósł ciała zdechłych myszy.

- Och, to tylko wielka lodówka, nic specjalnego. - Zbył pytanie machnięciem ręki.

Przez następne cztery dni Marissa wykonywała codzienne czynności domowe,

zajmując się głównie mieszkaniem i psem. Następnego dnia po powrocie uporała się z

najtrudniejszymi zadaniami, do których należało wyrzucenie z lodówki całej sterty zgniłych

warzyw oraz uregulowanie zaległych rachunków. W pracy pogрузzyła się w studiach nad

wirusową gorączką krwotoczną, koncentrując się zwłaszcza na Eboli. Korzystając z biblioteki

CKE, uzyskała szczegółowe materiały dotyczące dotychczasowych epidemii Eboli: Zair,

1976; Sudan, 1976; Zair, 1977; Sudan, 1979. W każdej z nich wirus pojawiał się nie wiadomo

skąd, atakował zniemacka, po czym znikał nie wykryty. Czyniono ogromne wysiłki, by

zlokalizować organizm pełniący rolę rezerwuaru wirusa. Ponad dwieście różnych gatunków

zwierząt i owadów zostało poddanych badaniom jako potencjalni żywiciele. Bez rezultatu.

Jedynym odkryciem okazało się stwierdzenie antyciał u niektórych okazów świnki morskiej.

Marissę zainteresował przede wszystkim opis pierwszej epidemii zairskiej.

Rozprzestrzenianie się choroby miało związek z placówką medyczną, zwaną Szpitalem

Misyjnym w Yambuku. Jakie powiązania istnieć mogły między tym szpitalem a Kliniką Richtera, między Yambuku a Los Angeles? Z pewnością niewiele było między nimi punktów wspólnych.

Marissa usadowiła się w ostatnim rzędzie bibliotecznych stołów, zatopiona w *Wirusologii* Fieldsa. Zajęła się kulturami tkanek, co miało być wstępem do dalszych zajęć praktycznych w głównym laboratorium wirusologii. Tad pokazał jej parę względnie nieszkodliwych wirusów, aby dziewczyna przyzwyczała się do korzystania z najnowszych sprzętu laboratoryjnego.

Marissa spojrzała na zegarek. Właśnie minęła druga. O trzeciej piętnaście miała spotkanie z doktorem Dubchekiem. Dzień wcześniej przekazała przez jego sekretarkę oficjalną prośbę o zezwolenie na korzystanie z laboratorium, motywując ją załączonym planem programu eksperymentalnego, dotyczącego przenoszenia wirusa Ebola. Nie oczekiwała jednakże z optymizmem odpowiedzi Dubcheka, który od czasu powrotu do Los Angeles najwyraźniej ją ignorował.

Jakiś cień padł na otwartą stronę i Marissa odruchowo podniosła głowę znad książki.

- Proszę, proszę! Ta dziewczyna jeszcze żyje! - zahuczał tuż nad jej uchem znajomy głos.

- Ralph - wykrztusiła Marissa, zaskoczona zarówno jego pojawieniem się w CKE, jak i tubalnością głosu. Kilka głów odwróciło się w ich stronę z zaciekawieniem.

- Krążyły pogłoski, że ona jeszcze żyje, ale musiałem to sprawdzić na własne oczy - grzmiał dalej Ralph, nie zważając na karcące spojrzenie pani Campbell.

Niecierpliwym gestem Marissa kazała mu uciszyć się, potem wzięła go za rękę i wyprowadziła na korytarz, gdzie mogli spokojnie porozmawiać. Patrząc na jego uśmiechnięte oblicze, poczuła przyływ ciepłych uczuć do tego mężczyzny.

- Miło cię znowu widzieć - wyznała, obejmując go. Trapiły ją wyrzuty sumienia, że nie odezwała się do niego od czasu powrotu do Atlanty. Podczas jej pobytu w Los Angeles rozmawiali przez telefon przynajmniej raz w tygodniu.

Jak gdyby czytając w jej myślach, Ralph zapytał:

- Dlaczego nie zadzwoniłaś? Dubchek powiedział mi, że jesteś w Atlancie od czterech dni.

- Miałam zamiar skontaktować się z tobą właśnie dzisiaj - odparła, lecz nie brzmiało to zbyt przekonująco. Fakt, że Ralph rozmawia o niej z Dubchekiem podziałał na nią deprymująco.

Zeszli do baru CKE na kawę. O tej porze sala była prawie pusta, siedli więc przy stoliku nie opodal okna z widokiem na dziedziniec. Ralph wyjaśnił, że w drodze ze szpitala do swego gabinetu postanowił złapać ją jeszcze przed wieczorem, by zaprosić na kolację.

- Co o tym sądzisz? - zapytał, pochylając się i kładąc rękę na jej dłoni. - Umieram z ciekawości. Chciałbym poznać szczegóły twego zwycięstwa nad Ebolą w Los Angeles.

- Jeżeli śmierć dwudziestu jeden osób można nazwać zwycięstwem - odparła Marissa.

- Co gorsza, z epidemiologicznego punktu widzenia ponieśliśmy porażkę. Nie zlokalizowaliśmy źródła wirusa, który musi się gdzieś rozwijać. Wyobrażasz sobie reakcję mediów, gdyby CKE nie zlokalizowało swego czasu bakterii legionistów w systemie klimatyzacyjnym?

- Sądzę, że zbyt surowo się oceniasz - zauważył Ralph.

- Nie zmienia to faktu, że nie mamy pojęcia, kiedy i gdzie Ebolą pojawi się ponownie

- odrzekła Marissa. - Niestety, mam przeczucie, że to wkrótce nastąpi. I ta niewiarygodna śmiertelność...

W pamięci dziewczyny żywo tkwił obraz umierających pacjentów.

- Podczas epidemii w Afryce również nie udało się ustalić, skąd pochodził wirus - zauważył Ralph, usiłując poprawić jej nastrój.

Marissie zaimponowała jego wiedza.

- Telewizja - wyjaśnił. - Oglądając wieczorne wiadomości, można liczyć trochę medycyny. - Uścisnął dłoń Marissy. - Powiem ci, dlaczego powinnaś uważać swój pobyt w Los Angeles za sukces: udało ci się zahamować epidemię, która mogła przybrać rozmiary katastrofy.

Marissa uśmiechnęła się. Domyśliła się, że Ralph robi co może, by polepszyć jej nastrój i była mu za to wdzięczna.

- Dziękuję ci - powiedziała. - Masz rację. Epidemia mogła przybrać znacznie gorszy obrót i przez chwilę myśleliśmy, że tak się stanie. Dzięki Bogu, kwarantanna okazała się skuteczna. Śmiertelność przekroczyła dziewięćdziesiąt cztery procent; zanotowaliśmy jedynie dwa przypadki wyzdowień. Nawet Klinikę Richtera można uważać za ofiarę wirusa ze względu na złą reputację, jaką zyskała z powodu Eboli, podobnie jak łaźnie miejskie San Francisco z powodu AIDS. - Marissa rzuciła okiem na zegar - było już po trzeciej. - Za kilka minut mam umówione spotkanie - rzuciła przeproszająco. - Jesteś kochany, że tu wstąpiłeś, a kolacja dziś wieczorem zapowiada się fantastycznie.

- A zatem, do kolacji - pożegnał się Ralph, zabierając tacę z pustymi kubkami.

Marissa weszła na trzecie piętro, skąd przeszła do budynku wirusologii. W świetle dnia nie sprawiał on tak groźnego wrażenia jak w nocy. Skręcając w korytarz prowadzący do biura Dubcheka, Marissa wyobraziła sobie, że tuż za zakrętem znajdują się stalowe drzwi otwierające drogę do laboratorium. Było dokładnie siedemnaście po trzeciej, kiedy zameldowała się u sekretarki szefa.

Pośpiech nie był jednak potrzebny. Siedząc naprzeciwko sekretarki i wertując

„Virology Timesa”, w którym znalazła plakat pod hasłem „Wirus miesiąca”, Marissa domyśliła się, że Dubchekowi z pewnością zależy, by czekała na rozmowę z nim. Ponownie rzuciła okiem na zegarek: było za dwadzieścia czwarta. Zza drzwi dobiegał głos Dubcheka rozmawiającego przez telefon. Na konsoli znajdującej się na biurku sekretarki światelko najpierw zgasło, kiedy odłożono słuchawkę, a potem ponownie rozbłysło, informując o kolejnym połączeniu. Za pięć czwarta drzwi otworzyły się i Dubchek gestem zaprosił Marissę do środka.

Biuro było małe i zavalone przedrukami artykułów, rozrzuconymi na biurku, regale, a także na podłodze. Dubchek był bez marynarki, a krawat wetknął pod koszulę gdzieś między drugim a trzecim guzikiem. Najwyraźniej nie zamierzał jej przeproszać za to, że musiała czekać lub wyjaśniać, dlaczego tak się stało. Na jego ustach gościł uśmiezek, który wywołał szczególną irytację u Marissy.

- Sądzę, iż otrzymał pan moje podanie - zaczęła, starając się w wystudiowany sposób nadać głosowi urzędowy charakter.

- Owszem - odparł Dubchek.

- Czy podjął pan jakąś decyzję w związku z tym? - spytała Marissa po chwili wahania.

- Doświadczenie zdobyte podczas kilku dni pobytu w laboratorium nie wystarczy, by pracować w warunkach najwyższej izolacji - stwierdził.

- Co pan chce przez to powiedzieć?

- Że ma pani kontynuować swoje badania nad mniej patogenicznymi wirusami do czasu, gdy zdobędzie pani odpowiednie doświadczenie.

- Skąd będę wiedziała, kiedy to nastąpi? - Marissa zdawała sobie sprawę z tego, że

Cyrill ma rację, choć przyszło jej na myśl, że gdyby spotykali się ze sobą, jego odpowiedź mogłaby być inna. Dręczyło ją, że nie była dość odważna, by przeprosić za swoje

wcześniejsze chłodne zachowanie. Był przecież przystojnym mężczyzną, który pociągał ją o wiele bardziej niż Ralph, z którym wolała poprzestać na wspólnych kolacjach.

- Sądzę, że sam najlepiej będę wiedział, kiedy uzyska pani niezbędne doświadczenie - przerwał brutalnie tok jej myśli - ja lub Tad Schockley.

Marissie od razu ulżyło. Jeżeli Tad ma o tym decydować, to wkrótce powinna uzyskać pozwolenie.

- Tymczasem - ciągnął Dubchek, podnosząc się zza biurka - mam ważniejszą sprawę do omówienia z panią. Rozmawiałem właśnie przez telefon z kilkoma osobami, między innymi z epidemiologiem stanu Missouri. W St. Louis zanotowali pojedynczy przypadek ciężkiej choroby wirusowej, która, jak sądzą, może okazać się Ebolą. Wyruszy pani tam niezwłocznie, oceni sytuację w kategoriach klinicznych, wyśle próbki Tadowi i prześle sprawozdanie. Oto pani rezerwacja na najbliższy lot.

Wręczył jej kartkę papieru, na której widniał zapis: Delta, lot 1083, odlot 17:34, przylot 18:06.

Marissę zamurowało. Teraz, w godzinie szczytu, będzie jej trudno zdążyć na czas.

Wiedziała, że pracownik Sekcji Wywiadu Epidemiologicznego w zasadzie powinien siedzieć na walizkach, a jednak była zaskoczona. No i nie wiedziała, co zrobić z Taffym, o którego też należało się zatroszczyć.

- Przygotujemy ruchome laboratorium, jeśli zajdzie taka potrzeba - ciągnął Cyrill - ale miejmy nadzieję, że do tego nie dojdzie.

Wyciągnął rękę, by życzyć jej powodzenia, lecz Marissa była tak zaabsorbowana myślą o spotkaniu ze śmiertelnym wirusem Eboli już za kilka godzin, że wyszła z pokoju bez pożegnania. Wiadomość oszołomiła ją. Przyszła tu w nadziei uzyskania pozwolenia na korzystanie z laboratorium, a wychodziła z poleceniem natychmiastowego udania się do St.

Louis. Rzut oka na zegarek sprawił, że zaczęła biec. Czas upływał nieubłaganie.

3 marca

Dopiero gdy samolot rozpoczął kołowanie na pasie startowym, Marissa przypomniała sobie o spotkaniu z Ralphem. No cóż, powinna znaleźć się na miejscu dość wcześnie, by złapać go w domu. Niewielką pociechę stanowił fakt, że na gruncie zawodowym czuła się trochę pewniej niż podczas lotu do Los Angeles. Wiedziała przynajmniej, czego się od niej oczekuje. Niemniej jednak, znając niszczycielską siłę wirusa, gdyby był to Ebola, Marissa martwiła się o swoje zdrowie bardziej niż przyznawała się do tego. Nie wspomniała o tym nikomu, lecz nurtowała ją obawa, że mogła nabawić się choroby przy pierwszym z nią zetknięciu. Każdy kolejny dzień, który mijał bez symptomów zarażenia, sprawiał jej ulgę. Lecz mimo to, utajony lęk wciąż czaił się w jej umyśle. Innym zmartwieniem Marissy był fakt, że kolejny przypadek Eboli pojawił się tak prędko. Jeśli faktycznie był to ten wirus, to w jaki sposób został przeniesiony do St. Louis? Czy była to epidemia niezależna od tej w Los Angeles, czy też należało ją traktować jako rozprzestrzenienie się poprzedniej? Czy ktoś przeniósł chorobę z Los Angeles, czy może była to jakaś „Ebola Mary” podobna do niesławnej „Durowej Mary”. Żadne z tych pytań nie nastrajało Marissy optymistycznie.

- Czy podać pani kolację? - spytała stewardesa, przerywając tok myśli Marissy.

- Oczywiście - odparła dziewczyna, opuszczając składany stolik. Lepiej było coś zjeść, bez względu na to czy czuła głód, czy nie. Wiedziała, że w St. Louis może nie mieć aa to czasu.

Wysiadając z taksówki, którą dojechała z lotniska do Szpitala Społecznego Planu Zdrowotnego St. Louis, Marissa z radością dostrzegła betonowy, zadaszony wjazd do szpitala. Na zewnątrz strumienie wody były wściekle o asfalt. Nawet mając nad głową osłonę w postaci dachu, musiała, biegnąc w kierunku obrotowych drzwi wejściowych, postawić kołnierz płaszcza, by uniknąć nieprzyjemnych podmuchów wiatru, niosących krople deszczu.

W rękach trzymała walizkę i teczkę, gdyż nie miała czasu, by zostawić bagaż w hotelu.

Szpital robił wrażenie nawet w ciemny, deszczowy dzień. Zaprojektowany w nowoczesnym stylu, z elewacją z licowych płyt marmurowych, posiadał wjazd stanowiący trzypiętrową replikę Łuku Triumfalnego. Wnętrze wyłożone było głównie jasnym dębem i jasnoczerwonymi wykładzinami. Niezbyt uprzejmy recepcjonista skierował Marissę do biura administracji, znajdującego się za wahadłowymi drzwiami.

- Doktor Blumenthal! - wykrzyknął niewielki człowieczek o orientalnych rysach, wyskakując zza biurka. Marissa cofnęła się o krok, gdy człowieczek ten uwolnił ją od walizki i energicznie potrząsnął jej dłonią.

- Doktor Harold Taboso - przedstawił się. Jestem tu dyrektorem medycznym. A to doktor Peter Austin, epidemiolog stanu Missouri. Oczekiwaliśmy pani przybycia.

Marissa wymieniła uścisk dłoni z doktorem Austinem, wysokim, szczupłym mężczyzną o rumianej cerze.

- Jesteśmy niezmiernie zobowiązani za pani szybkie przybycie - powiedział Taboso. - Czy zechce pani coś zjeść lub wypić?

Marissa potrząsnęła przecząco głową, jednocześnie wyrażając podziękowanie za tak uprzejme przyjęcie.

- Jadłam już w samolocie - wyjaśniła. - Chciałabym od razu przystąpić do pracy.

- Oczywiście, oczywiście - odparł Taboso.

Przez chwilę sprawiał wrażenie zdezorientowanego. Jego milczenie wykorzystał Austin, mówiąc:

- Jesteśmy dobrze poinformowani o wypadkach w Los Angeles, stąd też nasze obawy, że mamy do czynienia z tą samą chorobą. Jak pani wiadomo, dziś rano odnotowaliśmy jeden podejrzany przypadek, a podczas gdy pani leciała tutaj, zgłoszono dwa następne.

Marissa przygryzła wargę. Cały czas miała jeszcze nadzieję, że alarm okaże się fałszywy, lecz teraz, w obliczu dwóch nowych przypadków zachorowań, trudno było jej pozostać optymistką. Zatopiona w fotelu podsuniętym przez doktora Taboso, odezwała się:

- Proszę mi zrelacjonować wszystko, co do tej pory wiadomo.

- Obawiam się, że nie jest tego zbyt wiele - odparł Austin. - Było za mało czasu.

Pierwszy przypadek stwierdzono około czwartej nad ranem. Szybka reakcja doktora Taboso zasługuje na pochwałę. Pacjenta natychmiast odizolowano, co, jak mamy nadzieję, zminimalizowało kontakt z chorobą na terenie szpitala.

- To rzeczywiście dobrze - stwierdziła Marissa. - Czy przeprowadzono badania laboratoryjne?

- Oczywiście - odparł Taboso.

- To może stanowić pewien problem - wyjaśniła Marissa.

- Rozumiem - przyznał Austin - ale badania zlecono natychmiast po przyjęciu pacjenta, zanim jeszcze powzięliśmy jakiegokolwiek podejrzenia dotyczące diagnozy.

Zawiadomiliśmy CKE niezwłocznie po otrzymaniu informacji przez moje biuro.

- Czy udało wam się ustalić jakieś powiązania z epidemią w Los Angeles? Czy któryś z pacjentów pochodzi z Los Angeles?

- Nie - zaprzeczył Austin. - Wzięliśmy taką możliwość pod uwagę, ale nie byliśmy w stanie ustalić żadnego związku między naszym przypadkiem a epidemią kalifornijską.

- Cóż - westchnęła Marissa, ciężko podnosząc się z fotela. - Chodźmy zobaczyć pacjentów. Zakładam, że dysponujecie pełnym sprzętem ochronnym.

- Oczywiście - potwierdził Taboso, wskazując drogę do wyjścia.

Przeszli przez korytarz ku windom. Kiedy winda ruszyła, Marissa zadała pytanie:

- Czy macie tu jakichś pacjentów, którzy przebywali ostatnio w Afryce?

Lekarze spojrzeli po sobie, po czym Taboso odrzekł niezdecydowanie:

- Nie wydaje mi się, żebyśmy mieli tu kogoś takiego.

Marissa nie spodziewała się wcale innej odpowiedzi. To byłoby zbyt proste. Śledziła wznoszenie się windy na wyświetlaczu pięter. Zatrzymali się na ósmym.

Idąc korytarzem, Marissa zauważyła, że sale, które mijają, są zupełnie puste. Bliższe spojrzenie ujawniło, że większość z nich nie była nawet wyposażona. Natomiast ściany holu zamiast świeżej farby nosiły tylko ślady zagruntowania.

Doktor Taboso zauważył jej zdziwienie.

- Proszę mi wybaczyć - rzekł - Powinienem być pani wyjaśnić. Otóż szpital zaprojektowano na zbyt dużą liczbę łóżek. W konsekwencji ósme piętro nigdy nie zostało wykończone. Zdecydowaliśmy się jednak użyć go w przypadku sytuacji krytycznej. Świetnie nadaje się do izolacji pacjentów, nie sądzi pani?

Doszli na oddział pielęgniarski, który, z wyjątkiem braków w umeblowaniu, wyglądał na wykończony. Marissa wzięła do ręki kartę pierwszego pacjenta. Usiadła za biurkiem i w oczy rzuciło jej się nazwisko pacjenta: Zabriski. Na stronie zawierającej podstawowe dane dotyczące stanu chorego, zanotowano występowanie znanego już Marissie połączenia wysokiej gorączki i niskiego ciśnienia krwi. Następna strona przeznaczona była na zapis historii choroby pacjenta. Marissa przebiegła wzrokiem notatki i natrafiła na pełne nazwisko pacjenta: doktor Carl M. Zabriski. Podnosząc wzrok na doktora Taboso, spytała z niedowierzaniem:

- Czy pacjent jest lekarzem?

- Niestety tak - odparł Taboso. - To nasz szpitalny okulista.

Zwracając się do Austina, Marissa zapytała:

- Czy wiadomo panu, że pierwszy chory w Los Angeles również był lekarzem?

Dokładniej mówiąc okulistą!

- To okrutny zbieg okoliczności - odparł Austin, wzdrygając się.

- Czy doktor Zabriski przeprowadzał jakieś badania na małpach? - spytała Marissa.

- Nic mi o tym nie wiadomo - odparł Taboso. - Z całą pewnością nie u nas w szpitalu.

- O ile sobie przypominam, w Los Angeles wśród chorych nie było już więcej lekarzy

- zauważył Austin.

- Zgadza się - potwierdziła Marissa. - Tylko ten jeden. Oprócz niego zachorowało

trzech techników laboratoryjnych i jedna pielęgniarka.

Powracając do trzymanej w ręku karty pacjenta, Marissa przebiegła ją wzrokiem.

Historia choroby nie była aż tak dokładna jak w przypadku doktora Richtera. Nie było w niej

wzmianki o ostatnio odbytych podróżach ani o kontaktach ze zwierzętami. Lecz analizy

laboratoryjne były na medal i pomimo że nie wszystkie wyniki testów były jeszcze znane, te,

które już dostarczono, wskazywały na poważne uszkodzenia wątroby i nerek. Jak dotąd dane

potwierdzały hipotezę wystąpienia gorączki krwotocznej Ebola.

Przejrzawszy kartę, Marissa poprosiła o narzędzia i materiały potrzebne do pobrania i

zapakowania próbek. Gdy już wszystko przygotowała, zeszła w towarzystwie jednej z

pielęgniarek do wydzielonego sektora izolacyjnego. Przed wejściem na salę zaopatrzyła się w

czepek, maskę, rękawiczki, gogle i buty.

Przy łóżku pacjenta znajdowały się dwie podobnie zabezpieczone kobiety:

pielęgniarka i lekarka.

- Jaki jest stan pacjenta? - spytała Marissa, podchodząc do nich. Było to pytanie nie

wymagające odpowiedzi. Stan pacjenta był aż nadto wyraźny. Pierwszą rzeczą, jaką

zauważyła Marissa była wysypka na jego ciele. Następnie dostrzegła oznaki krwotoku: z

nozdrza wystawał zgłębnik nosowo-żołądkowy, wypełniony jasnoczerwoną krwią. Doktor

Zabriski był przytomny, lecz już na granicy omdlenia. Było jasne, że nie jest w stanie odpowiedzieć na żadne pytanie.

Krótką rozmową z lekarką potwierdziła domysły Marissy. Stan pacjenta pogorszył się w ciągu dnia, szczególnie przez ostatnią godzinę, kiedy to zaobserwowano postępujący spadek ciśnienia krwi.

Marissie wystarczyła ta informacja w zupełności. Pod względem klinicznym pacjent w przerażający sposób przypominał doktora Richtera. Do momentu postawienia innej diagnozy należało założyć, że doktor Zabriski oraz dwaj pozostali pacjenci padli ofiarą gorączki krwotocznej Ebola.

Pielęgniarka pomogła Marissie pobrać wymaz z nosa oraz próbki krwi i moczu.

Marissa powtórzyła czynności ze szpitala w Los Angeles: zapakowała próbki w dwa woreczki i zdezynfekowała ich powierzchnię podchlorynem sodu. Następnie zdjęła ubranie ochronne, umyła ręce i udała się z powrotem na oddział pielęgniarski, by zatelefonować do Dubcheka.

Ich rozmowa była krótka i rzeczowa. Marissa stwierdziła, że objawy kliniczne wskazują, iż mają do czynienia z kolejnym wybuchem epidemii Eboli.

- Jak wygląda izolacja?

- W tym względzie wykonali tu dobrą robotę - odparła Marissa.

-

Postaramy się przyjechać jak najszybciej powiedział Dubchek. -

Najprawdopodobniej jeszcze dziś w nocy I tymczasem proszę wstrzymać wszelkie prace laboratoryjne i zarządzić skrupulatną dezynfekcję. Poza tym niech ogłoszą kwarantannę na tych samych zasadach, jakie ustaliliśmy w Los Angeles.

Marissa już miała odpowiedzieć, gdy przerywany sygnał oznajmił jej, że Dubchek

zakończył rozmowę. Westchnęła kładąc słuchawkę na widełki: cóż za wspaniałe stosunki ze zwierzchnikiem.

- Zabieramy się do pracy - oznajmiła stojącym obok Taboso i Austinowi.

Natychmiast podjęto kroki zmierzające do wprowadzenia kwarantanny i zarządzono sterylizację laboratorium. Marissa otrzymała zapewnienie, że próbki badań zostaną wysłane do CKE jeszcze tego wieczora.

Kiedy obaj lekarze odeszli do swoich zajęć, Marissa poprosiła o karty pozostałych dwóch pacjentów. Pielęgniarka imieniem Pat, wręczając jej karty, powiedziała:

- Nie wiem, czy doktor Taboso wspomniał o tym, ale na dole czeka pani Zabriski.

- Czy jest kolejną pacjentką? - spytała zaniepokojona Marissa.

O, nie - odrzekła Pat. - Po prostu uparła się, że zostanie w szpitalu. Chciała początkowo przyjść tutaj, lecz doktor Taboso nie zgodził się. Polecił jej zostać w poczekalni na pierwszym piętrze.

Marissa odłożyła karty chorobowe, zastanawiając się nad tym, co powinna uczynić.

Postanowiła zobaczyć się z panią Zabriski w nadziei, że dowie się więcej szczegółów z ostatniego okresu przed chorobą doktora. Ponadto chciała sprawdzić po drodze, czy sterylizacja laboratorium przebiega prawidłowo. Otrzymawszy wskazówki od Pat, Marissa zjechała windą na drugie piętro. Patrząc na twarze mijanych Judzi, zastanawiała się, jak zareagowałiby, gdyby powiedziała im w tej chwili, że w szpitalu wybuchła epidemia Eboli.

Była jedyną osobą wysiadającą na drugim piętrze. Spodziewała się, że zastanie w laboratorium jedynie wieczorną zmianę, dlatego też przystanęła zdziwiona, widząc, że dyrektor, patolog Arthur Rand, nadal pracuje, mimo iż dawno minęła już ósma. W garniturze w kratkę i z widocznym złotym łańcuszkiem od zegarka wystającym z kieszeni sprawiał wrażenie napuszonego starszego pana. Informacja, że Marissa reprezentuje CKE, nie zrobiła

na nim najmniejszego wrażenia, podobnie jak jej opinia, oparta na objawach klinicznych pacjentów, iż w szpitalu panuje Ebola. Rewelacja ta nie była w stanie zmienić beznamiętnego wyrazu jego twarzy.

- Taka możliwość była ujęta w diagnozach roboczych - stwierdził.
- CKE prosi o zaprzestanie wszelkich badań laboratoryjnych na pacjentach dotkniętych chorobą.

Marissa wiedziała już, że z tym mężczyzną nie pójdzie jej łatwo.

- Jeszcze dziś w nocy powinno pojawić się tu specjalne laboratorium CKE.
- Proponuję, żeby poinformowała pani o tym doktora Taboso - odrzekł Rand.
- Już to zrobiłam - odparła Marissa. - Uważamy również, że laboratorium szpitalne powinno zostać poddane dezynfekcji. Podczas epidemii w Los Angeles trzy przypadki zachorowań miały swe pośrednie źródło w laboratorium. Jeśli pan chce, służę swoją pomocą.
- Sądzę, że damy sobie radę sami - stwierdził Rand z miną, która mówiła:

Dziewczyno, czy myślisz że masz do czynienia z idiotą?

- Będę w pobliżu, gdyby mnie pan potrzebował - rzuciła Marissa na odchodnym.

Zrobiła w tej sprawie wszystko, co było w jej mocy.

Na pierwszym piętrze skierowała się do schludnej poczekalni połączonej ze szpitalną kaplicą. Nie miała pewności, czy rozpozna panią Zabriski, lecz w poczekalni była tylko jedna osoba.

- Pani Zabriski - odezwała się Marissa stłumionym głosem. Kobieta uniosła głowę.

Miała około czterdziestu paru lub pięćdziesięciu lat, włosy gdzieniegdzie poprządkane były pasemkami siwizny. Oczy miała spuchnięte i zaczerwienione - widać było, że płakała.

- Doktor Blumenthal - przedstawiła się Marissa. - Nie chcę pani niepokoić, ale muszę zadać kilka pytań.

W oczach kobiety pojawił się strach.

- Czy Carl nie żyje?

- Żyje.

- Ale on umrze wkrótce, prawda?

- Pani Zabriski - zaczęła Marissa, pragnąc ominąć tak drażliwy temat, zwłaszcza że była niemal pewna, iż intuicja nie zawodzi tej kobiety. Usiadła naprzeciw niej. - Nie jestem jednym z lekarzy pani męża. Jestem tu po to, by dowiedzieć się, na co i w jaki sposób zachorował. Czy mąż podróżował w ciągu ostatnich... - Marissa chciała powiedzieć „trzech tygodni”, ale mając w pamięci wizytę doktora Richtera w Afryce, dokończyła: - ...ostatnich dwóch miesięcy?

- Owszem - odparła pani Zabriski zmęczonym głosem. - Uczestniczył w konferencji medycznej w San Diego w zeszłym miesiącu, a jakiś tydzień temu był w Bostonie.

Wzmianka o San Diego sprawiła, że Marissa wyprostowała się na krześle.

- Czy w San Diego mąż brał udział w konferencji na temat chirurgii powieki?

- Tak mi się wydaje - odrzekła pani Zabriski. - Ale Judith, jego sekretarka, będzie lepiej wiedzieć.

Umysł Marissy znajdował się w stanie wzburzenia. Zabriski brał udział w tej samej konferencji co Richter! Czy to kolejny zbieg okoliczności? Jedyne problem stanowił fakt, że rzeczona konferencja odbyła się jakieś sześć tygodni wcześniej, co było okresem porównywalnym do tego, który upłynął między podróżą Richtera do Afryki a pojawieniem się u niego pierwszych symptomów choroby.

- Czy pamięta pani, w jakim hotelu zatrzymał się mąż w San Diego? - spytała Marissa.

- Czy nie był to przypadkiem hotel Coronado?

- Chyba tak - potwierdziła pani Zabriski.

Przywołując w pamięci kluczową rolę, jaką odegrał pewien hotel w Filadelfii podczas epidemii choroby legionistów, Marissa indagowała panią Zabriski o szczegóły podróży jej męża do Bostonu. Niestety, kobieta nie była w stanie przypomnieć sobie powodu tego wyjazdu. Zamiast tego, podała Marissie numer telefonu sekretarki męża, stwierdzając ponownie, że będzie ona znać takie szczegóły.

Marissa zapisała numer, a następnie zapytała, czy doktor Zabriski został ostatnio ukąszony przez małpę i czy w ogóle miał z małpami do czynienia.

- Nie, nie - zaprzeczyła pani Zabriski. - Przynajmniej nic mi o tym nie wiadomo.

Marissa podziękowała jej i przeprosiła za kłopot. Od razu pospieszyła do telefonu, by zadzwonić do Judith.

Zanim sekretarka zdecydowała się udzielić wyjaśnień, Marissa musiała dwa razy przedstawić się i wytłumaczyć, czym się zajmuje oraz dlaczego dzwoni o tak późnej porze.

Judith potwierdziła, wszystko to, co Marissa usłyszała od pani Zabriski, a mianowicie, że w San Diego doktor zatrzymał się w hotelu Coronado, że ostatnio nie został ukąszony przez małpę i że, o ile jej wiadomo, w ogóle nigdy nie zajmował się małpami. Na pytanie, czy doktor Zabriski znał doktora Richtera, padła odpowiedź, że nazwisko Richtera nigdy nie pojawiło się w żadnej korespondencji ani też na liście telefonów. Judith wyjaśniła, że doktor Zabriski udał się do Bostonu, aby pomóc zaplanować nadchodzący zjazd absolwentów Szpitala Okulistyczno-Laryngologicznego Massachusetts. Podała Marissie numer telefonu kolegi Zabriskiego w Bostonie. Zapisując go, dziewczyna rozważała możliwość przeniesienia wirusa przez Zabriskiego na teren Bostonu. Postanowiła przedyskutować taką ewentualność z Dubchekiem.

Nagle przypomniało jej się, że nie zadzwoniła z lotniska do Ralpha. Wykręciła szybko jego numer. Kiedy w słuchawce odezwał się zaspany głos, Marissa przeprosiła go gorąco

zarówno za to, że dzwoni tak późno, jak i za to, że nie skontaktowała się z nim przed wyjazdem z Atlanty. Krótka opowiedziała mu, co zaszło. Ralph zgodził się jej wybaczyć wszystko pod warunkiem, że będzie co parę dni dzwonić do niego i relacjonować przebieg wypadków. Marissa przystała na tę propozycję z ochotą.

Kiedy znalazła się z powrotem na oddziale izolacji, zajęła się studiowaniem kart choroby pozostałych pacjentów. Figurowały na nich nazwiska Carol Montgomery i doktora Briana Cestera. Oboje skarżyli się na wysoką gorączkę, silne bóle głowy oraz skurcze brzuszne. Pomimo że dolegliwości te mogły być wywołane różnymi chorobami, intensywność ich występowania budziła obawę. Żadna z kart nie zawierała wzmianki o podróżach lub kontaktach ze zwierzętami.

Marissa zaopatrzyła się w sprzęt do pobrania próbek wirusa i odziana w strój ochronny, udała się na wizytę do Carol Montgomery. Pacjentka była zaledwie o rok starsza od niej i Marissie trudno było się z nią nie identyfikować. Pracowała w jednej z większych firm prawniczych w mieście. Pomimo iż zachowała przytomność i mogła rozmawiać, widać było, że jest poważnie chora.

Marissa spytała ją o podróże w ostatnim czasie. Odpowiedź była negatywna. Spytała zatem, czy Carol zna doktora Zabriskiego. Pacjentka potwierdziła. Leczył ją. Czy była u niego z wizytą w ostatnim czasie? Owszem. Cztery dni temu.

Marissa pobrała próbki na obecność wirusa, po czym z ciężkim sercem opuściła izolatkę. Stawianie diagnozy bez widoków na skuteczne leczenie należało do niewdzięcznych zadań. Fakt, że udało jej się uzyskać informacje, które przywodziły na myśl poprzednią epidemię, był nikłą pociechą. A jednak te informacje przypomniały jej o kwestii, która nurtowała ją już w Los Angeles: dlaczego tylko niektórzy pacjenci doktora Richtera zarazili się od niego chorobą?

Dokonawszy zamiany stroju ochronnego na nowy, Marissa udała się do izolatki

doktora Briana Cestera. Zadała mu te same pytania, które postawiła Carol, i otrzymała takie same odpowiedzi, z wyjątkiem jednej. Zagadnięty, czy był pacjentem Zabriskiego, Cester odpowiedział, przewyciężając chwytające go skurcze:

- Nie, nigdy nie byłem u okulisty.

- Czy pracował pan z doktorem Zabriskim? - indagowała Marissa.

- Czasami byłem jego anesteziologiem - odparł Cester. Jego twarz ponownie stężała z bólu. Kiedy atak przeszedł, wyjaśnił: - Częściej gramy razem w tenisa. Ostatnio grałem z nim cztery dni temu.

Opuszczając izolatkę po pobraniu próbek, Marissa czuła się zupełnie zdezorientowana. Sądziła przedtem, że do przenoszenia choroby potrzebny jest bliski kontakt - szczególnie przez błonę śluzową. Trudno o to podczas gry w tenisa.

Przygotowawszy drugi zestaw próbek do wysyłki, Marissa powróciła do studiowania karty Zabriskiego. Zwracając uwagę na najdrobniejsze szczegóły, przeczytała historię choroby, po czym sporządziła dla doktora identyczny kalendarz jak poprzednio dla Richtera. Umieściła w nim informacje uzyskane od pani Zabriski i sekretarki, zdając sobie sprawę z tego, że będzie musiała jeszcze raz z nimi porozmawiać. Pomimo iż w Los Angeles nie przyczyniło się to do odkrycia rezerwuaru wirusa, tym razem Marissa wierzyła, że analizując dokładnie przypadek doktora Zabriskiego, uda jej się wytropić jakiś wspólny element, poza faktem, że obaj lekarze brali udział w tej samej konferencji w San Diego.

Dubchek, Vreeland i Layne przybyli grubo po północy. Ich przyjazd nieco podniósł

Marissę na duchu, zwłaszcza że stan kliniczny Zabriskiego uległ dalszemu pogorszeniu.

Opiekujący się nim lekarz zażądał przeprowadzenia rutynowych badań krwi w celu ustalenia stanu uwodnienia pacjenta, co postawiło Marissę w niezręcznej sytuacji: z jednej strony

konieczność wynikająca z terapii pacjenta, z drugiej bezpieczeństwo całego szpitala.

Zdecydowała się zezwolić na testy, które można przeprowadzić w izolatce chorego.

Zaraz po zdawkowym powitaniu trójka przybyłych lekarzy zignorowała Marissę, całą uwagę poświęcając uruchomieniu laboratorium i poprawie izolacji pacjentów. Doktor Layne sprowadził potężne wentylatory wyciągowe, a doktor Vreeland udał się do administracji, by omówić kwestię kwarantanny.

Marissa ponownie zasiadła do studiowania kart pacjentów, lecz wkrótce informacje w nich zawarte wyczerpały się. Wstała i skierowała się do instalowanego laboratorium.

Dubchek pracował tam wraz z dwoma technikami z CKE. Był bez marynarki, w koszuli z podwiniętymi rękawami. Zmagali się wspólnie z jakimś problemem elektrycznym w aparaturze.

- Czy mogę w czymś pomóc? - spytała Marissa.

- Nie wydaje mi się - odparł Dubchek, nie podnosząc głowy. Zwrócił się natomiast do jednego z techników, przekonując go, że powinni wymienić elektrody czujnika.

- Chciałabym porozmawiać przez chwilę o moich spostrzeżeniach - wtrąciła się

Marissa, pragnąc powiedzieć szefowi, że Zabriski brał udział w tej samej zjeździe medycznym co Richter.

- To musi poczekać - odparł chłodno Dubchek. - Uruchomienie laboratorium jest ważniejsze niż teorie epidemiologiczne.

Wracając na oddział pielęgniarstwa, Marissa kipiała gniewem. Nie spodziewała się takiej arogancji ze strony Dubcheka, nie zasłużyła na nią. Jeżeli miał na celu pomniejszenie jej udziału w tej akcji, udało mu się to w stu procentach. Siedząc za biurkiem, Marissa zastanawiała się, co robić. Mogła pozostać na oddziale w nadziei, że Dubchek poświęci jej dziesięć minut, lub iść się przespać. Zmęczenie dało o sobie znać. Włożyła papiery do teczki i

zjechała na pierwsze piętro po walizkę.

Zamówiony telefon obudził Marissę o siódmej. Po porannej kąpieli ubrała się i stwierdziła, że jej wczorajsza złość na Dubcheka minęła. W końcu działał pod dużą presją. Jeżeli Ebola rozprzestrzeni się w sposób niekontrolowany, to on będzie za to odpowiedzialny, nie ona.

Na oddziale izolacyjnym jeden z techników CKE poinformował ją, że Dubchek udał się do hotelu o piątej rano. Nie potrafił jej wskazać, gdzie jest Vreeland lub Layne.

Na oddziale pielęgniarstwie panował mały chaos. W nocy przyjęto pięciu następnych pacjentów z podejrzeniem gorączki krwotocznej Ebola. Marissa pozbierała karty chorych, lecz w pewnej chwili zauważyła, że brakuje dokumentacji Zabriskiego. Zapytała o nią jedną z pielęgniarek.

- Doktor Zabriski zmarł krótko po godzinie czwartej, dziś rano.

Mimo iż tak naprawdę spodziewała się tego, Marissa była wstrząśnięta. Podświadomie wierzyła, że zdarzy się cud. Usiadła i ukryła twarz w dłoniach. Po chwili wzięła się w garść i zmusiła do przejrzenia kart nowych pacjentów. Mogła w ten sposób zająć czymś umysł.

Złapała się na tym, że bezwiednie sprawdza swą szyję w poszukiwaniu opuchlizny. Natrafiła na miękki obszar. Czy nie jest to aby powiększony węzeł chłonny?

Ucieszyła się, gdy nadszedł doktor Layne i przerwał jej rozważania. Layne był dyrektorem Szpitalnego Programu Chorób Zakaźnych przy CKE. Ciemne obwódki wokół oczu, zapadnięte policzki i szczeciniasty zarost świadczyły o przepracowanej nocy.

Uśmiechnęła się do niego, z sympatią patrząc na jego zmęczoną postać. Przypominał jej emerytowanego gracza w piłkę nożną. Usiadł ciężko obok niej, masując skronie.

- Zapowiada się, że będzie równie źle jak w Los Angeles - odezwał się. - Mamy następnego pacjenta w drodze do izolatki i jeszcze jednego na nagłych wypadkach.

- Właśnie zaczęłam przeglądać karty nowych pacjentów - powiedziała Marissa, czując się winna, że poprzedniej nocy nie została w szpitalu.

- Mogę pani jedno powiedzieć - rzekł Layne. - Wszyscy nowi pacjenci zarazili się prawdopodobnie tu, w szpitalu. Dlatego tak mnie to martwi.

- Czy wszyscy to pacjenci doktora Zabriskiego? - spytała Marissa.

- Ci tutaj tak - powiedział Layne, wskazując karty choroby leżące przed nimi. - Byli ostatnio z wizytą u Zabriskiego. Prawdopodobnie zaraził ich w trakcie badania. Dwoje nowych chorych jest pacjentami doktora Cestera. Był anesteziologiem przy ich operacjach, które miały miejsce w ciągu ostatnich dziesięciu dni.

- A, właśnie, doktor Cester. Jak pan sądzi, czy nabawił się on choroby w ten sam sposób co doktor Zabriski?

Layne potrząsnął głową.

- Nie. Rozmawiałem z nim dość długo i dowiedziałem się, że on i Zabriski grali razem w tenisa.

Marissa skinęła głową.

- Ale czy taki kontakt może spowodować zakażenie?

- Jakieś trzy dni przedtem, nim zachorował Zabriski, Cester między setami pożyczył od niego ręcznik. Myślę, że to przesądziło o sprawie. Przeniesienie choroby zależy w dużej mierze od bezpośredniego zetknięcia z płynami ciała. Sądzę, że Zabriski jest kolejnym przypadkiem wyjściowym, podobnie jak Richter.

Marissa poczuła się jak idiotka. W sprawie Cestera tylko jedno dodatkowe pytanie dzieliło ją od wykrycia ważnego związku. Więcej nie popełni takiego błędu.

- Gdybyśmy tylko mogli się dowiedzieć, w jaki sposób wirus Ebola dostał się do szpitala - rzucił Layne.

Na oddziale pielęgniarskim pojawił się Dubchek, zmęczony, lecz starannie ogolony i jak zwykle ubrany bez zarzutu. Marissa była zaskoczona. Jeżeli wyszedł o piątej, to ledwie mógł zdążyć wziąć prysznic i przebrać się, nie ma natomiast mowy choćby o chwili snu.

Zanim Dubchek zdążył nawiązać rozmowę z Laynem, Marissa szybko powiadomiła ich obu, że Zabriski brał udział w tej samej konferencji w San Diego, w której uczestniczył Richter, oraz że obaj mieszkali w tym czasie w jednym hotelu.

- To bez znaczenia - odparł Dubchek stanowczo. - Konferencja odbyła się ponad sześć tygodni temu. To zbyt dawno.

- Ale wydaje się, że to jedyny wspólny punkt w obu tych przypadkach - broniła się Marissa. - Sądzę, że powinniśmy podążyć tym tropem.

- Bardzo proszę, jak pani uważa - stwierdził Dubchek. - Tymczasem chciałbym, żeby zeszła pani na oddział patologii i dopilnowała, aby zachowano wszelkie środki ostrożności, kiedy będą robić sekcję zwłok Zabriskiego. I proszę im powiedzieć, że chcemy zamrożone próbki wątroby, serca, mózgu i śledziony w celu izolacji wirusa.

- A nerka? - wtrącił Layne.

- Nerkę też - zakończył Dubchek.

Marissa odchodziła z uczuciem, że traktuje się ją jak gońca na posyłki. Zastanawiała się, czy kiedykolwiek odzyska szacunek Dubcheka, a potem, przypomniawszy sobie w jakich okolicznościach go straciła, jej przygnębienie zamieniło się w płomienny gniew.

Na oddziale patologii, gdzie o tej porze panował duży ruch, skierowano ją do sali sekcji zwłok. Spodziewała się znaleźć tam doktora Randa. Mając żywo w pamięci jego arogancki i napsuszony styl bycia, bynajmniej nie spieszyła się na to spotkanie.

Sale przeznaczone do sekcji zwłok wyłożone były białymi kafelkami i błyszczącą, nierdzewną stalą. Zapach formaliny unoszący się w powietrzu sprawił, że do oczu Marissy

napłynęły łzy. Ktoś powiedział jej, że Zabriski leży w sali numer trzy.

- Jeśli chce pani być obecna przy zabiegu, musi pani włożyć ubranie ochronne. To niezbyt czyste zajęcie.

Marissa przyjęła to zalecenie z wdzięcznością, ze względu na to, jak bardzo bała się Eboli. Kiedy weszła na salę, Rand właśnie miał rozpocząć sekcję. Spojrzał na nią znad stołu zastanego przerażającymi narzędziami. Ciało doktora Zabriskiego było zamknięte w przezroczystym, plastikowym worku, na górze miało kolor ziemistej bieli, na dole zaś sinoszkarłatny.

- Czołem! - pogodnym głosem powitała Marissa Randa. Przyszło jej bowiem na myśl, że może udawać wesołość.

Wobec braku odpowiedzi, przekazała polecenia CKE patologowi, który zgodził się dostarczyć próbki. Poza tym zaleciła użycie gogli.

- Spora liczba zachorowań, zarówno tu, jak i w Los Angeles, spowodowana była zarażeniem przez błonę spojówki - wyjaśniła.

Doktor Rand mruknął coś pod nosem i wyszedł. Wrócił po chwili, niosąc parę plastikowych gogli. Bez słowa wręczył je Marissie.

- Jeszcze jedno - dodała dziewczyna. - CKE nie zaleca użycia pił elektrycznych przy tego rodzaju przypadkach, gdyż w wyniku ich działania osadza się aerozol.

- Nie zamierzałem używać narzędzi elektrycznych - powiedział Rand. - Może to panią zdziwi, ale miałem już w swej karierze do czynienia z chorobami zakaźnymi.

- Wobec tego zakładam, że nie muszę pana przestrzegać przed skaleczeniem się w palec - odcięła się Marissa. - Pewien patolog zmarł po tym na wirusową gorączkę krwotoczną.

- Pamiętam - odparł Rand. - Gorączka Lassa. Czy uraczy nas pani jeszcze jakimiś

sugestiami?

- Nie - odrzekła.

Patolog przeciął plastikowy worek i odsłonił ciało Zabriskiego. Marissa nie wiedziała

- odejść czy pozostać. Niezdecydowanie przerodziło się w bierność i dlatego została.

Doktor Rand rozpoczął opis zewnętrznych znaków na ciele zmarłego. Mówił do

mikrofonu znajdującego się nad jego głową i włączanego przez naciśnięcie nogą pedału. Jego

monotonny głos przywołał w pamięci Marissy lata szkolne. Gwałtownie powróciła do

rzeczywistości, usłyszawszy, jak Rand opisuje sztyłą ranę czaszki. To było coś nowego. Nie

uwzględniono tego w karcie Zabriskiego, podobnie jak rozcięcia na prawym łokciu i

owalnego siniaka na prawym udzie, który wielkością odpowiadał ćwierćdolarówce.

- Czy te okaleczenia miały miejsce przed czy po śmierci denata? - spytała.

- Przed śmiercią - odparł Rand z nie maskowaną irytacją w głosie.

- Kiedy dokładnie się ich nabawił? - indagowała, nie zrażona jego tonem. Pochyliła

się, by lepiej przyjrzeć się śladom na ciele.

- Powiedziałbym, że przed tygodniem - odparł Rand. - Z dokładnością do kilku dni.

Można by to dokładnie ustalić, badając tkanki pod mikroskopem. Jednakże, biorąc pod uwagę

obecny stan pacjenta, nie sądzę, by miało to jakiegokolwiek znaczenie. A teraz, jeśli pani

pozwoli, chciałbym wrócić do pracy.

Odsunięta od ciała Marissa, analizowała zauważone ślady urazów. Z pewnością

istniało jakieś proste wytłumaczenie: może Zabriski upadł podczas gry w tenisa? Marissę

zastanawiało jednak, dlaczego rozcięcia i rana czaszki nie zostały uwzględnione w karcie

pacjenta. Uczono ją zapisywać w rejestrach każde spostrzeżenie.

Gdy tylko Rand zakończył sekcję, Marissa sprawdziła poprawność wykonania próbek,

postanawiając niezwłocznie zabrać się do wyjaśnienia pochodzenia obrażeń denata.

Skorzystała z telefonu na patologii, by zadzwonić do Judith, sekretarki Zabriskiego.

Liczyła sygnały, przy dwudziestym odłożyła słuchawkę. Nie chcąc niepokoić pani Zabriski, Marissa postanowiła najpierw odszukać doktora Taboso, lecz później przyszło jej do głowy, by udać się do gabinetu Zabriskiego, który musiał znajdować się gdzieś na terenie szpitala. Miała rację, za biurkiem siedziała Judith.

Była drobną dziewczyną w wieku dwudziestu paru lat. Rozmazany tusz na policzkach świadczył o tym, że płakała. Ale oprócz żalu, z jej postaci emanował strach. Dziewczyna była przerażona.

- Pani Zabriski jest chora - wyrzuciła z siebie natychmiast, gdy tylko Marissa przedstawiła się. - Dosłownie przed chwilą rozmawiałam z nią. Jest na dole, w nagłych wypadkach, ale mają ją przyjąć do szpitala. Podejrzewają, że to ta sama choroba, na którą umarł jej mąż. Mój Boże, czy mnie też to czeka? Jakie są objawy?

Z pewną trudnością Marissie udało się uspokoić ją na tyle, by wyjaśnić, że w Los Angeles sekretarka chorego lekarza wcale nie zachorowała.

- To nic, i tak się stąd wynoszę - odparła Judith, otwierając boczną szufladę biurka szpitala i wyciągając sweter, który następnie wrzuciła do kartonowego pudła. Najwyraźniej pakowała swoje rzeczy. - Nie tylko ja chcę stąd uciec - dodała. - Rozmawiałam z wieloma osobami z personelu i wszyscy chcą się stąd wynieść.

- Rozumiem, co pani czuje - powiedziała Marissa. Zastanawiała się, czy zajdzie konieczność wprowadzenia kwarantanny dla całej obsługi szpitala. W Klinice Richtera było to koszmarem. - Przyszłam, żeby zadać pani jedno pytanie - oznajmiła Marissa.

- Więc proszę pytać - Judith nie przerywała przekładania zawartości szuflad do kartonu.

- Doktor Zabriski miał na ciele skaleczenia, zupełnie jakby się gdzieś przewrócił. Czy

coś pani wiadomo na ten temat?

- To nic takiego - Judith zbyła pytanie ruchem ręki. - Jakiś tydzień temu został napadnięty w tutejszym kompleksie handlowym, kiedy szukał prezentu urodzinowego dla żony. Stracił wtedy portfel i złotego rolexa. Chyba uderzono go w głowę.

To tyle na temat tajemniczych urazów denata, pomyślała Marissa. Przez chwilę stała, przyglądając się, jak Judith wrzuca swe rzeczy do pudła. Starła się jednocześnie przypomnieć inne pytania, które mogłaby zadać sekretarce. Nic jednak nie przyszło jej do głowy, pożegnała się więc i wyszła, kierując się na oddział izolacyjny. Była przerażona podobnie jak Judith.

Oddział izolacyjny utracił już swą pierwotną atmosferę spokoju. Po przyjęciu nowych pacjentów zabiegane pielęgniarki pracowały w pełnej obsadzie. Marissa odnalazła Layne'a, dokonującego wpisów do kart pacjentów.

- Witamy w Bedlam - powiedział. - Mamy pięć nowych przypadków, w tym panią Zabriski.

- Słyszałam - odrzekła Marissa, zajmując miejsce obok niego. Gdyby tylko Dubchek traktował mnie w ten sposób, pomyślała, jak koleżankę po fachu.

- Dzwonił Tad Schockley. To Ebola.

Po plecach Marissy przebiegł zimny dreszcz.

- W każdej chwili ma do nas przybyć Stanowy Komisarz do Spraw Zdrowia - ciągnął Layne. - Zdaje się, że sporo osób z personelu szpitalnego ma zamiar opuścić klinikę: pielęgniarki, technicy, nawet niektórzy lekarze. Doktor Taboso przeżywał ciężkie chwile, starając się obsadzić ten oddział. Widziała pani miejscową gazetę?

Marissa zaprzeczyła ruchem głowy. Kusiło ją, by oznajmić, że ona również nie ma zamiaru zostawać, jeśli wiązało się to z ryzykiem zarażenia.

- Nagłówek brzmi: „Powrót zarazy!” - Layne skrzywił się z niesmakiem. - Media

potrafią być takie nieodpowiedzialne. Dubcek zakazał jakichkolwiek rozmów z prasą.

Wszystkie pytania muszą być kierowane bezpośrednio do niego.

Uwagę Marissy zwrócił odgłos otwierających się drzwi windy dla pacjentów.

Dostrzegła plastikowy namiot izolujący, pod którym rozpoznała panią Zabriski. Wzdrygnęła się ponownie. Nie była wcale pewna, czy lokalna gazeta przesadza, tytułując w ten sposób swój artykuł.

10 kwietnia

Marissa delectowała się deserem, na który pozwalała sobie jedynie przy wyjątkowych okazjach. Był to jej drugi wieczór po powrocie do Atlanty i Ralph zaprosił ją na kolację do przytulnej, francuskiej restauracji. Po pięciu niemalże bezsennych tygodniach, kiedy to pospiesznie przelykała posiłki w szpitalnym bufecie, elegancka kolacja wydała jej się niebiańską rozkoszą. Zauważyła, że po okresie abstynencji, ciągnącym się od wyjazdu z Atlanty, wino szybko uderza jej do głowy. Zdawała sobie sprawę z tego, że rozgadała się na dobre, lecz Ralph wydawał się zadowolony z roli słuchacza, jaka mu przypadła.

Kończąc swą relację, Marissa serdecznie przeprosiła Ralpha za to, że nie dała mu dojść do słowa, rozprawiając o swojej pracy. Na usprawiedliwienie wskazała swój pusty kieliszek.

- Nie ma za co przepraszać - zaproponował Ralph. - Mógłbym tak słuchać przez cały wieczór. Jestem pod wrażeniem tego, co osiągnęłaś zarówno w Los Angeles, jak i w St. Louis.

- Przecież zdawałam ci relację na bieżąco - zaprotestowała Marissa, mając na myśli ich częste rozmowy telefoniczne. Podczas pobytu w St. Louis Marissa dzwoniła do Ralpha co kilka dni. Rozmowy te były dla niej sprawdzianem własnych teorii, a także sposobem na odreagowanie frustracji, wynikającej z uporczywego ignorowania jej osoby przez Dubcheka. W obu tych sprawach Ralph wykazywał zrozumienie i chęć pomocy.

- Chciałbym, żebyś powiedziała mi coś więcej na temat reakcji tamtejszej społeczności - poprosił. - W jaki sposób administracja szpitala i jego personel medyczny usiłowali zapanować nad paniką, zważywszy, że tym razem było trzydzieści siedem przypadków śmiertelnych?

Marissa spróbowała opisać mu zamieszanie powstałe w szpitalu w St. Louis.

Kwarantanna wprawiła we wściekłość zarówno personel szpitala, jak i pacjentów, a doktor Taboso powiedział jej ze smutkiem, że klinika zostanie najprawdopodobniej zamknięta po odwołaniu kwarantanny.

- Wiesz, muszę przyznać, że nadal boję się, że sama zachoruję - wyznała Marissa z zażenowaniem. - Za każdym razem, gdy zboli mnie głowa myślę, że to Ebola. I chociaż nadal nie ustalono pochodzenia wirusa, Dubchek głosi teorię, że źródło jest w jakiś sposób powiązane z personelem medycznym, co bynajmniej nie poprawia mi humoru.

- Wierzysz w to? - zapytał Ralph.

Marissa roześmiała się.

- Oficjalnie powinnam wierzyć. A jeśli to rzeczywiście prawda, musisz uważać się za jednostkę szczególnie zagrożoną. Oba przypadki wyjściowe to okuliści.

- Nie mów tak - roześmiał się Ralph. - Jestem przesądny.

Marissa usiadła wygodniej, podczas gdy kelner podawał drugą już tego wieczora kawę. Smakowała wybornie, lecz Marissa wiedziała, że pożałuje tego później, kiedy bezskutecznie będzie próbowała zasnąć.

Kiedy kelner sprzątnął ze stołu, kontynuowała:

- Jeżeli przypuszczenia Dubcheka są słuszne, wówczas trzeba przyjąć, że obaj okuliści w jakiś sposób zetknęli się z tajemniczym rezerwuarem wirusa. Łamałam sobie nad tym głowę tygodniami i nie wpadłam na trop żadnego rozwiązania. Doktor Richter miał kontakt z małpami, jedna z nich ukąsiła go na tydzień przed pojawieniem się pierwszych symptomów choroby. Ponadto małpom przypisano roznoszenie pokrewnego wirusa zwanego Marburg. Z kolei doktor Zabriski nie stykał się z żadnymi zwierzętami.

- Przypominam sobie, że wspominałaś mi o tym, że doktor Richter był w Afryce - zauważył Ralph. - Sądzę, że ma to ogromne znaczenie. W końcu Afryka to endemiczne

siedlisko wirusa.

- To prawda - odparła Marissa. - Ale ramy czasowe się nie zgadzają. Okres inkubacji u Richtera musiałby wynosić sześć tygodni, podczas gdy u innych pacjentów zajmował średnio od dwóch do sześciu dni. Weźmy teraz problem powiązań pomiędzy obiema epidemiami. Doktor Zabriski nie był w Afryce. Jedynym punktem wspólnym jest tu konferencja medyczna w San Diego, w której obaj uczestniczyli. Z kolei to zdarzenie miało miejsce na sześć tygodni przed zachorowaniem Zabriskiego. To istne szaleństwo - Marissa machnęła ręką z rezygnacją.

- Możesz być przynajmniej zadowolona, że udało się opanować epidemię w pewnym stopniu. Założę się, że w Afryce skończyło się dużo gorzej.

- To prawda - przytaknęła Marissa. - Podczas epidemii zairskiej w 1976 roku, w której przypadkiem wyjściowym był najprawdopodobniej amerykański student, zanotowano trzysta osiemnaście przypadków zachorowań, z czego dwieście osiemdziesiąt osób zmarło.

- No, proszę - odrzekł Ralph, czując, że statystyka porównawcza podniesie Marissę na duchu. Złożył swoją serwetkę i położył na stole. - Może wpadniemy do mnie na wieczornego drinka?

Marissa utkwiała w nim wzrok, myśląc jak dobrze czuje się w towarzystwie tego mężczyzny. Najbardziej zaskakujące było to, że ich związek scementował się w zasadzie przez telefon.

- Wieczorny drink brzmi bardzo obiecująco - odrzekła z uśmiechem.

Wychodząc z restauracji, Marissa ujęła swego towarzysza pod ramię. Kiedy doszli do samochodu, Ralph otworzył jej drzwi. Dziewczyna stwierdziła, że przyjemnie jest być tak traktowaną przez mężczyznę.

Samochód był dumą Ralpha. Świadczyła o tym czułość, z jaką dotykał przełączników i kierownicy. Był to nowiutki mercedes 300 SDL. Rozparłszy się wygodnie w skórzanym

fotelu, Marissa przyznała, że jest bardzo komfortowy, lecz samochody nigdy nie stanowiły jej pasji. Nie mogła również zrozumieć, dlaczego ludzie kupują diesle, które przy rozruchu i na wolnych obrotach wydawały nieprzyjemny klekot.

- Są ekonomiczne - wyjaśnił Ralph.

Marissa omiotła wzrokiem wyposażenie auta. Zdziwiło ją, że ktoś może się tak oszukiwać, nazywając kosztownego mercedesa samochodem ekonomicznym.

Milczeli przez chwilę, podczas której Marissę naszły wątpliwości, czy wizyta w domu Ralpha o tej porze jest rzeczywiście dobrym pomysłem. Z drugiej strony, miała do niego zaufanie i chciała posunąć ich znajomość trochę dalej. Spojrzała na Ralpha. W półmroku dostrzegła jego dobrze zarysowany profil z dominującą linią nosa, zupełnie jak u jej ojca.

Kiedy usadowili się na kanapie w salonie, popijając z wolna brandy, Marissa wspomniała o czymś, czego wolała nie mówić lekceważącemu ją Dubchekowi.

- Ciekawi mnie jedna sprawa, wspólna dla obu przypadków wyjściowych. Obaj mężczyźni padli ofiarą pobicia na kilka dni przed zachorowaniem - zamilkła w oczekiwaniu na reakcję Ralpha.

- Brzmi bardzo podejrzanie, co? - mrugnął do niej Ralph. - Sugerujesz, że istnieje jakaś „Ebola Mary”, która okrada ludzi i rozprzestrzenia chorobę?

Marissa roześmiała się.

- Wiem, że to brzmi głupio. Dlatego nikomu innemu o tym nie wspominałam.

- Musisz jednak wziąć pod uwagę wszelkie ewentualności - dodał Ralph. - To stary medyczny dryl, który każe ci zadawać pytania na każdy temat, nawet w jaki sposób twój pradziadek ze strony matki zarabiał na życie w Starym Kraju.

Marissa świadomie sprowadziła rozmowę na tematy związane z pracą Ralpha i jego domem, należały one bowiem do jego ulubionych. W miarę upływu czasu zaczęła się

zastanawiać, dlaczego mężczyzna nie czyni w jej stronę żadnego gestu. Rozważała, czy powodem nie jest czasem jej ostatnie obcowanie z Ebolą. A on pogorszył sprawę, proponując jej nocleg w pokoju gościnnym.

Marissa poczuła się dotknięta. Może nawet bardziej niż gdyby usiłował ściągnąć z niej suknię w chwili, gdy przekroczyli próg domu. Odpowiedziała, że dziękuje, ale nie ma zamiaru spędzić nocy w jego pokoju gościnnym, chce spać we własnym domu, w towarzystwie swojego psa. Ostatnia część zdania była pomyślana jako afront, lecz ten strzał chybił celu. Ralph nadal z zapałem przedstawiał swe plany zmiany wystroju pierwszego piętra, teraz, kiedy - jak twierdził - dożył chwili, w której nareszcie wie, czego chce w życiu. Prawdę mówiąc, Marissa nie była pewna, jak postąpiłaby, gdyby Ralph uczynił jakiś krok w kierunku zbliżenia fizycznego. Był świetnym przyjacielem, lecz nie znajdowała w nim tego romantyzmu i takiej atrakcyjności, jaką posiadał Dubchek.

Myśl o nim sprawiła, że spytała Ralpa:

- W jaki sposób poznałeś doktora Dubcheka?

- Spotkałem go podczas prelekcji dla okulistów w Szpitalu Uniwersyteckim - wyjaśnił

Ralph, po czym dodał: - Kilka z rzadko występujących wirusów, jak Ebola lub AIDS, zostało zlokalizowanych we łzach oraz w cieczy wodnistej. Niektóre z nich powodują nawet zapalenie błony naczyniowej oka.

- Aha - przytaknęła Marissa, udając, że rozumie. W rzeczywistości nie miała zielonego pojęcia, co oznacza ten termin, jednak nie zaprzętała sobie tym głowy. Uznała, że może już poprosić Ralpa, by odwiózł ją do domu.

W ciągu następnych kilku dni Marissa prowadziła raczej normalny tryb życia, choć podrywała się na każdy dzwonek telefonu, spodziewając się wezwania do następnej epidemii Eboli. Pamiętna pośpiechu, w jakim ostatnio opuszczała Atlantę, spakowała na wszelki

wypadek walizkę i wstawiła ją do szafy, by w każdej chwili wrzucić do niej jedynie kosmetyczkę. W ten sposób mogła, jeśliby zaszła taka potrzeba, opuścić dom w ciągu paru minut.

W pracy szło Marissie coraz lepiej. Tad służył jej pomocą w doskonaleniu umiejętności laboratoryjnych, a także w zredagowaniu propozycji badań nad wirusem Ebola.

Z braku roboczej hipotezy dotyczącej rezerwuaru wirusa, Marissa skoncentrowała się na kwestii jego przenoszenia. Na podstawie niezliczonej liczby danych zebranych w Los Angeles i St. Louis, sporządziła szczegółowe wykresy przypadków zarażeń, ilustrujące przeniesienie choroby z jednej osoby na drugą. Jednocześnie dokonała charakterystyki osób uznanych za kontakt pierwszego stopnia, które jednak nie uległy chorobie. Jak sugerował doktor Layne, do transmisji potrzebny był bliski kontakt osobisty, najczęściej wirusowy, poprzez błonę śluzową, chociaż - inaczej niż w przypadku AIDS - przeniesienie przez kontakt seksualny miało miejsce jedynie u doktora Richtera i jego kochanki oraz u małżeństwa Zabriskich. Przy założeniu, że gorączka krwotoczna może rozprzestrzeniać się wśród obcych sobie ludzi, którzy użyją tego samego ręcznika, lub też na skutek przelotnego dotknięcia, można było śmiało stwierdzić, że AIDS przy Eboli to fraszka.

Marissa chciała sprawdzić swą hipotezę, wykonując doświadczenia na świnkach morskich. Jednakże taki eksperyment winien być przeprowadzony w głównym laboratorium, do którego nadal nie miała wstępu.

- Zdumiewające! - wykrzyknął Tad pewnego popołudnia, kiedy Marissa zademonstrowała technikę, opracowaną w celu uratowania zarażonych bakteriami kultur wirusowych. - Nie wyobrażam sobie, żeby Dubchek mógł teraz odrzucić twoją prośbę.

- Ja sobie wyobrażam - odpowiedziała Marissa. Rozważała nawet, czy nie opowiedzieć Tadowi o incydencie w hotelu w Los Angeles, lecz po krótkim namyśle

zrezygnowała z tego. Nic by w ten sposób nie osiągnęła, a mogłaby jedynie przyczynić się do pogorszenia stosunków między Tadem a Cyrilem.

Podążyła za przyjacielem do jego biura. Odpoczywając przy kawie, Marissa zagała:

- Tad, mówiłeś mi, kiedy byliśmy w głównym laboratorium, że przechowuje się tam różnego rodzaju wirusy, w tym również Ebolę.

- Mamy próbki z każdej epidemii. Są także zamrożone wirusy z twoich dwóch przypadków.

Marissa nie wiedziała, jak reagować, kiedy ktoś mówił o ostatnich wybuchach choroby jako „jej epidemiach”. Ale nie skomentowała słów Tada. Zamiast protestować, zapytała:

- Czy oprócz CKE jest jeszcze jakieś miejsce, w którym przechowuje się wirusa Ebola?

Tad zamyślił się przez chwilę.

- Nie jestem pewien. Masz na myśli Stany Zjednoczone? Marissa przytaknęła.

- Sądzę, że wojsko może mieć próbki w Forcie Detrick, w Centrum Broni

Biologicznej. Facet, który to u nich prowadzi pracował kiedyś u nas w CKE i wykazywał zainteresowanie wirusową gorączką krwotoczną.

- Czy wojsko posiada laboratorium o najwyższym stopniu izolacji?

Tad gwizdnął.

- Dziewczyno, oni mają tam wszystko.

- I powiadasz, że człowiek, zajmujący się tym w Forcie Detrick, interesował się wirusową gorączką krwotoczną?

- Był w grupie osób, która pojechała z Dubchekiem do Zairu po wybuchu pierwszej epidemii Eboli.

Marissa popijała kawę, rozmyślając o kolejnym dziwnym zbiegu okoliczności. W jej umyśle poczęła kiełkować hipoteza tak przerażająca, że w żaden sposób nie można jej było zaliczyć do racjonalnych.

- Chwileczkę, psze pani - zatrzymał ją umundurowany strażnik, mówiący z wyraźnym, południowym akcentem.

Marissa znajdowała się przy głównej bramie Fortu Detrick.

Przez kilka dni usiłowała pozbyć się podejrzania, że odpowiedzialność za wystawienie Bogu ducha winnych ludzi na działanie Eboli ponosi wojsko. W końcu jednak zdecydowała się spożytkować wolny dzień na prywatne śledztwo w tej sprawie. Dwa przypadki pobicia nie dawały jej spokoju.

Do Marylandu leciało się samolotem tylko półtorej godziny, stamtąd zaś czekała

Marissę krótka przejażdżka wynajętym samochodem. Dziewczyna powołała się na swoje doświadczenia z Ebolą, by uzyskać pretekst do rozmowy z kimś obznajomionym z tak rzadko występującym wirusem. Pułkownik Woolbert zgodził się na to bez zastrzeżeń.

Strażnik podszedł do samochodu Marissy i oznajmił:

- Oczekują pani w budynku numer osiemnaście.

Wręczył jej przepustkę, którą przypięła do klapy blezerka. Żołnierz zamasyście zasalutował i uniósł czarno-biały szlaban, wpuszczając ją na terytorium bazy.

Budynek numer osiemnaście okazał się pozbawionym okien betonowym bunkrem o płaskim dachu. Ubrany po cywilnemu mężczyzna w średnim wieku pomachał jej, gdy wysiadła z samochodu. Był to pułkownik Kenneth Woolbert.

Zdaniem Marissy bardziej przypominał profesora uniwersytetu niż zawodowego oficera. Zachowywał się wobec niej przyjacielsko, z przebłyskami dobrego humoru, nie krył zadowolenia z tej wizyty. Z miejsca oznajmił, że Marissa jest najładniejszą i jednocześnie

najmniejszą osobą z wywiadu epidemiologicznego, jaką kiedykolwiek spotkał. Marissa przełknęła zarówno komplement, jak i zniewagę.

Do budynku sprawiającego wrażenie bunkra wchodziło się przez kilkoro rozsuwanych, stalowych drzwi, otwieranych za pomocą zdalnego sterowania. Nad każdym wejściem umieszczone były niewielkie kamery telewizyjne. Natomiast samo laboratorium niczym nie różniło się od tych spotykanych w nowoczesnych szpitalach, z nieodłącznym palnikiem Bunsena podgrzewającym filiżankę. Innowacja polegała tutaj jedynie na braku okien.

Po dokonaniu krótkiej lustracji pomieszczenia, podczas której ani razu nie padła wzmianka na temat laboratorium o najwyższym stopniu izolacji, pułkownik Woolbert zabrał Marissę do baru przekąskowego, który okazał się pomieszczeniem z automatami sprzedającymi. Kupił pączki oraz pepsi-colę, po czym zasiedli przy niewielkim stoliku. Nie pytany, pułkownik Woolbert począł wyjaśniać, że zaczynał w CKE jako oficer wywiadu epidemiologicznego pod koniec lat pięćdziesiątych i zainteresował się mikrobiologią, a w konsekwencji wirusologią, do tego stopnia, że w latach siedemdziesiątych, otrzymawszy rządową pomoc finansową, postanowił napisać doktorat.

- Było to sto razy lepsze niż zagłądanie w czerwone gardła i zatkane uszy - stwierdził.

- Nie uwierzę, że był pan pediatrą! - wykrzyknęła Marissa.

Oboje uśmieali się serdecznie, kiedy okazało się, że pracowali w tym samym szpitalu dziecięcym w Bostonie. Pułkownik wyjaśnił jej, w jaki sposób trafił do Fortu Detrick: CKE wymienia pracowników z Fortem, który w jego przypadku wystąpił z propozycją nie do odrzucenia. Laboratorium i sprzęt były doskonałe, no i - co najważniejsze - nikogo nie musiał błagać, żeby otrzymać niezbędne na badania fundusze.

- Czy ostateczne przeznaczenie pańskich doświadczeń nie budzi pana obiekcji? -

spytała Marissa.

- Nie - odparł Woolbert. - Musi pani wiedzieć, że trzy czwarte przeprowadzanych tu badań ma na celu obronę Stanów przed atakiem z użyciem broni biologicznej, tak więc większość moich wysiłków skierowanych jest na zneutralizowanie wirusów takich jak Ebola.

Marissa skinęła głową. Nie przyszło jej to wcześniej do głowy.

- Ponadto - ciągnął Woolbert - mam pełną swobodę działań. Sam wybieram przedmiot badań.

- A co jest w tej chwili tym przedmiotem? - spytała niewinnie Marissa.

Nastąpiła chwila milczenia. Błękitne oczy pułkownika błysnęły.

- Sądzę, że nie zdradzę tu tajemnicy wojskowej, skoro regularnie pisuję artykuły na temat moich badań. Przez ostatnie trzy lata w kręgu moich zainteresowań jest wirus grypy.

- Więc nie Ebola? - spytała Marissa.

Pułkownik Woolbert potrząsnął przecząco głową.

- Nie, ostatnie badania nad Ebola zakończyłem wiele lat temu.

- Czy ktoś pracuje tu obecnie nad Ebola? - nalegała Marissa.

Woolbert zawahał się. Następnie odezwał się:

- Sądzę, że mogę pani powiedzieć, gdyż w zeszłym roku ukazał się w „Studiach strategicznych” artykuł Pentagonu na ten temat. Odpowiedź brzmi: nie. Nikt nie pracuje w tej chwili nad Ebola, nawet Rosjanie, a to dlatego, że nie powstała dotychczas szczepionka ani skuteczna terapia lecznicza zabezpieczająca przed zarażeniem. Panuje przekonanie, że raz uwolniona, Ebola rozszalałaby się jak ogień wśród walczących stron, nie rozróżniając wrogów i przyjaciół.

- A jednak tak się nie stało - stwierdziła Marissa.

- Wiem - przyznał Woolbert z westchnieniem. - Z dużym zainteresowaniem śledziłem

przebieg ostatnich dwóch epidemii. Pewnego dnia przyjdzie nam zweryfikować opinie o wirusach.

- Proszę, nie za moją sprawą - zastrzegła się Marissa. Tylko tego brakowało, pomyślała, by wojsko zaczęło się teraz zajmować Ebolą. Jednocześnie zaś odczuła ulgę, upewniwszy się, że armia nigdy nie zamierzała lekkomyślnie zabawiać się wirusem.

- Słyszałam, że uczestniczył pan w międzynarodowej ekspedycji do Yambuku w 1976 roku - powiedziała.

- I dlatego tym bardziej doceniam to, co pani obecnie robi. Mogę pani powiedzieć, że wtedy, w Afryce, o mało nie zesrałem się w portki ze strachu.

Marissa uśmiechnęła się pod nosem. Ten człowiek podobał jej się i budził zaufanie.

- Jest pan pierwszą osobą, która przyznaje się do tego, że odczuwa strach - powiedziała. - Ja sama zmagam się z nim od momentu, kiedy wysłano mnie do Los Angeles.

- I ma pani do tego powód - przyznał Woolbert. - Ebola to dziwny wirus. Wydawałoby się, że można go stosunkowo łatwo inaktywować, lecz jednocześnie jest on niesłychanie zaraźliwy, co oznacza, że wprowadzenie kilku zaledwie jego organizmów wywołuje chorobę. Jest dokładnym przeciwieństwem AIDS, gdzie miliardy wirusów muszą zaatakować jednostkę, a nawet wówczas istnieje szansa, że nie zostanie ona zarażona.

- A rezerwuar wirusa? - zapytała Marissa. - Wiem, że oficjalne stanowisko brzmiało, iż nie odkryto go w Afryce, ale czy pan miał na ten temat jakieś inne zdanie?

- Sądzę, że jest to choroba zwierzęca i zostanie w końcu przypisana jakiemuś gatunkowi małpy równikowej, sklasyfikowana jako zoonoza lub choroba zwierząt kręgowych, okazjonalnie przenoszona na człowieka.

- Więc zgadza się pan z obecnym stanowiskiem CKE w sprawie ostatnich epidemii w Stanach? - spytała Marissa.

- Oczywiście - potwierdził Woolbert. - Czy jest jeszcze jakieś stanowisko?

Marissa wzruszyła ramionami.

- Czy macie tu Ebolę?

- Nie - odparł Woolbert. - Ale wiem, skąd możemy ją wziąć.

- Ja również - skwitowała Marissa. Może niezupełnie było to zgodne z prawdą, pomyślała. Tad powiedział jej, że Ebola znajduje się w jakimś laboratorium, ale gdzie dokładnie, o tym nie miała pojęcia. Szkoda, że nie zapytała o to Woolberta.

17 kwietnia

Telefon dzwonił jak wściekły przez kilka chwil, zanim Marissa, na pół senna, uczyniła wysiłek, by podnieść słuchawkę. Telefonistka z centrali CKE natychmiast przeprosiła, że budzi ją o tak niecodziennej porze. Podczas gdy Marissa toczyła walkę z własnym ciałem, by usiąść na łóżku, kobieta poinformowała ją, że jest do niej telefon z Phoenix w Arizonie i poprosiła o pozwolenie na dokonanie połączenia. Marissa zgodziła się bez wahania.

W oczekiwaniu na połączenie Marissa narzuciła podomkę i spojrzała na zegarek. Była czwarta rano, co oznaczało, że w Phoenix jest w tej chwili druga w nocy. Nie miała żadnych wątpliwości, że chodzi o kolejny przypadek Eboli.

Zabrzmiął dzwonek telefonu.

- Doktor Blumenthal - przedstawiła się Marissa. Głos na drugim końcu zdradzał oznaki zdenerwowania.

Rozmówca przedstawił się jako doktor Guy Weaver, epidemiolog stanu Arizona.

- Ogromnie mi przykro, że budzę panią o takiej godzinie - przeprosił - ale właśnie otrzymałem wiadomość o wystąpieniu poważnego problemu w szpitalu Medica w Phoenix.

Czy ta nazwa coś pani mówi?

- Raczej nie.

- Otóż jest to jeden ze szpitali w sieci grupy medycznej Medica, nastawionej na świadczenie wszechstronnej opieki lekarskiej dla mieszkańców tej części Arizony w systemie przedpłat. Obawiam się, że szpital został zaatakowany przez wirusa Ebola.

- Mam nadzieję, że pacjent został odizolowany - powiedziała Marissa. - Udało nam się ustalić, że...

- Doktor Blumenthal - przerwał jej Weaver. - Tu nie chodzi o jeden przypadek. Mamy osiemdziesięciu czterech chorych.

- Osiemdziesięciu czterech! - wykrzyknęła z niedowierzaniem.

- W tym czterdziestu dwóch lekarzy, dwadzieścia cztery pielęgniarki, czterech

laborantów, sześciu pracowników administracyjnych, sześć osób z obsługi żywieniowej oraz dwóch sprzątaczy.

- Wszystkich naraz? - spytała Marissa

- Wszystkich w ciągu jednego wieczora - odparł epidemiolog.

O tej porze nie było żadnego dogodnego połączenia z Phoenix, chociaż w Delcie

obiecali Marissie rezerwację na pierwszy bezpośredni lot. Dziewczyna ubrała się i zadzwoniła do dyżurnego w CKE z informacją, że wyrusza natychmiast do Phoenix. Prosiła również o zawiadomienie o tym doktora Dubcheka, gdy tylko przybędzie do Centrum.

Marissa zostawiła wiadomość Judsonom z prośbą o zaopiekowanie się Taffym oraz

odbieranie jej poczty, po czym udała się na lotnisko. Fakt zachorowania jednocześnie

osiemdziesięciu czterech osób przytłoczył ją. Żywiła tylko nadzieję, że Dubчек i jego zespół pojawią się po południu.

Pomimo dwóch międzylądowań lot przebiegł spokojnie, a samolot nie był zatłoczony.

Po wylądowaniu przywitał Marissę niski, okrągły jak baryłka człowieczek, który nerwowo przedstawił się jako Justin Gardiner, wicedyrektor szpitala Medica.

- Wezmę pani torbę - zaoferował się, lecz ręka trzęsła mu się do tego stopnia, że upuścił bagaż na ziemię. Zgięty wpół, usiłując go podnieść, przeproszał za swoje zdenerwowanie.

- Rozumiem pana - powiedziała Marissa. - Czy zanotowano jakieś dalsze przypadki?

- Kilkanaście. Szpital ogarnęła panika - oznajmił Gardiner, kiedy ruszyli wreszcie do

wyjścia. - Pacjenci masowo wypisywali się ze szpitala, personel również uciekał w popłochu, dopóki Stanowy Komisarz do Spraw Zdrowia nie zarządził kwarantanny. Mogłem po panią

wyjść tylko dlatego, że wczoraj miałem wolne.

Marissa zamarła ze strachu na myśl o sytuacji, w jaką się pakuje. Pediatria ma jednak swoje dobre strony, pomyślała.

Szpital okazał się kolejną nowoczesną budowlą. Marissie przyszło na myśl, że Ebola upodobała sobie takie okazałe konstrukcje. Czyste, niemal sterylne linie budynku nie wydawały się właściwym miejscem dla śmiertelnej choroby.

Pomimo wczesnej pory ulica przed wejściem do szpitala zatłoczona była przez samochody telewizyjne i reporterów.

Naprzeciw stał rząd umundurowanych policjantów. Niektórzy z nich mieli na twarzach maski chirurgiczne. W świetle poranka cała ta scena przypominała surrealistyczny obraz.

Gardiner zatrzymał samochód za jednym z wozów telewizyjnych.

- Musi pani wejść do środka i odszukać dyrektora - wyjaśnił. - Ja mam za zadanie pozostać na zewnątrz i przeciwdziałać panice. Życzę powodzenia!

Zmierzając w stronę wejścia, Marissa wydobyła z kieszeni swą kartę identyfikacyjną.

Okazała ją jednemu z policjantów, który jednak musiał zawołać dowodzącego sierżanta, aby upewnić się, czy może ją wpuścić. Słyszając nazwę CKE, grupka reporterów otoczyła Marissę, żądając oświadczenia z jej strony.

- Nie jestem zorientowana w sytuacji - broniła się, czując napór żądnych sensacji dziennikarzy. Z wdzięcznością przyjęła pomoc policjanta, który odsunął od niej reporterów i wpuścił ją przez jedną z umieszczonych przed wejściem barykad.

Na nieszczęście, wewnątrz szpitala panował jeszcze większy chaos. Główny hol był nabitý ludźmi, którzy natychmiast rzucili się ku Marissie. Najwyraźniej była jedyną osobą, która w ciągu kilkunastu godzin weszła do szpitala.

Otoczyli ją pacjenci w piżamach i szlafrokach, jednocześnie wykrzykujący pytania i domagający się odpowiedzi.

- Proszę! - rozległ się czyjś głos na prawo od Marissy. - Proszę mnie przepuścić! -

Przysadzisty mężczyzna o krzaczastych brwiach przepychał się w jej kierunku. - Doktor Blumenthal?

- Tak - odparła z ulgą.

Mężczyzna ujął ją pod ramię, nie zwracając uwagi na to, że niosła walizkę i teczkę.

Przecisnąwszy się przez tłum pacjentów, wepchnął Marissę za drzwi, które zaraz za sobą zamknął. Znaleźli się w długim i wąskim korytarzu.

- Ogromnie mi przykro z powodu tego zamieszania - przeprosił. - Nazywam się Lloyd Davis, jestem dyrektorem tego szpitala. Jak pani widzi, mamy tu pewne oznaki paniki, z którą musimy sobie radzić.

Marissa podążyła za Davisem do jego biura. Weszli przez boczne drzwi, gdyż, jak zauważyła Marissa, główne były zabarykadowane od wewnątrz za pomocą krzesła, co zrodziło refleksję, iż określenie „pewne oznaki paniki” było przesadnym eufemizmem.

- Personel chciałby z panią porozmawiać - oznajmił Davis, po czym odebrał z rąk Marissy bagaż i postawił go przy biurku.

Oddychał ciężko, jakby wysiłek spowodowany wykonanym przy tym skłonem, wyczerpał go do cna.

- A co się dzieje z pacjentami z podejrzeniem o Ebolę? - spytała Marissa.

- Będą musieli trochę poczekać - Davis pokazał jej gestem, że mają wyjść z gabinetu.

- Izolacja pacjentów ma bezwzględne pierwszeństwo przed wszelkimi innymi działaniami - upierała się Marissa.

- Wszyscy są odpowiednio izolowani - zapewnił ją Davis. - Zadbał o to doktor

Weaver. - Nieznacznie popychał Marissę do wyjścia. - Rzecz jasna, spełnimy wszelkie dodatkowe polecenia, które zostaną wydane, ale w tej chwili musi pani porozmawiać z personelem szpitala zanim stanę w obliczu otwartego buntu.

- Mam nadzieję, że do tego nie dojdzie - zauważyła Marissa. - Zaniepokojeni pacjenci to jedno, a rozhisteryzowany personel to zupełnie coś innego.

Davis zamknął drzwi gabinetu i poprowadził ją wzdłuż korytarza.

- Wiele osób jest przerażonych myślą o przymusowym pobycie w szpitalu.

- Ile nowych przypadków zanotowano od czasu zawiadomienia CKE?

- Szesnaście. Nikt więcej z personelu; wszyscy nowi to członkowie programu Medica.

Oznaczało to, że wirus rozwinął się już w drugiej generacji, rozprzestrzeniony przez pierwotnie zainfekowanych lekarzy. Stało się podobnie jak w poprzednich dwóch epidemiach. Marissa sama wzdrygała się na myśl o zamknięciu w budynku, w którym panował rozszalały wirus, jednocześnie zaś zastanawiała się, w jaki sposób może podnieść na duchu przerażony personel. Przy takim stopniu zaraźliwości wątpiła, czy uda im się zahamować rozprzestrzenianie się choroby, jak to miało miejsce w Los Angeles i St. Louis. A przecież horror, jaki nastąpiłby po przedostaniu się Eboli poza szpital, przekraczał ludzką wyobraźnię.

- Czy któraś z osób pierwotnie zarażonych została w ostatnim czasie napadnięta i pobita? - spytała Marissa, częściowo po to, by odwrócić swoje myśli od mrocznej perspektywy, częściowo zaś licząc na pozytywną odpowiedź. Davis tylko spojrzął na nią i uniósł brwi, jakby miał do czynienia z wariatką. Jego zdaniem to pytanie nie zasługiwało na odpowiedź. To tyle, jeśli chodzi o tę teorię, pomyślała Marissa, przypominając sobie reakcję Ralpha.

Stanęli przed zamkniętymi drzwiami. Davis wyciągnął klucze i wprowadził Marissę

do niewielkiej sali, która mieściła około stu pięćdziesięciu osób. Marissa dostrzegła, że wszystkie miejsca były zajęte, a z tyłu, za ostatnim rzędem, stało jeszcze sporo ludzi. Salę wypełniał gwar prowadzonych rozmów. Wszystkie ucichły jak nożem uciął, gdy zbliżyła się do podium, czując na sobie wzrok wszystkich zebranych. Z krzesła stojącego na podium podniósł się na jej widok wysoki, zdumiewająco chudy mężczyzna i uściśnął jej dłoń. Davis przedstawił go jako doktora Guya Weavera, z którym rozmawiała już przez telefon.

- Doktor Blumenthal - rozpoczął Weaver niskim, głębokim głosem, kontrastującym z jego figurą - nie ma pani pojęcia, jak się cieszę, że panią widzę.

Marissa pomyślała, że chyba wzięli ją za kogoś innego. Jej najgorsze obawy zaczęły się sprawdzać, kiedy Weaver, postukawszy najpierw palcem w mikrofon, aby upewnić się, czy działa, począł przedstawiać jej osobę. Używał przy tym takich superlatyw, że Marissa czuła się coraz bardziej zażenowana. Z jego słów wynikało, że CKE to właściwie ona, a sukcesy Centrum to jej sukcesy. Następnie, ruchem swego długiego ramienia, przekazał jej mikrofon.

Marissa nigdy nie czuła się swobodnie, przemawiając do większej grupy ludzi, teraz jednak onieśmielenie odebrało jej mowę.

Nie miała najmniejszego pojęcia, czego od niej oczekują, a już zupełnie nie wiedziała, co ma tym ludziom powiedzieć. Skorzystała z kilkunastu sekund potrzebnych na sprawdzenie mikrofonu, by zebrać myśli.

Spojrząwszy po twarzach zgromadzonych, Marissa zauważyła, że połowa z nich ma pozakładane maski chirurgiczne. Dostrzegła również duże zróżnicowanie etniczne, rozmaite rasy i kolory skóry. Znaczna rozpiętość wieku uświadomiła jej, że kiedy Davis wspominał o personelu, miał na myśli nie tylko lekarzy, ale wszystkich pracowników szpitala. Widziała nadzieję w ich wzroku i żałowała, że brak jej wiary w możliwości poprawy sytuacji w

szpitalu.

- Przede wszystkim powinniśmy upewnić się co do diagnozy - zaczęła niepewnym głosem, którego wysokość błędziła gdzieś o kilka oktaw wyżej od jej normalnego tonu. W miarę mówienia, jej głos powracał do normy, choć Marissa nadal nie wiedziała, co ma mówić. Usiłowała zapewnić słuchaczy, mimo iż sama nie była tego pewna, że epidemia zostanie zahamowana przy przestrzeganiu ścisłej izolacji pacjentów, wydzielonej opieki i racjonalnej procedury kwarantanny.

- Czy wszyscy będziemy chorzy?! - krzyknęła jakaś kobieta stojąca z tyłu. Na sali zawrzało. Tego obawiali się najbardziej.

- Miałam bezpośrednio do czynienia z ostatnimi dwoma wybuchami epidemii - oświadczyła Marissa - i nie zachorowałam, pomimo kontaktów z zainfekowanymi pacjentami. - Nie miała zamiaru wspominać o swych obawach o własne zdrowie. - Ustalono, że do rozprzestrzeniania się Eboli potrzebny jest bliski kontakt osobisty. Przenoszenie poprzez cząsteczki powietrza zostało wykluczone...

Zauważyła, że na te słowa część osób zdjęła maski. Obejrzała się na Weavera, który zachęcił ją do dalszego mówienia, podnosząc w uznaniu kciuk.

- Czy naprawdę musimy pozostać w szpitalu? - zapytał ubrany w biały fartuch lekarski mężczyzna z trzeciego rzędu.

- Przez jakiś czas tak - odparła dyplomatycznie Marissa. - Postępowanie w ramach kwarantanny podczas poprzednich epidemii obejmowało rozróżnienie między kontaktami pierwszego i drugiego stopnia. - Marissa szczegółowo opisała procedurę zastosowaną w Los Angeles i St. Louis. Zakończyła stwierdzeniem, że nikt z poddanych kwarantannie nie uległ chorobie, chyba że miał uprzednio bezpośredni kontakt z którymś z chorych.

Następnie udzieliła odpowiedzi na serię pytań dotyczących wstępnych objawów oraz

przebiegu klinicznego gorączki krwotocznej Ebola. Nie była w stanie zdecydować, czy jej wyjaśnienia przeraziły pytających, czy zaspokoili ich ciekawość, dość że sala zamilkła.

Kiedy Davis podniósł się, by przemówić do personelu, Weaver dyskretnie wyprowadził Marissę z sali konferencyjnej. Gdy tylko znaleźli się na korytarzu, powiedziała, że musi zobaczyć jeden z pierwszych przypadków, zanim skontaktuje się z CKE. Weaver odparł, że spodziewał się tego i zaofiarował, że zaprowadzi ją do pacjenta. Po drodze wyjaśnił, że wszyscy chorzy zostali umieszczeni na dwóch piętrach, po usunięciu stamtąd innych pacjentów i odizolowaniu systemu wentylacyjnego. Miał zatem podstawy do tego, by uważać, że zachował wszelkie zasady bezpieczeństwa. Dodał jeszcze, że personel zatrudniony do obsługi wyizolowanego obszaru został specjalnie do tego celu przeszkolony, zaś prace analityczne ograniczono do niezbędnego minimum i wykonywano je w specjalnie zorganizowanym laboratorium na jednym z pięter. Ponadto każdy przedmiot użyty przez pacjentów był starannie myty podchlorynem sodu, a następnie palony w piecu.

W sprawie kwarantanny Weaver poinformował Marissę, że polecił sprowadzić materace z zewnątrz i zamienić oddział ambulatoryjny w noclegownię, z uwzględnieniem podziału na kontakty pierwszego i drugiego stopnia. Woda i żywność miały być dostarczone z zewnątrz. Dopiero teraz Marissa dowiedziała się, że Weaver był przez sześć lat pracownikiem wywiadu epidemiologicznego w CKE.

- Dlaczego nazwał mnie pan ekspertem? - spytała, z zakłopotaniem wspominając jego przesadzone komplementy. Wiedział przecież tyle samo, jeżeli nie więcej, o postępowaniu w ramach kwarantanny.

- Dla lepszego efektu - wyjaśnił Weaver. - Personel szpitala potrzebował jakiegoś autorytetu.

Marissa jęknęła, lecz jednocześnie musiała przyznać, że jest pod wrażeniem

sprawności działań Weavera. Zanim weszli na zamknięte piętro, założyli fartuchy, a przed wizytą w jednej z sal ubrania ochronne, składające się z jeszcze jednego fartucha, czepków, gogli, masek, rękawic i butów.

Pacjent, do którego Weaver przyprowadził Marissę, pracował w klinice jako chirurg. Był Hindusem, pochodzącym z Bombaju. Jedno spojrzenie na pacjenta wystarczyło, by Marissa na nowo zaczęła się obawiać o własne zdrowie. Wyglądał na umierającego, mimo iż choroba objawiła się zaledwie dwadzieścia cztery godziny wcześniej. Obraz kliniczny odpowiadał ostatniej fazie choroby, charakterystycznej dla przypadków z Los Angeles i St. Louis: wysoka gorączka w połączeniu z niskim ciśnieniem krwi oraz typowa wysypka skórna i oznaki krwotoku z błon śluzowych. Marissa nie dawała temu człowiekowi więcej niż dwadzieścia cztery godziny życia.

Aby zaoszczędzić na czasie, niezwłocznie pobrała próbki na obecność wirusa, które Weaver polecił odpowiednio zapakować i natychmiast wysłać do Tada Schockleya w Atlancie.

Pobieżny rzut oka na kartę pacjenta pozwolił stwierdzić Marissie, że historia choroby została zaledwie nakreślona, lecz przy osiemdziesięciu czterech przypadkach w ciągu niespełna sześciu godzin nie należało oczekiwać elaboratów sporządzanych zgodnie z wymogami podręcznika. Nie zauważyła wzmianki o podróżach zagranicznych, małpach ani też powiązaniach z epidemiami w Los Angeles i St. Louis.

Po wyjściu z obszaru izolacji Marissa najpierw poprosiła o dostęp do telefonu, a następnie o zebranie jak największej liczby ochotników spośród lekarzy, którzy pomogą w sporządzaniu wywiadów z pacjentami. Jeżeli stan reszty chorych był równie tragiczny jak hinduskiego chirurga, mieli niewiele czasu na uzyskanie jakichkolwiek danych.

Udostępniono jej telefon w gabinecie Davisa. W Atlancie było już po jedenastej i

Dubchek odebrał natychmiast. Był wściekły.

- Dlaczego nie powiadomiła mnie pani natychmiast po otrzymaniu wezwania? Nie wiedziałem o niczym, dopóki nie zjawiłem się w biurze.

Marissa ugryzła się w język. Prawda była taka, że kazała telefonistkom z CKE przekazywać jej bezpośrednio informacje w wypadku jakichkolwiek zgłoszeń mogących mieć związek z Ebolą. Założyła, że Dubchek uczyniłby tak samo, gdyby zależało mu na aktualnych wiadomościach, lecz nie miała teraz ochoty potęgować jego irytacji poprzez wytykanie mu tego niedopatrzenia.

- Czy to Ebola?

- Tak - potwierdziła Marissa, oczekując reakcji Dubcheka na mającą nastąpić rewelację. - Główna różnica polega na liczbie chorych. W tej chwili mamy sto przypadków.

- Mam nadzieję, że zarządziła pani odpowiednią izolację - to była jedyna reakcja.

Marissa poczuła się oszukana. Spodziewała się, że Dubchek będzie pod wrażeniem.

- Nie jest pan zaskoczony liczbą przypadków? - spytała wprost.

- Ebola jest nie rozpoznaną jednostką - odparł Dubchek. - W związku z tym nic nie jest już mnie w stanie zaskoczyć. Interesuje mnie raczej powstrzymanie wirusa. Jak wygląda izolacja?

- Jest poprawna.

- To dobrze - stwierdził Dubchek. - Laboratorium Vickersa jest już gotowe. Ruszamy za godzinę. Proszę dopilnować, by Tad otrzymał próbki najszybciej, jak to możliwe.

Marissa pospieszyła z wyjaśnieniami, lecz odpowiedział jej głuchy sygnał. Ten skurczybyk odłożył słuchawkę. Nie miała nawet możliwości ostrzec go, że teren szpitala objęty jest kwarantanną i jeśli raz wejdzie, będzie tu musiał pozostać do jej odwołania.

- Dobrze mu tak - powiedziała na głos, wstając od biurka.

Okazało się, że doktor Weaver zorganizował zespół jedenastu lekarzy do sporządzania historii choroby: pięć kobiet i sześciu mężczyzn. Wszyscy mieli tę samą motywację: dopóki byli zamknięci w szpitalu, mogli nadal pracować.

Marissa usiadła i zaczęła wyjaśniać, na czym polegać będzie ich zadanie: w miarę szczegółowe opracowanie historii choroby jak największej liczby pacjentów spośród osiemdziesięciu czterech pierwotnych przypadków. Nadmieniła, że zarówno w Los Angeles jak i w St. Louis istniał przypadek wyjściowy, któremu można było przypisać pozostałe. W Phoenix było prawdopodobnie inaczej. Przy tak dużej liczbie jednoczesnych wypadków zachorowań należało sądzić, że nośnikiem choroby była żywność lub woda.

- Jeśli miałyby to być woda, czy nie wystąpiłaby znacznie większa liczba zachorowań?

- powątpiewała jedna z kobiet.

- Tylko wówczas, jeżeli dotyczyłoby to całego szpitala - wyjaśniła Marissa. - Lecz może chodzić o jeden zaledwie rezerwuar... - zawiesiła głos. - Ebola nigdy nie była związana z wodą ani żywnością - przyznała. - Wszystko to wygląda dość tajemniczo, dlatego tym ważniejsze staje się sporządzenie kompletnych historii chorób, by szukać w nich jakiegoś punktu zaczepienia. Czy wszyscy pacjenci pracowali na tej samej zmianie? Czy znajdowali się w jednej części szpitala? Czy pili kawę z tego samego dzbanka, jedli tę samą potrawę lub zetknęli się z tym samym zwierzęciem?

Marissa odsunęła krzesło i podeszła do tablicy, na której wypisała listę pytań, na które powinni odpowiedzieć pacjenci. Lekarze z zespołu zaczęli dorzucać własne sugestie. Na zakończenie Marissa dodała, że mogą również spytać, czy któryś z pacjentów uczestniczył w konferencji na temat chirurgii oka, która odbyła się trzy miesiące temu w San Diego.

Nim grupa rozeszła się do zajęć, Marissa przypomniała, że muszą zachować szczególną ostrożność i stosować się do wymagań technik izolacji. Następnie jeszcze raz

złożyła wszystkim podziękowania i zabrała się do studiowania dostępnych już materiałów. Podobnie jak w Los Angeles, Marissa urządziła sobie punkt dowodzenia w pokoju z kartotekami, mieszczącym się za oddziałem pielęgniarskim na jednym z odizolowanych pięter. W miarę, jak donoszono jej nowe historie chorób zebrane przez lekarzy ochotników, zmagła się z trudnym zadaniem sporządzenia na ich podstawie zestawienia danych. Nie wynikało z nich jednak nic nowego, oprócz potwierdzenia, że wszyscy pracowali w szpitalu Medica, co było faktem powszechnie znanym.

Do południa przyjęto czternastu kolejnych pacjentów. Marissa z przerażeniem myślała, że epidemia rozwinęła się na dobre. Wszyscy, oprócz jednego, nowi chorzy byli uczestnikami programu Medica, pacjentami któregoś z czterdziestu dwóch chorych lekarzy. Wyjątkiem był laborant ze szpitala, który przeprowadzał badania przy pierwszych kilku przypadkach, zanim jeszcze zaczęto podejrzewać epidemię Eboli.

Od personelu z wieczornej zmiany Marissa dowiedziała się o przyjeździe lekarzy z CKE. Z uczuciem ulgi wyszła im naprzeciw. Znalazła Dubcheka pomagającego ustawić laboratorium Vickersa.

- Mogła mnie pani uprzedzić, że ten cholerny szpital jest objęty kwarantanną - warknął na jej widok.

- Nie dał mi pan takiej szansy - odparła, czyniąc aluzję do sytuacji, kiedy to Dubchek odłożył słuchawkę bez uprzedzenia. Pragnęła uczynić coś dla polepszenia ich stosunków, które z dnia na dzień stawały się coraz gorsze.

- No cóż, Paul i Mark nie byli zadowoleni, kiedy dowiedzieli się, że wszyscy będziemy musieli tu pozostać do odwołania kwarantanny - stwierdził Dubchek. - Wrócili do Atlanty pierwszym samolotem.

- A doktor Layne? - spytała Marissa z poczuciem winy.

- Jest w tej chwili na spotkaniu z doktorem Weaverem i administracją szpitala.

Następnie ma się dowiedzieć, czy Stanowy Komisarz do Spraw Zdrowia będzie skłonny zmodyfikować zasady kwarantanny dla pracowników CKE.

- Domyślam się, że nie będę miała okazji z panem porozmawiać do czasu uruchomienia laboratorium - stwierdziła Marissa.

- Przynajmniej ma pani dobrą pamięć - zauważył Dubchek, wyciągając wirówkę z drewnianej obudowy. - Jak skończę tutaj i porozmawiam z Layne'em o postępowaniu izolacyjnym, zgłoszę się do pani po rewelacje.

W drodze do swego pokoju, Marissa formułowała w myślach wszystkie cięte odpowiedzi, jakie jej przyszły do głowy. Każda z nich jednak tylko pogorszyłaby sprawę, dlatego milczenie wydało jej się najlepszym wyjściem.

W części ambulatorium zarezerwowanej dla personelu bezpośrednio stykającego się z pacjentami zarażonymi Ebolą Marissa zjadła posiłek, dostarczony w opakowaniach używanych w samolotach. Następnie powróciła do studiowania kart chorobowych.

Dysponowała już większością danych na temat pierwotnych osiemdziesięciu czterech przypadków.

W pokoju zastała Dubcheka, przeglądającego jej notatki. Spostrzegłszy ją, wyprostował się i zauważył:

- Nie jestem pewien, czy zatrudnienie personelu szpitalnego do tego rodzaju zadań było właściwym posunięciem.

Marissa nie była przygotowana na atak z tej strony.

- Przy takiej liczbie przypadków - zaczęła obronnym tonem - nie zdołałabym sama zebrać danych dostatecznie szybko. I tak siedem osób jest w takim stanie, że w ogóle nie może rozmawiać, a trzy już zmarły.

- Nie jest to wystarczająca przyczyna, by narażać ludzi, którzy nie są wykwalifikowanymi epidemiologami. Departament Zdrowia stanu Arizona dysponuje wyspecjalizowanym personelem, który można było zatrudnić. Jeżeli ktoś z zatrudnionych przez panią lekarzy zachoruje, odpowiedzialność spadnie na CKE.

- Ale oni sami... - zaprotestowała Marissa.

- Dość tego! - uciął Dubchek. - Nie mam zamiaru więcej o tym dyskutować. Czego się pani dowiedziała?

Marissa uczyniła duży wysiłek, by zebrać myśli i opanować emocje. To prawda, że nie wzięła pod uwagę prawnych implikacji swego postępowania, ale z drugiej strony nie była przekonana, czy to było w tej sytuacji najistotniejsze. Odbywający kwarantannę lekarze zostali już przecież zakwalifikowani jako mający kontakt z chorobą. Zasiadła za biurkiem i odszukała kartkę ze streszczeniem swych badań. Nie patrząc na Dubcheka, rozpoczęła czytać monotonnym głosem:

- Jednym z pierwszych pacjentów jest okulista, który brał udział w tej samej konferencji w San Diego, w której uczestniczył doktor Richter i doktor Zabriski. Inny z pacjentów tej grupy, chirurg ortopeda, uczestniczył w safari w Afryce Wschodniej dwa miesiące temu. Dwie inne osoby pracowały nad małpami, lecz u żadnej nie stwierdzono śladów ukąszeń. W ujęciu grupowym, u wszystkich osiemdziesięciu czterech pacjentów objawy wystąpiły w ciągu sześciu godzin, co wskazuje na jednoczesny kontakt ze źródłem wirusa. Stopień intensywności początkowych objawów pozwala domyślać się, że zostali wystawieni na działanie potężnej dawki czynnika infekcyjnego. Wszyscy pracowali tu, w szpitalu, choć w innych jego częściach. Pozwala to raczej wykluczyć system klimatyzacji jako źródło rozprzestrzeniania choroby. Sądzę, że mamy do czynienia z infekcją wywołaną przez żywność lub wodę, a to ze względu na fakt, iż wszyscy pacjenci korzystali ze

szpitalnego bufetu. Udało nam się stwierdzić, że wszyscy jedli w nim obiad trzy dni temu.

Marissa spojrzała na Dubcheka, który gapił się w sufit. Kiedy zorientował się, że skończyła mówić, odezwał się:

- Czy ustaliła pani, czy ktoś z nich miał jakikolwiek związek z wypadkami w Los Angeles i St. Louis?

- Nie ma żadnych związków - odparła Marissa. - Przynajmniej nie udało nam się takich ustalić.

- Czy wysłała pani próbki krwi do Tada?

- Tak - skinęła głową.

Cyrill wstał i skierował się do drzwi.

- Sądzę, że powinna pani podwoić wysiłki, by odnaleźć powiązania tej epidemii z którąś z poprzednich. Musi istnieć jakiś punkt wspólny.

- A bufet? - spytała Marissa.

- W tej sprawie jest pani zdana wyłącznie na siebie. W żadnym z dotychczasowych wypadków Ebola nie rozprzestrzeniała się poprzez produkty żywnościowe, w związku z tym nie widzę podstaw do analizowania tej kwestii... - Otworzył drzwi. - Sądzę jednak, że będzie się pani kierować własnym instynktem, bez względu na moje zalecenia. Proszę jedynie najpierw w wyczerpujący sposób zanalizować możliwe powiązania z Los Angeles i St. Louis.

Przez moment wzrok Marissy utkwiony był w drzwi, które zamknął za sobą Cyrill.

Następnie padł na leżącą na biurku kartkę ze streszczeniem i ogromną stertę kartotek.

Przygnębiające wrażenie.

Zupełnie, jakby ostatnie słowa były dla niej wyzwaniem, Marissa postanowiła odwiedzić bufet, który został zaprojektowany jako samodzielne skrzydło kompleksu szpitalnego, znajdujące się nad placem z ogrodem. Podwójne drzwi prowadzące do

przestronnej sali były zamknięte, a na prawej ich połowie widniała wywieszka: ZAMKNIĘTE

NA POLECENIE STANOWEGO KOMISARZA DO SPRAW ZDROWIA. Marissa

nacisnęła na klamkę. Drzwi nie były zamknięte na klucz.

Pomieszczenie lśniło nieskazitelną czystością nierdzewnej stali i plastyku. Przed

Marissa rozciągała się lada ze stosem tac z jednej strony i stanowiskiem kasjera ustawionym naprzeciwko.

Drugie podwójne drzwi z małymi, okrągłymi okienkami znajdowały się zaraz za ladą i

prowadziły do kuchni. Kiedy Marissa zastanawiała się, czy je otworzyć, wyszła zza nich

postawna, lecz atrakcyjna kobieta w średnim wieku i poinformowała Marissę, że bufet jest

nieczynny. Marissa przedstawiła się i zagadnęła, czy może zadać kobiecie kilka pytań.

- Oczywiście - odparła zapytana i wyjaśniła swym lekko skandynawskim akcentem, że

nazywa się Jana Beronson i sprawuje obowiązki kierownika bufetu. Poprowadziła Marissę do

swego biura, maleńkiej klitki bez okien, o ścianach oblepionych przeróżnymi rozkładami

zajęć i jadłospisami.

Po chwili uprzejmej pogawędki Marissa poprosiła o pokazanie jej menu sprzed trzech

dni. Panna Beronson wyciągnęła odpowiednią kartkę z segregatora i podała Marissie, która

przebiegła ją wzrokiem. Zwyczajne menu z trzema przystawkami, dwoma rodzajami zupy i

wyborem deserów.

- Czy to pełna lista oferowanych potraw?

- To są dania specjalne - objaśniła panna Beronson. - Jako uzupełnienie do

podawanych standardowo kanapek, sałatek i napojów.

Marissa poprosiła o kopię menu z tego dnia, w związku z czym panna Beronson

musiała ją na chwilę opuścić. Marissa postanowiła, że uda się do każdego z przypadków

wyjściowych i zapyta, co chorzy jedli na obiad trzy dni temu. Przeprowadzi również wywiad

wśród grupy ludzi, którzy korzystali z tego samego menu, lecz dotąd nie zachorowali.

Wróciła panna Beronson z kopią jadłospisu. Marissa złożyła kartkę na pół i zapytała:

- Jedna z pani pracownic zachorowała, prawda?

- Maria Gonzales - odparła panna Beronson.

- Jaką pracę tu wykonywała?

- Obsługiwała za barem z gorącymi przekąskami lub sałatkami.

- Czy może mi pani powiedzieć, czym zajmowała się w dniu, który mnie interesuje?

Panna Beronson podeszła do jednej z tablic z rozkładem zajęć.

- Sprzedawała desery i sałatki - odpowiedziała.

Marissa zastanawiała się, czy nie byłoby dobrze zbadać całego terenu stołówki na obecność antyciał Eboli. Wprawdzie Ralph żartował sobie z niej, kiedy mówiła o „Ebola Mary”, ale czyż można było wykluczyć taką ewentualność? Z drugiej strony w Afryce nic takiego nie miało miejsca.

- Czy chce pani obejrzeć nasze urządzenia? - spytała panna Beronson, starając się udzielić wszelkiej możliwej pomocy.

Przez następne trzydzieści minut Marissa zajęta była zwiedzaniem kuchni oraz części jadalnej. W kuchni obejrzała obszerną chłodnię, do której wchodziło się przez grube, izolowane drzwi, a także miejsce, gdzie przygotowywano posiłki na olbrzymich kuchniach gazowych. W części jadalnej zaś sprawdziła gorący bufet, zaglądając do srebrzystych garnków i podnosząc pokrywki pojemników do sałatek.

- Czy chce pani obejrzeć magazyn żywności? - spytała panna Beronson, kiedy zakończyły obchód.

Marissa podziękowała, uznając, że czas najwyższy sprawdzić, co jedli tego feralnego dnia pierwsi pacjenci chorzy na Ebolę.

Marissa opadła na oparcie swego krzesła obrotowego i przetarła oczy. Była godzina jedenasta jej drugiego dnia pobytu w Phoenix. Poprzedniej nocy udało jej się ocalić zaledwie cztery godziny snu. Przydzielono jej jeden z gabinetów w klinice ginekologiczno-położniczej i budziła się za każdym razem, gdy ktoś przechodził obok.

Usłyszała odgłos otwieranych drzwi. Odwróciła się i ujrzała Dubcheka dzierżącego lokalną gazetę. Nagłówek na pierwszej stronie brzmiał: CKE SUGERUJE ISTNIENIE UKRYTEGO ŹRÓDŁA EBOLI W USA. Wyraz twarzy Dubcheka mówił sam za siebie: był, jak zwykle, wściekły.

- Mówiłem: ani słowa prasie.

- Z nikim nie rozmawiałam.

Dubchek uderzył palcami w gazetę.

- Piszą tutaj, że doktor Blumenthal z CKE twierdzi, iż w Stanach Zjednoczonych istnieje rezerwuar wirusa Ebola, a epidemia w Phoenix wybuchła z powodu skażenia żywności lub wody. Marisso, nie muszę chyba pani mówić, że oznacza to dla pani poważne kłopoty!

Marissa wzięła od niego gazetę i szybko przeczytała artykuł. Owszem, wymieniono tam jej nazwisko, lecz niejako z drugiej ręki. Źródłem informacji był niejaki Bill Freeman, jeden z lekarzy pomagających jej zbierać dane od pacjentów. Zwróciła na to uwagę Dubchekowi.

- Nie ma znaczenia, czy rozmawia pani bezpośrednio z prasą, czy z pośrednikiem, który przekazuje te wiadomości do prasy. Efekt jest w obu przypadkach taki sam. Wychodzi na to, że CKE popiera pani teorię, co zupełnie mija się z prawdą. Nie posiadamy żadnych dowodów na skażenie żywności, a ostatnią rzeczą, jakiej pragniemy, jest masowa histeria.

Marissa przygryzła wargę. Za każdym razem, gdy rozmawiała z tym człowiekiem, on

za coś ją winił. Może gdyby postąpiła w sposób bardziej dyplomatyczny wtedy, w hotelu w Los Angeles, byłby teraz bardziej miły dla niej. W końcu czego się po niej spodziewał, że nie będzie w ogóle z nikim rozmawiać? Każda praca zespołowa wymaga wymiany opinii.

Starając się opanować, wręczyła mu kartkę papieru.

- Co to takiego? - spytał z irytacją.

- To rezultaty drugiego wywiadu z chorymi pacjentami. Przynajmniej z tymi, którzy mogą jeszcze odpowiadać na pytania. Jedna rzecz natychmiast rzuca się w oczy. Z wyjątkiem dwóch osób, które nie potrafiły sobie przypomnieć, co jadły tego dnia, cała reszta zjadła na deser budyń w stołówce. Pamięta pan, że w wynikach mojego pierwszego wywiadu obiad w bufecie szpitalnym był jedynym punktem wspólnym łączącym tych ludzi. Zauważy pan również, że grupa dwudziestu jeden osób, które tego samego dnia jadły tutaj, lecz nie zamówiły na deser budyniu, nie wykazuje dotąd żadnych oznak choroby.

Dubchek położył kartkę na stole.

- To świetne ćwiczenie dla pani, ale nie wolno nam zapominać o jednym: Ebola nie rozprzestrzenia się za pomocą żywności.

- Wiem o tym - odparła Marissa. - Ale nie można zignorować faktu, iż ta epidemia wybuchła z siłą lawiny, by następnie objawiać się pojedynczymi przypadkami, już po zastosowaniu ścisłej izolacji.

Dubchek wziął głęboki wdech.

- Proszę posłuchać. - zaczął protekcyjnym tonem. - Doktor Layne uzyskał potwierdzenie pani odkrycia dotyczącego obecności jednego z pierwotnie zarażonych lekarzy na konferencji w San Diego, w której uczestniczyli również Richter i Zabriski. Stanowi to podstawę oficjalnej wersji: Richter przywłókł wirusa z jego endemicznego środowiska w Afryce i zaraził nim inne osoby w San Diego, wśród których znalazł się również nieszczęsny

okulista ze szpitala Medica.

- Ale takie stanowisko zaprzecza temu, co wiemy o okresie inkubacji gorączki krwotocznej.

- Wiem, że nie wszystko jest do końca jasne - przyznał Dubchek zmęczonym głosem - ale w chwili obecnej takie jest nasze oficjalne stanowisko. Nie będę miał nic przeciwko temu, jeśli podąży pani tropem zakażonej żywności, ale na miłość boską, niech pani przestanie o tym rozpowiadać. Proszę pamiętać, że jest tu pani jako osoba urzędowa. Nie życzę sobie, by komukolwiek przedstawiała pani swe osobiste poglądy, a w szczególności prasie.

Zrozumiano?

Marissa skinęła głową.

- Jest kilka spraw, które powinna pani załatwić - ciągnął. - Proszę się skontaktować z Biurem Komisarza do Spraw Zdrowia i polecić przejęcie zwłok niektórych ofiar. Chcę mieć kilka zamrożonych ciał w Atlancie.

Marissa powtórnie przytaknęła. Dubchek otworzył drzwi, po czym zawahał się.

Odwrócił się i powiedział nieco bardziej uprzejmie:

- Może to panią zainteresuje, że Tad dokonał porównania Eboli z epidemią w Los Angeles, St. Louis i Phoenix. Wstępne doświadczenia wykazują, że jest to ten sam szczep.

Potwierdza to opinię, że jest to jedna epidemia objawiająca się w różnych miejscach.

Rzucił Marissie krótkie spojrzenie i wyszedł.

Dziewczyna zamknęła oczy i rozważyła, jakie ma możliwości. Niestety, po feralnym obiedzie nie pozostały żadne resztki budynku. To byłoby zbyt proste. Postanowiła natomiast pobrać próbki krwi na obecność antyciał Eboli od całego personelu stołówki. Ponadto zamierzała wysłać próbki składników budynku Tadowi w celu stwierdzenia skażenia wirusem. Coś jednak mówiło jej, że nawet jeśli deser odgrywał tu jakąś rolę, analiza jego składników

nie przyniesie rezultatów. Wiadomo było, że wirus jest niezwykle wrażliwy na ciepło, w związku z tym mógł zostać wprowadzony do budynku, dopiero kiedy danie ostygło. Ale czy to możliwe? Marissa wpatrywała się bezradnie w stos papierów. Musiała tkwić w nim brakująca wskazówka. Gdyby tylko miała więcej doświadczenia, być może by ją dostrzegła.

16 maja

W niecały miesiąc później Marissa znalazła się w swoim maleńkim biurze w Atlancie.

Epidemia w Phoenix została w końcu opanowana, a ona, Dubchek i pozostali lekarze z CKE otrzymali pozwolenie na opuszczenie objętego kwarantanną szpitala. Wracali jednak bez odpowiedzi na podstawowe pytania co do przyczyny wybuchu epidemii oraz możliwości zapobieżenia jej nawrotowi.

Pod koniec pobytu w Phoenix Marissa odczuwała przemożną chęć powrotu do domu i pracy w Centrum. A jednak kiedy znalazła się w Atlancie, nie była szczęśliwa. Z oczami pełnymi łez, ze złością i zniechęceniem wpatrywała się w pismo, które zaczynało się od słów: „Z przykrością informuję, iż...” Kolejny raz Dubchek nie zezwolił jej na pracę nad Ebolą w głównym laboratorium, mimo że ciągle doskonaliła swoje umiejętności laboratoryjne w obchodzeniu się z wirusami i kulturami tkanek. Tym razem jednak poczuła się zupełnie zniechęcona. Przeczucie mówiło jej, że epidemia w Phoenix była w jakiś sposób związana z deserem, który podano feralnego dnia, i ogromnie zależało jej na obronie swojego stanowiska, do czego niezbędne jej były badania na organizmach zwierzęcych. Uważała, że kluczem do odkrycia źródła wirusa jest zrozumienie sposobu jego przenoszenia.

Przejrzała arkusze, na których zaznaczyła rozprzestrzenianie się wirusa Ebola z jednego pokolenia na drugie we wszystkich trzech epidemiach na terenie Stanów Zjednoczonych. Sporządziła również podobne, choć nieco mniej szczegółowe diagramy, dotyczące transmisji wirusa podczas dwóch pierwszych epidemi Eboli w 1976 roku. Obie wybuchły niemal jednocześnie, pierwsza w Zairze, w wiosce Yambuku, druga w Sudanie, w mieście Nzara. Materiały opracowała Marissa na podstawie danych zgromadzonych w archiwach CKE.

Szczególnie interesował ją w wydarzeniach afrykańskich fakt, iż nie odkryto

rezerwuaru Eboli. Nawet stwierdzenie obecności wirusa gorączki Lassa u niektórych gatunków myszy domowych nie pomogło w zlokalizowaniu źródła Eboli. Moskity, pluskwy, małpy, myszy, szczury - podejrzewano różnego rodzaju stworzenia, by w końcu wszystkie wyeliminować. Pochodzenie wirusa pozostało tajemnicą zarówno w Afryce, jak i w Stanach Zjednoczonych.

Z uczuciem frustracji Marissa rzuciła ołówek na biurko. Odpowiedź Dubcheka nie zaskoczyła jej zbyt, zwłaszcza że poprzednio zrezygnował z jej pracy w Phoenix, wysyłając do Atlanty w dniu odwołania kwarantanny. Zdecydowanie stał na stanowisku, że wirus Ebola przywędrował z Afryki wraz z doktorem Richterem, który następnie zaraził nim swoich kolegów po fachu na konferencji okulistów w San Diego. Dubчек był przekonany, iż długi okres inkubacji wirusa był swoistą aberracją.

Idąc za pierwszym odruchem, Marissa udała się na poszukiwanie Tada. Udzielił jej wcześniej pomocy przy sporządzaniu projektu badawczego, sądziła więc, że teraz, po jego odrzuceniu, pozwoli jej wypłakać się na swym ramieniu.

Nie zważając na protesty przyjaciela, Marissa wyciągnęła go z laboratorium na wczesny lunch.

- Nie wolno ci się zniechęcać - powiedział Tad, kiedy przekazała mu złą wiadomość.

Marissa zdobyła się na uśmiech. Od razu zrobiło jej się lżej. Naiwność Tada była taka dziecięca.

Przeszli do głównego budynku. Jedną z korzyści wcześniejszego posiłku było to, że o tej porze nie było kolejki w stołówce.

Jak gdyby na złość Marissie, wśród deserów tego dnia znajdował się budyń karmelowy. Kiedy usiedli do stołu, zestawiając potrawy z tac, Marissa spytała Tada, czy miał sposobność zbadania składników budyniu, które wysłała mu z Arizony.

- Brak Eboli - stwierdził lakonicznie.

Marissa opadła na krzesło, myśląc, jak proste okazałoby się wszystko, gdyby stwierdzono, że winna jest jakaś firma, dostarczająca żywność do szpitali. Wyjaśniłoby to, dlaczego wirus pojawiał się wyłącznie w środowisku medycznym.

- A badanie krwi personelu stołówki? - spytała.

- Brak antyciał Eboli - odparł Tad. - Ale sądzę, że powinienem cię ostrzec: Dubchek dowiedział się o tych badaniach i wkurzył nie na żarty. Powiedz, co jest między wami? Czy coś się zdarzyło w Phoenix?

Kusiło ją, żeby opowiedzieć mu o zdarzeniach w Los Angeles, lecz doszła do wniosku, że pogorszyłoby to jeszcze i tak już niedobłą sytuację. Jako wyjaśnienie podała, że stała się niechcący źródłem opublikowanych w prasie informacji, które różniły się od oficjalnego stanowiska CKE.

Tad przegryzł kanapkę.

- Masz na myśli ten artykuł, mówiący o ukrytym rezerwuarze wirusa Ebola na terenie Stanów?

- Marissa skinęła głową.

- Jestem przekonana, że Ebola znajdowała się w tym budynku. Tak samo jak jestem pewna, że będą następne epidemie.

Tad wzruszył ramionami.

- Rezultaty moich badań potwierdzają raczej wersję Dubcheka. Dokonałem izolacji RNA oraz białek kapsydowych wirusa ze wszystkich trzech epidemii i, co najdziwniejsze, okazały się one identyczne. Oznacza to, że działa tu jeden szczep wirusa, co z kolei prowadzi do wniosku, że mamy do czynienia z jedną epidemią. Zazwyczaj Ebola przechodzi mutacje. Nawet dwie pierwsze epidemie w Afryce, to znaczy w Yambuku i Nzara, oddalonych od

siebie o jakieś osiemset pięćdziesiąt kilometrów, wywołane były różniącymi się nieznacznie szczepami wirusa.

- No dobrze, a okres inkubacji? - zaprotestowała Marissa. - Podczas każdej z epidemii okres inkubacji przy nowych zachorowaniach wynosił zawsze od dwóch do czterech dni. Od czasu konferencji w San Diego do tragedii w Phoenix minęły przeszło trzy miesiące.

- W porządku - odparł Tad. - Ale jest to z pewnością nie mniejsza zagadka od tej, w jaki sposób wirus mógł zostać wprowadzony do budynku.

- Dlatego właśnie przysłałam ci składniki.

- Ale - powiedział Tad - Ebola traci aktywność już w temperaturze sześćdziesięciu stopni Celsjusza. Nawet jeśli znajdowała się w składnikach budynku, proces gotowania pozbawił ją siły zarażania.

- Jednak kobieta, która podawała desery, zachorowała. Może to ona wprowadziła wirusa do budynku.

- Doskonale - stwierdził Tad, przewracając swymi jasnoblękitnymi oczami. -

Pozostaje tylko wyjaśnić, w jaki sposób zaraziła się wirusem pochodzącym z najbliższej dżungli Afryki.

- Tego nie wiem - przyznała Marissa. - Ale z pewnością nie złapała go na konferencji okulistów w San Diego.

Przez chwilę jedli w napiętej atmosferze, jaka wytworzyła się po wymianie zdań.

- Znam tylko jedno miejsce, gdzie ktoś serwujący desery mógłby nabawić się wirusa - stwierdziła w końcu Marissa.

- A mianowicie?

- Tu, w CKE.

Tad odłożył resztkę kanapki na talerz i wytrzeszczył oczy na Marissę.

- Dobry Boże, co chcesz przez to powiedzieć?

- Nic nie chcę przez to powiedzieć - odparła Marissa. - To było wyłącznie

stwierdzenie faktu. Jedyne znany mi rezerwuare Eboli znajduje się w naszym laboratorium głównym.

Tad z niedowierzaniem pokręcił głową.

- Tad - zaczęła Marissa zdecydowanym tonem. - Chciałabym cię poprosić o przysługę.

Czy mógłbyś wydobyć dla mnie z Biura Biobezpieczeństwa wydruk z nazwiskami osób korzystających z głównego laboratorium w ciągu ostatniego roku?

- Nie podoba mi się to - zauważył Tad, kołysząc się na krześle.

- Proszę cię - nalegała Marissa. - Prośba o wydruk nie spowoduje żadnej szkody.

Jestem pewna, że potrafisz wymyślić pretekst, by go otrzymać.

- Wydruk nie stanowi problemu - odparł Tad. - Robiłem to już przedtem. Nie podoba mi się, że w ten sposób wspieram twoje paranoiczne teorie, a jeszcze mniej, że w ten sposób będę miał na pieńku z administracją, w szczególności zaś z Dubchekiem.

- Bzdura - zaproponowała Marissa. - Zdobycie wydruku nie stawia cię od razu pomiędzy mną a Dubchekiem. Poza tym, skąd miałby się o tym dowiedzieć Dubchek lub ktokolwiek?

- To prawda - przyznał Tad. - Zakładając, że nikomu nie pokażesz wydruku.

- No to w porządku - zakończyła Marissa, jakby sprawa została już przesądzona. -

Wpadnę do ciebie wieczorem, żeby go odebrać. Pasuje?

- Chyba tak.

Marissa uśmiechnęła się do Tada. Był cudownym przyjacielem. Ponadto czuła, że zrobi dla niej niemal wszystko, co było ważne, zwłaszcza że zamierzała poprosić go o jeszcze jedną przysługę. Chciała złożyć wizytę w głównym laboratorium.

Zaciągnąwszy ze szczękiem ręczny hamulec, Marissa wyskoczyła ze swej czerwonej

hondy. Ulica była w tym miejscu dość stroma i dziewczyna wołała zabezpieczyć samochód przed niespodziewanym zjazdem. Chociaż umawiała się już z Tadem wielokrotnie, nigdy dotąd nie była w jego mieszkaniu. Wspięła się na schody przed głównym wejściem i nie bez trudu odnalazła właściwy dzwonek. Dochodziła dziewiąta wieczorem i zapadły już ciemności.

Jeden rzut oka na Tada wystarczył jej, by przekonać się, że zrobił, o co go prosiła.

Świadczył o tym jego uśmiech, gdy chłopak otwierał drzwi.

Marissa usadowiła się na nieco zbyt twardej sofie, cierpliwie znosząc umizgi burej kotki, ocierającej się o jej nogę.

Z uśmiechem zadowolenia Tad wyciągnął komputerowy wydruk.

- Powiedziałem im, że robimy zestawienie częstotliwości wstępu do laboratorium - wyjaśnił. - Nikt nawet nie mrugnął.

Na pierwszej stronie Marissa zauważyła, że zapis każdej wizyty w laboratorium zawierał nazwisko oraz czas wejścia i wyjścia. Powiodła palcem po liście nazwisk, rozpoznając tylko niektóre. Najczęściej na liście figurował Tad.

- Wszyscy wiedzą, że tylko ja naprawdę pracuję w CKE - skwitował ten fakt ze śmiechem.

- Nigdy bym się nie spodziewała, że lista będzie tak długa - poskarżyła się Marissa, przewracając kartki wydruku. - Czy wszyscy oni nadal mają dostęp do laboratorium?

Tad pochylił się nad nią i przewertował kartki.

- Wróc na początek.

- Ten facet - wskazał jakieś nazwisko. - Gaston Dubois nie korzysta już z

laboratorium. Był ze Światowej Organizacji Zdrowia i gościł w mieście bardzo krótko. A ten, z kolei - Tad wskazał nazwisko niejakiego Harry'ego Longforda - przyjechał z Harvardu

realizować jakiś konkretny projekt naukowy.

Marissa zauważyła, że kilkakrotnie pojawiło się nazwisko pułkownika Woolberta, podobnie jak niejakiego Heberlinga, który odwiedzał laboratorium dość regularnie aż do początków września. Potem nie było już dalszych wpisów z jego nazwiskiem. Marissa zapytała Tada o niego.

- Heberling pracował tu kiedyś - odparł. - Sześć miesięcy temu zmienił pracę. Ostatnio ruszyło się trochę w wirusologii, w związku z dużymi funduszami przeznaczonymi na walkę z AIDS.

- Dokąd się przeniósł? - spytała Marissa, przewracając kartkę.

Tad wzruszył ramionami.

- Zabij mnie, a nie powiem. Chciał chyba przenieść się do Fortu Detrick, ale nie dogadał się z Woolbertem. Heberling jest inteligentny, ale niezbyt łatwy w pożyciu. Krążyły pogłoski, że miał chrapkę na stanowisko, które w końcu objął Dubchek. Cieszę się, że nie jest naszym szefem. Mógłby obrzydzić mi życie.

Marissa przestudiowała listę do stycznia, po czym wskazała jeszcze jedno nazwisko, pojawiające się kilkakrotnie w odstępach dwutygodniowych: Gloria French.

- Kto to taki? - spytała.

- Gloria jest specjalistą od chorób pasożytniczych. Korzysta raz po raz z laboratorium do badań nad problemami wirusowymi, związanymi ze zjawiskiem nosicielstwa.

Marissa zwinęła listę.

- Zadowolona? - zapytał Tad.

- Jest tego trochę więcej niż się spodziewałam - przyznała. - Ale i tak stokrotne dzięki.

Mam jednak do ciebie jeszcze jedną prośbę.

- O nie - jęknął Tad.

- Spokojnie - odparła. - Mówiłeś mi, że szczepy Eboli w Los Angeles, St. Louis i Phoenix były identyczne. Chciałabym dowiedzieć się, na jakiej podstawie to ustaliłeś.

- Wszystkie dane znajdują się w laboratorium głównym - zauważył niepewnym głosem Tad.

- No i co z tego?

- Nie masz pozwolenia - przypomniał jej, domyślając się już, o co chodzi.

- Nie mam pozwolenia na przeprowadzanie badań - zgodziła się Marissa. - Co oznacza, że nie mogę tam wejść sama. Ale jeśli pójdę z tobą, to co innego, zwłaszcza jeżeli nie będzie tam nikogo. Czy mieliśmy jakieś problemy ostatnim razem?

Tad musiał jej przyznać rację. Ostatnio nie mieli żadnych nieprzyjemności, dlatego by więc nie spróbować ponownie? Nie otrzymał wyraźnego zakazu wprowadzania innych pracowników do laboratorium, mógł więc zawsze udać naiwnego. Zdawał sobie sprawę z tego, że Marissa manipuluje nim, lecz nie mógł się oprzeć jej urokowi. Ponadto był dumny ze swoich dokonań i chciał się nimi pochwalić. Był przekonany, że zrobią one wrażenie na dziewczynie.

- W porządku - zgodził się. - Kiedy chcesz iść?

- Najlepiej zaraz - stwierdziła.

Tad spojrzał na zegarek.

- Pora równie dobra jak każda inna - rzekł filozoficznie.

- Później możemy iść na drinka - obiecała Marissa. - Ja stawiam.

Dziewczyna zabrała torebkę, notując w myślach, że klucze Tada i karta wstępu do laboratorium leżą na tej samej półce przy drzwiach.

Po drodze do Centrum, rozparty w fotelu pasażera Tad, począł opisywać swoje ostatnie doświadczenia. Marissa słuchała go jednym uchem. W laboratorium interesowało ją

coś innego.

Podobnie jak poprzednim razem wpisali się do rejestru przy głównym wejściu do budynku i wsiedli do windy, udając, że jadą do biura Marissy. Wyszli na piętrze, zeszli w dół schodami, następnie przeszli pasażem do budynku wirusologii. Nim Tad zdążył otworzyć wielkie stalowe drzwi, Marissa wyrecytowała jego kod: 43-23-39.

Tad spojrzął na nią z podziwem.

- Boże, co za pamięć!

- Zapominasz, że to moje wymiary - zauważyła Marissa.

Tad parsknął śmiechem.

Kiedy po włączeniu prądu rozblęły światła i rozległ się pomruk kompresorów, Marissa poczuła ten sam niepokój, który znała z pierwszej wizyty. W atmosferze tego laboratorium było coś niesamowitego. Zupełnie jak w filmach science-fiction. Weszli do przebieralni, gdzie w milczeniu zmienili ubiór, zakładając najpierw bawełniane, a później plastikowe skafandry. Naśladując Tada, Marissa podłączyła wąż tlenowy do rozgałęźnika.

- Zachowujesz się jak stały bywalec - pochwalił ją Tad, włączając wewnętrzne oświetlenie laboratorium. Następnie ruchem ręki pokazał Marissie, że ma odłączyć wąż i przejść do następnej komory.

W oczekiwaniu na Tada w niewielkim pomieszczeniu, gdzie w drodze powrotnej miał spaść na nich dezynfekujący deszcz fenolu, Marissa dostała nagłego ataku klaustrofobii. Zebrała siły, by to zwalczyć i rzeczywiście atak ustąpił, gdy Weszli do przestronniejszej, głównej sali laboratorium. Dzięki praktycznym zajęciom laboratoryjnym odbytym wcześniej, znała już zastosowanie wielu sprzętów. Rozpoznała inkubatory kultur tkankowych, a nawet aparaty do chromatografii.

- Chodź tutaj - zawołał Tad, kiedy podłączyli węże tlenowe do właściwego

rozgałęźnika. Pokazał jej jedną z ław laboratoryjnych, na której umieszczono skomplikowaną konfigurację egzotycznych naczyń szklanych, i zaczął wyjaśniać, w jaki sposób dokonał separacji RNA i białek kapsydowych z wirusa Ebola.

Umysł Marissy błędził jednak gdzie indziej. Tak naprawdę ciekawiło ją, gdzie trzymają Ebolę. Zauważyła zamknięte na zasuwę, hermetyczne drzwi. Gdyby kazano jej zgadywać, wskazałaby miejsce za tymi drzwiami. Wykorzystała przerwę w wykładzie Tada, by spytać, czy mógłby jej pokazać, gdzie znajduje się Ebola.

Zawahał się przez chwilę, a potem wskazał w kierunku hermetycznych drzwi.

- Tam - powiedział.

- Czy mogę zobaczyć? - spytała Marissa.

Tad wzruszył ramionami. Potem gestem nakazał jej iść za sobą. Kołysząc się, przeszedł na drugą stronę pomieszczenia i wskazał na urządzenie stojące obok inkubatorów kultur tkankowych. Zrozumiała, że nie pokazywał wcale drzwi.

- Tutaj? - powątpiewała Marissa. W jej głosie brzmiało zaskoczenie i rozczarowanie.

Spodziewała się nieco bardziej okazałego pojemnika, lepiej zabezpieczonego, umieszczonego za ciężkimi, hermetycznymi drzwiami.

- Wygląda zupełnie jak zamrażarka w domu moich rodziców.

- Masz słuszość - odparł Tad. - Przerobiliśmy zwykłą zamrażarkę, żeby działała na ciekły azot. - Wskazał węże doprowadzające i wydechowe. - Utrzymujemy temperaturę na poziomie minus siedemdziesięciu stopni Celsjusza.

Wokół zamrażarki i jej uchwytu biegł łańcuszek, zabezpieczony zamkiem cyfrowym.

Tad podniósł zamek i nastawił kombinację.

- Ktokolwiek ustalił ten kod, miał poczucie humoru. Magiczną sekwencję stanowią trzy szóstki.

- Nie budzi zaufania - zawyrokowała Marissa. Tad wzruszył ramionami.

- A kto miałby tu wchodzić, sprzątaczką?

- Mówię poważnie - odrzekła Marissa.

- Nikt nie ma prawa wstępu do laboratorium bez karty wstępu - zapewnił Tad, otwierając zamek i zdejmując łańcuszek.

Też mi zabezpieczenie, pomyślała Marissa.

Tad uniósł nieco pokrywę chłodziarki i dziewczyna zerknęła do środka, w irracjonalnym przekonaniu, że zaraz coś wyskoczy na nią ze środka. Poprzez mroźną mgiełkę oczom jej ukazały się tysiące mikroskopijnych probówek zabezpieczonych plastikowymi zatyczkami, umieszczonych na metalowych miseczkach.

Dłonią osłoniętą plastikową rękawicą Tad otarł szron z wewnętrznej strony pokrywy, odsłaniając mapę rozlokowania poszczególnych wirusów. Odnalazł numer Eboli, po czym grzebał chwilę wewnątrz, jak klient przebierający w sklepie mrożone ryby.

- Oto Ebola - wyciągnął probówkę i zamarkował nią rzut w kierunku Marissy.

Przerażona dziewczyna automatycznie uniosła ręce, by złapać naczynie. Rozległ się gromki śmiech Tada, pusty i odległy, bo uwięziony w skafandrze. Marissa poczuła irytację. To nie było miejsce na takie błazeństwa.

Trzymając fiolkę w wyciągniętej ręce, Tad podał ją Marissie, lecz ona przecząco pokręciła głową. Owładnął ją irracjonalny lęk.

- Nie wygląda groźnie - powiedział Tad, wskazując na zamrożoną wewnątrz substancję - ale mieści w sobie około miliarda wirusów.

- Już się napatrzyłam, możesz ją schować z powrotem.

Bez słowa patrzyła, jak Tad wkłada fiolkę do miseczki, zamyka pokrywę i nastawia zamek. Następnie rozejrzała się po laboratorium. Było to obce jej otoczenie, choć kilka

przrzędów wyglądało znajomo.

- Czy znajduje się tutaj coś, czego nie ma w zwykłym laboratorium?

- Przeciętne laboratoria nie posiadają śluz powietrznych i systemu negatywnego ciśnienia - wyjaśnił.

- Mam na myśli wyposażenie laboratoryjne.

Tad rozejrzał się po pomieszczeniu. Jego wzrok spoczął na czaszach ochronnych zamontowanych nad stanowiskami na centralnej wysepce.

- To jest coś specjalnego - powiedział, wskazując ręką. - Nazywa się systemem filtrów 3 HEPA. O to ci chodziło?

- Czy są stosowane jedynie w laboratoriach o najwyższym stopniu izolacji? - pytała dalej.

- Wyłącznie. Muszą odpowiadać ścisłym wymogom.

Marissa podeszła do filtra nad stanowiskiem Tada. Wyglądał jak gigantyczny wyciąg nad piecem kuchennym.

- Kto je produkuje? - spytała.

- Możesz sama sprawdzić - odparł Tad, dotykając metalowej tabliczki przytwierdzonej do czaszy. Była na niej nazwa Lab Engineering, South Bend, Indiana. Marissie przyszło na myśl, że warto sprawdzić, kto w ostatnim czasie zamówił podobne czasze. Zdawała sobie sprawę z absurdalności koncepcji, zrodzonej w zakamarkach jej umysłu, lecz odkąd przyjęła, że wypadki w Phoenix miały związek z budyniem, nie mogła powstrzymać myśli, czy któraś z epidemii nie została wywołana celowo. A jeśli nie, to czy czasem ktoś na własną rękę nie przeprowadzał z Ebolą eksperymentów, które wymknęły się spod kontroli.

- Hej, myślałem, że interesują cię moje doświadczenia - odezwał się nagle Tad.

- Interesują mnie - zapewniła go Marissa. - Tyle że to miejsce działa na mnie

przytłaczająco.

Po chwili wahania, usiłując sobie przypomnieć, w którym miejscu przerwał wykład,

Tad podjął swe wywody. Myśli Marissy ponownie zaczęły błądzić wokół innych spraw.

Pomyślała, by napisać do firmy Lab Engineering.

- No i co o tym sądzisz? - zapytał Tad, zakończywszy wykład.

- Jestem pod wrażeniem. Poza tym jestem bardzo spragniona - odparła. - Mam ochotę na drinka.

Przed wyjściem z budynku Tad zabrał ją do swego niewielkiego biura, gdzie pokazał

jej, jak zbieżne są wyniki analiz wszystkich dotychczasowych epidemii, co miało świadczyć o tym, że były one faktycznie częściami jednej wielkiej choroby.

- Czy porównywałeś szczep amerykański z oryginalnym afrykańskim? - spytała

Marissa.

- Jeszcze nie - przyznał.

- A sporządziłeś dla nich tego samego rodzaju mapy i wykresy?

- Rzecz jasna - odparł Tad. Podeszedł do regału z dokumentami i otworzył dolną

szufladę. Była tak przepełniona, że z trudnością wyciągnął z niej kilka kartonowych teczek. -

Oto szczep z Sudanu, a ten z Zairu - położył materiały na biurku i usiadł na krześle.

Marissa otworzyła pierwszą teczkę. Mapy przypominały sporządzone przez nią, z tą

różnicą, że Tad wyszczególnił znaczące różnice w zakresie niemal wszystkich sześciu protein

Eboli. Następnie zajęła się drugą teczką. Tad pochylił się i ujął jedną z map zairskich, kładąc

ją obok dopiero co ukończonego szkicu.

- Nie do wiary - złapał kilka innych map i ułożył je obok siebie na biurku.

- Co takiego? - zainteresowała się Marissa.

- Jutro przepuszczę je wszystkie przez spektrofotometr, żeby się upewnić.

- Upewnić?

- Widzę niemal stuprocentową homologiczność strukturalną - wyjaśnił Tad.

- Proszę - powiedziała Marissa. - Mów po ludzku. Co to oznacza?

- Szczep występujący w Zairze w siedemdziesiątym szóstym jest identyczny z naszymi trzema.

Przez chwilę patrzyli na siebie. Pierwsza przemówiła Marissa.

- To oznacza, że od Zairu w 1976 do Phoenix w 1987 trwa jedna, nieprzerwana epidemia Eboli.

- To niemożliwe - zaprzeczył Tad, spoglądając na mapy.

- Ale to właśnie powiedziałeś - zauważyła Marissa.

- Wiem - przyznał. - Myślę, że to po prostu statystyczna zbieżność.

Potrząsnął głową, a jego błękitne oczy ponownie spoczęły na Marissie.

- Mogę jedynie powiedzieć, że to zdumiewające.

Kiedy znaleźli się z powrotem w głównym budynku, zajrzeli do biura Marissy, gdzie dziewczyna wystukała na maszynie krótki list.

- Czy to ktoś aż tak ważny, by pisać do niego po nocy? - zapytał żartobliwie Tad.

- Chciałam mieć to z głowy, póki pamiętam - odparła.

Wyciągnęła kartkę z maszyny i włożyła do koperty.

- No, już. Nie czekałeś długo, prawda?

Przejrzała zawartość torebki w poszukiwaniu znaczka. Tad zauważył adresata na kopercie: firmę Lab Engineering w South Bend w stanie Indiana.

- Po co, do diaska, do nich piszesz? - zapytał zdziwiony.

- Chcę uzyskać parę informacji o systemie filtrów 3 HEPA.

Tad zatrzymał się jak wryty. W jego głosie brzmiał niepokój.

- Po co ci one?

Znał impulsywny charakter Marissy. Zaczął się nawet zastanawiać, czy dobrze zrobił, zabierając ją powtórnie do laboratorium.

- No cóż! - roześmiała się Marissa. - Jeżeli Dubchek nadal będzie mi odmawiał wstępu do głównego laboratorium, będę musiała zbudować własne.

Tad otworzył usta, by coś powiedzieć, lecz Marissa nie dała mu szansy. Ujęła go pod ramię i popchnęła w stronę windy.

17 maja

Marissa obudziła się wcześniej rano z uczuciem, że warto żyć. Piękno wiosennego poranka zachęciło ją do wczesnego joggingu z Taffym. Nawet pies wydawał się rozkoszować wspaniałą pogodą, co okazywał, biegając wokół swej pani.

Po porannej porcji sportu Marissa wzięła prysznic, zdążyła obejrzyć kawałek *Today Show*, jednocześnie się ubierając, i wyruszyła do pracy przed wpół do dziewiątej. Weszła do biura, postawiła torebkę na przystawce na segregatory, po czym siadła za biurkiem.

Zamierzała sprawdzić, czy posiada dostateczne informacje na temat wirusa Ebola, by wyznaczyć statystyczne prawdopodobieństwo identyczności szczepu odkrytego w USA i tego, który wywołał epidemię w Zairze w 1976 roku. Jeśli szansa okaże się tak nikła, jak się spodziewa, zdobędzie w ten sposób naukową podstawę do swych podejrzeń.

Ale nie dane jej było rozwiązać tego problemu. Zauważyła bowiem na biurku służbową notatkę CKE. Wewnątrz koperty znalazła lakoniczne wezwanie do natychmiastowego stawienia się u doktora Dubcheka.

Pasażem przeszła do budynku wirusologii. W nocy jego zamknięta przestrzeń dawała poczucie bezpieczeństwa, teraz jednak, w jasnym blasku słońca, siatka ogrodzenia przywodziła na myśl więzienie. Sekretarka Dubcheka nie przyszła jeszcze do pracy, Marissa zapukała więc do otwartych drzwi.

Dubchek siedział za biurkiem i przeglądał korespondencję. Rzucił Marissie krótkie spojrzenie, po czym nakazał jej zamknąć drzwi i usiąść. Pod baczny spojrzeniem jego lśniących jak kryształ oczu, Marissa posłusznie uczyniła, co kazał.

W gabinecie jak zwykle panował nieporządek. Każdy skrawek powierzchni zajmowały reprintsy artykułów naukowych. Najwyraźniej taki styl pracy odpowiadał

Dubchekowi, choć przecież on sam zawsze chodził nienagannie ubrany.

- Doktor Blumenthal - zaczął swym niskim i opanowanym głosem. - Dziś w nocy była pani w laboratorium głównym.

Marissa milczała. Nie było to z jego strony pytanie, a jedynie stwierdzenie faktu.

- Sądziłem, że wyraziłem się jasno mówiąc, że nie ma pani tam wstępu, dopóki nie otrzyma pani stosownej przepustki. Lekceważenie przez panią moich zakazów jest, delikatnie mówiąc, denerwujące, zwłaszcza po tym, jak zleciła pani Tadowi nieoficjalne badania żywności ze szpitala Medica.

- Staram się wykonywać swą pracę najlepiej jak umiem - odparła Marissa.

Zdenerwowanie zastąpił gniew. Dubchek najwyraźniej nie miał zamiaru puścić w zapomnienie afrontu, który spotkał go w hotelu w Los Angeles.

- Najwyraźniej jednak nie idzie to pani najlepiej - warknął. - Sądzę również, że nie zdaje sobie pani sprawy z odpowiedzialności przed opinią publiczną, spoczywającej na CKE szczególnie teraz, w obliczu ogólnej hysterii związanej z AIDS.

- Uważam, że jest pan w błędzie - odparła, odwzajemniając jego wściekłe spojrzenie. -

Traktuję nasze obowiązki wobec społeczeństwa jak najpoważniej i właśnie dlatego sądzę, że minimalizowanie niebezpieczeństwa związanego z Ebolą jest obowiązkiem źle pojętym. Nie mamy żadnych naukowych podstaw, by twierdzić, że epidemia już nam nie zagraża. Dlatego usiłuję wytropić źródło wirusa, zanim uderzy on powtórnie.

- Doktor Blumenthal, przypominam, że nie pani wydaje tutaj polecenia!

- Doskonale zdaję sobie z tego sprawę, doktorze Dubchek. Gdyby tak było, nigdy nie przyjęłabym oficjalnej wersji, że Ebolą przywędrowała z Afryki za pośrednictwem doktora Richtera i wywołała epidemię w Stanach po sześciotygodniowym okresie inkubacji, zjawisku niespotykanym dotąd w medycynie. A jeśli to nie doktor Richter przywłókł wirusa, szukać

należy w jedynym znanym jego źródle w tym kraju, to znaczy tu, w CKE!

- Nie będę tolerował tego rodzaju nieodpowiedzialnych insynuacji.

- Może pan nazywać to sobie insynuacją. - Marissa podniosła się z krzesła. - Ja nazywam to faktem. Nawet w Forcie Detrick nie mają wirusa Ebola. Dysponuje nim wyłącznie nasze laboratorium, w którym przechowuje się go w lodówce zamkniętej na zwykły zamek rowerowy. Tak oto zabezpiecza się najbardziej śmiertelnego wirusa, jakiego zna ludzkość! A jeśli sądzi pan, że samo laboratorium jest zabezpieczone przed intruzami, to proszę sobie przypomnieć, że nawet komuś tak mało ważnemu jak ja dostanie się tam nie sprawiło najmniejszych trudności.

Kilka godzin później, wciąż roztrzęsiona z powodu odbytej rozmowy, Marissa weszła do Szpitala Uniwersyteckiego i zapytała o bufet. Idąc korytarzem we wskazanym kierunku, zastanawiała się, skąd miała w sobie tyle siły. Po raz pierwszy w życiu przeciwstawiła się komuś sprawującemu nad nią władzę. A jednak wspomnienie wyrazu twarzy Dubcheka, kiedy wyrzucał ją z gabinetu, napawało ją strachem. Nie wiedziała, co dalej począć. Była jednak przekonana, że jej kariera wywiadowcy epidemiologicznego legła w gruzach. Kiedy wyszła z budynku CKE, przez jakiś czas jeździła bez celu po mieście, zanim przypomniała sobie o Ralphie i postanowiła się go poradzić. Złapała go w przerwie między dwoma operacjami i namówiła na wspólny obiad.

Bufet w Szpitalu Uniwersyteckim prezentował się bardzo schludnie. Podłoga z białych płytek ceramicznych i stoły o żółtych blatach stwarzały przyjemny nastrój. Ralph siedział w rogu sali. Na widok Marissy pomachał ręką.

Kiedy podeszła bliżej, podniósł się od stołu i podsunął jej krzesło. To było w jego stylu i Marissa, choć bliska łez, uśmiechnęła się. Wytworne maniery nie bardzo pasowały do wysłużonego ubrania, które miał na sobie.

- Dziękuję, że znalazłeś dla mnie wolną chwilę - zaczęła. - Wiem, jak bardzo jesteś zajęty.

- Nonsens - odparł Ralph. - Dla ciebie zawsze mam czas. Powiedz, co się stało. Przez telefon wydawałaś się wyjątkowo zmartwiona.

- Najpierw coś zjedzmy - zaproponowała.

Chwila wytchnienia dobrze jej zrobiła. Panowała teraz nad emocjami. Kiedy wrócili do stołu, niosąc tace z jedzeniem, wyznała:

- Mam kłopoty w pracy.

Opowiedziała Ralphowi o zachowaniu Dubcheka w hotelu w Los Angeles.

- Od tego czasu zaczęły się nieporozumienia. Może mogłam się zachować nieco inaczej, ale z pewnością nie czuję się winna. W końcu był to pewien rodzaj seksualnej napaści.

- To nie w stylu Dubcheka - zauważył Ralph, marszcząc brwi.

- Nie wierzysz mi, prawda? - spytała Marissa.

- Wierzę ci bez zastrzeżeń - zapewnił ją Ralph. - Ale zarazem nie wydaje mi się, że można przypisać twoje wszystkie kłopoty jednemu niezręcznemu zdarzeniu. Musisz pamiętać, że CKE jest agencją rządową, chociaż wszyscy wydają się ten fakt ignorować. -

Przerwał i ugryzł kanapkę. - Pozwól, że o coś zapytam.

- Proszę cię bardzo - odparła Marissa.

- Czy uważasz mnie za swojego przyjaciela i wierzysz, że twoje dobro leży mi na sercu?

Marissa skinęła głową, wiedząc, co zaraz nastąpi.

- Wobec tego mogę mówić otwarcie - stwierdził Ralph. - Obiło mi się o uszy, że pewni ludzie z CKE patrzą niechętnym okiem na twoje poczynania, ponieważ „nie trzymasz

się oficjalnej wersji”. Wiem, że nie interesuje cię moje zdanie na ten temat, ale i tak je usłyszysz. W zbiurokratyzowanym systemie trzeba zachować własne opinie dla siebie, dopóki nie nadejdzie właściwy czas na ich ujawnienie. Mówiąc bez ogródek: musisz nauczyć się trzymać buzię na kłódkę. Wiem, co mówię, bo byłem przez jakiś czas w wojsku.

- Masz na myśli moje stanowisko w sprawie Eboli - stwierdziła Marissa, przyjmując postawę obronną. Wiedziała, że w zasadzie Ralph ma rację, a jednak to, co przed chwilą powiedział, dotknęło ją. Wydawało jej się dotychczas, że wykonuje pożyteczną pracę.

- Twoje stanowisko w sprawie Eboli jest tylko częścią bardziej złożonego problemu.

Ty po prostu nie zachowujesz się jak członek zespołu.

- Kto ci to powiedział? - rzuciła Marissa wyzywająco.

- Nawet jeśli się dowiesz, i tak niczego to nie zmieni - odrzekł Ralph.

- Podobnie jak moje milczenie. Nie zgadzam się z oficjalną wersją CKE w sprawie Eboli. Zbyt wiele w niej nieścisłości i pytań pozostawionych bez odpowiedzi. Jedną z nich znalazłam dopiero dziś w nocy, podczas nielegalnej wizyty w głównym laboratorium.

- Co takiego mianowicie odkryłaś?

- Wiadomo powszechnie, że wirus Ebola podlega nieustannym mutacjom. A tu nagle okazuje się, że wszystkie trzy epidemie na terenie Stanów wywołane zostały przez jeden szczep wirusa, na dodatek identyczny z tym, który w 1976 roku pojawił się w Zairze. Dla mnie jest oczywiste, że choroba nie rozprzestrzenia się naturalnie.

- Być może masz rację - przyznał Ralph. - Ale musisz też wziąć pod uwagę realia.

Ponadto, nawet jeśli mielibyśmy doświadczyć kolejnej epidemii, co, mam nadzieję, nie nastąpi, w pełni ufam, że uda wam się ją zahamować.

- To właśnie jest jeden z wielkich znaków zapytania - odparła Marissa. - Statystyki z Phoenix nie dają podstaw do optymizmu. Czy zdajesz sobie sprawę z tego, że zmarło trzysta

czterdzieści siedem osób, a przeżyło jedynie trzynaście?

- Znam te dane - odrzekł Ralph. - Ale uważam, że biorąc pod uwagę liczbę

osiemdziesięciu czterech przypadków wyjściowych, i tak spisaliście się na medal.

- Nie wiem, czy powiedziałbyś to samo, gdyby epidemia wybuchła w twoim szpitalu - zauważyła Marissa.

- Z pewnością masz rację - zgodził się Ralph. - Przeraza mnie perspektywa kolejnych wybuchów epidemii. Może dlatego bardzo pragnę uwierzyć w oficjalną wersję wydarzeń. Jeśli jest prawdziwa, niebezpieczeństwo mamy już za sobą.

- Do diabła - zaklęła Marissa z nagłą złością. - Byłam tak bardzo zajęta sobą, że nie pomyślałam o Tadzie. Dubcek z pewnością dowiedział się, że to Tad wprowadził mnie do laboratorium. Muszę zobaczyć, co się z nim dzieje.

- Puszczę cię pod jednym warunkiem - zastrzegł Ralph. - Jutro jest sobota. Zabieram cię na kolację.

- Jesteś kochany. Kolacja z pewnością będzie wspaniała. Pochyliła się i pocałowała go w czoło. Był taki miły. Gdyby tylko nieco bardziej ją pociągał.

Jadąc z powrotem do CKE, Marissa stwierdziła, że gniew ustąpił miejsca obawie o utratę pracy i poczuciu winy za swoje zachowanie. Ralph z całą pewnością miał rację: nie była członkiem zespołu.

Odnalazła Tada w laboratorium na wirusologii, pogrążonego w pracy nad nowym projektem badawczym AIDS. Był to w końcu główny przedmiot badań Centrum.

Zobaczywszy Marissę, komicznie osłonił twarz ramieniem, jakby bronił się przed ciosem.

- Było aż tak źle? - spytała.

- Gorzej - odparł Tad.

- Przepraszam - wybąkała Marissa. - W jaki sposób się dowiedział?

- Zapytał mnie - odparł Tad.

- I powiedziałaś mu?

- Oczywiście. Nie miałem zamiaru go okłamywać. Zapytał mnie również, czy się z tobą spotykam.

- A ty oczywiście powiedziałaś, że tak - stwierdziła dziewczyna z udręką.

- A dlaczegoż by nie? - zaprotestował. - Przynajmniej utwierdziłem go w przekonaniu, że nie zabieram do laboratorium ludzi spotkanych przypadkowo na ulicy.

Marissa wzięła głęboki oddech. Może ujawnienie tego wszystkiego było najlepszym rozwiązaniem. Położyła dłoń na ramieniu Tada.

- Przykro mi, że naraziłam cię na nieprzyjemności. Czy mogę ci to wynagrodzić, zapraszając cię dziś wieczorem na kolację?

Twarz Tada pojaśniała.

- Brzmi całkiem nieźle - przyznał z uśmiechem.

Tad pojawił się w biurze Marissy o szóstej, razem pojechali do supermarketu. Tad zażyczył sobie na kolację polędwicę z jagnięcia i czekał, aż rzeźnik przygotuje odpowiednie kawałki mięsa, podczas gdy Marissa udała się po ziemniaki i warzywa na sałatkę.

Kiedy wrzucili zakupy do bagażnika hondy Marissy, Tad uparł się, że wyskoczy jeszcze po butelkę wina. Powiedział, że przyjedzie później, a ona może w tym czasie rozpocząć przygotowania do zapowiadanej uczy.

Zaczęło padać. Jednostajny rytm pracujących wycieraczek wprowadził Marissę w pogodniejszy nastrój. Rzeczywiście dobrze się stało, że wszystko zostało powiedziane. W poniedziałek pierwszą rzeczą, jaką zrobi, będzie poważna rozmowa z Dubchekiem. Przeprosi go, a potem jakoś się dogadają. Są przecież dorosłymi ludźmi.

Po drodze zatrzymała się w piekarni i kupiła dwie napoleonki. Zajechała przed dom i

wycofała samochód tak, by mieć jak najkrótszą drogę od bagażnika do drzwi kuchennych.

Cieszyła się, że przyjechała przed Tadem. Słońce jeszcze wprawdzie całkiem nie zaszło, lecz zapadały już ciemności. Przy drzwiach zatrzymała się chwilę, usiłując znaleźć właściwy klucz. Łokciem zapaliła światło w kuchni i rzuciła wielkie, papierowe torby na blat. Kiedy wyłączała alarm, zastanowiła się, dlaczego Taffy nie wybiegł jej na spotkanie. Zawołała na niego, myśląc, czy czasem Judsonowie nie zabrali psa z jakiegoś powodu. Zawołała ponownie, lecz dom nadal wypełniała nienaturalna cisza.

Przeszła przez krótki korytarz do salonu, gdzie zapaliła stojącą przy kanapie lampę.

- Ta-a-a-affy! - zawołała, przeciągając imię psa.

Ruszyła na górę, myśląc, że być może zamknął się niechcący w jednym z pokoi na piętrze, jak mu się to czasami zdarzało. Wtedy ujrzała Taffy'ego rozciągniętego na podłodze koło okna. Łeb zwierzęcia odchylony był pod nienaturalnym kątem.

- Taffy! - krzyknęła Marissa rozpaczliwie, podbiegając do psa i klękając obok niego.

Nim jednak zdążyła go dotknąć, czyjaś ręka schwyciła ją mocno od tyłu. Głowa odskoczyła jej gwałtownie, a cały pokój zawirował. Instynktownie uczepliła się ręki napastnika i poczuła, że pod materiałem znajdowało się coś twardego, jakby drewno. Cała jej siła nie wystarczyła jednak, by się uwolnić. Rozległ się trzask rozdieranego materiału. Marissa próbowała odwrócić głowę, by zobaczyć napastnika, lecz nie była w stanie.

Pilot włączający system alarmowy znajdował się w kieszeni kurtki. Namacała go, rozpaczliwie usiłując wcisnąć właściwy guzik. Udało się, lecz w tym samym momencie cios wymierzony w głowę rzucił ją na podłogę. Spróbowała się podnieść wśród świdrującego uszy, przenikliwego sygnału. Usłyszała głos Tada. Odwróciła się, chwiejąc się na nogach niczym pijana i dostrzegła, że Tad zмага się z wysokim, mocno zbudowanym intruzem. Zatykając uszy w obronie przed dźwiękiem alarmu, wypadła przez frontowe drzwi,

krzyżąc o pomoc. Przebiegła przez trawnik i krzewy oddzielające jej posesję od Judsonów. Zbliżając się do ich domu, zauważyła, że pan Judson otwiera frontowe drzwi. Krzyknęła do niego, by zawiadomił policję, nie mówiąc nawet dlaczego. Odwróciła się na pięcie i pobiegła z powrotem do mieszkania. Dźwięk alarmu odbijał się echem wśród drzew rosnących wzdłuż ulicy. Wbiegła po schodach, pokonując po dwa stopnie naraz. Wpadła do pokoju, jednak nikogo tu nie zastała. W panice pospieszyła do kuchni, gdzie zobaczyła otwarte tylne drzwi. Sięgnęła do wyłącznika alarmu i przenikliwy dźwięk ucichł.

- Tad! - krzyknęła, szukając przyjaciela w pokoju, a następnie w gościnnej sypialni na piętrze. Nigdzie go nie było.

Nadbiegł pan Judson, ściskając w rękę pogrzebacz. Razem wyszli z kuchni na zewnątrz.

- Żona dzwoni już na policję - wyjaśnił sąsiad.

- Był ze mną przyjaciel - wyrzuciła z siebie Marissa, czując, że jej niepokój wzrasta. - Nie wiem, co się z nim stało.

- Ktoś tu idzie - powiedział Judson, wskazując ręką.

Marissa dostrzegła jakąś postać wśród drzew. Był to Tad. Z uczuciem ulgi podbiegła do niego i objęła go mocno za szyję, pytając, co się właściwie zdarzyło.

- Niestety, znokautował mnie - powiedział, dotykając skroni. - Kiedy się pozbierałem, facet już był na zewnątrz. Czekał na niego samochód.

Marissa zaprowadziła go do kuchni, gdzie przemyła mu głowę, używając mokrego ręcznika. Skaleczenie było na szczęście powierzchowne.

- Miał rękę jak maczuga - zauważył Tad.

- Masz szczęście, że nie zranił cię dotkliwiej. Nie powinieneś był go ścigać. A gdyby miał broń?

- Nie miałem zamiaru odgrywać bohatera - odparł Tad. - A on miał przy sobie jedynie teczkę.

- Teczke? Jaki włamywacz nosi przy sobie teczkę?

- Był dobrze ubrany - stwierdził Tad. - To trzeba mu przyznać.

- Czy przyjrzał mu się pan na tyle, by go zidentyfikować? - spytał Judson.

Tad wzruszył ramionami.

- Wątpię. Wszystko potoczyło się zbyt szybko.

W oddali rozległ się odgłos policyjnej syreny. Judson spojrział na zegarek.

- Nieźle pracują.

- Taffy! - wykrzyknęła nagle Marissa, przypominając sobie o psie. Pobiegnęła do pokoju, a Tad i pan Judson podążyli za nią.

Pies nie poruszał się. Marissa pochyliła się i delikatnie podniosła go z podłogi. Ciało zwierzęcia zwisało bezwładnie. Taffy miał skręcony kark.

Aż do tej chwili udawało się Marissie zachować pełną kontrolę nad emocjami. Teraz jednak wybuchła histerycznym łkaniem. Panu Judsonowi udało się nie bez problemów wyswobodzić ciało martwego psa z jej objęć. Tad objął ją ramionami, usiłując pocieszyć najlepiej jak umiał.

Zajechał samochód policyjny, rozświetlając ciemności czerwono-niebieskimi błyskami. Dwóch umundurowanych policjantów weszło do środka. Marissa musiała przyznać, że działali bardzo sprawnie. Zlokalizowali miejsce włamania, którym okazało się okno w salonie. Wyjaśniali, dlaczego alarm od razu nie zadziałał: napastnik wybił szybę i wszedł do środka, nie podnosząc ramy okiennej.

Następnie policjanci przystąpili do zbierania wszelkich informacji związanych z włamaniem. Niestety, ani Marissa, ani Tad nie byli w stanie dokładnie opisać napastnika.

Zwrócili jedynie uwagę na jego sztywną rękę. Zapytana czy nic nie zginęło, Marissa musiała przyznać, że nie zdążyła jeszcze sprawdzić. Powiedziała natomiast o Taffym i natychmiast rozplakała się ponownie.

Policjanci spytali, czy chce udać się do szpitala, lecz zdecydowanie zaprzeczyła.

Zatem po rutynowym oświadczeniu, że będą się z nią kontaktować, odjechali. Wyszedł również pan Judson, oferujący pomoc, gdyby Marissa potrzebowała czegokolwiek.

Powiedział również, że zajmie się zwłokami psa i dopilnuje, by wprawiono szybko następnego dnia.

Marissa i Tad zostali sami przy kuchennym stole, pośród toreb z zakupami.

- Tak mi przykro - odezwała się Marissa, pocierając obolałe czoło.

- Nie bądź niemądra - zaprotestował Tad. - Po prostu chodźmy coś zjeść.

- Nie mam ochoty na kolację w restauracji. Z drugiej strony nie chcę tu zostać. Czy moglibyśmy przyrzadzić sobie kolację u ciebie w domu?

- Jasne, nie ma problemu. Chodźmy!

Marissa powstrzymała go.

- Poczekaj pięć minut. Muszę się przebrać.

20 maja

W poniedziałek rano Marissa obudziła się z uczuciem strachu. Cały weekend był dość paskudny, począwszy od piątku, który okazał się najczarniejszym dniem w jej życiu. Zaczęło się rano od incydentu z Dubchekiem, następnie włamanie i napad, a na dodatek utrata Taffy'ego. Tuż po napadzie udało jej się stłumić emocje, lecz później przyszło jej drogo za to zapłacić. Przyrzędziła wprawdzie kolację u Tada i została u niego na noc, jednakże cały wieczór płakała za utraconym psim przyjacielem, od czasu do czasu wybuchając gniewem na jego mordercę.

Sobota nie poprawiła jej samopoczucia, pomimo wysiłków najpierw Tada, a następnie Judsonów, by podtrzymać ją na duchu. Wieczorem spotkała się z Ralphem na kolacji, podczas której zaproponował, by wzięła kilka dni urlopu. Zaoferował nawet, że zabierze ją na Karaiby. Uważał, że krótkie wakacje pozwoliłyby jej oderwać się nieco od spraw związanych z CKE. Marissa uparła się jednak, że wróci do pracy, na co Ralph zaproponował, by skoncentrowała się na zadaniach nie mających związku z Ebolą. Zignorowała również i tę propozycję.

- No to przynajmniej nie rób wokół tej sprawy tyle zamętu - doradził jej.

W jego opinii Dubchek był przyzwoitym człowiekiem, który nie może się pozbierać po śmierci ukochanej żony. Ralph uważał, że zasługuje na to, by dać mu jeszcze jedną szansę. Przynajmniej w tym względzie Marissa przyznała mu rację.

Drżąc na myśl o kolejnej konfrontacji z Dubchekiem, lecz mając jednocześnie w pamięci swe postanowienie naprawy stosunków z szefem, Marissa udała się w poniedziałek rano do biura. Notatka służbowa już leżała na biurku. Spodziewała się wezwania od Dubcheka, jednak kiedy wzięła kopertę do ręki, zauważyła pieczętkę doktora Carbonary'ego, administratora programu wywiadu epidemiologicznego, faktycznego przełożonego Marissy. Z

bijącym sercem otworzyła kopertę i wyciągnęła notatkę. Miała niezwłocznie stawić się w gabinecie doktora Carbonary'ego. Nie napawało jej to optymizmem.

Gabinet Carbonary'ego mieścił się na drugim piętrze. Marissa poszła schodami, zastanawiając się po drodze, czy wyrzucają tego dnia z pracy. Pokój był przestronny i wygodnie urządzone, a centralne miejsce na ścianie zajmowała mapa świata z powbijanymi w nią niewielkimi szpilkami o czerwonych główkach. Wskazywały one miejsca, do których aktualnie przydzielono pracowników wywiadu epidemiologicznego. Doktor Carbonary był mężczyzną o łagodnym głosie, ojcowskim sposobie bycia i z całą strzeżoną niesforne, siwych włosów. Gestem pokazał Marissie, że ma usiąść i poczekać, aż skończy rozmawiać przez telefon. Odłożył słuchawkę i uśmiechnął się do niej. Marissa ujrzała w tym uśmiechu promyk nadziei. Nie było to zachowanie wskazujące na rychłe zerwanie umowy o pracę.

Następnie Carbonary zaskoczył ją, wspominając o piątkowym napadzie i stracie ulubionego psa. Wydawało jej się, że nikt o tym nie wie z wyjątkiem Tada, Ralpa i Judsonów.

- Mam zamiar zaproponować pani krótki urlop - ciągnął Carbonary. - Po tak ciężkich przejściach zmiana otoczenia dobrze by pani zrobiła.

- Jestem panu bardzo zobowiązana za troskę - zaczęła Marissa. - Ale prawdę mówiąc, wolałabym kontynuować pracę. W ten sposób przestanę o tym myśleć, a ponadto nie sądzę, by epidemia dała nam spokój.

Carbonary ujął fajkę. Kiedy tytoń rozpalił się w zadowalającym stopniu, doktor przemówił:

- Niestety, w związku z Ebolą pojawiły się pewne problemy. Z dniem dzisiejszym zostaje pani przeniesiona z Wydziału Wirusologii do Wydziału Bakteriologii. Może pani zatrzymać swój obecny pokój. Jest nawet bliżej pani nowego miejsca pracy. Wierzę, że nowe stanowisko będzie dla pani równie atrakcyjne jak poprzednie.

Energicznie wydmuchnął wirujące kłęby siwego dymu. Marissa była zdruzgotana. W

jej pojęciu to przeniesienie było równoznaczne z wyrzuceniem z pracy.

- Mógłbym panią okłamać, ale prawda jest taka, że dyrektor Centrum, doktor

Morrison, osobiście polecił przenieść panią z wirusologii i umieścić z dala od problemu Eboli.

- Nieprawda - parsknęła Marissa. - To sprawka doktora Dubcheka!

- Nie, to nie doktor Dubchek wydał takie polecenie - z naciskiem powiedział

Carbonary, po czym dodał: - ...choć nie był mu przeciwny.

Dziewczyna roześmiała się sarkastycznie.

- Marisso, wiem, że między panią a doktorem Dubchekiem miało miejsce ubolewania
godne starcie osobowości, ale...

- Lepszym określeniem byłaby „seksualna napaść” wpadła mu w słowo Marissa. - Ten
człowiek zrobił wszystko, by obrzydzić mi życie od czasu, kiedy odrzuciłam jego zaloty.

- Przykro mi to słyszeć - odrzekł Carbonary spokojnym głosem. - Być może wszyscy

na tym skorzystają, jeśli ujawnię pani całą historię. Widzi pani, doktor Morrison otrzymał

telefon od kongresmana Calvina Markhama, który jest zasłużonym członkiem podkomisji w

Departamencie Zdrowia. Jak pani wiadomo, podkomisja ta zajmuje się corocznym

przydziałem funduszy dla CKE. To kongresman, o którym wspomniałem, nalegał na

odsunięcie pani od sprawy Eboli, nie doktor Dubchek.

Marissę zamurowało po raz drugi. Wydało jej się niewiarygodne, by członek

Kongresu Stanów Zjednoczonych osobiście telefonował do dyrektora CKE jedynie po to, by

ją, Marissę Blumenthal, odsunąć od śledztwa w sprawie Eboli.

- Czy kongresman Markham wymienił mnie z nazwiska? - spytała, gdy powrócił jej
głos.

- Tak - potwierdził Carbonary. - Proszę mi wierzyć, sam to sprawdziłem.

- Ale z jakiego powodu? - Marissa nie mogła tego zrozumieć.

- Nie podano żadnego powodu - odparł Carbonary. - Było to bardziej polecenie niż prośba. Powody polityczne nie dały nam prawa wyboru. Sądzę, że pani to zrozumie.

Marissa potrząsnęła głową.

- Nie rozumiem. Ale wydaje mi się, że zmieniłam zdanie na temat urlopu. Potrzeba mi będzie trochę czasu, by ochłonać.

- Wspaniale - oświadczył Carbonary. - Załatwię pani wnioski od ręki. Wypocznie pani i zacznie od nowa. Chciałbym panią zapewnić, że nie mamy zastrzeżeń co do pani pracy. Wręcz przeciwnie, jesteśmy pod wrażeniem pani dotychczasowych dokonań. Epidemia Eboli to przerażające wydarzenie. Będzie pani cennym nabytkiem zespołu pracującego nad bakteriami jelitowymi i jestem pewien, że dogada się pani z kierownikiem tego zespołu, panią doktor Harriet Sanford.

Kiedy Marissa jechała do domu, w jej umyśle wrzało jak w ulu. Miała nadzieję, że w pracy zapomni o nagłej śmierci Taffy'ego. Liczyła się co prawda z możliwością wyrzucenia jej z CKE, natomiast nie spodziewała się, że zostanie wysłana na urlop. Przyszło jej na myśl, aby spytać Ralpha, czy poważnie mówił o wakacjach na Karaibach. Niemniej jednak pomysł ten miał swoje złe strony. Ralph to świetny przyjaciel, Marissa nie była jednak pewna, czy chciałyby dalej posunąć ich znajomość.

Dom wydał jej się pusty bez entuzjastycznej bieganiny Taffy'ego. Przez chwilę ogarnęło Marissę przemożne pragnienie, by położyć się na łóżku i naciągnąć kołdrę na głowę. Jednak oznaczałoby to poddanie się depresji, którą zdecydowana była zwalczyć. W głębi ducha nie wierzyła w podany przez Carbonary'ego powód odsunięcia jej od sprawy Eboli. Lakoniczne wiadomości od kongresmanów zwykle nie wywoływały tak piorunujących reakcji. Była przekonana, że przy bliższym sprawdzeniu Markham okaże się przyjacielem

Dubcheka. Spojrzała na łóżko, kuszące miękkimi poduszkami, lecz postanowiła nie poddawać się jednak. Ostatnia depresja po odejściu Rogera wciąż była żywa w jej pamięci. Zamiast pogodzić się z sytuacją i dać za wygraną, zamierzała tym razem coś zrobić. Pytanie tylko co. Gdy sortowała ubrania w zamiarze zrobienia prania, mającego stanowić swoisty rodzaj terapii, wzrok jej padł na spakowaną walizkę. To był omen.

Idąc za pierwszym impulsem, sięgnęła po telefon i zadzwoniła do Delty, by dokonać rezerwacji na pierwszy lot do Waszyngtonu.

- Zaraz za drzwiami jest budka informacyjna - poinformował Marissę wszystkowiedzący taksówkarz, wskazując na schody prowadzące do Budynku Kongresowego Cannona.

Wewnątrz Marissa przeszła przez kontrolę, dokonywaną za pomocą wykrywacza metalu, a w tym czasie umundurowany strażnik sprawdzał zawartość jej torebki. Na pytanie o biuro kongresmana Markhama otrzymała odpowiedź, że mieści się ono na piątym piętrze.

Idąc według dość skomplikowanych wskazówek - winda bowiem dojeżdżała tylko na czwarte piętro - Marissa zdumiona była obskurnym wyglądem wnętrza budynku. Winda upstrzona była różnokolorowymi graffiti.

Pomimo dość krętej drogi, bez trudu odnalazła biuro Markhama. Pierwsze drzwi były uchylone, weszła więc bez pukania, licząc na element zaskoczenia. Niestety, okazało się, że kongresman wyjechał z Waszyngtonu.

- Pojechał do Houston na trzy dni. Czy mam panią zapisać na spotkanie?

- Nie jestem pewna - odparła Marissa. Wyrzucała sobie, że pokonała taki kawał drogi z Atlanty, nie sprawdzivszy uprzednio, czy kongresman znajduje się w Waszyngtonie, nie mówiąc już o tym, czy będzie miał czas ją przyjąć.

- Może chciałaby pani porozmawiać z panem Abramsem, asystentem pana

Markhama?

- Sądzę, że tak - zgodziła się Marissa. Tak naprawdę nie wiedziała, jak zachować się wobec Markhama. Gdyby spytała go wprost, czy usunął ją z prac nad Ebola, żeby wyświadczyć przysługę Dubchekowi, z pewnością by zaprzeczył. Była jeszcze zatopiona w rozważaniach, kiedy podszedł do niej poważnie wyglądający młodzieniec i przedstawił się jako Michael Abrams.

- W czym mogę pani pomóc? - zapytał, wyciągając rękę na powitanie. Wyglądał na jakieś dwadzieścia pięć lat, miał ciemne, niemal czarne włosy i szeroki uśmiech. Marissa podejrzewała, że nie był tak szczery, jak mogło się wydawać na pierwszy rzut oka.

- Czy można tu gdzieś swobodnie porozmawiać? - spytała. Stali tuż obok biurka, za którym urzędowała sekretarka.

- Ależ oczywiście - odparł Michael. Zaprowadził ją do gabinetu kongresmana, wysokiego i przestronnego pomieszczenia, w którym królowało potężnych rozmiarów mahoniowe biurko. Z jednej jego strony zwisał gwiazdzisty sztandar Stanów Zjednoczonych, z drugiej zaś flaga stanu Teksas. Na ścianach widniały oprawione w ramki fotografie, przedstawiające kongresmana ściskającego dłonie niezliczonej liczbie osobistości, z prezydentami Stanów Zjednoczonych włącznie.

- Nazywam się Blumenthal - zaczęła Marissa, kiedy tylko usiedli w fotelach. - Doktor Blumenthal. Czy to coś panu mówi?

Michael zaprzeczył ruchem głowy.

- A powinno? - zapytał przyjacielskim tonem.

- Być może - odparła Marissa, nie mogąc się zdecydować na jakąś konkretną taktykę w tej rozmowie.

- Czy jest pani z Houston?

- Nie, z Atlanty. Z CKE.

Obserwowała bacznie, czy ta nazwa wywoła jakąś reakcję. Bez rezultatu.

- Z CKE - powtórzył Michael. - Czy jest tu pani służbowo?

- Nie - przyznała Marissa. - Interesują mnie powiązania kongresmena Markhama z naszym Centrum. Czy należy ono do kręgu jego szczególnych zainteresowań?

- Nie sędzę, by określenie „szczególne” było tu właściwe - ostrożnie zaproponował Michael. - Kongresman interesuje się w ogóle opieką zdrowotną w naszym kraju. Powiem pani, że wprowadził więcej ustaw w tej dziedzinie niż ktokolwiek inny w Senacie. Ostatnimi czasy był wnioskodawcą ustawy ograniczającej napływ absolwentów zagranicznych uczelni medycznych, ustawy o obowiązkowym arbitrażu w przypadkach błędów w sztuce lekarskiej, ustawy ustalającej górny pułap federalny dla wyroków w sprawach o sprzeniewierzenie się etyce lekarskiej, a także ustawy ograniczającej dotacje federalne dla Organizacji dla Zachowania Zdrowia... - musiał przerwać, by zaczerpnąć tchu.

- Imponujące - przyznała Marissa. - Rzeczywiście interesuje się medycyną w tym kraju.

- Tak. Jego ojciec był lekarzem i to podobno doskonałym.

- Ale nic panu nie wiadomo o zaangażowaniu kongresmana w jakiś konkretny projekt badawczy w naszym Centrum? - indagowała Marissa.

- Nic na ten temat nie wiem.

- Zakładam, że niewiele się tu dzieje bez pana wiedzy.

Michael uśmiechnął się.

- Cóż, dziękuję, że poświęcił mi pan tyle czasu. - Marissa podniosła się z fotela.

Intuicja mówiła jej, że niczego więcej się nie dowie od tego młodzieńca.

Na ulicy ponownie ogarnęło Marissę z wątpienie. Pozbyła się myśli o rozwiązaniu

problemu poprzez zdecydowane działanie. Nie była zdecydowana czy czekać przez trzy dni w Waszyngtonie na powrót Markhama, czy wracać do Atlanty.

Wędrując bez celu po ulicach, dotarła pod Kapitol. Zarezerwowała już pokój w hotelu w Georgetown, może więc lepiej będzie zostać? Mogłaby przy okazji zwiedzić parę muzeów i galerii. Lecz patrząc na imponującą kopułę Kapitolu, nie mogła opędzić się od myśli, dlaczego człowiek na stanowisku, kongresman miałby zawracać sobie głowę jej osobą, nawet jeśli byłby przyjacielem Dubcheka. Nagle zaświtał jej pewien pomysł. Machnęła na przejeżdżającą taksówkę, wskoczyła do środka i zapytała:

- Federalna Komisja Wyborcza, wie pan, gdzie to jest?

Przystojny Murzyn za kierownicą odwrócił się do niej i rzekł:

- Droga pani, jeżeli jest w tym mieście jakieś miejsce, którego nie znam, zawiozę tam panią za darmo.

Zadowolona, usadowiła się na tylnym siedzeniu i pozwoliła kierowcy skoncentrować się na jeździe. Piętnaście minut później taksówka zatrzymała się przed niezbyt okazałym, dość nowoczesnym biurowcem w mniej reprezentacyjnej części miasta. Umundurowany strażnik poprosił Marissę o wpisanie się do rejestru. Nie wiedząc dokładnie, o jaki wydział jej chodzi, Marissa trafiła w końcu do biura na pierwszym piętrze. W środku, przy stalowoszarych, metalowych biurkach, cztery kobiety zawzięcie pisały na maszynach. Kiedy Marissa podeszła bliżej, jedna z nich podniosła głowę i spytała, czy może w czymś pomóc.

- Owszem - odparła Marissa z uśmiechem. - Interesują mnie źródła finansowania kampanii pewnego kongresmana. Rozumiem, że są to dane dostępne publicznie.

- Oczywiście - przytaknęła kobieta, odsuwając krzesło. - Interesują panią wpływy czy wydatki?

- Raczej wpływy - odpowiedziała Marissa, wzruszając ramionami.

Kobieta posłała jej zdziwione spojrzenie.

- Nazwisko kongresmena?

- Markham. Calvin Markham.

Kobieta podeszła do okrągłego stołu, na którym leżały oprawione na czarno księgi.

Odnalazła odpowiednią i otworzyła ją na literze M, objaśniając, że numery obok nazwiska

kongresmana odnoszą się do konkretnych kaset z mikrofilmami. Następnie poprowadziła

Marissę do olbrzymiego stojaka z kasetami, z którego wyjęła właściwą i włożyła ją do

czytnika mikrofilmów.

- Które wybory panią interesują? - spytała, pragnąc podać numer dokumentu.

- Chyba ostatnie - odparła Marissa. Nie wiedziała właściwie, czego szuka. Ogólnie rzecz biorąc, chodziło jej o stwierdzenie powiązań Markhama z Dubchekiem lub z CKE.

Maszyna nagle ożyła, przesuwając na ekranie strony dokumentów w tak szybkim

tempie, że zlewały się one w jeden ciąg. Kobieta nacisnęła przycisk i zademonstrowała, w jaki sposób regulować prędkość.

- Kopia kosztuje pięć centów - wskazała szczelinę na monety. - Jeśli będzie pani miała jakieś problemy, proszę mnie zawołać.

Marissę zaintrygowało zarówno samo urządzenie, jak i ilość informacji dostępnych na mikrofilmie. Przeglądając listę nazwisk i adresów osób oraz instytucji, które zasilaly kasę Markhama wspierając jego kampanię, zwróciła uwagę, że poparcie to nie było ograniczone jedynie do Teksasu, lecz miało zasięg ogólnokrajowy. Nie wydawało jej się to typowe, może z wyjątkiem Przewodniczącego Izby lub Prezesa Komisji Izbowej. Zauważyła także, iż spory procent datków pochodził od lekarzy, co było uzasadnione w świetle dotychczasowych dokonań Markhama na polu legislacyjnym.

Nazwiska były ułożone w kolejności alfabetycznej. Pomimo iż niezwykle uważnie przejrzała spis pod literą D, nie udało jej się znaleźć nazwiska Dubcheka. Pomyślała, że był to zwariowany pomysł. Skąd Cyrill miałby wziąć pieniądze na manipulowanie potężnym kongresmanem? Mógł mieć coś w zanadrzu na Markhama, ale z pewnością nie chodziło tu o pieniądze. Marissa zaśmiała się. Pomyśleć tylko, że uważała Tada za naiwniaka!

Mimo to zrobiła kopię listy sponsorów, postanawiając przyjrzeć się jej bliżej przy okazji. Jeden z lekarzy, mający sześcioro dzieci, przeznaczył na kampanię maksymalną dopuszczalną kwotę za siebie i każdego członka rodziny. To jest dopiero wyraz poparcia. Na końcu listy widniały nazwy instytucji. Jedną z nich, o nazwie Komitet Polityczny Kongresu Akcja Lekarzy, zadeklarowała sumę przewyższającą znacznie datki wszystkich firm naftowych z Teksasu. Wertując listę z poprzednich wyborów, Marissa natrafiła na tę samą nazwę. Najwyraźniej była to prężna organizacja, która wysoko ceniła sobie osobę Markhama. Marissa podziękowała urzędniczce za pomoc, wyszła z budynku i złapała taksówkę.

Kiedy samochód niemrawo przeciskał się wśród ulicznych korków, jeszcze raz zerknęła na listę sponsorów. Nagle omal nie wypuściła kartek z ręki. Pośrodku strony widniało nazwisko doktora Ralpa Hempstona. Był to bez wątpienia zbieg okoliczności, który dowodził niezbiecie, jak mały jest świat, lecz po dłuższym namyśle Marissa doszła do wniosku, że nie powinno to jej tak bardzo zaskoczyć. Jedną z cech Ralpa, które wprawiały ją w zakłopotanie, był jego niewątpliwy konserwatyzm. Można się było po nim spodziewać popierania kogoś takiego jak Markham.

Była siedemnasta trzydzieści, kiedy Marissa weszła do przyjemnie wyglądającego holu swego hotelu. Przechodząc koło niewielkiego stoiska z gazetami, dostrzegła nagłówek „Washington Post”: EBOLA UDERZA PONOWNIE!

Marissa zareagowała jak metal przyciągany magnesem. Wyrwała gazetę ze stojaka i

przeczytała zdanie pod nagłówkiem: NOWA PLAGA W MIEŚCIE BRATERSKIEJ
MIŁOŚCI.

Nie odrywając oczu od artykułu, Marissa wygrzebała z dna torebki drobne monety, którymi zapłaciła za gazetę, i ruszyła do windy. Trzy przypadki podejrzenia o Ebolę zanotowano w szpitalu klinicznym Bersona w Abington w stanie Pensylwania, niedaleko Filadelfii. Artykuł opisywał panikę, jaka wybuchła na przedmieściach po podaniu tej wiadomości.

W windzie Marissa odwróciła wzrok od gazety po to tylko, by wybrać przycisk z numerem swego piętra i zaraz wróciła do lektury. Cytowano wypowiedź Dubcheka, który zapewniał, że epidemia zostanie wkrótce zahamowana i nie ma powodów do obaw. Podczas trzech poprzednich epidemii Centrum nauczyło się, jak powstrzymać rozprzestrzenianie się wirusa.

Przytoczono również zdanie Petera Carbo, jednego z filadelfijskich liderów Ruchu Homoseksualistów, który wyraził nadzieję, że Jerry Falwell zauważy, iż żaden homoseksualista nie zapadł jeszcze na śmiertelną chorobę, która pochodzi z tej samej części Afryki co AIDS.

W pokoju Marissa zerknęła na zdjęcia w wewnętrznej wkładce pisma. Policyjny szpaler, broniący wejścia do szpitala Bersona, przypominał jej sceny z Phoenix. Odłożyła gazetę na komodę i przyjrzała się swej twarzy w lustrze. Była wprawdzie na wakacjach, a przede wszystkim została wykluczona z zespołu zajmującego się Ebolą, wiedziała jednak, że musi zebrać informacje z pierwszej ręki. Zbyt mocno zaangażowała się w sprawę tego wirusa, by teraz zrezygnować. Szybko stwierdziła, że Filadelfia jest tak blisko Waszyngtonu, iż można tam dotrzeć nawet pociągiem. Z tą myślą zaczęła się pakować.

W Filadelfii Marissa wyszła z dworca i wsiadła do taksówki. Kurs do Abington

kosztował więcej niż się spodziewała, na szczęście jednak kierowca zgodził się przyjąć czek podróżny, który znalazła w zakamarkach torebki. Przed szpitalem Bersona stanęła oko w oko z policyjnym szpalerem, który uprzednio widziała na zdjęciu. Zanim jeszcze podjęła próbę dostania się do środka, spytała stojącego obok reportera, czy szpital objęto kwarantanną.

- Nie - odparł dziennikarz, który przed chwilą nagabywał lekarza wychodzącego z budynku.

Policja została sprowadzona właśnie na wypadek, gdyby wyszło zarządzenie nakazujące kwarantannę. Marissa machnęła identyfikatorem CKE przed oczami jednego ze strażników, który bez słowa wpuścił ją do środka.

Okazały i nowoczesny kompleks szpitalny przypominał charakterem miejsca poprzednich epidemii Eboli w Los Angeles i Phoenix. Kierując się w stronę budki informacyjnej, Marissa pomyślała, że wirus ma dziwne upodobania, wybierając eleganckie i nowoczesne kompleksy, zamiast atakować zapuszczone i niehigieniczne szpitale miejskie, na przykład w Nowym Jorku czy Bostonie.

W głównym holu dało się zauważyć ożywienie, w niczym jednak nie przypominające paniki, z jaką Marissa zetknęła się w Phoenix. Ludzie wydawali się zdenerwowani, lecz bynajmniej nie przerażeni. Na stanowisku informacyjnym powiedziano jej, że chorzy z podejrzeniem o Ebolę znajdują się na wyizolowanym oddziale szpitalnym na szóstym piętrze.

Kiedy ruszyła w stronę windy, urzędnik zawołał za nią:

- Przykro mi, ale nie zezwala się na odwiedziny.

Marissa powtórnie wyjęła identyfikator CKE.

- O, przepraszam panią doktor. Proszę skorzystać z ostatniej windy. To jedyna, która dociera na szóste piętro.

Gdy tylko Marissa wyszła z windy, jedna z pielęgniarek poprosiła ją o założenie stroju

ochronnego. Nie zadawała jej żadnych pytań. Marissa była szczególnie zadowolona z maski, która oprócz ochrony zapewniała również anonimowość.

- Przepraszam, czy są tu w tej chwili jacyś inni lekarze z CKE? - zapytała, budząc popłoch dwóch plotkujących pielęgniarek.

- Przepraszam, nie słyszałyśmy, że pani wchodzi - odezwała się starsza z nich.

- Ludzie z Centrum wyszli jakąś godzinę temu - wyjaśniła druga. - Wydaje mi się, że mówili, iż idą na dół, do biura administracji. Może pani ich tam znajdzie.

- To nic pilnego - odparła Marissa. - Jak się czują pacjenci?

- Jest ich obecnie siedmiu - odparła pierwsza pielęgniarka. Następnie zapytała Marisę, kim jest.

- Jestem z CKE - odrzekła Marissa, celowo nie podając nazwiska. - A wy?

- Na nasze nieszczęście, jesteśmy z obsługi tego oddziału. Znamy się na izolacji pacjentów o obniżonej odporności na zachorowania, a nie zarażonych śmiertelną chorobą wirusową. Dlatego cieszymy się, że jesteście z nami.

- Na początku wygląda to dosyć groźnie - przyznała Marissa współczującym tonem, jednocześnie śmiało wkraczając do pokoju pielęgniarek. - Ale jeśli to was w jakiś sposób pocieszy, to powiem, że miałam do czynienia z wszystkimi poprzednimi epidemiami i nic mi się nie stało - nie wypadało mówić o własnym strachu.

- Czy karty choroby znajdują się tutaj, czy na salach?

- Są tutaj - starsza z pielęgniarek wskazała narożną półkę.

- Jak czują się pacjenci?

- Bardzo źle. Wiem, że to nie zabrzmiało zbyt mądrze, ale nigdy nie widziałam bardziej chorych ludzi. Mają zapewnioną całodobową opiekę pielęgniarską, a mimo to niewiele możemy dla nich uczynić. Ich stan ciągle się pogarsza.

Marissa dobrze rozumiała frustrację pielęgniarki. Pacjenci bez szans na wyzdrowienie zawsze w ten sposób oddziałują na personel.

- Czy któraś z was orientuje się, kto został przyjęty jako pierwszy?

Starsza pielęgniarka podeszła do Marissy i po krótkiej chwili głośnego przeczucia kart, wyciągnęła jedną i podała, mówiąc:

- Pierwszy był doktor Alexi. Dziwię się, że jeszcze żyje.

Marissa zajrzała do karty. Znalazła tam zapis wszystkich typowych objawów, lecz żadnej wzmianki o podróżach zagranicznych, eksperymentach na zwierzętach czy kontaktach z kimkolwiek z ofiar poprzednich epidemii. A jednak było coś jeszcze: Alexi był głównym okulistą szpitala! Czyżby więc Dubchek miał rację?

Nie mając pewności, czy dalszy pobyt w pokoju pielęgniarek nie stanie się dla niej niebezpieczny, Marissa wyraziła chęć niezwłocznego zobaczenia pacjenta. Założyła dodatkowy ubiór ochronny i weszła na salę.

- Czy doktor Alexi jest przytomny? - zapytała znajdującą się tam pielęgniarkę, Marie.

Pacjent leżał nieruchomo, na wznak, z otwartymi ustami i wzrokiem wbitym w sufit.

Jego skóra przybrała już bladożółty odcień, który był znakiem zbliżającej się śmierci.

- Ma przebłyski świadomości, potem traci przytomność - odparła pielęgniarka. - Raz jest zdolny do rozmowy, a za chwilę nie reaguje na bodźce. Zanotowaliśmy dalszy spadek ciśnienia. Powiedziano mi, że nie obowiązują wobec niego zasady reanimacji.

Marissa nerwowo przełknęła ślinę. Zakaz reanimacji pacjenta zawsze wywoływał nieprzyjemne uczucia.

- Doktorze Alexi - zwróciła się do chorego, dotykając delikatnie jego ramienia. Głowa lekarza powoli odwróciła się w jej stronę. Pod prawym okiem Marissa dostrzegła okazałego siniaka.

- Czy pan mnie słyszy, doktorze Alexi?

Skinienie głową.

- Czy był pan ostatnio w Afryce?

Gest zaprzeczenia.

- Czy uczestniczył pan w konferencji okulistycznej w San Diego kilka miesięcy temu?

Krótkie „tak”, wypowiedziane spierzchniętymi ustami.

Może Dubchek rzeczywiście miał rację? Byłby to nieprawdopodobny zbieg

okoliczności: każdy z pierwotnych przypadków w kolejnych epidemiach dotyczył okulisty, biorącego udział w konferencji w San Diego.

- Doktorze Alexi - zaczęła Marissa, starannie dobierając słowa. - Czy ma pan

przyjaciół w Los Angeles, St. Louis albo Phoenix? Czy odwiedzał ich pan ostatnio?

Nim zdążyła dokończyć pytanie, Alexi stracił przytomność.

- O tym właśnie mówiłam - wyjaśniła pielęgniarka, zbliżając się z drugiego końca łóżka, by zmierzyć pacjentowi ciśnienie.

Marissa zawahała się. Może poczekać parę minut i zadać pytanie jeszcze raz?

Spojrzała na posiniaczoną twarz chorego. Zapytała pielęgniarkę, skąd wziął się siniak pod okiem.

- Jego żona powiedziała, że doktor został napadnięty - wyjaśniła. Po chwili dodała: -

Ciśnienie nadal spada.

Potrząsnęła głową z dezaprobatą i odłożyła stetoskop.

- Napadnięto go? - Marissa chciała się upewnić, czy dobrze słyszała.

- Tak. Wiem, że napastnik uderzył go w twarz, chociaż Alexi wcale nie stawiał oporu.

Rozległ się sygnał interkomu.

- Marie, czy jest z tobą pani doktor z CKE? Pielęgniarka spojrzała na Marissę, po

czym pochyliła się nad mikrofonem.

- Tak, jest tutaj.

Poprzez serię trzasków, świadcząca o tym, że nie przerwano jeszcze połączenia,

Marissa usłyszała kobiecy głos.

- Jest w pokoju doktora Alexiego.

Inny głos odpowiedział:

- Proszę nie mówić! Pójdę sam się z nią rozmówić.

Puls Marissy bił jak oszalały. To był Dubchek! Dziewczyna w popłochu rozejrzała się po pokoju, szukając schronienia. Pomyślała, że może spytać pielęgniarkę o drugie wyjście, ale zabrzmiałoby to nad wyraz głupio, poza tym nie było na to czasu. Słyszała już odgłos kroków na korytarzu.

Do pokoju wkroczył Cyrill, zakładając gogle ochronne.

- Marie?

- Słucham - odpowiedziała pielęgniarka.

Marissa ruszyła w stronę drzwi. Dubchek chwycił ją za ramię. Stała. Uważała, że takie sceny nie uchodzą w obecności umierającego człowieka. Bała się reakcji Dubcheka, zdając sobie sprawę z liczby popełnionych wykroczeń. Ale zarazem ogarnął ją gniew na niego za to, że ją zmusił do takiego postępowania.

- Co ty, u diabła, wyprawiasz? - warknął Dubchek, nie zwalniając uścisku.

- Proszę mieć chociaż wzgląd na pacjenta i nie robić tu scen - syknęła,

wyswobodziwszy się z jego uchwytu. Wyszła z pokoju, a Dubchek podążył za nią. Zdjęła gogle, zewnętrzny czeppek i fartuch, a następnie rękawice i włożyła do specjalnego pojemnika.

Dubchek uczynił to samo.

- Czy lekceważenie zwierzchników to pani sposób robienia kariery? - rzekł z tłumioną

wściekłością. - Czy to jakaś gra?

- Nie będę rozmawiać w ten sposób - odparła Marissa. Dobrze wiedziała, że Dubchek nie był w nastroju do rzeczowej dyskusji. Ruszyła w stronę windy.

- Co to ma znaczyć: „Nie będę rozmawiać w ten sposób”? Za kogo się, do cholery, uważasz? - wykrzyknął Dubchek.

Złapał ją za ramiona i gwałtownie odwrócił do siebie.

- Sądzę, że powinniśmy z tym zaczekać, aż trochę się pan uspokoi - wycodziła

Marissa z największym spokojem, na jaki ją było stać.

- Uspokoi? - wybuchnął Dubchek. - Posłuchaj mnie, młoda damo, pierwszą rzeczą jaką zrobię rano, będzie telefon do doktora Morissona, żeby skierował cię na przymusowy urlop zamiast obecnych wakacji. Jeżeli odmówi, zażądam oficjalnego przesłuchania cię.

- To mi odpowiada - Marissa zachowywała resztki spokoju. - W tych epidemiach jest coś podejrzanego i zdaje się, że nie chce pan tego przyznać. Może panu jest potrzebne oficjalne przesłuchanie.

- Wynoś się stąd, zanim sam cię wyrzucę - syknął Dubchek.

- Z przyjemnością - odparła Marissa.

Dopiero po wyjściu ze szpitala Marissa zdała sobie sprawę z tego, że drży na całym ciele. Nienawidziła konfrontacji i czuła się rozdarta między słusznym gniewem a poniżającym poczuciem winy. Była przekonana, że znajduje się o krok od odkrycia faktycznych powodów epidemii, lecz jednocześnie nie potrafiła jasno sformułować swych podejrzeń, w sposób zadowalający ją samą, nie mówiąc już o innych.

Starła się to rozwikłać w drodze na lotnisko, lecz w jej pamięci tkwiła wciąż niesmaczna scena z Dubchekiem. Nie mogła jej zapomnieć. Świadomie podjęła ryzyko, gdy wchodziła do szpitala Bersona, nie będąc do tego upoważniona. Wściekłość Cyrilla miała

uzasadnienie. Gdyby tylko mogła z nim spokojnie porozmawiać na temat pobicia każdego z pacjentów, będących wyjściowymi przypadkami poszczególnych epidemii.

W oczekiwaniu na samolot do Atlanty postanowiła zadzwonić do Ralpha. Odebrał natychmiast, mówiąc, że tak bardzo niepokoił się o nią, iż udał się nawet do jej domu, kiedy nie odpowiadała na telefony. Pytał, skąd dzwoni, udając oburzonego jej wyjazdem bez pożegnania.

- Byłam w Waszyngtonie, a teraz dzwonię z Filadelfii. Ale wracam do domu - objaśniła.

- Pojechałaś do Filadelfii w związku z nową epidemią Eboli?

- Zgadłeś. Od naszej ostatniej rozmowy wiele się wydarzyło. To długa historia, ale w skrócie wygląda tak, że nie mam prawa tu przebywać i Dubchek przyłapał mnie na łamaniu zakazów. Pewnie wyrzucą mnie z pracy. Znasz kogoś, kto zatrudni pediatrę o niewielkim stażu?

- Żaden problem - zachichotał Ralph. - Załatwię ci pracę u nas, w Szpitalu

Uniwersyteckim. Jaki jest numer twojego lotu? Wyjadę po ciebie na lotnisko. Spieszno mi dowiedzieć się, jakie ważne powody zmusiły cię do wyjazdu bez pożegnania.

- Dzięki, ale nie fatyguj się. Mam na lotnisku hondę.

- Wobec tego wpadnij do mnie w drodze do domu.

- Może być już późno - zastrzegła się Marissa, myśląc jednocześnie, że u Ralpha może być znacznie przyjemniej niż w jej pustym domu. - Zamierzam zajechać jeszcze do CKE. Mam tam coś do załatwienia pod nieobecność Dubcheka.

- To nie jest dobry pomysł - zaproponował Ralph. - Co zamierzasz?

- Uwierz, proszę, nic złego. Chcę tylko na chwilę wpaść do głównego laboratorium.

- Wydawało mi się, że nie masz tam prawa wstępu.

- Dam sobie radę.

- Radzę ci trzymać się teraz z dala od Centrum - ostrzegł Ralph. - Wizyta w laboratorium to początek twoich kłopotów, nie pamiętasz?

- Pamiętam - przyznała Marissa - ale i tak muszę to zrobić. Inaczej dostanę pomieszania zmysłów.

- Rób jak uważasz, ale zajrzyj do mnie potem. Będę czekał do późna.

- Ralph? - Marissa zebrała całą swoją odwagę, by zadać to pytanie. - Czy znasz kongresmana Markhama?

Chwila ciszy.

- Słyszałem o nim.

- Czy byłeś zaangażowany finansowo w jego kampanię wyborczą?

- Cóż to za dziwne pytanie, szczególnie w rozmowie międzymiastowej.

- Odpowiedz mi.

- Owszem - przyznał Ralph. - Wiele razy. Popieram jego stanowisko w wielu sprawach dotyczących medycyny.

Marissa przyrzekła mu, że pojawi się wieczorem i odłożyła słuchawkę z uczuciem ulgi. Była zadowolona, że poruszyła w rozmowie temat Markhama, a jeszcze bardziej, że Ralph tak szczerze odpowiedział na jej pytanie o finansowanie kampanii kongresmana.

W samolocie Marissa znów poczuła niepokój. Jeszcze nie zdefiniowana teoria, gnieźdząca się w zakamarkach umysłu, wydała jej się tak przerażająca, że dziewczyna bała się ją zwerbalizować.

Ku jeszcze większemu przerażeniu przyszło jej na myśl, że włamanie do domu i zabicie psa nie były wcale dziełem przypadku, jak początkowo sądziła.

20 maja - wieczór

Prosto z lotniska Marissa udała się do domu Tada. Nie uprzedziła go telefonicznie, sądząc, że lepiej będzie po prostu zajrzeć do przyjaciela, mimo dość późnej pory. Dochodziła dziewiąta.

Zaparkowała przed samym wejściem i z zadowoleniem dostrzegła rozświetlone okno salonu na drugim piętrze.

- Marissa! - zdziwił się Tad, otworzywszy drzwi wejściowe. W rękę trzymał miesięcznik medyczny. - Co tu robisz?

- Chciałabym rozmawiać z głową rodziny. Przeprowadzam ankietę na temat masła orzechowego.

- Żartujesz.

- Jasne, że żartuję - odparła zirytowana. - Poprosisz mnie do środka czy spędzimy tu resztę nocy?

Nowo nabyta pewność siebie zdziwiła nawet ją samą.

- Przepraszam - Tad cofnął się o krok, robiąc jej miejsce. - Wejdz proszę.

Wychodząc, zostawił otwarte drzwi, dlatego idąca przodem Marissa weszła do pokoju pierwsza. Rzut oka na półkę w korytarzu upewnił ją, że karta wstępu do laboratorium znajduje się na swoim miejscu.

- Dzwoniłem do ciebie cały dzień - zauważył Tad. - Gdzie się podziewałaś?

- Wyjechałam - odparła wymijająco. - Miałam dzień pełen wrażeń.

- Słyszałem, że przenieśli cię z patogenów. Potem dotarła do mnie plotka, że jesteś na wakacjach. Co się dzieje?

- Sama chciałabym wiedzieć - odparła Marissa, opadając na niską sofę w pokoju. Kot

zjawił się momentalnie i rozgościł się na jej kolanach. - Jakie są wieści z Filadelfii? Czy to Ebola?

- Obawiam się, że tak. Wezwanie przyszło w niedzielę. Dziś rano otrzymałem próbki. Są naładowane wirusem.

- Ten sam szczep?

- Nie mogę tego od razu stwierdzić.

- Nadal wierzysz, że pochodzi z konferencji w San Diego?

- Nie wiem - w głosie Tada zabrzmiała nuta ostrożności. - Jestem wirusologiem, a nie epidemiologiem.

- Nie żartuj - odparła Marissa. - Nie trzeba być epidemiologiem, by zauważyć, że coś tu nie gra. Wiesz, dlaczego mnie przenieśli?

- Spodziewam się, że na polecenie Dubcheka.

- Nieprawda. To sprawka niejakiego Markhama, kongresmana Stanów Zjednoczonych ze stanu Teksas. Rozmawiał bezpośrednio z doktorem Morrisonem. Jest grubą rybą, zasiada w komisji rozdzielającej środki finansowe, również dla CKE, dlatego Morrison nawet nie mrugnął. Ale czy to nie dziwne? Przecież jestem tylko nic nie znaczącym pracownikiem wywiadu epidemiologicznego.

- Rzeczywiście - zgodził się Tad. Widać było, że się zdenerwował.

Marissa położyła mu dłoń na ramieniu.

- Co ci jest?

- Martwię się - odparł. - Lubię cię, wiesz o tym. Ale lubią cię też kłopoty, w które nie chcę zostać wplątany. Tak się składa, że interesuje mnie moja praca.

- Nie mam zamiaru wciągać cię w swoje sprawy. Potrzebuję jednak twojej pomocy, przyrzekam, że po raz ostatni. Dlatego przyjechałam tak późno.

Tad odtrącił jej rękę.

- Nie prosź mnie, żebym kolejny raz złamał przepisy.

- Muszę wejść do laboratorium - powiedziała Marissa. - Tylko na krótką chwilę.

- Nie! - odparł Tad zdecydowanie. - Nie mogę się więcej narażać. Przykro mi.

- Dubchek jest nieobecny. O tej godzinie nikogo tam nie będzie - nalegała.

- Nie. Nie zrobię tego.

Widziała, że podjął nieodwołalną decyzję.

- W porządku - powiedziała. - Rozumiem cię.

- Naprawdę? - Tad był zaskoczony, że tak łatwo dała za wygraną.

- Naprawdę. Ale jeżeli nie chcesz mnie zabrać do laboratorium, to możesz chyba zrobić mi jednego drinka?

- Jasne - widać było, że chce złagodzić swą odmowę. - Piwo, białe wino. Co sobie życzysz?

- Z przyjemnością wypiję piwo.

Tad zniknął w kuchni. Na odgłos otwieranej lodówki Marissa pospieszyła do korytarza. Na półce, ku jej zadowoleniu, leżały dwie karty magnetyczne Tada. Przy odrobinie szczęścia mógł nawet nie zauważyć, że pożyczyła sobie jedną. Wsunęła kartę do kieszeni kurtki i nim Tad wrócił, niosąc butelkę piwa, siedziała z powrotem na kanapie.

Tad wręczył jej jedną z trzymanyh butelek Rolling Rock. Otworzył również paczkę chipsów i położył na stoliku. Żeby go udobruchać, Marissa spytała o wyniki ostatnich eksperymentów, ale widać było, że słuca jednym uchem.

- Nie lubisz Rolling Rock? - spytał Tad widząc, że upiła ledwie łyk.

- To nie to - ziewnęła Marissa. - Zdaje się, że bardziej chce mi się spać niż pić. Chyba już pójdę.

- Możesz zostać tutaj - uprzejmie zaprosił Tad.

Marissa wstała z kanapy.

- Dzięki, ale naprawdę muszę już iść do domu.

- Przykro mi z powodu laboratorium - powiedział Tad, pochylając się, by ją pocałować.

- W porządku, rozumiem cię - odparła i odwróciła się, nim zdążył ją objąć.

Tad poczekał na klatce schodowej aż zamkną się drzwi wejściowe, po czym wszedł do mieszkania. Z jednej strony odczuwał zadowolenie, że nie pozwolił dłużej sobą manipulować, z drugiej zaś było mu głupio, że zawiódł Marissę.

Stojąc w korytarzu, spojrzął na półkę, na której trzymał klucze i karty magnetyczne.

Nadal myśląc o Marissie, zauważył nagle, że jedna z kart zniknęła. Wyrzucił z kieszeni wszystkie śmieci i uważnie je przejrzał. Następnie sprawdził wszystkie półki. Bez rezultatu - nigdzie nie było zapasowej karty.

- Cholera! - zaklął. Mógł się domyślić podstęp, kiedy dziewczyna tak łatwo dała za wygraną. Otworzył drzwi i wypadł na ulicę, spodziewając się jeszcze ją złapać, lecz na dole nikogo nie zauważył. Wieczór był parny, a powietrze tak przesycone wilgocią, że trudno było oddychać. Liście na drzewach ani drgnęły.

Tad wrócił do mieszkania, nie wiedząc jak powinien postąpić. Sprawdził, która godzina, po czym ujął słuchawkę telefonu. Darzył Marissę sympatią, ale tym razem posunęła się za daleko. Zaczął wybierać numer.

Marissa liczyła na to, że Dubchek nie przekazał strażnikom informacji, iż nie jest już pracownikiem Wydziału Wirusologii. Kiedy przy wejściu okazała swój identyfikator, strażnik uśmiechnął się tylko i spytał:

- Znowu pracujemy po nocy?

Jak na razie szło jej nieźle. Dbając o pozory, na wypadek gdyby strażnik chciał ją śledzić, udała się najpierw do swego biura. Zapaliła światło i usiadła za biurkiem, nasłuchując czy na korytarzu rozlegną się kroki. Panowała jednak cisza.

Na biurku leżało kilka listów: dwie reklamówki farmaceutyczne i koperta z nadrukiem Lab Engineering z South Bend. Marissa otworzyła ją. Kierownik działu sprzedaży dziękował za jej zainteresowanie filtrami typu 3 HEPA, wyjaśniając, że tego typu urządzenia wykonuje się wyłącznie na specjalne zamówienia. Jeśli byłaby zainteresowana ich zakupem, musiałaby najpierw zatrudnić pracownię architektoniczną, specjalizującą się w systemach medycznych. List kończył się odpowiedzią na pytanie, które skłoniło Marissę do napisania listu: w zeszłym roku w Lab Engineering zbudowano tylko jeden interesujący ją system, zamówiony przez Laboratoria Profesjonalne w Grayson w stanie Georgia.

Marissa spojrzała na mapę Stanów Zjednoczonych, pozostawioną w jej pokoju przez poprzedniego użytkownika biura. Nigdy dotąd nie zwracała na nią większej uwagi. Teraz, wodząc palcem po obszarze Georgii, usiłowała odnaleźć Grayson. Bez rezultatu. Przeszukała szuflady, przypomniawszy sobie, że posiada gdzieś mapę samochodową Georgii. Znalazła ją pomiędzy segregatorami. Grayson okazało się małym miasteczkiem, położonym o kilka godzin drogi na wschód od Atlanty. Na co komu w takiej dziurze specjalistyczny system filtrów 3 HEPA?

Odłożyła mapę, list zaś wsunęła do kieszeni blezera. Wyjrzała na korytarz - był pusty, winda nadal stała na piętrze, co znaczyło, że nikt z niej nie korzystał. Zdecydowała, że czas ruszać.

Zeszła schodami piętro niżej. Wyszła z głównego budynku i pasażem przeszła na oddział wirusologii. Z zadowoleniem spostrzegła, że w żadnym z biur nie pali się światło. Przechodząc obok drzwi gabinetu Dubcheka pokazała język. Dziecinada, ale jakże

podnosząca na duchu! Minąwszy zakręt, dotarła do hermetycznych drzwi. Wsuwając magnetyczną kartę Tada do szczeliny i wystukując kod wstępu: 43-23-39, mimowolnie wstrzymała oddech. Drzwi otworzyły się z metalicznym szczękiem. Zapachniało fenolowym środkiem dezynfekującym.

Marissa poczuła, że krew zaczyna szybciej krążyć jej w żyłach. Przystępując próg laboratorium miała nieprzyjemne wrażenie, że wchodzi do pomieszczenia okropności. Skąpo oświetlona, obszerna sala, wysoka na dwa piętra, poprzecinana płataniną rur, przewodów i ich cieni, sprawiała wrażenie gigantycznej pajęczyny.

Naśladować Tada, którego bacznie obserwowała podczas poprzednich wizyt w laboratorium, otworzyła niewielką skrzynkę, znajdującą się tuż przy wejściu, i za pomocą przełączników włączyła światła, kompresory oraz aparaturę wentylacyjną. Pomruk urządzeń wydał się jej znacznie głośniejszy niż poprzednim razem. Stopami wyczuwała wibrację podłogi.

Gdy Marissa znalazła się tu sama, laboratorium wydało jej się jeszcze bardziej onieśmielające niż poprzednio. Każdy krok naprzód wymagał od niej dużej siły woli i skupienia całej odwagi. Dodatkowo miała świadomość, że łamie przepisy, odbywając już, w pewnym sensie, karę w zawieszeniu. W każdej chwili ktoś mógł wejść i odkryć jej obecność. Spoconymi dłońmi ujęła koło otwierające hermetyczne drzwi do przebieralni i spróbowała je przekręcić. Nie drgnęło ani o cal. Musiała użyć całej siły, by je poruszyć. Blokada puściła z sykiem i drzwi stanęły otworem. Przeszła przez nie do środka i usłyszała jak zatraskują się za nią z głuchym, złowróżbnym dźwiękiem.

Drugie drzwi nie stawiały już takiego oporu, lecz w miarę pokonywania kolejnych przeszkód coraz bardziej uświadamiała sobie, jakie ryzyko podejmuje.

Spośród kilkunastu plastikowych skafandrów, wiszących w komorze, wybrała

najmniejszy. Bez pomocy Tada założenie kombinezonu okazało się znacznie trudniejsze niż się spodziewała. Zapinając w końcu zamek błyskawiczny, była mokra od potu.

Na tablicy pozostawiła włączone światła tylko w laboratorium głównym, reszta oświetlenia była zbędna. Nie miała zamiaru odwiedzać części ze zwierzętami. Trzymając w ręku przewód tlenowy, minęła komorę dezynfekcji i przez ostatnie hermetyczne drzwi przeszła do właściwej części laboratorium.

Pierwszym zadaniem było podłączenie przewodu do odpowiedniego rozgałęźnika.

Strumień powietrza z sykiem napełnił wnętrze kombinezonu i odparował maskę. Marissa z ulgą powitała ten dźwięk, cisza wydawała się złowroga. Mijając kolejne specjalistyczne urządzenia, dotarła do interesującej ją zamrażarki. Zaczynała żałować, że nie włączyła wszystkich światel. Cienie, tańczące na przeciwległej ścianie pomieszczenia, stanowiły ponurą dekorację w królestwie śmiertelnych wirusów i wzmagały strach Marissy.

Idąc na rozstawionych nogach, aby jak najsprawniej poruszać się w baloniastym kombinezonie, Marissa zmierzała w kierunku zamrażarki, zastanawiając się po raz kolejny, dlaczego mając do dyspozycji najnowocześniejsze urządzenia chłodnicze, zdecydowano się na pospolity sprzęt gospodarstwa domowego. Obecność zamrażarki w tym laboratorium była równie nieprawdopodobna jak użycie liczydła w centrum komputerowym.

Była o kilka kroków od zamrażarki, kiedy wzrok jej padł na potężne hermetyczne drzwi, znajdujące się po lewej stronie. Wiedziała, że nie przechowuje się tam wirusów, ale była zwyczajnie ciekawa, co kryje się za nimi. Nerwowym ruchem pociągnęła zasuwę. Kiedy otworzyła drzwi i zrobiła krok do środka, otoczyła ją chmura pary, uwolnionej z pomieszczenia. Przez moment stała w marznącej chmurze, a potem drzwi zamknęły się za nią, przytrzaszczając jej wąż tlenowy i odcinając dostęp światła do pomieszczenia.

Odczekała aż oczy przywykną nieco do ciemności, po czym namacała coś, co uznała

za włącznik światła. Zapaliły się lampy pod sufitem, rzucając blade światło na termometr umieszczony obok przełącznika. Marissa pochyliła się i odczytała temperaturę: było minus pięćdziesiąt jeden stopni Celsjusza.

- Mój Boże! - wykrzyknęła.

Jasna stała się przyczyna powstania obłoku pary: w momencie zetknięcia się powietrza o temperaturze pokojowej z tak niską temperaturą, wilgoć znajdująca się w powietrzu momentalnie uległa sublimacji w kropelki lodu.

Marissa ruszyła w głąb pomieszczenia, starając się rozpedzić gęstą mgłę machaniem rąk. Naraz kątem oka dostrzegła niesamowity widok. Krzyknęła przerażona, a dźwięk odbił się echem wewnątrz skafandra. Wydało jej się, że to widmo, lecz ku jeszcze większemu przerażeniu zorientowała się, że znajduje się przed rzędem zamrożonych, nagich trupów majaczących w skłębionej mgle. Sądziła najpierw, że są one o coś oparte, ale zbliżywszy się zauważyła, że zostały powieszzone, jak eksponaty na kursie anatomii, za pomocą mackowatych przyrządów, wprowadzonych do kanałów słuchowych. Z bliska Marissa rozpoznała pierwsze z brzegu ciało. Przez chwilę wydawało jej się, że zemdleje: był to hinduski lekarz, którego widziała w Phoenix. Jego twarz, zastygła w wyrazie agonii, wyglądała jak śmiertelna maska.

Oprócz tego było tam jeszcze około pół tuzina ciał. Marissa nawet ich nie liczyła. Po prawej zobaczyła trupy małp i szurów, zamrożone w równie groteskowych pozach. Marissa doskonale rozumiała potrzebę zamrożenia martwych ciał dla celów badań wirusologicznych, jednak nie była przygotowana na taki widok. Nic dziwnego, że Tad nie chciał jej tu wpuścić.

Wycofała się czym prędzej z tego pomieszczenia, zgasiwszy uprzednio światło i zamknąwszy drzwi na zasuwę. Drżała na całym ciele, zarówno z odrazy, jak i faktycznego zimna.

Ukarana za swą ciekawość Marissa całą uwagę skierowała na zamrażarkę. Zmagając się z plastikowym skafandrem, który hamował ruchy, a także z własnym roztrzęsieniem, ustawiła kombinację w zamku rowerowym i otworzyła go bez większych problemów. Gorzej poszło z łańcuszkiem. Był zasupłany i musiała się sporo natrudzić, by przeciągnąć go przez uchwyt. Trwało to znacznie dłużej niż się spodziewała, lecz w końcu otworzyła zamrażarkę. Marissa podniosła pokrywę i zdrapała szron z jej wewnętrznej strony, usiłując odcyfrować indeks. Wirusy były uszeregowane w porządku alfabetycznym. Po hasła „Ebola, Zair ‘76” następował opis „97, E11-E48, F1-F12”. Marissa domyśliła się, iż pierwsza liczba oznaczała pojemnik, następne zaś pozwalały zlokalizować wirusa wewnątrz niego. Każde naczynie mieściło co najmniej tysiąc próbek, z czego wynikało, że zairski szczep Eboli z 1976 roku znajdować się będzie w pięćdziesięciu odrębnych próbkach.

Z największą ostrożnością Marissa wydobyła pojemnik numer 97, ustawiła go na najbliższym blacie i zaczęła przeszukiwać przegródki. W każdej znajdowała się próbka z czarnym zamknięciem. Marissa odczuwała jednocześnie ulgę i rozczarowanie. Odnalazła szczep oznaczony jako Zair ‘76 i wyciągnęła próbkę E11. Mała, zamrożona grudka wewnątrz próbki nie sprawiała groźnego wrażenia, lecz Marissa wiedziała, że znajdowały się w niej miliony wirusów, z których każdy mógł po rozmrożeniu wywołać chorobę zakończoną śmiercią.

Wsunęła próbkę z powrotem do przegródki i wyciągnęła następną, sprawdzając, czy zamrożona grudka jest na miejscu. Podobnie czyniła z kolejnymi próbkami, nie znajdując nic podejrzanego, aż do chwili, gdy wyciągnęła próbkę numer E39. Probówka była pusta! Błyskawicznie sprawdziła pozostałe próbki. Wszystkie były w porządku. Obejrzała próbkę E39 pod światło, przystawiając ją niemal do maski, by upewnić się, że dobrze widzi. Nie było wątpliwości: w próbce nie było próbki. Wszystkie nie wypowiedziane

dotąd obawy, że epidemie są skutkiem przypadkowego bądź umyślnego nadużycia materiału znajdującego się w probówce należącej do CKE, potwierdziły się.

Kątem oka Marissa dostrzegła jakiś ruch. To obracało się koło otwierające drzwi prowadzące do komory dezynfekcyjnej! Ktoś nadchodził!

Paraliżujący strach uniemożliwił jej jakikolwiek ruch. Przez chwilę bezradnie wpatrywała się w drzwi. Kiedy odzyskała samokontrolę, wsunęła pustą probówkę z powrotem do pojemnika, który włożyła do zamrażarki i zamknęła pokrywę. Pragnęła uciekać, ale nie miała dokąd. Może powinna się ukryć. Rzuciła gorączkowe spojrzenie w kierunku zaciemnionego pomieszczenia z klatkami zwierzęcymi. Zabrakło jej czasu. W tej sekundzie puściło zamknięcie drzwi i do laboratorium weszło dwóch mężczyzn w plastikowych skafandrach ukrywających ich tożsamość. Niższy z nich wydawał się obznajomiony z procedurą kolejnych czynności w laboratorium. Pokazywał towarzyszowi, w jaki sposób ma podłączyć wąż tlenowy.

Sparaliżowana strachem Marissa ani drgnęła. Istniała jedna szansa na milion, że są to naukowcy z CKE, sprawdzający przebieg swego eksperymentu. Nadzieja ta jednak szybko pierzchła, kiedy okazało się, że zmierzają prosto w jej kierunku. Dopiero teraz zauważyła, że ten niższy trzyma w ręku strzykawkę. Jej oczy zatrzymały się na drugim z mężczyzn, którego łokieć, unieruchomiony pod nienaturalnym kątem, obudził w niej nieprzyjemne wspomnienia. Marissa usiłowała przyjrzeć się ich twarzom, lecz uniemożliwiał to odblask odbijający się na szybach hełmów.

- Blumenthal? - spytał niższy z nich chrapliwym głosem. Wyciągnął rękę i brutalnie nachylił jej twarz do światła. Najwyraźniej rozpoznał ją, gdyż skinął głową swemu towarzyszowi, który sięgnął do zamka jej kombinezonu.

- Nie! - wrzasnęła Marissa, kiedy zrozumiała, że to nie strażnicy. To ci sami

napastnicy, którzy zaraz zaatakują ją, tak jak to usiłowali uczynić w jej domu. Rozpaczliwie chwyciła łańcuszek z zamrażarki i uderzyła nim na oślep. W zamieszaniu udało jej się odłączyć wąż tlenowy i pobiec w kierunku klatek ze zwierzętami.

Wyższy z napastników natychmiast ruszył za nią. lecz w momencie, gdy miał ją złapać, wąż tlenowy pociągnął go w tył, jak psa uwiązanego na łańcuchu.

Marissa poruszała się najszybciej jak umiała pośród klatek, z których dochodziły głosy przestraszonych małp, szurów, kurcząt i Bóg wie, czego jeszcze. Schwytana w pułapkę, jaką stanowiła ograniczona przestrzeń laboratorium, wpadła w desperację. Żeby odwrócić choć trochę uwagę napastników, zaczęła otwierać klatki z małpami. Wszystkie, które były na tyle zdrowe, by się poruszać, uwolniły się natychmiast z zamknięcia. Oddech Marissy stał się ciężki i krótki.

Odnalazła rozgałęźnik, co nie było łatwym zadaniem w ciemnościach, i podłączyła do niego wąż, delektując się świeżym, chłodnym powietrzem. Zorientowała się, że wyższy mężczyzna nie zna rozkładu pomieszczeń w laboratorium, nie było jednak podstaw, by sądzić, że daje jej to większe szansę. Podeszła kawałek wzdłuż klatek, aż do miejsca, skąd mogła zobaczyć główną salę. Sylwetka napastnika odcinała się wyraźnie na tle światła. Szedł dokładnie w jej kierunku. Nie miała pojęcia czy ją widzi, czy nie, pozostała jednak w bezruchu, modląc się w myślach, by skręcił w inny korytarz. Ale on nadal zdecydowanie szedł w jej stronę. Włosy zjeżyły się jej na głowie.

Sięgnęła za siebie i odłączyła wąż, próbując odejść głębiej między klatki. Nie zdążyła.

Dłoń mężczyzny ścisnęła jej lewe ramię.

Spojrzała na niego, lecz dostrzegła jedynie odbłask na szybie zasłaniającej twarz.

Uścisk był tak silny, że wykluczał jakąkolwiek próbę oporu. Jednak na wysokości głowy napastnika Marissa dostrzegła czerwony uchwyt z napisem: „Alarm. Tylko w razie

niebezpieczeństwa”.

Wolną ręką złapała uchwyt i pociągnęła z całych sił. Rozległ się przeraźliwy dźwięk, jednocześnie z góry lunął strumień dezynfekującego fenolu, a mgiełka rozpylonych kropelek ograniczyła widoczność niemal do zera. Zaskoczony mężczyzna puścił ramię Marissy. Dziewczyna upadła na podłogę. Szybko odkryła, że może przeczołgać się pod wiszącymi klatkami, byle dalej od prześladowcy. Liczyła na to, że oddała się od głównej sali. Podniosła się i szła dalej na wycucie pod nieustającym deszczem fenolu, który prawdopodobnie mogło powstrzymać jedynie przestawienie dźwigni w poprzednie położenie. Oddech Marissy stał się krótki i bardzo ciężki. Łaknęła świeżego powietrza. Coś wyskoczyło tuż przed nią, tak że omal nie krzyknęła. Lecz była to tylko jedna z małp, oszalała ze strachu i z powodu trującego deszczu. Wczepiła się na chwilę w skafander Marissy a następnie zsunęła się po plastyku kombinezonu i zniknęła.

Z trudem łapiąc oddech, Marissa przeciągnęła dłonią po przewodach. Odnalazła rozgałęźnik i podłączyła wąż tlenowy.

Ponad dźwiękiem alarmu udało jej się usłyszeć jakiś hałas w sąsiednim korytarzu.

Doszły ją również stłumione krzyki. Domyśliła się, że jej napastnik nie może znaleźć przewodów z powietrzem.

Przypuszczała, że drugi z prześladowców ruszy na pomoc towarzyszowi. Postawiła wszystko na jedną kartę. Odłączyła wąż i ruszyła w stronę światła z rękami wyciągniętymi przed siebie jak ślepiec. Wkrótce natężenie światła stało się jednostajne, z czego wywnioskowała, że znajduje się w głównej części laboratorium. Kierując się w stronę ściany, wpadła na zamrażarkę. Przypomniała sobie, że widziała rozgałęźnik tuż nad nią. Podłączyła się na kilka krótkich wdechów. Po omacku dotarła do drzwi i w tej samej sekundzie, gdy ich dotknęła, zwolniła blokadę i wypadła na zewnątrz.

Przeszedłszy już gruntowną sterylizację w fenolowym deszczu, nie czekała na rutynowy prysznic. W następnym pomieszczeniu pośpiesznie zdarła z siebie plastikowy kombinezon, po czym wpadła do następnego pomieszczenia, gdzie zastawiła drzwi szafką na zapasowe ubrania. Nie sądziła, żeby powstrzymało to jej prześladowców, lecz chciała w ten sposób zyskać kilka cennych sekund.

W pośpiechu naciągnęła swoje ubranie, rzuciła się do tablicy rozdzielczej i wyłączyła wszystkie światła, pogrążając w ciemnościach nawet przebieralnię. Na dodatek wyłączyła system wentylacji.

Opuściwszy laboratorium, przebiegła błyskawicznie cały budynek wirusologii - przez pasaż i w dół po schodach na parter, przeskakując po dwa stopnie na raz. Przechodząc głównym holem, wzięła kilka głębokich oddechów, starając się ukryć zdenerwowanie. Po lewej stronie siedział za swym biurkiem nocny strażnik. Wyjaśniał komuś przez telefon, że włączył się alarm biologiczny, a nie antywłamaniowy.

Wątpiła, by napastnicy poprosili o pomoc strażnika po tym, jak próbowali ją zabić, lecz mimo to ręka jej drżała przy składaniu podpisu przy wyjściu. Usłyszała jeszcze, jak strażnik wyjaśniał komuś, że telefonistki szukają właśnie szefa oddziału wirusologii, a następnie odłożył słuchawkę.

- Halo! - krzyknął do niej, kiedy ruszyła w stronę drzwi. Serce skoczyło jej do gardła.

Przez głowę przemknęła jej myśl o ucieczce, stała zaledwie sześć stóp od wyjścia. Usłyszała głos strażnika:

- Zapomniała pani wpisać godzinę wyjścia.

Wróciła i posłusznie wypełniła rubrykę. Na zewnątrz puściła się biegiem do samochodu.

Dopiero w połowie drogi do Ralpa udało jej się opanować drzenie i zebrać myśli.

Brak zamrożonego materiału Eboli w próbówce nie mógł być dziełem przypadku. Szczep wirusa, który powinien się w niej znajdować, był identyczny z tym, który wywołał w ostatnim czasie szereg epidemii. Ktoś eksperymentował z wirusem i czy to przez przypadek, czy celowo, spowodował zarażenie śmiertelną chorobą pracowników szpitali w różnych miejscach i czasie.

Probówka numer E39 była owym tajemniczym źródłem wirusa w epidemiach na terenie Stanów Zjednoczonych. Wyjaśniało to wszelkie wątpliwości dotyczące zbyt długiego okresu inkubacji oraz tego, że pomimo tendencji wirusa do ciągłych mutacji, wszystkie epidemie zostały wywołane przez jeden jego szczep. Co gorsza jednak, ktoś chciał zachować ten fakt w tajemnicy. Właśnie dlatego usunięto Marissę z zespołu badającego Ebolę, a następnie próbowano ją zamordować. Największym przerażeniem napawała ją jednak świadomość, że ktoś, kto miał dostęp do laboratorium głównego - prawdopodobnie pracownik CKE odnalazł ją tam. Przeklinała swoje roztargnienie. Mogła przecież, wpisując godzinę wyjścia, sprawdzić nazwiska tych, którzy przyszli po niej.

Skręciła w ulicę, na której mieszkał Ralph. Niecierpliwie oczekiwała chwili, kiedy wszystko mu opowie, gdy nagle opadły ją wątpliwości. To nie w porządku wciągać go w te sprawy. Nadużyła już przyjaźni Tada i spodziewała się, że kiedy ten następnego dnia przyjdzie do pracy i zobaczy w rejestrze jej nazwisko oraz godzinę wizyty, skończy się ich znajomość. Marissa miała jedynie nadzieję, że jej prześladowcy nie zgłoszą jej obecności w laboratorium, gdyż wiązałoby się to z przyznaniem się do ataku na nią. Z drugiej strony musiała się liczyć z tym, że wymyślą jakieś kłamstwo na swoje usprawiedliwienie. Wówczas będą świadczyć przeciwko niej, a jutro jej słowo niewiele będzie znaczyć w CKE. Była tego pewna. Spodziewała się nawet porannej wizyty policji.

Walizka z jej rzeczami nadal tkwiła w bagażniku. Marissa skierowała się do

najbliższego motelu. Z wynajętego pokoju zadzwoniła do Ralpa. Odebrał telefon dopiero po piątym dzwonku i przemówił zaspanym głosem:

- Czekałem na ciebie, dopóki nie zasnąłem. Dlaczego nie przyjechałaś?

- To długa historia - odparła Marissa. - Nie mogę jej teraz opowiedzieć, ale mam poważne kłopoty. Być może będę potrzebować dobrego prawnika od spraw kryminalnych.

Znasz takiego?

- Dobry Boże - westchnął Ralph, a jego głos natychmiast się ożywił. - Może lepiej opowiedz mi, co się stało.

- Nie chcę cię w to wciągać - odparła. - Mogę tylko powiedzieć, że sprawy weszły w decydującą fazę, a nie jestem jeszcze gotowa na oficjalną konfrontację. Zdaje się, że pełni rolę wyrzutka - zaśmiała się głucho.

- Przyjedź do mnie - zaproponował Ralph. - Będziesz tu bezpieczna.

- Ralph, mówię poważnie, nie chcę cię w to wciągać. Poza tym rzeczywiście potrzebuję prawnika. Czy mógłbyś mi kogoś znaleźć?

- Oczywiście - odparł. - Pomogę ci w miarę możliwości. Gdzie jesteś teraz?

- Będę w kontakcie - wymijająco odparła Marissa. - I dziękuję za dowody przyjaźni.

Przerwała połączenie naciskając widelki, jednocześnie zbierając się na odwagę, by zadzwonić do Tada. Zamierzała przeprosić go, zanim ktoś inny powie mu, że użyła jego karty, by dostać się do laboratorium. Wzięła głęboki oddech i wykręciła numer. Kiedy nikt nie odbierał, odczekała jeszcze chwilę i odwiesiła słuchawkę. Lepiej go nie budzić.

Wyjęła z kieszeni list od Lab Engineering i rozłożyła przed sobą. Według planu następnym punktem było Grayson.

21 maja

Pomimo wyczerpania Marissa źle spała tej nocy. Śniło jej się, że ktoś ściga ją wśród złowrogich krajobrazów. Z ulgą powitała widoczne za oknem oznaki świtu. Wyrzała na dwór i zobaczyła, że człowiek sprzedający gazety roznosi najnowszą prasę. Wybiegła z pokoju i kupiła egzemplarz „Atlanta Journal and Constitution”.

Gazeta nie zawierała żadnej wzmianki o CKE. Dopiero w porannych wiadomościach telewizyjnych spiker mówił o wydarzeniach w Centrum. Nie wspomniał wprawdzie o laboratorium głównym, lecz podał wiadomość, że jeden z techników laboratoryjnych Centrum przebywał w Szpitalu Uniwersyteckim Emory na skutek zatrucia środkiem dezynfekującym, zawierającym związki fenolu. Pacjenta wkrótce zwolniono. Temat kończył telefoniczny wywiad z doktorem Cyrille Dubchekiem. Marissa zbliżyła się do głośnika, by lepiej słyszeć i podkreśliła głośność.

- Poszkodowany laborant był jedyną ofiarą tego wypadku - głos Cyrilla brzmiał metalicznie. Marissa zastanawiała się czy mówi z Atlanty, czy z Filadelfii. - Przypadkowo doszło do uruchomienia systemu alarmowego. Sytuacja została opanowana. W związku z tym incydem poszukujemy doktor Marissy Blumenthal, w celu uzyskania dalszych wyjaśnień. Komentator dodał od siebie, że jeśli ktokolwiek wiedziałby o miejscu pobytu doktor Blumenthal, proszony jest o skontaktowanie się z komendą policji w Atlancie. Przez jakieś dziesięć sekund widoczna była na ekranie jej fotografia, wzięta z podania, które złożyła, ubiegając się o przyjęcie do CKE.

Marissa wyłączyła telewizor. Nie pomyślała przedtem, że któryś z jej prześladowców mógł zostać poszkodowany i teraz nie dawało jej to spokoju, pomimo ich wrogich zamiarów. Tad miał rację, gdy stwierdził, że kłopoty ją lubią.

Mówiąc poprzedniego dnia o tym, że stała się wyrzutkiem, Marissa użyła tego określenia w znaczeniu przenośnym. Teraz jednak, po komunikacie telewizyjnym, zdała sobie sprawę z tego, iż żartobliwe sformułowanie przerodziło się w gorzką prawdę. Była poszukiwana przez policję w Atlancie.

Spakowała się czym prędzej i wymeldowała z motelu. Najadła się przy tym strachu, gdyż jej nazwisko widniało w księdze meldunkowej czarno na białym. Jednakże recepcjonista powiedział jedynie:

- Życzę miłego dnia.

Zatrzymała się w kawiarni, by wypić szybką kawę i zjeść pączka, po czym pojechała do banku, który na szczęście był tego dnia otwarty od rana. Załatwiła formalności, nie wysiadając z samochodu. Cały czas usiłowała ukryć twarz przed kasjerem, siedzącym przy stanowisku dla zmotoryzowanych. Ten jednak albo nie oglądał porannych wiadomości, albo też przejawiał zawodowy brak zainteresowania klientami. Marissa wypłaciła prawie wszystkie oszczędności. Zebrało się tego 4650 dolarów.

Gotówka w kieszeni poprawiła nieco jej nastrój. Wjeżdżając na autostradę międzystanową numer 78, włączyła radio. Zmierzała do Grayson.

Droga nie była uciążliwa, choć znacznie dłuższa niż początkowo sądziła Marissa, a ponadto nie miała zbyt wielu atrakcji do zaoferowania. Jedyną rzeczą wartą uwagi było kuriozum geologiczne o nazwie Kamienna Góra. To wybrzuszenie nagiej, granitowej skały wśród zalesionych wzgórz Georgii przypominało pieprzyk na pupie niemowlaka. Minąwszy Snelville. Marissa skręciła na północny wschód, na drogę 84. Krajobraz stał się teraz bardziej rolniczy. W końcu minęła tablicę z napisem: WITAMY W GRAYSON, podziurawioną jak rzeszoto, zupełnie jakby ktoś ćwiczył się na niej w strzelaniu do celu. W pewnym sensie podważało to szczerłość zawartej na tablicy deklaracji.

Miasto wyglądało dokładnie tak, jak je sobie Marissa wyobrażała. Główna ulica z ciągnącymi się po obu stronach zabudowaniami z pruskiego muru, zamknięte, sypiące się kino i bijące serce miasta - sklep z żywnością i narzędziami. Na rogu ozdobiony granitowymi płytkami gmach banku szczylił się ogromnym zegarem z rzymskimi cyframi na tarczy.

Wszystko to wskazywało na palącą potrzebę nabycia przez miasto systemu profesjonalnych filtrów laboratoryjnych 3 HEPA!

Marissa wolno krążyła po opustoszałych ulicach. Nie zauważyła żadnych zabudowań przemysłowych, domyśliła się zatem, że laboratorium znajdować się musi nieco poza obrębem miasta. Należało kogoś zapytać o drogę, ale kogo? Nie zamierzała odwiedzać tutejszego posterunku policji.

Dojechała do końca ulicy i zawróciła. Zatrzymała się przed sklepem, nad którym widniał również znak poczty.

- Laboratorium? Tak, jest na Bridge Road - odparł zapytany właściciel, którego znalazła w dziale towarowym, gdzie zachwalał klientowi bawełnę. - Trzeba zawrócić i skręcić w prawo przy straży pożarnej. Potem przejechać Parsons Creek i skręcić w lewo. Trudno nie zauważyć. Oprócz laboratorium są tam tylko krowy.

- Czym się zajmuje to laboratorium? - spytała Marissa.

- Niech mnie diabli, jeżeli coś wiem na ten temat - odparł. - Nie wtykam nosa w nie swoje sprawy. To dobrzy klienci i płacą gotówką.

Stosując się do jego wskazówek, Marissa wyjechała z miasteczka. Uwaga o krowach była uzasadniona, oprócz nich nie było tam rzeczywiście dokładnie nic. Za Parsons Creek skończyła się brukowana droga, co skłoniło Marissę do głębokich przemyśleń na temat celowości jej działań. Zaraz jednak dostrzegła sosnowy zagajnik, za którym widać było jakieś budynki.

Z głośnym łoskotem honda wjechała na asfalt, gdyż droga przeszła w obszerny

parking przed zabudowaniami. Stały tam dwa inne samochody: biała furgonetka z napisem

„Laboratoria Profesjonalne Inc.” oraz kremowy mercedes.

Marissa zaparkowała w pobliżu furgonetki. Budynek posiadał skośne zadaszenie i

dużą liczbę lustrzanych okien, które odbijały malowniczy krajobraz leśny. Sosnowy aromat

towarzyszył Marissie, kiedy zbliżała się do wejścia. Pchnęła drzwi, ale nie ustąpiły.

Spróbowała ponownie i odniosła wrażenie, że są zaryglowane od wewnątrz. Odsunęła się o

krok i rozejrzała za dzwonkiem. Bezskutecznie. Zapukała kilka razy, lecz doszła do wniosku,

że nikt w środku jej nie słyszy. Przestała dobijać się do drzwi i obeszła budynek. Stała przy

jednym z okien i przysłaniając szybę dłońmi, usiłowała zajrzeć do środka. Bez rezultatu.

- Wtargnęła pani na teren prywatny - zabrzmiał nieprzyjazny głos.

Marissa opuściła ręce w poczuciu winy.

- To własność prywatna - powtórzył krępy mężczyzna w średnim wieku, odziany w

niebieski kombinezon.

- Hmm... - chrząknęła, gorączkowo usiłując wymyślić jakąś wymówkę. Facet z

krótko przyciętymi siwiejącymi włosami i rumianą cerą, wyglądał jak typowy robotnik rolny

z lat pięćdziesiątych.

- Nie widziała pani tablic? - zapytał, wskazując na znaki przy wjeździe na parking.

- Widziałam - przyznała Marissa. - Ale widzi pan, jestem lekarzem... - zawahała się.

Nie dawało jej to żadnych podstaw do naruszania cudzej własności. Szybko podjęła: -

Ponieważ macie tu laboratorium wirusologiczne, chciałam się dowiedzieć, czy

przeprowadzacie wirusowe analizy diagnostyczne na zlecenie.

- Dlaczego pani sądzi, że to laboratorium wirusologiczne?

- Tak słyszałam.

- No to źle pani słyszała. Pracujemy nad programem z zakresu biologii molekularnej.

Zachowujemy środki ostrożności ze względu na szpiegostwo przemysłowe. Sądzę, że najlepiej pani zrobi, wynosząc się stąd, zanim wezwę policję.

- To nie będzie konieczne - zapewniła Marissa. Tylko tego jej teraz brakowało, żeby zainteresowała się nią policja. - Bardzo przepraszam za najście. Nie miałam zamiaru przeszkadzać. Chciałabym jednak zobaczyć wasze laboratorium. Czy można to jakoś zorganizować?

- Wykluczone - odparł mężczyzna kategorycznie. Szedł z Marissa aż do samochodu.

Krokiem ich towarzyszył chrzęst żwiru pod stopami.

- Z kim mogę się skontaktować w sprawie zwiedzenia laboratorium? - spytała

Marissa, siadając za kierownicą.

- Ja tu rządzę - odparł mężczyzna. - Niech pani już jedzie.

Odsunął się od samochodu. Wyczerpawszy zasób pomysłów, Marissa dała za wygraną i uruchomiła silnik. Usiłowała uśmiechnąć się na do widzenia, ale twarz mężczyzny pozostała niewzruszona. Patrzył za nią, jak wyjeżdża, kierując się w stronę Grayson.

Odczekał, aż honda zniknie za drzewami, po czym z irytacją potrząsnął głową i wszedł do budynku. Drzwi rozsunęły się automatycznie.

Wnętrze urządzone było w tym samym nowoczesnym stylu co zewnętrzna bryła. Po przejściu krótkiego korytarza wyłożonego płytkami, mężczyzna znalazł się w niewielkim laboratorium. Na jednym jego końcu stało biurko, naprzeciw zaś widniały stalowe, hermetyczne drzwi, podobne do tych, które prowadziły do głównego laboratorium CKE. Za tymi drzwiami znajdowały się stanowiska wyposażone w wielkie czapy filtrów 3 HEPA. Siedzący za biurkiem człowiek zajmował się wyginaniem biurowego spinacza w fantastyczne kształty. Spojrzał na przybyłego mężczyznę i rzekł:

- Dlaczego, do cholery, nie pozwoliłeś mi się nią zająć?

Mówienie sprawiało mu trudność. Zakaszłał, a do oczu napłynęły mu łzy. Podniósł do ust chusteczkę.

- Dlatego, że nie wiemy, kogo powiadomiła o swej wizycie tutaj - odparł mężczyzna w kombinezonie. Myśl trochę, Paul. Czasami mnie przerażasz. Podniósł słuchawkę telefonu i z dużo większą siłą niż było trzeba wystukał na klawiaturze numer.

- Gabinet doktora Jacksona - odezwał się jasny, wesoły głos kobiety.

- Chcę rozmawiać z doktorem.

- Przykro mi, ale jest w tej chwili zajęty. Ma pacjenta. Kochanie, guzik mnie to obchodzi. Może sobie być teraz nawet z Panem Bogiem. Chcę go mieć na linii.

- Kto mówi, jeśli mogę wiedzieć? - głos sekretarki przybrał lodowaty ton.

- Powiedz mu, że dzwoni Przewodniczący Komitetu do Spraw Etyki Lekarskiej. Albo coś w tym guście. Tylko połącz mnie wreszcie!

- Proszę chwilę zaczekać.

Zwracając się w stronę biurka, mężczyzna powiedział:

- Paul, przyniósłbyś mi kawę?

Paul wrzucił pogięty spinacz do kosza i podniósł się z krzesła. Nie przyszło mu to łatwo przy jego wzroście i unieruchomionym stawie łokciowym. W dzieciństwie został postrzelony przez policjanta.

- Kto mówi? - rozległ się w słuchawce zirytowany głos Jacksona.

- Heberling - odparł mężczyzna w kombinezonie. - Doktor Arnold Heberling.

Pamiętasz mnie?

Paul podał kawę i zasiadł za biurkiem, wyciągając ze środkowej szuflady kolejny spinacz. Położył dłoń na piersi i odchrząknął.

- Heberling! - zawołał Jackson. - Mówiłem ci. żebyś pod żadnym pozorem nie

dzwonił do mego gabinetu!

- Była tu ta Blumenthal - oznajmił Heberling. nie zwracając uwagi na słowa Jacksona.

- Zajechała tutaj jak ta lala w czerwonym samochodzie. Złapałem ją na podglądaniu przez szybę.

- Skąd, do diaska, dowiedziała się o istnieniu laboratorium?

- Nie wiem i nie interesuje mnie to - odparł Heberling.

- Liczy się fakt, że o nas wie, a ja jadę do miasta zobaczyć się z tobą. Trzeba się nią zająć.

- Nie! Nie pokazuj się tu - przeraził się Jackson. - Ja przyjadę do ciebie.

- W porządku - zgodził się Heberling. - Byle dzisiaj.

- Będę koło piątej. Jackson z trzaskiem odłożył słuchawkę.

Marissa postanowiła zatrzymać się w Grayson na lunch. Miała dwa powody: po

pierwsze była rzeczywiście głodna, po drugie liczyła, że dowie się czegoś o laboratorium.

Zatrzymała się przed sklepem, serwującym również posiłki, i usiadła przy staroświeckim

barze z napojami. Zamówiła hamburgera, którego otrzymała w świeżo pieczonej bułce z

wielkim plastrem cebuli na wierzchu. Coca-cola była rozwodnionym syropem.

Jedząc, rozważała swe możliwości. Nie było ich zbyt wiele. Z pewnością nie mogła

wrócić do CKE ani też do szpitala Bersona. Jej ostatnim tropem były filtry 3 HEPA, jednak

sprawdzenie, do czego są wykorzystywane, przerastało jej siły. Laboratorium zbudowano

niczym fortecę, szansę na Wejście do środka były zerowe. Pomyślała, że nadszedł chyba czas,

by zadzwonić do Ralpha i zapytać, czy ma już dla niej jakiegoś prawnika, chyba że...

Ugryzła kolejny kęs. Przywołała w myślach obraz dwóch samochodów stojących na

parkingu. Biała furgonetka miała na drzwiach napis „Laboratoria Profesjonalne Inc.”

Zainteresował ją skrót w nazwie.

Skończyła lunch i przeszła ulicą w kierunku budynku biura, które mijala, jadąc samochodem. Złote litery na matowych szybach drzwi wejściowych głosiły: RONALD DAVIS, USŁUGI PRAWNE I POŚREDNICTWO W HANDLU NIERUCHOMOŚCIAMI. Wejściu Marissy towarzyszył dzwonek. Wewnątrz ujrzała zavalone papierami biurko. Nie było sekretarki.

Z pokoju obok wyszedł mężczyzna w białej koszuli z muszką i w czerwonych szelkach. Mimo iż nie mógł mieć więcej niż trzydzieści lat, okulary w drucianych oprawkach nadawały mu wygląd starszego pana.

- W czym mogę pani pomóc? spytał z silnym, południowym akcentem.

- Czy pan Davis? - zapytała Marissa.

- Owszem - wsadził kciuki pod taśmy szelek.

- Mam kilka podstawowych pytań - zaczęła Marissa - na temat prawa dotyczącego spółek. Czy mógłby mi pan udzielić odpowiedzi?

- Być może - odparł Davis, gestem zapraszając Marissę do środka.

Gabinet wyglądał jakby żywcem przeniesiony z filmów z lat trzydziestych.

Wentylator na biurku leniwie obracał się w tę i z powrotem, podrywając leżące obok kartki.

Davis rozsiadł się na swym krześle i splótł ręce na karku.

- Co chciałaby pani wiedzieć?

- Chcę uzyskać kilka informacji na temat pewnej korporacji. Czy jeśli spółka została zarejestrowana, ktoś taki jak ja może poznać nazwiska jej właścicieli?

Davis pochylił się do przodu, opierając łokcie na biurku.

- Może tak, a może nie - odparł z uśmiechem.

Marissa jęknęła. Rozmowa z panem Davisem zapowiadała się gorzej niż wizyta u

stomatologa w celu wyrwania zęba. Zanim jednak zdążyła inaczej sformułować pytanie.

Davis odezwał się:

- Jeśli interesująca panią firma jest korporacją publiczną, trudno będzie odnaleźć wszystkich jej akcjonariuszy, zwłaszcza jeśli część akcji powierzono osobom trzecim na mocy pełnomocnictwa. Ale jeśli to spółka, zadanie jest względnie proste. W obu przypadkach istnieje możliwość odszukania przedstawiciela firmy, jeśli nosi się pani z zamiarem pozwania firmy do sądu. Czy o to właśnie chodzi?

- Nie. Chodzi wyłącznie o informację. W jaki sposób mogę sprawdzić, czy firma jest spółką, czy korporacją publiczną?

- To proste - Davis odchylił się na krześle. Idzie pani do Izby Stanowej w Atlancie, do biura Sekretarza Stanu i prosi o rejestr handlowy. Wystarczy podać urzędników nazwę firmy, a on ją znajdzie w odpowiednim dziale. To są dane ogólnie dostępne. Jeśli firma, o którą pani chodzi, została zarejestrowana w stanie Georgia, musi znajdować się w rejestrze.

- Dziękuję panu - Marissie wydało się, że widzi światło w tunelu. - Ile jestem panu winna?

Davis uniósł brwi, wpatrując się w twarz Marissy.

- Dwadzieścia dolarów załatwia sprawę, chyba że...

- Proszę uprzejmie. - Dziewczyna wyciągnęła banknot dwudziestodolarowy i wręczyła mu.

Wyszła z biura, wsiadła do samochodu i ruszyła prosto do Atlanty. Znów miała jakiś cel, choć szansę na uzyskanie istotnych informacji były dość znikome.

Przez całą drogę trzymała się dozwolonej prędkości. Nie uśmiechało jej się spotkanie z policją z powodu zbyt szybkiej jazdy. Wjechała do miasta o czwartej. Zostawiła samochód na krytym parkingu i udała się do Izby Stanowej.

Czując się niezręcznie w obecności stanowej policji, Marissa zdążyła się spocić, zanim jeszcze weszła na frontowe schody. Bała się, że ktoś może ją rozpoznać.

- Doktor Blumenthal - usłyszała czyjś głos.

Przez ułamek sekundy chciała rzucić się do ucieczki. Opanowała się jednak i odwróciła. Stała przed nią jedna z sekretarek z CKE, wesoła, dwudziestokilkuletnia dziewczyna.

- Alice MacCabe z gabinetu doktora Carbonary'ego - przedstawiła się. - Pamięta mnie pani?

Na szczęście Marissa przypomniała ją sobie i przez następne kilka minut, z nerwami napiętymi do granic możliwości, prowadziła uprzejmą rozmowę. Najwyraźniej panna MacCabe była nieświadoma, że rozmawia z osobą „poszukiwaną”.

Marissa pożegnała ją pospiesznie i weszła do budynku. Pragnęła tylko załatwić swą sprawę i natychmiast stamtąd wyjść. Na nieszczęście musiała czekać w długiej kolejce.

Czując, jak wyczerpuje się jej cierpliwość, czekała, trzymając cały czas rękę przy twarzy w naiwnej wierze, że utrudni to jej rozpoznanie.

- W czym mogę pani pomóc? - spytał siwowłosy urzędnik, kiedy nadeszła jej kolej.

- Chciałabym uzyskać pewne informacje na temat korporacji o nazwie Laboratoria Profesjonalne.

- Gdzie się ona mieści? - nasunął na nos okulary i zapisał nazwę na ekranie komputera.

- Grayson w stanie Georgia.

- Zgadza się. Jest. Założona w zeszłym roku. Co pani chce wiedzieć?

- Czy jest to spółka, czy korporacja publiczna? spytała Marissa, przypominając sobie, co usłyszała od Davisa.

- Spółka komandytowa, podrozdział S.

- Co to oznacza?

- Chodzi tu o podatki. Wspólnicy mogą odliczyć straty, jeśli spółka poniesie takowe, od dochodów osobistych.

- Czy istnieje lista wspólników? - spytała podekscytowana Marissa.

- Owszem. Jest tu Joshua Jackson, Rodd Becker...

- Sekundę - wstrzymała go Marissa. - Zapiszę to.

Wyciągnęła pióro i zaczęła notować.

- Zobaczmy, kto tu jest powiedział urzędnik wpatrując się w ekran monitora. -

Jackson, Becker. Zapisała pani?

- Tak.

Sinclair Tieman, Jack Krause, Gustave Swenson. Duane Moody, Trent Goodridge, a także Kongres Akcja Lekarzy.

- Jak brzmiała ostatnia nazwa? - Marissa pisała zawzięcie.

Urzędnik powtórzył nazwę organizacji.

- Czy taka organizacja może być wspólnikiem spółki komandytowej? - pamiętała ją z listy sponsorów Markhama.

- Nie jestem prawnikiem, ale wydaje mi się, że tak. Inaczej nie byłoby jej w rejestrze. Jest jeszcze coś: kancelaria prawnicza Cooper, Hodges, McQuinn i Hanks.

- Czy to również są wspólnicy? - spytała Marissa dopisując nowe nazwiska.

- Nie - odparł urzędnik. - To firma reprezentująca Kongres.

- Wobec tego nie interesują mnie oni. Nie zamierzam podawać tej korporacji do sądu.

Skreśliła nazwiska Coopera i Hodgesa.

Podziękowała urzędnikowi za pomoc i pospiesznie udała się na parking. Siedząc już w

samochodzie, wyciągnęła z teczki fotokopie listy sponsorów Markhama. Kongres Akcja Lekarzy znajdował się między innymi nazwami. Z jednej strony był współnikiem w przedsięwzięciu gospodarczym, z drugiej zaś udzielał poparcia konserwatywnemu politykowi w jego kampanii wyborczej.

Z ciekawości sprawdziła, czy pozostali współnicy Laboratoriów Profesjonalnych również znajdują się na liście Markhama. Ku swemu zdziwieniu znajdowali się tam wszyscy co do jednego. Na dodatek, współnicy ci pochodzili z różnych części kraju. Lista Markhama pozwoliła Marissie ustalić ich adresy domowe.

Dziewczyna włożyła kluczyk do stacyjki i zawahała się. Na liście Markhama Kongres figurował jako zarejestrowana organizacja. Mimo iż nie chciała kusić losu i wystawiać się ponownie na ryzyko rozpoznania, zmusiła się do tego, by wysiąść z samochodu i jeszcze raz stanąć w kolejce do tego samego urzędnika. Odczekawszy parę minut, zadała mu tym razem pytanie o Kongres Akcja Lekarzy.

Urzędnik wystukał nazwę na klawiaturze, chwilę czekał wpatrzony w ekran, po czym oznajmił:

- Nic pani nie powiem. Nie mam danych tej organizacji.
- Czy to znaczy, że nie została zarejestrowana?
- Niekoniecznie. To znaczy, że nie zarejestrowano jej na terenie stanu Georgia.

Podziękowała mu i wybiegła z budynku Izby. W samochodzie czuła się bezpieczna.

Siedziała tu przez jakiś czas, zastanawiając się, co robić dalej. Nie dysponowała wyczerpującymi informacjami, a ponadto oddalała się od głównego problemu epidemii Eboli. Intuicja podpowiadała jej jednak, że wszystko, czego się dotąd dowiedziała, jest w jakiś tajemniczy sposób powiązane. A jeśli w istocie tak było, to Kongres Akcja Lekarzy był kluczem do rozwiązania tej łamigłówki. Tylko w jaki sposób miała zabrać się do sprawdzenia

organizacji, o której nigdy przedtem nie słyszała?

Pierwszą myślą było pójść do biblioteki Uniwersytetu Emory. Być może ktoś z pracowników mógłby jej udzielić pomocy. Ale potem przypomniało jej się spotkanie z Alice MacCabe i Marissa doszła do wniosku, że ryzyko, iż ktoś jeszcze ją rozpozna, jest zbyt duże. Lepiej zrobi, jeśli wyjedzie na jakiś czas z miasta. Tylko dokąd?

Silnik włączył się z warkotem, jednocześnie w umyśle Marissy błysnęła pewna myśl: Stowarzyszenie Lekarzy Amerykańskich! Jeśli tam nie ma informacji o organizacji zrzeszającej lekarzy, to nie ma jej nigdzie. W Chicago będzie bezpieczna. Jechała na południe, na lotnisko, myśląc, że niewielki zapas ubrań w walizce będzie jej musiał wystarczyć.

Ciężki sedan Joshuy Jacksona z impetem przetoczył się przez drewniany mostek rozpięty nad Parsons Creek i z piskiem opon pokonał ostry zakręt w lewo. Bruk pod kołami urwał się raptownie i spod samochodu na pobocze lasu posypały się kamienie. Prowadząc wóz, Jackson czuł jak z każdym kilometrem wzrasta w nim wściekłość. Nie zamierzał tu przyjeżdżać, ale nie mógł sobie pozwolić, by ktoś zobaczył go w mieście z Heberlingiem. Coraz mniej mógł polegać na tym człowieku. Co więcej, stawał się on nieobliczalny. Poproszony o wywołanie małego zamieszania, rozpętał wojnę na skalę atomową. Zatrudnienie go do tego zadania było fatalną decyzją, lecz w chwili obecnej nikt nie mógł już temu zaradzić.

Zajeżdżając przed laboratorium, Jackson ustawił samochód obok mercedesa Heberlinga. Ten zakupił go z funduszy przeznaczonych na wyposażenie techniczne firmy. Czysta strata pieniędzy.

Przybysz stanął przed głównym wejściem do laboratorium. Budynek robił imponujące wrażenie, choć Jackson lepiej niż ktokolwiek inny wiedział, ile pieniędzy kosztowało jego

wzniesienie. Kongres zbudował doktorowi Arnoldowi Heberlingowi osobisty pomnik, i to za co: za to, że wpędził ich w ciężkie tarapaty, tylko dlatego, że był świrnięty.

Drzwi otworzyły się z charakterystycznym szczękiem i Jackson wszedł do środka.

- Jestem w sali konferencyjnej! - krzyknął Heberling.

Jackson wiedział, o jakie pomieszczenie chodzi, choć sam nie nazwałby go tak oficjalnie. Stał w drzwiach: wysoki sufit, ściana ze szkła i skąpe umeblowanie w postaci dwóch kanap w stylu chippendale, ustawionych naprzeciw siebie na chińskim dywanie.

Heberling siedział na jednej z nich.

- Mam nadzieję, że to coś ważnego - odezwał się Jackson, przejmując inicjatywę.

Siedzieli po przeciwnych stronach, dwaj mężczyźni, którzy różnili się całkowicie.

Heberling był krępy, o grubych rysach, z obwisłą twarzą; Jackson - wysoki i szczupły, o niemal ascetycznym wyrazie twarzy. Ich ubiór stanowił dodatkowy kontrast: Heberling w kombinezonie. Jackson w prążkowanym garniturze bankiera.

- Ta Blumenthal zajechała tu dziś prosto przed wejście - zaczął Heberling, wskazując za okno dla uzyskania lepszego efektu. - Nic oczywiście nie odkryła, ale sam fakt, że tu przyjechała, oznacza, że ona coś wie. Trzeba się jej pozbyć.

- Mielicie okazję, by to zrobić - parsknął Jackson. - I to dwukrotnie! Za każdym razem coś spieprzyliście. Najpierw w jej domu, a potem w CKE.

- Spróbujemy jeszcze raz. Ale wiem, że chciałeś to odwołać.

- Zgadza się. Dowiedziałem się, że chcecie jej zaszczepić Ebolę.

- A dlaczego by nie? - zachnął się Heberling. - Brała udział w epidemiach. Nie będzie żadnych podejrzeń.

- Nie rozumiesz, że nie chcę dopuścić do epidemii Eboli w Atlancie? - wybuchnął

Jackson. - Boję się tej choroby. Mam w Atlancie rodzinę, rozumiesz? Zostaw tę dziewczynę

nam. Zajmiemy się nią.

- O tak, z pewnością - szydził Heberling. - Tak właśnie mówiłeś, kiedy załatwiliście jej przeniesienie z patogenów. A jednak ona nadal stanowi zagrożenie dla całego Przedsięwzięcia i zamierzam osobiście dopilnować, żeby została wyeliminowana.

- Nie ty tu rozkazujesz - zauważył groźnie Jackson. - A jeśli już mówimy o tym, kto zawinił, to pozwól, że ci przypomnę, iż nie tkwilibyśmy w tym bagnie po uszy, gdybyś stosował się do pierwotnych założeń, przewidujących zastosowanie wirusa grypy. Wszyscy jesteśmy w stanie permanentnej paniki od czasu, kiedy okazało się, że samowolnie użyłeś wirusa Ebola.

- O, znowu do tego wracamy - z niesmakiem zauważył Heberling. - Wszystkim wam śmiały się gęby na wieść o zamknięciu Kliniki Richtera. Jeśli zamierzaliście podkopać rosnące zaufanie do klinik działających w systemie przedpłat, to nie mogliście wybrać lepszego sposobu. Jedyne różnica polega na tym, że wprowadzając wirusa w obręb populacji, oszczędziłem sobie wielu lat eksperymentów w warunkach laboratoryjnych.

Jackson wpatrywał się w twarz Heberlinga. Zaświtała mu myśl, że ten człowiek to psychopata i momentalnie znenawidził go. Niestety pojął to zbyt późno. Rozpędzonej maszyny nie dało się już zatrzymać. I pomyśleć, że plan brzmiał tak prosto i niewinnie, kiedy komitet wykonawczy Kongresu po raz pierwszy go przedstawił.

Jackson wziął głęboki oddech, wiedząc, że musi się opanować, bez względu na gniew i odrazę, jaką wzbudzał w nim siedzący naprzeciwko człowiek.

- Mówiłem ci tysiąc razy, że Kongres nie pochwała szafowania życiem ludzkim, a jest wręcz oburzony takimi przypadkami. Nigdy nie było to naszym celem i ty o tym wiesz, Heberling!

- Gówno prawda! - wybuchnął Heberling. - Epidemia grypy pochłonęłaby wiele

ludzkich istnień, gdyby użyć szczep, który do tego celu wybraliście. Ile wypadków śmiertelnych moglibyście zaakceptować bez zmrużenia oka? Sto? A wszystkie te przypadki śmierci, które wy, bogaci lekarze sankcjonujecie milczącą aprobatą niepotrzebnych operacji albo niekompetencji waszych kolegów po fachu, mocno siedzących dupami na szpitalnych stołkach?

- Nie sankcjonujemy niepotrzebnych operacji ani niekompetencji zawodowej - odparł Jackson. Miał już dość tego psychopaty.

- Nie robicie nic, żeby im zapobiec - stwierdził z niesmakiem Heberling. Nigdy nie wierzyłem w te idiotyzmy, którymi mnie karmiliście, o odwrocie amerykańskiej medycyny od jej tradycyjnych wartości. Cholera! To wszystko jest tylko przykrywką dla obrony waszych prywatnych interesów. Nagle okazuje się, że jest zbyt wielu lekarzy, a za mało pacjentów. Zgodziłem się z wami współpracować tylko dlatego, że postawiliście mi to laboratorium. - Heberling wykonał szeroki gest ręką. Chcieliście zepsuć wizerunek systemu przedpłat zdrowotnych i ja tego dokonałem. Jedyna różnica, że zrobiłem to na swój własny sposób, z osobistych powodów.

- Dostałeś polecenie, by się wstrzymać - wrzasnął Jackson. Natychmiast po wybuchu epidemii w Klinice Richtera.

- Mało zdecydowane, mógłbym dodać zauważył Heberling. - Byliście zadowoleni z rezultatów. Nie tylko zamknięto klinikę, ale również po raz pierwszy od pięciu lat spadła lic/ba zapisów nowych członków planów zdrowotnych w całej Kalifornii. Być może Kongres odczuwa czasem wyrzuty sumienia, ale w gruncie rzeczy jesteście zadowoleni. A ja z kolei utwierdziłem się w przekonaniu, że Ebola jest pierwszorzędną bronią biologiczną, pomimo braku szczepionki i kuracji. Wykazałem, że łatwo ją zaszczepić i w sumie nietrudno powstrzymać przez izolację. A nadto dowiodłem, że jest zabójczo zaraźliwa w obrębie

małych populacji. Posłuchaj, Jackson, obaj realizujemy swoje cele. Musimy tylko załatwić tę dziewczynę, zanim narobi nam kłopotów.

- Teraz ty mnie posłuchaj, raz na zawsze zakazuję ci używać wirusa Ebola - wycedził Jackson przez zęby.

Heberling wybuchnął śmiechem.

- Doktorze Jackson - powiedział, nachylając się ku niemu - mam niejasne wrażenie, że Kongres przestał się liczyć z faktami. Nie możecie mi dłużej rozkazywać. Wiesz, co stałoby się z waszymi karierami, gdyby prawda wyszła na jaw? A mówię ci, że tak się stanie, jeżeli nie pozwolicie mi zająć się tą Blumenthal.

Przez chwilę Jackson toczył krótką walkę z własnym sumieniem. Miał ochotę porwać Heberlinga za gardło i udusić. Ale zdawał sobie sprawę, że tamten mówi prawdę - Kongres miał związane ręce.

- W porządku - odrzekł niechętnie. - Zrób z doktor Blumenthal, co uważasz za stosowne. Tylko nie mieszaj mnie do tego i nie używaj Eboli w Atlancie.

- Doskonale - Heberling uśmiechnął się. - Jeśli to poprawi ci humor, dam słowo w obu tych sprawach. Ostatecznie jestem bardzo rozsądnym człowiekiem.

Jackson podniósł się z kanapy.

- Jeszcze coś: nie dzwoń więcej do mojego gabinetu. Jeśli już musisz, kontaktuj się ze mną pod moim numerem domowym.

- Z przyjemnością - odparł Heberling.

Z Atlanty do Chicago było kilkanaście połączeń, wobec czego Marissa czekała na lot zaledwie pół godziny. Kupiła powieść Dicka Francisa, ale nie potrafiła się skoncentrować na lekturze. Ostatecznie zdecydowała się zatelefonować do Tada i przynajmniej spróbować go przeprosić. Nie była pewna, w jakim stopniu może podzielić się z nim swoimi domysłami.

Zdecydowała, że będzie to zależeć od jego nastroju. Wykreśliła numer laboratorium, sądząc, że jeszcze pracuje o tej porze. Miała rację.

- Mówi Marissa - zaczęła, kiedy usłyszała jego głos. - Gniewasz się na mnie?

- Jestem wściekły.

- Tad, tak mi przykro...

- Zabrałaś jedną z moich kart.

- Tad, naprawdę mi przykro. Wyjaśnię ci wszystko, gdy się spotkamy.

- Poszłaś tam w końcu beze mnie, prawda? - jego głos brzmiał obco, twardo.

- No, owszem.

- Marisso, czy wiesz, że laboratorium po twojej wizycie to istna jatka? Wszystkie zwierzęta pozdychały, a komuś trzeba było udzielać pomocy szpitalnej.

- Dwóch mężczyzn zaatakowało mnie w laboratorium.

- Zaatakowało?

- Tak, musisz mi uwierzyć.

- Nie wiem już, w co wierzyć. Dlaczego wszystko przytrafia się właśnie tobie?

- Z powodu epidemii Eboli. Tad, czy wiesz, kto był tym poszkodowanym?

- Wydaje mi się, że jeden z techników z innego wydziału.

- Może mógłbyś to sprawdzić. Jak również to, kto był tamtej nocy w laboratorium.

- To niemożliwe. Nikt nie będzie chciał ze mną rozmawiać. Wszyscy wiedzą, że się przyjaźnimy. Gdzie jesteś?

- Na lotnisku.

- Jeżeli prawdą jest to, co mówisz o wydarzeniach w laboratorium, to powinnaś tu wrócić i wszystko wyjaśnić. Nie możesz teraz uciekać.

- Nie uciekam - upierała się Marissa. - Lecę do Chicago, zbadać sprawę organizacji o

nazwie Kongres Akcja Lekarzy. Słyszałeś kiedyś o niej? Mam podstawy sądzić, że jest zamieszana w sprawę Eboli.

- Marisso, uważam, że powinnaś niezwłocznie stawić się w Centrum. Może o tym nie wiesz, ale jesteś w dużych opałach.

- Wiem o tym, ale na razie to, czym się zajmuję, jest ważniejsze. Czy mógłbyś zapytać w Biurze Bezpieczeństwa Biologicznego, kto jeszcze korzystał z laboratorium tamtej nocy?

- Marisso, nie podoba mi się manipulowanie moją osobą.

- Tad, ja... - urwała w pół zdania. Tad odłożył słuchawkę. Zrobiła to samo. Nie mogła gniewać się na niego z powodu tej reakcji.

Spojrzała na zegarek. Za pięć minut zaczną wpuszczać pasażerów na pokład samolotu.

Szybko wykręciła numer Ralpa.

Podniósł słuchawkę po trzecim dzwonku. W przeciwieństwie do Tada, był zaniepokojony, a nie zły.

- Mój Boże, Marisso, co się dzieje? Twoje nazwisko pojawiło się w popołudniówce, szuka cię cała policja Atlanty! Masz kłopoty, to pewne.

- Owszem - odparła, myśląc jednocześnie, jak mądrym posunięciem było podanie fałszywego nazwiska na bilecie i zapłacenie gotówką. - Ralph, czy znalazłeś już dla mnie prawnika?

- Przepraszam, nie. Kiedy pytałaś, nie sądziłem, że to aż tak pilne.

- Robi się gorąco - rzekła Marissa - ale nie będzie mnie teraz przez parę dni w mieście.

Więc gdybyś mógł to załatwić jutro, byłabym ci bardzo zobowiązana.

- O co chodzi? - spytał Ralph. - Gazeta nie podała żadnych szczegółów.

- Mówiłam ci już wczoraj, że nie chcę, byś był w to zamieszany.

- Nie mam nic przeciwko temu - nalegał Ralph. - Może przyjedziesz do mnie?

Porozmawiamy, a rano wynajdę ci dobrego prawnika.

- Czy słyszałeś kiedykolwiek o organizacji o nazwie Kongres Akcja Lekarzy? -

spytała, puszczając jego propozycję mimo uszu.

- Nie - odparł. - Marisso, proszę przyjedź. Sądzę, że lepiej będzie rozwiązać ten problem, póki jeszcze jest czas. Ucieczka to najgorsze, co możesz zrobić.

Przez głośniki zapowiedziano jej lot.

- Jadę do Stowarzyszenia Lekarzy Amerykańskich, żeby dowiedzieć się czegoś o organizacji, o którą cię pytałam - wyrzuciła z siebie szybko. - Zadzwoń jutro. Muszę kończyć.

Odwiesiła słuchawkę, chwyciła walizkę i wcisnęła pod pachę książkę. W chwilę później siedziała już w samolocie.

22 maja

Po przyjeździe do Chicago Marissa postanowiła zatrzymać się w jakimś miłym hotelu i ku swej radości znalazła pokój w Palmer House. Nie zwracając uwagi na ryzyko, zapłaciła kartą kredytową i z miejsca udała się na górę, by odrobić zaległości w śnie.

Rano zamówiła do pokoju kawę i świeże owoce. Czekaając na śniadanie, nastawiła w telewizji poranny program i poszła do łazienki wziąć prysznic. Suszyła właśnie włosy, kiedy jej wyczułone ucho wychwyciło nazwę Eboli. Pospieszyła do pokoju, spodziewając się nowych wieści z Filadelfii. Spiker mówił jednak o nowej epidemii w Klinice Rosenberga na górnej Piątej Alei w Nowym Jorku. Niejaki doktor Girish Mehta stał się jej pierwszą ofiarą. Wieści o jego chorobie dotarły do prasy i miasto ogarnęła powszechna panika.

Marissa wzdrygnęła się. Jeszcze nie opanowano epidemii w Filadelfii, a już wybuchła nowa, w innym miejscu. Marissa zrobiła makijaż, ułożyła włosy i zabrała się do śniadania. Następnie, dowiedziawszy się, gdzie się mieści siedziba Stowarzyszenia, wyruszyła na Rush Street.

Gdyby rok wcześniej ktoś powiedział jej, że znajdzie się tutaj, nigdy by nie uwierzyła.

A przecież właśnie wkraczała przez drzwi frontowe do gmachu Stowarzyszenia.

Urzędniczka siedząca przy wejściu skierowała ją do biura Służby Informacyjnej.

Akurat kiedy Marissa wyjaśniała jednej z sekretarek, o co jej chodzi, nadszedł kierownik działu. James Frank i poprosił ją do swego gabinetu.

Frank przypominał Marissie nauczyciela z liceum. Był w nieokreślonym wieku, z oznakami postępującej łysiny i nieznaczną nadwagą, lecz z wyrazu jego twarzy emanował ten specjalny urok, który cechuje ludzi z natury przyjacielskich i szczerych. Miał jasnozielone oczy i często się uśmiechał. Od pierwszej chwili Marissa polubiła tego człowieka.

- Kongres Akcja Lekarzy - powtórzył, kiedy dziewczyna zapytała, co wie o tej organizacji. - Nigdy o niej nie słyszałem. W jaki sposób zetknęła się pani z tą nazwą?

- Znajdowała się na liście sponsorów kampanii pewnego kongresmana - wyjaśniła Marissa.

- To ciekawe. Przysięgłbym, że znam wszystkie komitety aktywne politycznie.

Zobaczmy, co nam powie komputer.

Frank wystukał na klawiaturze nazwę Kongresu. Po krótkiej chwili ekran monitora rozbłysnął danymi.

- Coś takiego! Ma pani absolutną rację. Jest taka organizacja - wskazał palcem nazwę na ekranie. - To zarejestrowany wydzielony fundusz.

- Co to znaczy? - spytała Marissa.

- Jeszcze mniej niż sam termin. Po prostu ten pani Kongres jest zarejestrowaną organizacją członkowską z racji tego, że zawiązał komitet w celu dysponowania funduszami na rzecz kampanii wyborczej. Zobaczmy, kogo popierali.

- Znam jednego z kandydatów. Nazywa się Calvin Markham.

Frank skinął głową.

- Tak, mam go tu, obok innych konserwatywnych kandydatów. Przynajmniej określiliśmy ich poglądy polityczne.

- Prawicowe - stwierdziła Marissa.

- Zdaje się, że bardzo prawicowe - dodał Frank. Chcą utracić Grupy Diagnostyczne, ograniczyć napływ zagranicznych absolwentów szkół medycznych, obciąć dotacje na Organizację dla Zachowania Zdrowia. Jeśli pani zaczeka chwilę, spróbuję porozmawiać ze znajomym w Federalnej Komisji Wyborczej.

Po obowiązkowym wstępie towarzyskim, Frank zapytał znajomego o Kongres.

Słuchając odpowiedzi, skinął parę razy głową, po czym odłożył słuchawkę i zwrócił się do Marissy:

- On też niewiele wie na temat tego Kongresu. Sprawdził jednak w rejestrze organizacji i powiedział, że założono go w Delaware.

- Dlaczego właśnie tam?

- Tam są najniższe opłaty rejestracyjne.

- W jaki sposób mogę dowiedzieć się czegoś więcej o tej organizacji? - spytała

Marissa.

- Ale jakiego typu informacje panią interesują? Kto jest we władzach? Gdzie znajduje się siedziba? Tego rodzaju rzeczy?

- Tak, właśnie - odparła. Frank sięgnął po telefon, mówiąc:

- Zobaczmy, czego dowiemy się w Delaware.

Poszło mu całkiem nieźle. Wprawdzie z początku jego rozmówca z Izby Stanowej

Delaware zastrzegł się, że nie udziela tego typu informacji przez telefon, lecz później

Frankowi udało się przekonać jego zwierzchnika, by ominął nieco przepisy.

Rozmowa trwała prawie piętnaście minut. Frank notował, a kiedy odłożył słuchawkę,

wręczył Marissie listę członków zarządu. Spojrzała na nią: prezes - doktor medycyny Joshua

Jackson, wiceprezes - doktor medycyny Rodd Becker, skarbnik - doktor medycyny Sinclair

Tieman, sekretarz - doktor medycyny Jack Krause, dyrektorzy - doktor medycyny Gustave

Swenson, doktor medycyny Duane Moody i doktor medycyny Trent Goodridge. Marissa

wyjęła ze swej teczki listę wspólników Laboratoriów Profesjonalnych. To były te same nazwiska.

Wychodząc z budynku Stowarzyszenia, Marissa miała mętlik w głowie. Jej umysł

zaprzątało niesamowite pytanie, a mianowicie: do czego ultrakonserwatywna organizacja

lekarzy wykorzystuje nowoczesne laboratorium, wyposażone w specjalistyczny sprzęt, używany wyłącznie do prac nad śmiertelnymi wirusami? Wolą nie formułować odpowiedzi, która przychodziła jej na myśl.

W głowie jej się kotłowało, kiedy szła wolno w kierunku hotelu. Potrącał ją inni przechodnie, lecz nie zwracała na to uwagi.

Próbując obalić swą teorię, Marissa wypunktowała w myślach cechy poszczególnych epidemii. Wszystkie wybuchły w prywatnych klinikach propagujących system przedpłat na świadczenia zdrowotne, prawie wszyscy pacjenci, będący przypadkami wyjściowymi na swoim terenie, nosili obco brzmiące nazwiska i zostali napadnięci oraz pobici na około tydzień przed zachorowaniem. Jedyny wyjątek stanowiła epidemia w Phoenix, lecz co do niej, Marissa żywiła przekonanie, że została wywołana za pośrednictwem żywności.

Kątem oka zauważyła sklep z obuwiem Charlesa Jourdana - jedną ze swych słabostek.

Zatrzymała się raptownie przed oknem wystawowym. Idący za nią mężczyzna, zaskoczony, omal nie przewrócił Marissy, wpadając wprost na nią. Posłał dziewczynie gniewne spojrzenie, lecz zignorowała to. W jej umyśle począł rysować się plan. Jeśli jej podejrzenia nie były bezpodstawne i poprzednie epidemie to nie dzieło przypadku, to prawdopodobnie pierwszy pacjent w Nowym Jorku był lekarzem pracującym w klinice działającej w systemie przedpłat i został pobity na kilka dni przed wystąpieniem symptomów choroby. Nie było wyjścia. Musiała jechać do Nowego Jorku.

Ocknęła się z zamyślenia i rozejrzała dokoła, starając się ustalić, jak daleko ma do hotelu. Zobaczyła przed sobą znak z dużą literą „O” i przypomniała sobie, że pociąg linii okrężnej miał przystanek właśnie przy hotelu Palmer House.

Ruszyła żwawym krokiem i nagle sparaliżował ją strach. Nic dziwnego, że napadnięto ją w domu. Nic dziwnego, że próbowano ją zabić w głównym laboratorium. Nic dziwnego, że

Markham polecił ją przenieść do innego wydziału. Jeśli jej podejrzenia były słuszne, uczestniczyła w aferze na wielką skalę, a jej życiu zagrażało niebezpieczeństwo.

Do tej chwili czuła się w Chicago bezpieczna. Teraz zaś wszędzie, gdzie spojrzała, widziała podejrzanego typy. Jeden z nich udawał, że ogląda wystawy sklepowe. Marissa była pewna, że ją śledzi i zaraz za nią podąży. Przeszła na drugą stronę, oczekując, że ten człowiek zrobi to samo. Stał jednak nadal przed sklepem.

Schroniła się w kafejce, gdzie próbowała opanować nerwy, pijąc herbatę. Zajęła stolik przy oknie i obserwowała ulicę. Podejrzanego mężczyzna wyszedł ze sklepu, niosąc torbę z zakupami i zawołał taksówkę. Tego mamy zatem z głowy.

Właśnie wtedy zauważyła biznesmena. Zwróciła na niego uwagę ze względu na specyficzny sposób niesienia aktówki: ramię było nienaturalnie sztywne, jak gdyby nie mógł zgiąć ręki w łokciu.

Marissa znalazła się znowu w domu, usiłując uwolnić się z uścisku ramienia, zastygłego w nienaturalnej pozycji. A potem koszmar w laboratorium...

Obserwowała, jak biznesmen wyjmuje i zapala papierosa. Wszystko jedną ręką, podczas gdy druga sztywno dzierżyła aktówkę. Przypomniała sobie, jak Tad mówił, że napastnik trzymał w ręku teczkę.

Ukryła twarz w dłoniach, modląc się, by wszystko to okazało się jedynie przywidzeniem. Siedziała przez chwilę pocierając oczy, kiedy zaś ponownie uniosła głowę, mężczyzny już nie było.

Marissa dopiła herbatę i zapytała kelnerkę, jak dostać się do Palmer House. Szła szybkim krokiem, nerwowo przekładając aktówkę z ręki do ręki. Za rogiem ostrożnie spojrzała za siebie. W jej kierunku zmierzał biznesmen!

Przeszła na drugą stronę ulicy, zmieniając natychmiast kierunek. Kątem oka

dostrzegła, że mężczyzna doszedł do połowy chodnika, po czym również przeszedł na drugą stronę ulicy. Czując wzbierającą panikę, Marissa rozejrzała się rozpaczliwie w poszukiwaniu taksówki, jednak było zupełnie pusto. Zawróciła i pobiegła w stronę przystanku kolejki śródmiejskiej. Pospiesznie wspięła się po schodach, dołączając do dużej grupy ludzi. Chciała być w tłumie.

Na peronie poczuła się lepiej. Obok znajdowało się sporo osób, stała zaś dość daleko od wejścia. Serce nadal waliło jak młotem, lecz przynajmniej powróciła zdolność myślenia.

Czy rzeczywiście był to ten sam mężczyzna? Czy była śledzona?

Jakby w odpowiedzi na jej pytanie, biznesmen pojawił się w polu widzenia. Miał grube rysy, szorstką skórę i podkrążone oczy. Zęby były szeroko rozstawione. Przystanął i odkaslnął w zaciśniętą pięść.

Nim zdążyła wykonać jakikolwiek ruch, na stację wtoczył się pociąg i tłum ruszył wezbraną falą ku drzwiom, zabierając Marissę ze sobą. W tłoku straciła z oczu mężczyznę z aktówką.

Usiłując trzymać się jak najbliżej drzwi, Marissa miała nadzieję, że w razie zagrożenia uda jej się wyskoczyć z wagonu, jak to wielokrotnie obserwowała na firmach szpiegowskich. Jednak tłum ludzi wepchnął ją do środka i, zanim zdążyła zrobić ruch w stronę drzwi, zamknęły się one z sykiem. Rozejrzała się dokoła w poszukiwaniu mężczyzny ze sztywnym łokciem, lecz nie dostrzegła go w pobliżu.

Pociąg ruszył i szarpnięcie zmusiło ją do uchwycenia drążka. Wtedy go zobaczyła.

Był tuż obok niej, zdrową ręką trzymał się tego samego uchwyty, co ona. Znajdował się tak blisko, że Marissa czuła zapach używanej przez niego wody kolońskiej. Kiedy się odwrócił, spojrzeli sobie w oczy. Kąciki jego ust drgnęły w dyskretnym uśmiechu. Puścił drążek, odkaslnął i sięgnął do kieszeni.

Tracąc panowanie nad sobą, przerażona Marissa okropnie krzyknęła. Rozpaczliwie usiłowała przepchnąć się w głąb wagonu, byle dalej od prześladowcy, jednakże panujący w pojeździe ścisk nie pozwolił na to. Jej krzyk nie wywołał żadnej reakcji, nikt się nie poruszył, nikt o nic nie spytał. Ludzie po prostu gapili się na nią. Koła pociągu wydały przeraźliwy zgrzyt, wagon zarzucił na zakręcie i oboje, Marissa i jej prześladowca, zmuszeni byli uchwycić się drążka. Na sekundę ich dłonie zetknęły się.

Marissa odczuła dotknięcie jak oparzenie rozżarzoną do czerwoności żelazem. W następnej sekundzie, ku swej najwyższej uldze, zauważyła, że w jej stronę przepycha się policjant.

- Nic pani nie jest? - policjant starał się przekrzyczeć hałas pędzącego pociągu.
- Ten człowiek mnie śledzi - oskarżycielsko wskazała palcem na biznesmena.

Policjant zmierzył go wzrokiem i zapytał:

- Czy to prawda?

Mężczyzna zaprzeczył ruchem głowy.

- Nigdy w życiu nie widziałem tej kobiety. Nie wiem, o czym ona mówi.

Pociąg zaczął zwalniać. Policjant zwrócił się do Marissy:

- Czy zamierza pani wnieść skargę?
- Nie - odparła Marissa podniesionym głosem - jeżeli zostawi mnie w spokoju.

Na moment zgrzyt kół i świst pneumatycznych hamulców zagłuszył rozmowę. Pociąg zatrzymał się, i drzwi natychmiast się otworzyły.

- Z przyjemnością wysiądę, jeśli ta pani sobie życzy rzekł biznesmen.

Parę osób wysiadło z pociągu. Reszta w milczeniu obserwowała zajście. Policjant stanął w drzwiach, blokując je w ten sposób, i pytająco spojrzął na Marissę.

- Tak będzie lepiej - zgodziła się Marissa, tracąc nieco pewności siebie.

Mężczyzna wzruszył ramionami i wyskoczył na peron. Drzwi zamknęły się za nim

błyskawicznie i pociąg ruszył gwałtownie.

- Czy już wszystko w porządku? - zapytał policjant.

- Tak, dziękuję - odparła Marissa. Czowała ulgę, że uwolniła się od prześladowcy, a jednocześnie obawiała się, że policjant będzie chciał sprawdzić jej personalia. Podziękowała raz jeszcze i zapatrzyła się w okno. Zrozumiał i ruszył dalej.

Kiedy zorientowała się, że wszystkie oczy są nadal w nią wpatrzone, poczuła zażenowanie. Czym prędzej wysiadła na następnej stacji. Wychodząc na ulicę, czowała irracjonalną obawę, że mężczyźni z pociągu jakimś cudem uda się ją odnaleźć. Złapała pierwszą taksówkę, która znalazła się w zasięgu wzroku i kazała się zawieźć do hotelu. Czowała się bezpieczna w taksówce; udało jej się odzyskać częściowo panowanie nad sobą. Zdawała sobie sprawę z tego, że wpadła w kłopoty po same uszy, lecz nie wiedziała, do kogo może się zwrócić o pomoc. Zakładała istnienie spisku, a nie знаła dokładnie jego zasięgu. Co gorsza, nie posiadała żadnych dowodów, zupełnie niczego - pomijając kilka niezwykle wymownych faktów.

Pomyślała, że musi jechać do Nowego Jorku. Jeśli potwierdzą się jej przypuszczenia co do tamtejszej epidemii, zadecyduje na miejscu, z kim się skontaktować. Na razie musiała polegać na Ralphie, który obiecał znaleźć jej dobrego prawnika. Może ktoś taki poradzi sobie z tą sprawą.

Kiedy taksówka zajechała przed hotel, Marissa wysiadła i udała się prosto do swego pokoju. W obecnym stanie niemalże paranoi wolała jak najprędzej wynieść się z Chicago, wyrzucając sobie w duchu posłużenie się kartą kredytową, co spowodowało ujawnienie jej nazwiska. Przy rezerwacji na lot z Atlanty do Chicago, za który zapłaciła gotówką, użyła fałszywego nazwiska, i tak samo należało postąpić w hotelu.

Jadąc windą, postanowiła niezwłocznie spakować się i jechać na lotnisko. Otworzyła drzwi i ruszyła prosto do łazienki, rzucając po drodze torebkę i walizkę na biurko. Kątem oka dostrzegła jakiś ruch i automatycznie spróbowała uchylić się przed ciosem. Uderzenie było jednak tak silne, że odrzuciło ją na jedno z bliźniaczych łóżek, po którym się przetoczyła i spadła na podłogę. Spojrzała w górę i ujrzała mężczyznę z pociągu.

Rozpaczliwie usiłowała wczołgać się pod któreś z łóżek, lecz mężczyzna złapał ją zdrową ręką za spódnicę i pociągnął brutalnie.

Marissa toczyła się po podłodze kopiąc wściekle. Jakiś przedmiot wypadł z dłoni napastnika i z metalicznym dźwiękiem wylądował na podłodze.

Pistolet, pomyślała Marissa z przerażeniem.

Mężczyzna pochylił się, by go podnieść. Dziewczyna skorzystała z tego i wśliznęła się pod jedno z łóżek. Napastnik sprawdził najpierw pod jednym łóżkiem, następnie pod tym, pod którym leżała roztrzęsiona Marissa. Jego wielkie ramię wyciągnęło się w jej kierunku. Nie dosięgnął jej, więc opadł na kolana obok łóżka i wczołgał się pod nie. Jego palce zacisnęły się na kostce dziewczyny.

Po raz drugi tego dnia Marissa wydała z siebie przeraźliwy krzyk. Szalonym wysiłkiem uwolniła nogę z jego uścisku i w ułamku sekundy wpełzła z powrotem pod łóżko. Zmęczony tymi zmaganiem napastnik rzucił broń na pościel i ponownie usiłował pochwycić Marissę. Ona zaś wyczołgała się spod łóżka z drugiej strony i pędem ruszyła w stronę drzwi. Otworzyła je gwałtownie, lecz mężczyzna dopadł ją wielkim susem i złapał od tyłu za włosy. Szarpnięcie rzuciło dziewczynę na komodę, w którą uderzyła z taką siłą, że stojące na niej lustro rozprysło się na kawałki.

W mgnieniu oka mężczyzna sprawdził korytarz i zatrzasnął drzwi. To wystarczyło

Marissie, żeby dobiec do łazienki. Po drodze zabrała z łóżka przedmiot, który uważała za

pistolet. Nie zdążyła jednak zatrzasnąć za sobą drzwi.

Zapała się plecami o umywalkę, usiłując je domknąć, jednak siły opuszczały ją z każdą sekundą. Drzwi ustępowały ze skrzypieniem cal po calu. aż w końcu napastnikowi udało się wcisnąć usztywnione ramię pomiędzy drzwi a framugę.

Marissa spojrzała na wiszący na ścianie telefon. Nie mogła go jednak dosięgnąć nie odrywając stóp, którymi zapierała drzwi. Spojrzała na trzymaną w ręku broń, rozważając gorączkowo, czy napastnik wystraszy się, jeśli odda strzał w ścianę. Nagle zorientowała się, że trzyma w dłoni pneumatyczną strzykawkę pistoletową, używaną do szczepień masowych, którą pamiętała jeszcze z praktyki pediatrycznej.

Drzwi ustąpiły już na tyle, że jej prześladowca mógł swobodniej poruszać ramieniem.

Machając nim na oślep, natrafił na kostkę Marissy i przytrzymał ją w uścisku. Nie mając wielkiego wyboru, Marissa błyskawicznie przyłożyła pistolet do jego ramienia i wypaliła.

Rozległ się okrzyk, ramię zniknęło, a drzwi zamknęły się z trzaskiem.

Słyszała, jak biegnie przez pokój i wypada na korytarz. Z uczuciem ulgi wróciła do sypialni, gdzie w nozdrza uderzył ją silny odór fenolu. Drżącą ręką odwróciła lufę pistoletu w swoją stronę i zbadała okrągły wylot. Wyczuwała intuicyjnie, że zawierał on wirusa Ebola, i że środek dezynfekujący miał na celu ochronę przed zarażeniem wykonującego szczepienie.

Dopiero teraz ogarnęło ją prawdziwe przerażenie. Nie dość, że prawdopodobnie skazała tego mężczyznę na śmierć, mogła również wywołać nową epidemię. Zmuszając się do zachowania spokoju, ostrożnie umieściła pistolet w plastikowym worku wyjętym z kubła na śmieci.

Włożyła go następnie do drugiego worka, wyciągniętego z kosza pod biurkiem i zawiązała go na supeł. Przez moment pomyślała, czy nie zawiadomić policji, szybko jednak doszła do wniosku, że to nic nie pomoże. Zarażony napastnik był już daleko i nawet jeśli potwierdziłyby się jej podejrzenia, że pistolet zawierał wirusa Ebola, policja nie byłaby w

stanie odnaleźć nieszczęśnika, jeśli ten postanowił się ukryć.

Marissa wyjrzała na korytarz. Był pusty. Umieściła na drzwiach wywieszkę „Nie przeszkadzać”, po czym zniosła swe rzeczy, łącznie z pistoletem do szczepień do magazynu dla sprzątaczek. W pobliżu nie było nikogo, wzięła więc butelkę lizolu i zdezynfekowała z zewnątrz plastikowy worek. Następnie umyła i odkaziła ręce. Nic innego nie przyszło jej do głowy.

W holu głównym, gdzie obecność ludzi dawała Marissie pewne poczucie bezpieczeństwa, skorzystała z telefonu. Zadzwoiła anonimowo do epidemiologa stanu Illinois z informacją, że pokój 2410 w hotelu Palmer House może być skażony wirusem Ebola. Odwiesiła słuchawkę nim zaskoczony epidemiolog zdążył wykrztusić jakieś pytanie. Następnie zatelefonowała do Tada. Pragnęła choć przez moment nie myśleć o niedawnych przeżyciach. Początkowy chłód w głosie Tada znikł natychmiast, kiedy chłopak zdał sobie sprawę z tego, że Marissa znajduje się na krawędzi hysterii.

- Co się z tobą dzieje, na litość boską? - zapytał. - Marisso, czy nic ci nie jest?

- Muszę cię prosić o przysługę, a raczej dwie. Po kłopotach, w które cię wpędziłam, przyrzekłam sobie, że nie będę cię już niepokoić, ale nie mam wyboru. Po pierwsze, potrzebuję fiolkę z surowicą ozdrowieńca z epidemii w Los Angeles. Czy mógłbyś wysłać ją pocztą kurierską na nazwisko Carol Bradford do hotelu Plaza w Nowym Jorku?

- Kim, u licha, jest Carol Bradford?

- Proszę cię, nie zadawaj żadnych pytań - Marissa była bliska łez. - Im mniej wiesz, tym lepiej dla ciebie.

Carol Bradford była jedną z jej koleżanek w college'u. Pod tym nazwiskiem Marissa odbyła lot z Atlanty do Chicago.

- Druga przysługa związana jest z przesyłką, która nadam do ciebie pocztą kurierską.

Proszę, nie otwieraj jej. Zabierz ją do laboratorium głównego i dobrze ukryj.

- Czy to wszystko? - spytał Tad.

- Tak - odparła. - Tad, czy pomożesz mi?

- Chyba tak. Brzmi to całkiem nieszkodliwie.

- Dziękuję - wyszeptała Marissa. - Wyjaśnię ci wszystko w ciągu paru dni.

Następny telefon wykonała pod wolny od opłat numer w hotelu Westin i

zarezerwowała pokój w Plaza na nazwisko Carol Bradford. Odwiesiwszy słuchawkę,

rozejrzała się bacznie po holu. Nikt nie przejawiał szczególnego zainteresowania jej osobą.

Nie wymeldowała się, zakładając, że obsługa hotelu obciąży jej kartę kredytową.

Zatrzymała się w punkcie nadawania przesyłek Federal Express. Urzędnicy byli dla

niej niezwykle uprzejmi, kiedy powiedziała, że chce wysłać specjalną szczepionkę, która

następnego dnia musi się znaleźć w Atlancie. Pomogli jej umieścić plastikowy worek w

metalowej kasecie, którą sami zaadresowali, widząc drżenie jej rąk.

Złapała taksówkę i kazała się zawieźć na lotnisko O'Hare. Gdy tylko usadowiła się w

samochodzie, sprawdziła swe węzły chłonne i gardło. Stykała się już wcześniej z Ebolą, ale

nigdy tak blisko. Wzdrygnęła się na myśl, że napastnik zamierzał zainfekować ją wirusem.

Jak na ironię, to właśnie ona, w desperacji, zainfekowała jego. Liczyła jedynie na to, że

wiedział, iż surowica ozdrowieńcza, podana przed wystąpieniem objawów, ma działanie

ochronne. Sądziła, że właśnie dlatego uciekł tak pośpiesznie.

Taksówkarz zatrzymał się przed terminalem American Airlines, wyjaśniając, że

samoloty AA latają do Nowego Jorku co godzinę. Odebrawszy bilet, Marissa poddała się

kontroli służb bezpieczeństwa i przebyła długą drogę do właściwego stanowiska. Okazało się,

że do odlotu pozostało jej jeszcze około pół godziny. Zdecydowała się zadzwonić do Ralpha.

Pragnęła usłyszeć jego przyjazny głos, a ponadto chciała go zapytać, czy znalazł prawnika.

Kilka minut wyklócała się z sekretarką Ralpa, która strzegła go niczym papieża.

Wreszcie uprosiła ją, by przynajmniej powiedziała Ralphowi, że dzwoni Marissa. W słuchawce odezwał się jego głos.

- Mam nadzieję, że dzwonisz z Atlanty - powiedział, nim zdążyła go przywitać.

- Już wkrótce - obiecała. Wyjaśniła, że znajduje się na lotnisku w Chicago, leci teraz do Nowego Jorku, ale prawdopodobnie znajdzie się w Atlancie następnego dnia, zwłaszcza jeżeli Ralph znalazł jej dobrego prawnika.

- Poczyłem pewne dyskretne kroki i sądzę, że mam kogoś dla ciebie. Nazywa się McQuinllin. Pracuje w znaczącej firmie prawniczej w Atlancie.

- Mam nadzieję, że jest sprytny. Będzie miał pełne ręce roboty.

- Uważa się, że jest jednym z najlepszych. Nie sądzisz, że zażąda z góry dużej sumy?

- Możliwe, że będzie chciał pewnego rodzaju zaliczkę. Czy to stanowi jakiś problem?

- Może się okazać, że tak. To zależy, ile będzie trzeba wyłożyć.

- Och, nie przejmuj się. Z przyjemnością udzielę ci pomocy finansowej.

- Nigdy nie mogłabym cię o to prosić.

- Toteż wcale nie prosisz. To moja dobrowolna oferta. Ale w zamian chcę cię poprosić o przerwanie tej zwariowanej podróży. Co takiego ważnego dzieje się w Nowym Jorku? Mam nadzieję, że nie jest to nowa epidemia Eboli. Nie chciałbym, żeby powtórzyła się historia z Filadelfii. Po prostu przyleć od razu do Atlanty. Marisso, martwię się o ciebie.

- Już niedługo - obiecała. - Przyrzekam.

Położyła słuchawkę na widełki i jeszcze przez chwilę trzymała na niej rękę. Tak dobrze rozmawiało się jej z Ralphem. Jemu jednemu zależało na niej.

Podobnie jak większość biznesmenów, stanowiących zresztą dziewięćdziesiąt procent pasażerów, Marissa zamówiła drinka. Nadal była kłębkim nerwów, a wódka z tonikiem

rozluźniła ją do tego stopnia, że wdała się w rozmowę z Dannym, przystojnym maklerem z Chicago. Okazało się, że jego siostra jest lekarzem na Hawajach. Danny pytał tak zawzięcie, że w końcu Marissa, aby móc pozbiierać myśli, zmuszona była zamknąć oczy i udawać, że śpi.

Nurtowało ją pytanie, w jaki sposób napastnik z pistoletem do szczepień dowiedział się o jej pobycie w Chicago. A zakładając, że był to ten sam mężczyzna, który zaatakował ją w Atlancie, skąd wiedział o jej nocnej wizycie w laboratorium? Podejrzenia Marissy padły na Tada. Musiał domyślić się, po co ukradła mu jedną z kart wstępu do laboratorium. Być może, aby uniknąć kłopotów, uprzedził o tym Dubcheka. Wiedział również o jej podróży do Chicago. Marissa nie mogła jednak uwierzyć, że Tad z rozmysłem nasłał na nią mordercę. Poza tym, pomimo że osobiście nie cierpiała Dubcheka, zachowała dla niego głębokie poważanie jako naukowca. Nie pasował do nastawionego na korzyści finansowe prawnicowego Kongresu Akcja Lekarzy. Miotając się pomiędzy racjonalną dedukcją a paranoicznymi urojeniami, Marissa pożałowała, iż pozbyła się dowodu, jakim był pistolet do szczepień. Jeśli Tad był w jakikolwiek sposób zamieszany w spisek, właśnie straciła poważny argument, pod warunkiem oczywiście, że udałoby się dowieść, iż broń zawierała wirusa Ebola.

Gdy samolot wylądował na lotnisku La Guardia, postanowiła, że jeśli epidemia w Nowym Jorku potwierdzi jej teorię o pochodzeniu Eboli na terenie Stanów, uda się nie/włącznie do wybranego przez Ralpha prawnika i zda się na niego oraz policję, by wyświetlili całą sprawę do końca. Nie mogła dłużej bawić się w detektywa, skoro za przeciwników miała ludzi, którzy nie wahali się poświęcić całych populacji dla osiągnięcia swych celów.

Kiedy samolot wylądował i zgasły napisy nakazujące zapięcie pasów. Marissa

podniosła się i przez chwilę walczyła z walizką, która zaklinowała się w górnym przedziale bagażowym. Danny koniecznie chciał jej pomóc nieść walizkę, co było miłe z jego strony, lecz gdy się rozstali, Marissa przyrzekła sobie, że na przyszłość będzie ostrożniejsza. Żadnych rozmów z nieznanymi i ujawniania swego prawdziwego nazwiska. Zdecydowała nawet, że nie będzie nocować w Plaza jako Carol Bradford, lecz zatrzyma się w pobliskim Essex House pod nazwiskiem Lisy Kendrick, dawnej koleżanki z czasów licealnych.

George Valhala stał w pobliżu punktu wynajmu samochodów Avisa i znudzonym wzrokiem wpatrywał się w tłumy pasażerów czekających na bagaż. Jego pracodawcy nadali mu przydomek Ropucha, nie ze względu na cechy fizjonomii, lecz w uznaniu jego niebywalej cierpliwości, z jaką godzinami potrafił trwać na posterunku, podobny do ropuchy czyhającej na owada.

Tym razem jednak zadanie nie wymagało od niego ujawniania tej specyficznej zalety.

Przybył na lotnisko niedawno, po otrzymaniu informacji, że dziewczyna przylatuje z Chicago lotem o piątej lub o szóstej. Właśnie wylądował pierwszy samolot i jego pasażerowie zaczęli się gromadzić wokół taśmociągu na bagaże.

Jedynym niewielkim problemem, z jakim George musiał się uporać, był dosyć mglisty opis osoby, którą należało odnaleźć: ładna, niska szatynka w wieku około trzydziestu lat.

Zazwyczaj miał pod ręką fotografię, lecz tym razem nie było czasu, by ją zdobyć.

Nagle ją zobaczył. To musiała być ona. Była co najmniej o stopę niższa od armii biznesmenów z aktówkami w rękach, tłoczących się wokół taśmociągu. Zauważył też, że nie czeka na bagaż. Najwyraźniej miała walizkę ze sobą w samolocie.

George ruszył w jej kierunku, aby lepiej przyjrzeć się dziewczynie. Wyszedł za nią na zewnątrz i zauważył, że stanęła w kolejce po taksówkę. Rzeczywiście była ładna i rzeczywiście mała. George nie mógł sobie wyobrazić, w jaki sposób pokonała Paula w

Chicago. Przyszło mu na myśl, że może ma przed sobą niepozorną specjalistkę w sztuce walki wręcz. W każdym razie czuł przed tą małą pewien respekt. Wiedział, że Al ma podobne odczucia, inaczej nie zadawałby sobie tyle trudu, by ją unieszkodliwić.

Przyjrząwszy się Marissie dokładnie, George przeszedł na drugą stronę ulicy i wsiadł do taksówki stojącej naprzeciwko postoju.

Kierowca odwrócił się i spojrzał na niego.

- Widziałeś ją? - zapytał. Jego ptasie rysy i szczupła budowa ciała stanowiły całkowite przeciwieństwo gruszkowatej otyłości George'a.

- Jake, czy ja wyglądam na idiotę? Włącz silnik. Dziewczyna stoi na postoju taksówek.

Jake posłusznie przekręcił kluczyk w stacyjce i rozległo się delikatne warczenie silnika. Razem z Georgem pracowali dla Ala od czterech lat i świetnie się rozumieli, z wyjątkiem tych chwil, kiedy George zaczynał rządzić, ale nie zdarzało się to często.

- Jest tam. - George wskazał taksówkę, do której wsiadała Marissa. - Wyjedź trochę, ale pozwól im nas minąć.

- Hej, to ja prowadzę - obruszył się Jake. Ty obserwujesz, ja prowadzę.

Mimo to posłusznie wrzucił bieg i wyjechał powoli na prawy pas.

Obserwując przez tylne okno taksówkę, którą jechała Marissa, George zauważył, że samochód ma wgięty dach.

- Łatwo będzie ją śledzić powiedział. Kiedy taksówka ich minęła, Jake ruszył.

Wpuścił przed siebie jeden samochód i tak wjechali na Long Island Expressway.

Nie mieli problemów z utrzymaniem się za taksówką Marissy, nawet kiedy jechali przez most Queensborough, który o tej porze był zatłoczony. Po czterdziestu minutach stanęli przed Essex House, gdzie Marissa wysiadła i weszła do hotelu. Jake wjechał w zatokę,

oddaloną o pięćdziesiąt stóp od tego miejsca.

- Wiemy, gdzie się zatrzymała - zauważył Jake.

- Chcę się jeszcze upewnić - odparł George. - Wejdę i sprawdzę listę gości. Czekał tu, zaraz wracam.

23 maja

Marissa źle spała tej nocy. Incydent w Palmer House sprawił, iż bała się hoteli. Każdy najmniejszy hałas na korytarzu budził w niej podejrzenie, że ktoś usiłuje się włamać do jej pokoju. A noc rzeczywiście obfitowała w rozmaite odgłosy wywoływane przez powracających późno lub zamawiających posiłki przez służbę hotelową mieszkańców sąsiednich pokoi.

Uroiła sobie również, że rozpoznaje symptomy choroby. Wciąż jeszcze czuła, jak pistolet do szczepień parzy jej ręce i za każdym razem, kiedy budziła się w nocy, była przekonana, że ma gorączkę lub inny objaw Eboli.

Rankiem była zupełnie wyczerpana. Zamówiła do pokoju świeże owoce i kawę. Na tacy ze śniadaniem otrzymała poranne wydanie „New York Timesa”. Na pierwszej stronie znalazła artykuł na temat epidemii Eboli. W Nowym Jorku liczba zachorowań wzrosła do jedenastu przy jednej ofierze śmiertelnej, podczas gdy w Filadelfii liczba chorych zatrzymała się na trzydziestu sześciu, z czego siedemnaście osób zmarło. Jedyne przypadki śmierci w Nowym Jorku dotyczyły pierwszego pacjenta, niejakiego doktora Girisha Mehty.

Począwszy od godziny dziesiątej Marissa nieustannie wydzwaniała do hotelu Plaza z pytaniem, czy nadeszła przesyłka dla Carol Bradford. Zamierzała dowiadywać się tak do południa, ze względu na to, że przesyłki ekspresowe zazwyczaj docierały na miejsce o tej porze. Jeśli paczka nadejdzie, Marissa będzie miała dowód, że to nie Tad ją zdradził. Pojedzie wówczas do Kliniki Rosenberga. Tuż po jedenastej poinformowano ją, że przesyłka już dotarła i zostanie przechowana do czasu zgłoszenia się adresata.

Przygotowując się do wyjścia, Marissa nie wiedziała, czy ma się dziwić, że Tad przysłał jej obiecaną surowicę, czy nie. Paczka mogła być pusta w środku, lub stanowiła jedynie pretekst, żeby zwabić ją do Plaza. Na nieszczęście Marissa nie była w stanie tego

sprawdzić, potrzeba zaś skorzystania z surowicy zamieniła jej wątpliwości w rozważania czysto akademickie. Musiała zaryzykować.

Zabrała ze sobą jedynie torebkę, jednocześnie intensywnie myśląc o tym, by w jak najmniej ryzykowny sposób odebrać paczkę. Niestety, nie przychodziły jej do głowy żadne rewelacyjne pomysły, poza tym, że taksówka będzie na nią czekać przed hotelem, i że im więcej ludzi zostanie w hotelu, tym lepiej.

Od samego rana George Valhala wyczekiwał w holu Essex House. Uwielbiał takie sytuacje. Wypił kawę, przejrzał prasę i strzelał oczami do co ładniejszych pańnek przewijających się przez hotel. W sumie, bawił się świetnie i żaden z tych wścibskich detektywów hotelowych nie śmiał go zaczepić, widząc jego gustowny garnitur od Armaniego i buty z prawdziwej krokodylowej skóry.

Rozważał właśnie możliwość wstąpienia do toalety, kiedy dostrzegł Marisę wychodzącą z windy. Odłożył czytany „New York Post” i dopadł dziewczynę w drzwiach obrotowych. Przemykając się wśród samochodów, jadących Pięćdziesiątą Dziewiątą Ulicą, pospieszył na drugą stronę, gdzie stał samochód Jake’a. Otworzył drzwi i wśliznął się na przednie siedzenie.

Jake również dostrzegł Marisę i zdążył już zapuścić silnik.

- W świetle dziennym wygląda jeszcze lepiej - zauważył, starając się zawrócić.

- Jesteś pewien, że to Blumenthal? - rzucił mężczyzna siedzący z tyłu. Nazywał się

Alphonse Hicktman, lecz niewielu znajomych odważyło się żartować z jego imienia.

Większość posłusznie zwracała się do niego Al. Urodził się i wychował w Niemieckiej Republice Demokratycznej i uciekł na Zachód przez Mur Berliński. Młodzieńcza twarz nie zdradzała jego prawdziwego wieku. Blond włosy ostrzyżone miał krótko, w stylu Juliusza Cezara. Bładoniebieskie oczy tchnęły chłodem zimowego nieba.

- Zameldowała się jako Lisa Kendrick, ale odpowiada rysopisowi - wyjaśnił George. -

To z pewnością ona.

- Albo jest piekielnie dobra, albo ma cholerne szczęście - skwitował Al. - Musimy się do niej dostać, tylko bez dalszych wpadek. Heberling mówi, że ona może rozpieprzyć cały układ.

Patrzyli, jak Marissa wsiada do taksówki, odjeżdżającej w kierunku wschodniej części miasta.

Ignorując przepisy drogowe, Jake wymusił pierwszeństwo i zawrócił, po czym szybko ulokował się dwa samochody za wiozącą Marissę taksówką.

- Droga pani, musi mi pani powiedzieć dokąd mam jechać - powiedział taksówkarz, spoglądając na jej odbicie we wstecznym lusterku.

Marissa wciąż trwała odwrócona do tyłu, obserwując z napięciem wejście do Essex House. Nikt stamtąd nie wyszedł, nikt też nie wydawał się jej śledzić. Usiadła wygodnie i kazała kierowcy skręcić w pierwszą przecznicę. Nadal rozmyślała nad sposobem bezpiecznego odbioru surowicy.

Taksówkarz wymamrotał coś pod nosem, skręcając w prawo przy końcu kwartału.

Marissa obserwowała wejście do Plaza od strony Piątej Alei. Przed hotelem stało mnóstwo samochodów i tłum ludzi. Na podjeździe czekały na klientów zaprzężone w konie dwukółki.

Wokół kręciło się kilku konnych policjantów, w błękitno-czarnych kaskach. Marissa poczuła się pewniej. Tutaj nikt nie mógł jej napaść.

Jechali z powrotem Pięćdziesiątą Dziewiątą Ulicą. Marissa powiedziała kierowcy, by zatrzymał się na chwilę przy Plaza i poczekał. Ona załatwi tylko pewną sprawę w hotelu i pojedą dalej.

- Myślę, że...

- Zaraz wracam - zapewniła go.

- Jest tyle taksówek - kierowca wskazał na postój. - Nie może pani wziąć którejś?

- Dodam pięć dolarów do wskazań licznika i obiecuję, że to nie potrwa długo -

Marissa posłała mu najbardziej promienny uśmiech, na jaki było ją stać w tych okolicznościach.

Taksówkarz wzruszył ramionami. Jego obiekcje zniknęły pod wpływem uśmiechu i obiecanego napiwku. Zatrzymał się przed hotelem. Odzwierny uchylił drzwi taksówki i pomógł Marissie wysiąść.

Nerwy miała napięte do granic możliwości, w każdej chwili spodziewała się najgorszego. Poczekala, aż taksówka odjedzie sprzed wejścia i zaparkuje jakieś trzydzieści stóp dalej. Wówczas uspokojona weszła do środka.

Tak jak się spodziewała, bogato zdobiony hol główny hotelu był zatłoczony. Marissa śmiało podeszła do wystawy jubilerskiej, udając zainteresowanie. Jednocześnie zaś uważnie śledziła ruch w holu, obserwując jego odbicie w szybie wystawowej. Nikt nie zwrócił na nią najmniejszej uwagi.

Przeszła ponownie przez cały hol i zatrzymała się przy kontuarze, czekając na recepcjonistę. Serce waliło jej jak młotem.

- Czy mogę zobaczyć jakiś dowód tożsamości? - poprosił recepcjonista, kiedy Marissa wyjaśniła, że chciałyby odebrać przesyłkę.

Zbita z tropu Marissa odpowiedziała, że akurat nie ma nic przy sobie.

- Może pani okazać swój klucz do pokoju, to wystarczy - widać było, że recepcjonista wykazuje dużo dobrej woli.

- Nie zdążyłam się jeszcze zameldować - wyjaśniła zdenerwowana Marissa.

Uśmiech pojawił się na jego twarzy.

- Może zatem najpierw się pani zamelduje, a następnie odbierze paczkę. Proszę nas zrozumieć. Ponosimy pewną odpowiedzialność.

- To oczywiste - zgodziła się Marissa, nadal mocno zdenerwowana. Okazało się, że nie przemyślała sprawy do końca. Nie miała już jednak wyboru. Ociągając się, podeszła do stanowiska obok, by się zameldować.

Nawet ta czynność okazała się dość skomplikowana, kiedy Marissa oznajmiła, że nie chce płacić kartą kredytową. Pracownik hotelu polecił jej najpierw udać się do kasy, gdzie musiała zdeponować pokaźną sumę w gotówce. Dopiero teraz wydał jej klucz do pokoju. Mogła więc odebrać paczkę z Federal Express.

Otworzyła przesyłkę, idąc w kierunku wyjścia, wyciągnęła fiolkę i obejrzała ją.

Wyglądała autentycznie. Wyrzuciła opakowanie do śmieci, próbkę zaś z surowicą wsunęła do kieszeni. Jak dotąd szło jej dobrze.

Wyszędłszy przez obrotowe drzwi, przystanęła na chwilę, by przyzwycząić oczy do ostrego, południowego słońca. Taksówka stała w tym samym miejscu, w którym zatrzymała się kilkanaście minut wcześniej. Odźwierny zagadnął Marissę czy potrzebuje środek transportu, lecz dziewczyna uśmiechnęła się i przecząco pokręciła głową.

Rozejrzała się po Pięćdziesiątej Dziewiątej Ulicy. Ruch był coraz większy. Setki ludzi pędziło trotuarem, zupełnie jakby wszyscy byli już spóźnieni na ważne spotkanie.

Uzasadniona krzątanka w słonecznej scenerii. Zadowolona z wyników swoich działań, Marissa zeszła po stopniach na ulicę i sprintem przebiegła krótki dystans dzielący ją od taksówki. Chwyciła klamkę tylnych drzwi samochodu. Obejrzała się po raz ostatni - nikt jej nie śledził. Obawy co do lojalności Tada były nieuzasadnione.

Już miała wśliznąć się na tylne siedzenie, kiedy zorientowała się, że patrzy prosto w otwór lufy pistoletu, trzymanego przez mężczyznę o blond włosach. Musiał on dotąd leżeć na

tylnym siedzeniu. Mężczyzna otworzył usta, by coś powiedzieć, lecz Marissa nie czekała na to. Jednym susem odskoczyła od taksówki i z całej siły zatrzasnęła drzwi. Broń wypaliła z sykiem. Musiał to być wyjątkowy rodzaj pistoletu pneumatycznego. Szyba w drzwiach rozprysła się na tysiąc kawałków, lecz Marissa nie oglądała się za siebie. Rzuciła się do ucieczki. Kątem oka spostrzegła, że taksówkarz również wyskoczył z samochodu i biegł w przeciwnym kierunku. Kolejne spojrzenie za siebie padło na blondyna, podążającego za nią, roztrącającego przechodniów na chodniku.

Sam chodnik stanowił tor przeszkód: ludzie, bagaże, wózki dziecięce i psy.

Wprawdzie blondyn schował pistolet do kieszeni, lecz Marissa nie była wcale przekonana, że w tłumie może czuć się bezpieczna. Cichy syk pneumatycznej broni mógł pozostać niezauważony w tak wielkiej ciżbie. Ona upadnie na chodnik, a napastnik spokojnie się oddali, zanim ktokolwiek zorientuje się, że została zastrzelona.

Wpadała na ludzi i słyszała ich protesty, lecz przedzierała się dalej przez tłum.

Zamieszanie, jakie czyniła, zwalniało nieco tempo pościgu, lecz pomimo tego blondyn zaczynał ją doganiać.

Marissa wypadła na ulicę, biegiem omijając taksówki i limuzyny, aż dotarła do niewielkiego parku z fontanną na środku. Nie wiedziała, dokąd ucieka w panice. Miała jedynie świadomość, że zginie, jeśli czegoś szybko nie wymyśli. W tym momencie dostrzegła policyjnego konia, uwiązanego luźno do łańcucha, ogradzającego niewielką połąć trawnika parkowego. Podbiegła do konia, rozglądając się gorączkowo za policjantem. Wiedziała, że jest gdzieś w pobliżu, lecz oczekiwanie działało na jej niekorzyść. Słyszała stukot obcasów na chodniku. Nagle odgłos się urwał. Blondyn zatrzymał się na podjeździe pomiędzy parkiem a hotelem.

Marissa chwyciła wodze i schowała się pod brzuchem konia. Zwierzę nerwowo

potrząsnęło łbem. Dziewczyna spojrzała na ulicę: napastnik okrążał właśnie jakąś limuzynę. Rozbiegane oczy Marissy omiotły park. Spacerowało tu wielu ludzi, niektórzy nawet patrzyli w jej stronę, nigdzie jednak nie dostrzegła policjanta. Dała za wygraną i puściła się biegiem przez park. Nie miała czasu, by się ukryć, prześladowca był zbyt blisko. Spory tłumek osób siedzących przy fontannie, przyglądał się jej z wystudiowaną obojętnością. Nowojorczycy przyzwyczajeni byli do wszelkiego rodzaju ekscesów, z paniczną ucieczką włącznie.

Dobiegając do fontanny, Marissa słyszała za sobą oddech napastnika, tak bardzo się do niej zbliżył. Raptownie zmieniając kierunek ucieczki zderzyła się z kilkoma osobami, spacerującymi po parku. Używając ramion i łokci, przepchnęła się przez tłum, choć naokoło rozległy się okrzyki:

- Hej, ty, uważaj!

- Co za tupet!

Kiedy przedostała się przez tłum, sądziła, że znalazła się na otwartej przestrzeni, lecz nagle zdała sobie sprawę z tego, że stoi w samym środku koła utworzonego przez kilkaset osób. Obok niej trzech muskularnych Murzynów tańczyło w rytm muzyki rap. Przestraszone oczy Marissy napotkały trzy gniewne spojrzenia. Zepsuła im przedstawienie.

Nim ktokolwiek zdążył się poruszyć, w środek koła wpadł blondyn i zatrzymał się raptownie, omal nie tracąc równowagi. Podniósł broń do strzału, lecz nim nacisnął spust, jeden z rozdrażnionych tancerzy wprawnym kopniakiem wytrącił mu ją z ręki. Poleciała łukiem w tłum. Ludzie rozsunęli się, widząc, że prześladowca Marissy odpowiedział równie mocnym kopniakiem. Uderzony w przedramię tancerz upadł na ziemię.

Trzech innych Murzynów przyglądających się dotąd z boku całemu zajściu, zaszło blondyna od tyłu.

Marissa nie czekała dłużej. Wtopiła się w tłum, który odsunął się od miejsca bójki. Większość osób przeszła na drugą stronę Piątej Alei i Marissa podążyła z nimi. Na Pięćdziesiątej Dziewiątej zatrzymała przejeżdżającą taksówkę i kazała się zawieźć do Kliniki Rosenberga. Kiedy mijali park, Marissa dostrzegła spory tłum w pobliżu fontanny. Policjant dosiadał już konia i Marissa miała nadzieję, że zajmie się on blondynem przez jakiś czas. Spojrzała jeszcze raz na wejście do hotelu Plaza. Nie zauważyła nic nadzwyczajnego. Rozparła się na siedzeniu i zamknęła oczy. Zamiast strachu poczuła przemożny gniew. Była wściekła na wszystkich bez wyjątku, a w szczególności na Tada. Nie miała wątpliwości, że to właśnie on zdradzał napastnikom miejsca jej pobytu. Surowica, której zdobycie kosztowało ją tyle zachodu, była z pewnością bezużyteczna. Na pewno nie zaryzykuje, wstrzykując ją sobie. Musiała polegać na zabezpieczeniu, jakie zapewniał użytkownikowi pistolet do szczepień. Przez sekundę zwątpiła, czy dobrze robi, jadąc do Kliniki Rosenberga, i zamierzała nawet zawrócić, lecz ostatecznie zwyciężyło pragnienie udowodnienia, choćby sobie samej, że epidemie Eboli były wywoływane z rozmysłem. Ponadto, po ostatnich wypadkach nikt nie będzie się jej spodziewał.

Wysiadła w pobliżu kliniki i dzielącą ją od niej odległość przeszła pieszo. Trudno było nie zauważyć gmachu szpitala - okazała, wyremontowana budowla zajmowała większą część kwartału. Przed wejściem frontowym stała furgonetka telewizyjna i kilka policyjnych wozów patrolowych. Kilkunastu policjantów pilnowało wejścia. Marissa mignęła im przed oczami identyfikatorem CKE i weszła do środka.

Główny hol przedstawiał identyczny widok jak we wszystkich szpitalach dotkniętych poprzednio epidemią Eboli. Przedzierając się przez rzesze wystraszonych ludzi, Marissa traciła powoli pewność siebie. Gniew, który odczuwała podczas jazdy taksówką już minął, a jego miejsce zajęła dawna obawa o własne życie. Znikł także entuzjazm, wywołany

szczęśliwą ucieczką przed prześladowcą. Pojawiła się za to świadomość uwikłania w misterną intrygę i niebezpieczny spisek. Zatrzymała się i spojrzała w stronę wyjścia. Mogła stąd uciec, lecz przecież jedyną szansą było uzyskanie całkowitej pewności. Nim zacznie przekonywać innych, musi przekonać samą siebie.

Pomyślała, że najpierw sprawdzi dostępne źródło informacji. Znalazła biuro z napisem „Nowe przyjęcia”. W środku nie było nikogo, lecz na stołach leżały całe tony ulotek. Jeden rzut oka na ich treść wystarczył Marissie, by potwierdzić przypuszczenia: Klinika Rosenberga należała do Organizacji dla Zachowania Zdrowia.

Kolejne pytanie, na które musiała uzyskać odpowiedź, nastęczało większych trudności, gdyż pacjent, który zachorował jako pierwszy już nie żył. Stojąc w głównym holu, Marissa tak długo obserwowała przepływający tłum, dopóki nie odkryła, gdzie znajduje się szatnia dla personelu. Dokładnie odmierzając czas, podeszła do strzeżonych drzwi równocześnie z jakimś lekarzem, który zatrzymał się, by dać sygnał pracownikowi w biurze informacyjnym. Zabrział cichy brzęk i Marissa wśliznęła się do środka za plecami lekarza. Udało jej się znaleźć długi, biały fartuch, który natychmiast założyła, podkasując rękawy. Identyfikator na kieszeni powiedział jej, że pożyczyła część garderoby niejakiej doktor Ann Elliott. Odpięła tabliczkę z nazwiskiem i umieściła ją w bocznej kieszeni.

Wróciwszy do holu głównego, Marissa ze zdumieniem spostrzegła doktora Layne’a. Odwróciła się prędko, przygotowana na okrzyk świadczący o tym, że ją rozpoznał. Kiedy nic takiego nie nastąpiło, rzuciła za siebie ostrożne spojrzenie. Doktor Layne właśnie wychodził ze szpitala.

To spotkanie sprawiło, że Marissa zaczęła się jeszcze bardziej denerwować.

Paraliżował ją lęk przed spotkaniem z Dubchekiem, lecz postanowiła, że musi się czegoś więcej dowiedzieć o przypadku wyjściowym.

Z tablicy informacyjnej odczytała, że oddział patologii mieści się na czwartym piętrze.

Wjechała tam windą. Na miejscu musiała przyznać, że Klinika Rosenberga robi ogromne wrażenie. Aby się dostać do gabinetów patologów, Marissa musiała przejść przez całe laboratorium chemiczne. Zauważyła przy tym, że klinika posiada najnowocześniejsze i najdroższe wyposażenie automatyczne.

Po przejściu podwójnych drzwi, dziewczyna znalazła się wśród kilku sekretarek, zawzięcie przepisujących na maszynach nagrania z dyktafonów. Domyśliła się, że jest to centrum oddziału patologii, gdzie sporządza się wszystkie raporty.

Jedna z kobiet, widząc zbliżającą się Marissę wyjęła słuchawkę z ucha.

- Czy mogę w czymś pomóc?

- Jestem z ekipy CKE - zaczęła Marissa przyjaźnie. - Czy są tu gdzieś moi koledzy?

- Chyba nie - sekretarka podniosła się z krzesła. - Zapytam doktora Stewarta. Jest w swoim gabinecie.

- Jestem tutaj - odezwał się tęgi, zwalisty mężczyzna z gęstą brodą. - A odpowiadając na pani pytanie: wszyscy ludzie z CKE są obecnie na trzecim piętrze, w skrzydle izolacyjnym.

- Może pan będzie w stanie mi pomóc - zwróciła się do niego Marissa, celowo nie podając swego nazwiska. - Zajmuję się Ebolą od momentu wybuchu pierwszej epidemii, lecz tym razem ważne sprawy zatrzymały mnie w Atlancie. Rozumiem, że przypadek wyjściowy, doktor Mehta zmarł. Czy przeprowadzono sekcję zwłok?

- Owszem, dziś rano.

- Chciałabym zadać na ten temat kilka pytań.

- Nie byłem przy sekcji - odparł Stewart, po czym zwrócił się do sekretarki: - Helen, spróbuj złapać Curta.

Poprowadził Marissę do niewielkiego gabinetu, w którym stało nowe biurko i biała ława laboratoryjna z nowiuteńkim, dwuokularowym mikroskopem soczewkowym Zeissa.

- Czy znał pan doktora Mehtę? - spytała Marissa.

- Dość dobrze - przyznał Stewart, kiwając głową. - Sprawował stanowisko dyrektora medycznego. Jego śmierć to dla nas wielka strata.

Stewart zaczął opowiadać o zasługach Mehty w utworzeniu Kliniki Rosenberga oraz o jego niezwyklej wprost popularności wśród personelu i pacjentów.

- Czy wiadomo panu, gdzie się kształcił?

- Nie jestem pewien, do jakiej szkoły medycznej uczęszczał. Wydaje mi się, że w Bombaju. Ale na stałe mieszkał bodaj w Londynie. Dlaczego pani pyta?

- Interesowało mnie, czy ukończył zagraniczną uczelnię.

- Jakie to ma znaczenie? - wzruszył ramionami Stewart.

- Powiedzmy, że może się to przydać - odparła Marissa wymijająco. - Czy wśród personelu jest wielu absolwentów zagranicznych uczelni?

- Oczywiście, że tak. Wszystkie placówki w ramach Organizacji dla Zachowania Zdrowia zaczynają w ten sposób, że ogłaszają nabór dla absolwentów zagranicznych uczelni. Amerykańscy absolwenci woleli prywatne praktyki, ale to się zmieniło. Teraz możemy przyjmować, kogo chcemy.

Do gabinetu wszedł młody mężczyzna.

- To jest Curt Vandermay - przedstawił go Stewart.

Marissa zmuszona była podać swe prawdziwe nazwisko.

- Pani doktor chce zadać kilka pytań dotyczących sekcji zwłok - wyjaśnił Stewart.

Wysunął krzesło spod ławy, na której stał mikroskop, i podsunął je Vandermayowi.

Ten usiadł, zakładając nogę na nogę.

- Nie mamy jeszcze wyników szczegółowych badań organów, więc mam nadzieję, że wystarczy opis ogólny - zaznaczył Vandermay.

- Interesują mnie zewnętrzne oznaki - powiedziała Marissa. - Czy odnotowano coś szczególnego?

- Owszem, rozległe pęknięcia naczyń krwionośnych w skórze.

- A urazy? - spytała Marissa.

- Skąd pani wie? - zdziwił się lekarz. - Miał złamany nos. Zupełnie o tym zapomniałem.

- Jak dawno to się stało?

- Około tygodnia lub dziesięciu dni przed śmiercią. Mniej więcej w tym czasie.

- Czy w karcie choroby wymieniono przyczynę tego złamania?

- Prawdę mówiąc, nie sprawdzałem - przyznał Vandermay. - Świadomość, że zmarł na gorączkę krwotoczną Ebola, wydawała się istotniejsza niż ten jego złamany nos.

- Rozumiem - powiedziała Marissa. - A karta? Zakładam, że znajduje się tu, na patologii. Czy mogłabym ją zobaczyć?

- Ależ oczywiście. - Vandermay podniósł się z krzesła. - Przejdźmy może na oddział, gdzie dokonano sekcji. Mam zdjęcia tego obrażenia wykonane Polaroidem.

- Znakomicie - odparła Marissa.

Stewart przeprosił ich, mówiąc że musi się udać na spotkanie i wyszedł. Podążając za Vandermayem, Marissa słuchała jego wyjaśnień o tym, jak ciało najpierw zdezynfekowano, a potem zapakowano w dwa worki i umieszczono w specjalnym pojemniku, aby uniknąć w ten sposób skażenia. Rodzina zażyczyła sobie, by ciało przewieziono do Indii, lecz nie otrzymała na to zezwolenia. Marissie wydało się to w pełni zrozumiałe.

Karta nie była wprawdzie tak dokładna, jak by sobie tego życzyła Marissa, lecz

zawierała wzmiankę o złamaniu przegrody nosowej. Złamanie nastawił jeden z kolegów Mehty, chirurg. Marissa dowiedziała się również, że sam Mehta był chirurgiem, co mogło mieć kolosalne znaczenie dla rozprzestrzeniania się choroby, biorąc pod uwagę sposób, w jaki odbywało się ono w poprzednich epidemiach. Karta nie podawała jednak przyczyny złamania. Vandermay zaproponował, żeby porozmawiać z chirurgiem, który nastawił złamanie.

Usiadł do telefonu, podczas gdy Marissa przejrzała historię choroby. Doktor Mehta nie odbywał w ostatnim okresie żadnych podróży, nie pracował ze zwierzętami i nie był w żaden sposób powiązany z poprzednimi epidemiami Eboli.

- Biedak został okradziony - oznajmił Vandermay odkładając słuchawkę. - Pobito go i obrabowano na podjeździe do jego domu. Nie do wiary! W jakim my świecie żyjemy! Gdybyś tylko wiedział, pomyślała Marissa. Miała w ręku klucz do zagadki. Uzyskała pewność, że epidemie Eboli są wywoływane celowo. Zimny dreszcz przebiegł jej po plecach, lecz opanowała się na tyle, by zadać jeszcze kilka pytań.

- Czy na udzie pacjenta zauważył pan uraz wielkości monety?

- Nie pamiętam. Ale mam tu zdjęcia, o których mówiłem - rozłożył na stole zdjęcia ruchem, jakim pokerzysta wyklada asy.

Marissa spojrzała na pierwsze zdjęcie. Przedstawiało nagie ciało rozłożone na stalowym stole do sekcji. Pomimo rozległych pęknięć naczyń krwionośnych na całym ciele, Marissie udało się zidentyfikować siniaka wielkości monety, identycznego z tym, jaki widziała u doktora Richtera. Wielkością odpowiadał rozmiarowi głowicy pistoletu do szczepień.

- Czy mogłabym zabrać któreś z tych zdjęć? - spytała.

Vandermay spojrzał na to, które wybrała.

- Proszę bardzo - odrzekł. - Mamy ich całą masę.

Marissa wsunęła zdjęcie do kieszeni. Nie był to dowód na miarę pistoletu, ale zawsze coś. Podziękowała i zbierała się właśnie do wyjścia, kiedy Vandermay zapytał:

- Nie podzieli się pani ze mną swoimi podejrzeniami?

Na jego twarzy błąkał się niewyraźny uśmiech, jak gdyby domyślał się czegoś.

Zachrypiął interkom, oznajmiając Vandermayowi, iż ma telefon na linii numer sześć.

Podniósł słuchawkę i Marissa usłyszała, jak mówi:

- Doktor Dubchek! Co za zbieg okoliczności! Jest właśnie u mnie pani doktor

Blumenthal, z którą rozmawiamy o...

Marissa nie musiała dłużej słuchać. Jak strzała pomknęła ku windom. Vandermay coś za nią krzyczał, lecz ona nawet się nie obejrzała. Przemknęła koło sekretarek i wypadła przez podwójne drzwi na korytarz, przytrzymując ręką długopisy w kieszeni fartucha.

Stojąc pomiędzy windą a schodami ewakuacyjnymi, zdecydowała się po krótkim wahaniu na windę. Dubchek znajdował się prawdopodobnie na trzecim piętrze i sądziła, że pobiegnie schodami. Nacisnęła przycisk wzywający windę jadącą w dół. Obok niej czekał jeszcze technik laboratoryjny, trzymający tacę z pojemnikami próżniowymi. Obserwował spokojnie, jak Marissa nerwowo, raz za razem naciska przycisk, pomimo iż sygnalizował on, że wezwanie zostało przyjęte. Kiedy ich oczy przelotnie spotkały się, zapytał:

- Nagły przypadek?

Winda zatrzymała się wreszcie na ich piętrze i Marissa wśliznęła się do niej.

Wydawało jej się, że minęły wieki, nim drzwi zamknęły się i winda ruszyła. Marissa była przygotowana na to, że w każdej chwili pojawi się pędzący Dubchek.

Kiedy winda zatrzymała się na trzecim piętrze, Marissa wcisnęła się w kąt, błogosławiąc swą niepozorną figurę. Z zewnątrz trudno byłoby ją zobaczyć.

Gdy winda ponownie ruszyła na dół, Marissa zapytała siwowłosego technika, jak

dostać się do stołówki. Powiedział jej, by po wyjściu z windy skręciła w prawo i trzymała się głównego korytarza.

Marissa zastosowała się do jego wskazówek. W połowie korytarza poczuła zapach jedzenia. Dalej szła już, kierując się węchem.

Uznała, że wyjście główną bramą będzie zbyt ryzykowne. Dubчек mógł polecić policjantom zatrzymanie jej. Weszła do zatłoczonej stołówki i skierowała się prosto do kuchni. Kilka osób z obsługi posłało jej zdumione spojrzenia, lecz nikt jej nie zaczepił.

Zgodnie z jej przewidywaniami, na tyłach kuchni znajdowała się rampa wyładunkowa, którą bez przeszkód wyszła na zewnątrz, omijając po drodze ciężarówkę z mleczarni.

Zeskoczyła z rampy i szybko przebiegła na Madison Avenue. Szła kawałek w kierunku północnym, następnie skręciła na wschód, w spokojną uliczkę z drzewami po obu stronach. Pieszycy było tam niewielu, dzięki czemu Marissa upewniła się, że nie jest śledzona. Kiedy dotarła do Park Avenue, zatrzymała taksówkę.

Aby ponownie sprawdzić, czy rzeczywiście nikt jej nie śledzi, wysiadła przy Bloomingdale, przeszła kawałek do sklepu przy Trzeciej Alei, gdzie wsiadła w następną taksówkę. Kiedy zajechała pod Essex House, była przekonana, że przynajmniej przez jakiś czas może się czuć bezpieczna.

Stanąwszy przed drzwiami swojego pokoju, na których nadal wisiała wywieszka „Nie przeszkadzać”, Marissa zawahała się. Mimo iż zameldowała się pod zmienionym nazwiskiem, dręczyło ją wspomnienie z Chicago. Ostrożnie otworzyła drzwi, uważnie rozglądając się po pokoju, nim do niego weszła. Następnie zastawiła otwarte drzwi krzesłem i starannie przeszukała pokój. Sprawdziła pod łóżkiem, w szafie i w łazience - wszystko było na swoim miejscu. Zadowolona z inspekcji, Marissa zamknęła drzwi na wszystkie możliwe rygle i zamki.

23 maja - ciąg dalszy

Na śniadanie Marissa uraczyła się okazałą porcją świeżych owoców zamówionych do pokoju. Obierała jabłka specjalnie do tego celu przeznaczonym nożem. Teraz, kiedy sprawdziły się jej podejrzania, nie bardzo wiedziała, jak się dalej zachować. Jedynym wyjściem wydawało się skontaktowanie z wynajętym przez Ralpha prawnikiem i opowiedzenie mu wszystkiego, co wiedziała, to znaczy że pewna grupa pravicowych lekarzy wprowadzała Ebolę do prywatnych klinik w celu podważenia autorytetu tych instytucji w oczach opinii publicznej. Mogłaby przekazać mu skromne dowody, które posiadała, i pozwolić zatroszczyć się o resztę. Może wskazałby on jakieś bezpieczne miejsce, gdzie mogłaby przeczekać, aż sprawa zostanie wyjaśniona.

Odłożyła jabłko i sięgnęła po telefon. Podjąwszy decyzję, od razu poczuła się lepiej.

Wybrała numer biura Ralpha i, ku swemu zadowoleniu, została połączona bezpośrednio.

- Moja sekretarka otrzymała szczegółowe wskazówki - wyjaśnił Ralph. - Na wszelki wypadek, gdybyś jeszcze nie wiedziała, chciałbym ci powiedzieć, że troszczę się o ciebie.

- Jesteś słodki - jego dowód sympatii rozczulił ją. W mgnieniu oka straciła panowanie nad emocjami, które udawało jej się tak długo utrzymać. Poczwała się jak dziecko, które upadło, lecz nie płacze, dopóki nie pojawi się matka.

- Czy wracasz dziś do domu?

- To zależy... - Marissa przygryzła dolną wargę i wzięła głęboki oddech. - Czy sądzisz, że będę mogła od razu porozmawiać z prawnikiem?

- Nie - odparł Ralph. - Dziś rano dzwoniłem do jego biura. Powiedziano mi, że wyjechał z miasta i wróci dopiero jutro.

To niedobrze - głos Marissy załamał się.

- Marisso, czy wszystko w porządku? - zaniepokoił się Ralph.

- Bywałam już w lepszej kondycji - przyznała. - Miałam straszne przeżycia.

- Co się stało?

- Nie mogę ci teraz wyjaśnić - powiedziała, czując, że jeśli zacznie opowiadać, natychmiast wybuchnie płaczem.

- Posłuchaj - rzekł Ralph. - Chcę, żebyś natychmiast tu przyleciała. Byłem przeciwny twojej podróży do Nowego Jorku. Czy znowu wpadłaś na Dubcheka?

- Gorzej - odparła Marissa.

- To przesądza sprawę - - skwitował Ralph. - Wracaj pierwszym samolotem. Przyjadę na lotnisko.

Był to kuszący pomysł i Marissa właśnie zamierzała odpowiedzieć, kiedy rozległo się pukanie do drzwi. Dziewczyna zamarła.

Pukanie powtórzyło się.

- Marisso, jesteś tam? - zapytał Ralph.

- Chwileczkę - rzuciła do słuchawki. - Ktoś puka do drzwi. Nie rozłączaj się.

Odłożyła słuchawkę na nocny stolik i ostrożnie podeszła do drzwi.

- Kto tam? - zapytała.

- Przesyłka dla panny Kendrick. - Marissa uchyliła drzwi na szerokość, którą uznała za bezpieczną. Na zewnątrz stał boy w liberii, trzymając duży pakunek zawinięty w biały papier.

Zaintrygowana Marissa kazała chłopcu poczekać, a sama wróciła do sypialni i podniosła słuchawkę. Powiedziała, że ktoś do niej przyszedł i że zadzwoni, kiedy tylko dowie się, którym lotem będzie wracać do Atlanty.

- Obiecujesz? - zapytał.

- Obiecuję - potwierdziła.

Podeszła do drzwi i wyjrzała na korytarz. Chłopiec stał oparty niedbale o ścianę, w rękach nadal trzymał pakunek. Kto mógł posyłać kwiaty „pannie Kendrick”, skoro, o ile Marissa dobrze pamiętała, jej koleżanka żyła szczęśliwie na Zachodnim Wybrzeżu? Zadzwoiła na dół do recepcji i spytała, czy ktoś przyniósł jej kwiaty. Recepcjonista potwierdził. Tak, boy właśnie niesie kwiaty do jej pokoju.

Marissa poczuła się nieco pewniej, lecz nie na tyle, by zdjąć łańcuch. Zawołała na chłopca przez szczelinę:

- Przepraszam cię bardzo, ale czy mógłbyś zostawić te kwiaty pod drzwiami? Nie mogę ich teraz odebrać.

- Nie ma problemu, proszę pani - odparł, stawiając pakunek na ziemi. Dotknął szarmancko swej czapki i oddalił się.

Marissa błyskawicznie zdjęła łańcuch, porwała kosz i zamknęła z powrotem drzwi.

Zdarła papier, pod którym ukazał się wspaniały bukiet wiosennych kwiatów. Wśród nich zauważyła kopertę zaadresowaną do Lisy Kendrick.

Ku swemu przerażeniu, Marissa wydobyla z koperty złożoną na dwoje kartkę, przeznaczoną dla... Marissy Blumenthal!

Serce zamarło jej na chwilę, zaczęła jednak czytać:

Szanowna pani doktor Blumenthal,

gratulacje z powodu pani udanego występu dziś rano. Jesteśmy wszyscy pod

wrażeniem. Oczywiście, czeka panią kolejna nasza wizyta, chyba że okaże się pani osobą rozsądną.

Jak pani widzi, potrafimy panią odnaleźć zawsze i wszędzie, mimo to zamierzamy

zostawić panią w spokoju, jeśli tylko zwróci nam pani pewien przyrząd medyczny, który była pani uprzejma pożyczyć.

Fala strachu ogarnęła Marissę. Przez krótką chwilę stała osłupiała, wpatrując się z niedowierzaniem w kosz kwiatów. Potem, w nagłym przyływie energii, zaczęła się pakować, wyciągając z szafy rzeczy, które tam uprzednio schowała. Nagle zamarła. Nic się nie zgadzało, zmienił się układ przedmiotów. A więc byli tu, w jej pokoju. Przeszukali jej bagaż! O Boże. Musi się stąd wynosić.

Ruszyła do łazienki, skąd zgarnęła swoje kosmetyki i jak popadło wrzuciła je do walizki. Nagle coś zaświtało jej w głowie. Ten list mówił więcej niż było napisane. Jeśli dotąd nie odzyskali pistoletu do szczepień, oznaczało to, że Tad nie był zamieszany w tę sprawę. Ponadto ani on, ani nikt inny nie wiedział, że zatrzymała się w Essex House pod fałszywym nazwiskiem. Mogli tu trafić jedynie śledząc ją od samego lotniska w Chicago. Pomyślała, że im prędzej wyniesie się z hotelu, tym lepiej. Kiedy już wrzuciła wszystko do walizki, okazało się, że skłębione rzeczy uniemożliwiają jej zamknięcie bagażu. Usiadła na nim, walcząc z oporną zapadką, a jej wzrok jeszcze raz powędrował w stronę bukietu. Nareszcie zrozumiała. Zamierzali w ten sposób wypłoszyć ją z hotelu, po to, by zaprowadziła ich do miejsca, gdzie ukryła pistolet, co prawdopodobnie by uczyniła, gdyby nie odkryła ich intencji.

Marissa usiadła na łóżku, zmuszając umysł do chłodnej kalkulacji. Ponieważ jej przeciwnicy wiedzieli już, że nie ma przy sobie pistoletu do szczepień, a jednocześnie spodziewali się, że nieświadomie wskaże im drogę do niego, pozostawiało jej to pewną swobodę manewru. Postanowiła zostawić walizkę. Włożyła do torebki wszystko, co uważała za niezbędne. Wyjęła także papiery z aktówki, której również postanowiła nie brać ze sobą. Jednego mogła być pewna, a mianowicie, że będą ją śledzić. Bez wątplenia spodziewali się, że opuści hotel w panice, co ułatwi im zadanie. No cóż, pomyślała Marissa, zrobi im niespodziankę.

Patrząc na wspaniałe kwiaty, doszła do wniosku, że może zastosować tę samą strategię. Idąc za tą myślą, zaczęła układać plan, który mógł zaowocować wyjaśnieniem kilku kwestii, niezbędnych do zakończenia sprawy.

Przejrzawszy listę kierownictwa Kongresu, Marissa upewniła się, że jego sekretarz mieszkał w Nowym Jorku. Nazywał się Jack Krause, a jego dom znajdował się na Wschodniej Osiemdziesiątej Czwartej Ulicy, pod numerem 426. Marissa postanowiła złożyć mu nie zapowiedzianą wizytę. Liczyła na to, że nie wszyscy członkowie organizacji zdawali sobie sprawę z tego, co się dzieje. Trudno było sobie wyobrazić, że grupa lekarzy umyślnie rozprzestrzenia zarazę. W każdym razie, pojawienie się Marissy w domu doktora Krause może wywołać większe zamieszanie niż jakikolwiek bukiet kwiatów.

Tymczasem zdecydowała się przedsięwziąć kroki w celu zakamuflowania swego wyjazdu. Zatelefonowała do menedżera hotelu i zirytowanym głosem poskarżyła się, że w recepcji podano numer zajmowanego przez nią pokoju jej byłemu narzeczonemu, który wykorzystał to, by ją nękać.

- To niemożliwe - oświadczył menedżer. - Nie podajemy numerów pokoiów.

- Nie mam zamiaru się z panem spierać - warknęła Marissa. - To fakt, że tak właśnie się stało. Jestem przerażona. Może pana zainteresuje, że zerwałam z narzeczoną właśnie ze względu na jego gwałtowne usposobienie.

- Co według pani mamy zrobić? - zapytał menedżer, widząc, że Marissa do czegoś zmierza.

- Sądzę, że moglibyście przynajmniej dać mi inny pokój - odparła.

- Osobiście tego dopilnuję - zapewnił.

- I jeszcze coś. Mój były narzeczoną jest blondynem o wyglądzie sportowca i ostrych rysach twarzy. Sądzę, że powinien pan ostrzec swych ludzi.

- Rzecz jasna, proszę pani - odparł grzecznie menedżer.

Alphonse Hicktman po raz ostatni zaciągnął się papierosem, a następnie wyrzucił niedopałek za granitowy mur, oddzielający Park Centralny od ulicy. Patrząc na taksówkę z włączonym światelkiem „zajęty”, Al widział jedynie sylwetkę George’a, który siedział w środku, spokojny jak zwykle w takich sytuacjach. Ten facet po prostu uwielbiał wyczekiwać.

Przenosząc wzrok na wejście do Essex House, Al pomyślał z kolei, czy Jake zajął dogodną pozycję w holu i czy Marissa będzie w stanie wymknąć się nie zauważona z hotelu.

Początkowo Al był przekonany, że kwiaty sprawią, iż dziewczyna w panice wypadnie z hotelu. Teraz jednak był zaintrygowany. Była albo niesamowicie sprytna, albo niesamowicie głupia.

Podszedł do taksówki i zabębnił palcami po dachu. George w mgnieniu oka wyskoczył z przeciwnej strony. Al uśmiechnął się do niego. Cierpliwość George’a pogłębiała tylko jego własną frustrację.

- Jezu Chryste! - wykrzyknął George.

Wsiedli z powrotem do taksówki.

- Która godzina? - spytał Al, wyjmując kolejnego papierosa. Tego popołudnia wypalił już prawie całą paczkę.

- Siódma trzydzieści.

Al zgasił zapałkę i wyrzucił ją przez okno. Nic nie szło tak jak powinno. Nie znaleźli pistoletu do szczepień w pokoju tej dziewczyny, dostał więc rozkaz, by ją śledzić, dopóki nie odzyska broni. Nie zanosiło się jednakże na to, by Marissa Blumenthal miała im pójść na rękę, a przynajmniej nie tak od razu.

Z hotelu wyszła grupa biesiadników, złączonych w uściskach, zataczających się, wybuchających głośnym śmiechem. - robiących z siebie widowisko. Byli to bez wątpienia

uczestnicy jakiegoś zjazdu, gdyż mieli na sobie ciemne garnitury, ozdobione plakietkami z nazwiskiem oraz czapki z plastikowymi daszkami z napisem SANYO.

Odźwierny dał znak kierowcom kilku limuzyn, czekających na ulicy. Jedna po drugiej podjeżdżały po pasażerów.

Al klepnął George'a w ramię, nerwowo pokazując w stronę największej grupy, która wyłoniła się zza obrotowych drzwi. Dwóch mężczyzn podtrzymywało kobietę w czapeczce z plastikowym daszkiem na głowie. Wyglądała na zbyt pijaną, by iść o własnych siłach.

- Czy to nie Blumenthal wisi na tych dwóch facetach? - zapytał.

Zapytany zmrużył oczy, lecz nim zdążył odpowiedzieć, kobieta zniknęła we wnętrzu limuzyny. George odwrócił się do Ala i stwierdził:

- Nie sądzę. Ona ma trochę inne włosy. Ale nie jestem do końca pewien.

- Cholera! - zaklął Al. - Ja też nie.

Po chwili wahania wyskoczył z taksówki.

- Jeśli się pokaże, jedź za nią.

Lawirując pośród jadących samochodów przemknął na drugą stronę ulicy do innej taksówki.

Przez tylną szybę limuzyny Marissa mogła obserwować wejście do hotelu. Kątem oka dostrzegła, że ktoś wyskoczył z zaparkowanej taksówki i przebiegł przez ulicę. Zanim autobus, wyprzedzony przez limuzynę przesłonił jej widok, zdążyła jeszcze zauważyć, że ten ktoś wsiadł do innej taksówki, wysłużonego checkera.

Marissa odwróciła twarz od szyby. Była pewna, że ktoś ją śledził. Miała kilka możliwości, ale przy dość znacznej przewadze, jaką miała limuzyna nad taksówką, najrozsądniej było czym prędzej wysiąść.

Gdy tylko skręcili w Piątą Aleję, Marissa krzyknęła na kierowcę, by się zatrzymał,

czym wywołała szczere zdziwienie swoich towarzyszy.

Kierowca zastosował się do jej polecenia, myśląc pewnie, że źle się poczuła, ona zaś wyskoczyła z limuzyny nim ktokolwiek zdołał zareagować, i nakazała kierowcy jechać dalej. Zauważyła księgarnię Doubleday, która szczęśliwym trafem była otwarta do późna, i weszła do środka. Przez okno wystawowe obserwowała, jak checker mija księgarnię i przez moment ujrzała znajomego blondyna siedzącego za kierowcą. Był sztywno wyprostowany i wpatrywał się gdzieś przed siebie.

Dom z wyglądu przypominał raczej średniowieczną fortecę niż luksusową posiadłość nowojorską. W wąskie okna wstawiono misternie gięte żelazne kraty. Drzwi frontowe zabezpieczono solidną metalową bramą, wzorowaną na opuszczanych kratownicach średniowiecznych budowli. Piąte piętro było nieco cofnięte, a powstały w ten sposób taras zakończono, na podobieństwo wież zamkowych, blankami.

Marissa wpatrywała się w ten dom, stojąc po drugiej stronie ulicy. Nie sprawiał wrażenia gościnnego i nawet przez chwilę przyszło jej na myśl, by odłożyć wizytę u doktora Krause na później. Lecz czując się bezpiecznie w nowym pokoju w Essex House, wykonała tego popołudnia kilka telefonów, z których wynikało, że Krause jest jednym z najwybitniejszych internistów na Park Avenue. Nie wyobrażała sobie, by mógł osobiście wyrządzić jej krzywdę. Być może za pośrednictwem takiej organizacji jak Kongres, ale z pewnością nie własnymi rękami.

Przeszła przez jezdnię i wspięła się po schodach. Rzuciła ostatnie spojrzenie na opustoszałą ulicę i nacisnęła dzwonek. Za bramą dostrzegła ciężkie, drewniane drzwi, pośrodku których widniała płaskorzeźba z herbem rodowym.

Odczekała chwilę, po czym ponownie nacisnęła przycisk. Naraz została oślepiona snopem jaskrawego światła, tak że nie była w stanie dostrzec, kto otworzył drzwi.

- Proszę? - powiedziała jakaś kobieta.

- Chciałabym zobaczyć się z doktorem Krause. - Marissa starała się nadać swemu głosowi ton urzędowy.

- Czy jest pani umówiona?

- Nie - przyznała Marissa - ale proszę mu powiedzieć, że sprowadza mnie tu niezwykle pilna sprawa związana z Kongresem Akcja Lekarzy. Sądzę, że mnie przyjmie. Usłyszała odgłos zamykanych drzwi. Wokół było jasno - reflektor oświetlał większą część ulicy. Po kilku minutach drzwi ponownie się otworzyły.

- Doktor przyjmie panią.

Nastąpił przykry moment otwierania bramy, której zawiasy od dawna domagały się smaru.

Marissa znalazła się w środku, ciesząc się, że wydostała się spod snopu światła.

Obserwowała, jak kobieta, ubrana w czarny strój pokojówki, zamyka bramę i idzie w jej stronę.

- Proszę za mną.

Poprowadziła Marissę przez wyłożone marmurem i obwieszone żyrandolami wejście, a następnie krótkim korytarzem udały się do wykładanej boazerią biblioteki.

- Proszę tu poczekać - powiedziała kobieta. - - Doktor wkrótce do pani zejdzie.

Marissa rozejrzała się, podziwiając piękne meble, z których każdy był drogocennym antykiem. Regały biblioteczne stały wzdłuż trzech ścian pokoju.

- Przepraszam, że musiała pani czekać - odezwał się aksamitny głos.

Odwróciła się, by zobaczyć doktora Krause. Miał pełną twarz o głębokich bruzdach, a kiedy gestem wskazał jej, by usiadła, zauważyła, że jego ręce są nienaturalnie duże i

kanciaste, zupełnie jak u imigrantów pracujących fizycznie. Kiedy usiedli, mogła lepiej mu

się przyjrzeć. Miał oczy inteligentne i sympatyczne - przypominał jej starego profesora interny z czasów uniwersyteckich. Marissa ze zdumieniem pomyślała, jak taki człowiek może być zamieszany w ciemne sprawy Kongresu.

- Ogromnie przepraszam, że nachodzę pana o tak późnej godzinie - zaczęła.

- To żaden kłopot - zauważył Krause. - Czytałem właśnie. Czy mogę pani w czymś pomóc?

Marissa pochyliła się nieco, by zobaczyć jego reakcję na to, co zamierzała powiedzieć.

- Nazywam się Marissa Blumenthal.

Zrobiła pauzę, podczas której Krause spokojnie czekał, aż dziewczyna podejmie rozmowę. Wyraz jego twarzy nie zmienił się. Albo był świetnym aktorem, albo jej nazwisko nic mu nie mówiło.

- Jestem pracownikiem Sekcji Wywiadu Epidemiologicznego w CKE - kontynuowała Marissa.

Jego oczy zwęziły się niemal niedostrzegalnie.

- Pokojówka powiedziała mi, że ma pani jakąś sprawę dotyczącą Kongresu - z jego głosu zniknął ton gościnnej uprzejmości.

- Bo tak rzeczywiście jest - odparła Marissa. - Powinnam chyba zapytać, czy wiadomo panu o jakichkolwiek poczynaniach Kongresu, które leżałyby w kręgu zainteresowań CKE.

Tym razem wyraźnie dostrzegła, że Krause zacisnął szczęki. Wziął głęboki oddech, zaczął mówić, po czym nagle zmienił zdanie. Marissa czekała. Miała dużo czasu.

Krause odchrząknął i powiedział:

- Kongres usiłuje obronić amerykańską medycynę przed siłami, które zamierzają ją zniszczyć. Taki jest jego cel od samego początku.

- W istocie, to szczytny cel - przyznała Marissa. Lecz w jaki sposób Kongres realizuje

swą misję?

- Poprzez poparcie odpowiedzialnego i rozsądnego ustawodawstwa - odparł Krause.

Podniósł się, najwyraźniej po to, by uniknąć badawczego wzroku Marissy.

- Kongres stwarza możliwość uzyskania większych wpływów w państwie bardziej konserwatywnemu odłamowi parlamentu. Czas najwyższy na zmiany w ustawodawstwie: zawód lekarza jest jak umykający pociąg. - Podeszedł do kominka, a jego twarz utonęła w cieniu.

- Niestety, okazuje się, że Kongres nie poprzestaje jedynie na działaniach legislacyjnych - zauważyła Marissa. - To właśnie niepokoi CKE.

- Sądzę, że nie mamy już o czym rozmawiać - oznajmił Krause. - Jeśli pani pozwoli...

- Uważam, że Kongres ponosi odpowiedzialność za wybuchy epidemii Eboli - wyrzuciła z siebie Marissa, podnosząc się z fotela. - Macie jakieś mylne przekonanie, że rozprzestrzenianie choroby w prywatnych klinikach z systemem przedpłat służy waszej sprawie.

- To absurd! - zaprotestował.

- Absolutnie się z panem zgadzam - przytaknęła Marissa. - Ale jestem w posiadaniu dokumentów, które dowodzą powiązań pana i pozostałych członków Kongresu z Laboratoriami Profesjonalnymi w Grayson, w Georgii, które dokonały ostatnio zakupu specjalistycznego wyposażenia do badań nad wirusem. Posiadam także pistolet do szczepień, którym zarażano wszystkie przypadki wyjściowe.

- Proszę stąd wyjść - rozkazał Krause.

- Z przyjemnością - odparła Marissa. - Powiem jeszcze tylko, że zamierzam odwiedzić wszystkich członków zarządu Kongresu. Nie wyobrażam sobie, by wszyscy oni przystali na tak szaleńczy plan. Osobiście nie mogę uwierzyć, że ktoś taki jak pan, że jakikolwiek lekarz,

mógł się na to zgodzić.

Zachowując pozory spokoju, Marissa podeszła do drzwi. Doktor Krause nie ruszał się od kominka.

- Dziękuję, że mnie pan przyjął - powiedziała Marissa. - Przykro mi, jeśli pana zdenerwowałam. Ale jestem przekonana, że któryś z lekarzy - członków Kongresu pomoże przerwać ten koszmar. Być może nawet przez złożenie zeznań. To mógłby być pan. Tak sądziłam. Dobranoc, doktorze Krause.

Zmusiła się do tego, by wolno przejść przez krótki korytarz do holu. A jeśli się myliła i on ją zaatakuje? Na szczęście zjawiała się pokojówka i wypuściła Marissę, która gdy tylko znalazła się poza zasięgiem reflektora, puściła się biegiem.

Przez jakiś czas po wyjściu Marissy doktor Krause trwał w bezruchu. Sprawdzały się jego najgorsze przewidywania. Na górze miał broń, może powinien się po prostu zastrzelić. Mógł też zadzwonić do swego prawnika i poprosić o ochronę w zamian za złożenie zeznań. Ale nie miał pojęcia, co właściwie miałby mówić.

Paraliż ustąpił miejsca panice. Na biurku leżał notes z adresami. Otworzył go i wybrał numer do Atlanty.

Telefon zadzwonił przynajmniej dziesięć razy, nim ktoś podniósł słuchawkę. Rozległ się głos Joshuy Jacksona o nieskazitelnym akcencie. Pytał, kto dzwoni.

- Jack Krause - przedstawił się zdenerwowany lekarz. - Co się dzieje, do cholery?

Przysięgałeś, że oprócz Los Angeles, Kongres nie maczał palców w żadnej z pozostałych epidemii Eboli, że tamte wybuchły w wyniku przypadkowych kontaktów z pierwszymi pacjentami. Joshua, dałeś mi na to słowo!

- Uspokój się - zganił go Jackson. - Weź się w garść!

- Kim jest Marissa Blumenthal? - zapytał Krause nieco spokojniejszym tonem.

- Tak już lepiej - odparł Jackson. - Dlaczego pytasz?
- Dlatego, że ta kobieta przyszła dziś do mnie, oskarżając mnie i Kongres o wywoływanie epidemii Eboli.
- Czy nadal jest u ciebie?
- Nie, już poszła. Ale kim ona jest?
- To epidemiolog z CKE. Ma diabelne szczęście. Ale nie martw się, Heberling się nią zajmie.
- Ta sprawa zaczyna śmierdzieć - powiedział Krause.- Chciałbym ci przypomnieć, że byłem przeciwny temu projektowi, nawet kiedy zakładał wariant z grypą.
- Co ta Blumenthal ci zrobiła? - zapytał Jackson
- Chciała mnie nastraszyć. I, do diabła, udało jej się. Powiedziała, że ma adresy wszystkich z kierownictwa Kongresu, i że zamierza złożyć każdemu z nas wizytę
- Powiedziała, kto jest następny na liście?
- Nie jest idiotką. Wręcz przeciwnie, to bardzo przebiegła osóbka. Zagrała na moich uczuciach jak na jakimś instrumencie. Jeśli dotrze do wszystkich, ktoś się w końcu załamie. Pamiętasz Tiemana w San Francisco? Głosował przeciw projektowi, nawet bardziej stanowczo niż ja
- Spróbuj się rozluźnić - nalegał Jackson. - Rozumiem twoje obawy. Ale pozwól, że ci przypomnę iż nie istnieją żadne dowody naszych powiązań z Ebolą. W ramach środków ostrożności, Heberlig usunął z laboratorium wszelkie ślady po wirusie, zostawiając jedynie swoje badania nad kulturami bakterii. Powiadomię go, że ta dziewczyna zamierza niepokoić członków Kongresu, a on już się nią zajmie. Tymczasem będziemy musieli trzymać ją z dala od Tiemana.

Krause odłożył słuchawkę z pewnym uczuciem ulgi. Kiedy jednak zgasił lampę na

biurku i podniósł się z krzesła, przyszło mu na myśl, by rano zadzwonić do adwokata. Nie zaszkodzi dowiedzieć się, jaka jest procedura składania zeznań.

Widok z Triborough Bridge, na który wjechała taksówka, zafascynował Marissę. Linia zabudowań Manhattanu, iskrzącego się światłami na tle czarnego jak smoła nieba, miała w sobie coś hipnotyzującego. Szybko jednak zatarła się, a potem znikła zupełnie, gdy samochód wjechał na biegnącą dołem autostradę Long Island Expressway. Marissa powróciła do studiowania listy nazwisk, którą wyjęła z torebki, Trudno było cokolwiek odczytać w migotliwym świetle mijanych latarni.

Nie istniał żaden logiczny klucz, według którego mogłaby wybierać następnych członków Kongresu. Najprościej byłoby udać się do tego, który mieszkał najbliżej lecz to z kolei mogło okazać się zbyt oczywiste dla jej prześladowców, a jednocześnie zbyt niebezpieczne dla niej samej. Ze względów bezpieczeństwa postanowiła złożyć wizytę człowiekowi mieszkającemu najdalej od Nowego Jorku. Był nim doktor Sinclair Tieman z San Francisco.

Marissa przechyliła się przez oparcie przedniego siedzenia i powiedziała kierowcy, żeby zamiast na La Guardia zawiózł ją na lotnisko Kennedy'ego. Zapytana o terminal, rzuciła: United. Pomyślała, że jeśli nie będzie miejsc na nocny lot, zawsze może przejść na inny terminal.

O tej porze ruch na terminalu United był niewielki i Marissa szybko została obsłużona. Z zadowoleniem odnotowała, że najbliższy lot do Los Angeles ma tylko jedno międzylądowanie - w Chicago. Zapłaciła gotówką za bilet wystawiony na fałszywe nazwisko, po czym nabyła kilka czasopism i udała się na właściwe stanowisko. Postanowiła jeszcze przed wejściem do samolotu zadzwonić do Ralpha. Jak się spodziewała, Ralph był zaniepokojony, że nie odezwała się wcześniej, lecz wydawał się zadowolony, kiedy usłyszał,

że Marissa jest na lotnisku.

- Przebaczam ci po raz ostatni - powiedział - ale wyłącznie dlatego, że wracasz do domu.

Marissa usiłowała starannie dobierać słowa.

- Bardzo chciałabym cię zobaczyć jeszcze dziś, ale...

- Chyba nie chcesz mi powiedzieć, że nie przyjedziesz? - udając gniew, Ralph starał się ukryć rozczarowanie. - Umówiłem cię z McQuinllinem jutro w południe. Mówiłaś mi, że chcesz się z nim spotkać jak najwcześniej.

- To spotkanie będzie musiało jeszcze poczekać - odparła Marissa. - Wypadło mi coś nowego. Muszę na dzień lub dwa polecieć do San Francisco. Nie mogę ci teraz wyjaśnić.

- Marisso, na litość boską, co ty zamierzasz? - w głosie Ralpa zabrzmiała nuta desperacji. - Z tego, co mi powiedziałaś, choć nie było to wiele, wnoszę, że powinnaś niezwłocznie wrócić do domu i spotkać się z prawnikiem. Jeżeli Mc Quinllin uzna, że to możliwe, polecisz potem do Kalifornii.

- Ralph, wiem, że się o mnie martwisz. Nie wiesz, jak bardzo mi to pomaga, ale uwierz, że panuję nad sytuacją. To, co obecnie zamierzam zrobić, ułatwi niezmiernie robotę McQuinllinowi. Zaufaj mi.

- To niemożliwe - stwierdził Ralph. - Jesteś nierozsądna.

- Czas na mnie, samolot za chwilę odlatuje - powiedziała pośpiesznie Marissa. -

Zadzwoń, gdy tylko będę mogła.

Z głębokim westchnieniem odłożyła słuchawkę. Ralph nie był może najbardziej romantycznym mężczyzną na tym świecie, ale z pewnością był wrażliwy i zależało mu na niej.

- Zamknij się, do cholery! - warknął Al na Jake'a. Nieustanny potok słów

wyływający z ust tego faceta działał mu na nerwy. Jak nie baseball, to konie, i tak bez końca.

Było to gorsze od grobowego milczenia George'a.

Al siedział z Jakiem w taksówce, podczas gdy George czekał w holu Essex House.

Coś mówiło Alowi, że spaprali robotę. Wprawdzie osobiście śledził limuzynę aż do momentu, kiedy zatrzymała się przed jakąś restauracją w Soho, lecz dziewczyna, którą widział wsiadającą do samochodu, nie wysiadła tam. Wrócił więc do hotelu, gdzie kazał Jake'owi sprawdzić, czy panna Kendrick nadal jest zameldowana. Owszem, była, lecz kiedy Al udał się na górę, stwierdził, że sprzątają pokój, który zajmowała. Co gorsza, zauważyło go dwóch detektywów hotelowych, którzy orzekli, że jest byłym narzeczonym tej cizi i poradzili mu, by trzymał się od niej z daleka. Nie trzeba było wielkiej inteligencji, by domyślić się, że coś tu nie gra. Jego intuicja zawodowa podpowiadała mu, że dziewczyna związała, oni zaś tracą czas, wystając przed hotelem.

- Jesteś pewien, że nie chcesz postawić małej sumki na czwórkę w dzisiejszej gonitwie w Belmont? - spytał Jake.

Al zamierzał właśnie umieścić swoją pięść na głowie Jake'a, kiedy rozległ się piszczący sygnał pagera. Sięgnął pod kurtkę, by wyłączyć aparat i cicho zaklął pod nosem. Wiedział, kto chce się z nim skontaktować.

- Czekaj tu - rzucił groźnie. Wyskoczył z auta i pobiegł w stronę hotelu Plaza, gdzie skorzystał z jednego z automatów. Zadzwoił do Heberlinga.

Ten nie próbował nawet ukryć pogardy.

- Do diabła, ta kobietka waży pewnie ze sto funtów, nie więcej. Nie każę wam załatwić Rambo. Za co płacę wam tysiąc dolców za dzień?

- Ona ma piekielne szczęście - zaczął Al. Był cierpliwy, ale do pewnych granic.

- Nie trafia to do mnie - oznajmił Heberling. - Powiedz mi lepiej, czy masz pojęcie,

gdzie ona się w tej chwili znajduje?

- Obawiam się, że nie - przyznał Al.

- To znaczy, że ją zgubiliście - podsumował Heberling. - Powiem wam, gdzie była i co zrobiła. Odwiedziła doktora Krause i napędziła mu takiego stracha, że o mało się nie skichał w gacie. Obawiamy się, że może teraz złożyć wizytę innym członkom Kongresu.

Najsłabszym ogniwnem jest Tieman. Ja zajmę się pozostałymi, ty zaś, wraz ze swoimi orangutanami, masz ruszyć tyłek i lecieć do San Francisco. Znajdźcie ją, jeśli tam jest i pod żadnym pozorem nie dopuście jej do Tiemana. Mam nadzieję, że dobrze mnie zrozumiałeś.

24 maja

Na niebie pojawiły się już pierwsze oznaki świtu, kiedy Al wysiadł z samolotu i podążył za Jake'em i Georgem na centralny terminal lotniska w San Francisco. Lecieli samolotem American Airlines, który najpierw miał trwać półtorej godziny międzylądowanie w Dallas, a potem został przetrzymany w Las Vegas, gdzie zgodnie z rozkładem miał czekać zaledwie kilkanaście minut.

Jake niósł w walizce pistolet do szczepień, którego użyli do zarażenia Mehty. Al zastanawiał się, czy wygląda tak samo źle, jak dwaj jego towarzysze. Musieli się wykapać i ogolić. Ich garnitury były bardzo wygniecione.

Im więcej rozmyślał nad sytuacją, w której się znaleźli, tym bardziej czuł się sfrustrowany. Dziewczyna mogła w tej chwili znajdować się w którymś z czterech miast. Wylimitowanie jej nie było takie proste. Musieli się najpierw dowiedzieć, gdzie ukryła pistolet do szczepień.

Zostawił Jake'a i George'a przy taśmociągu z bagażem, sam zaś poszedł wynajmując samochód, posługując się przy tym jednym z kilkunastu fałszywych dowodów tożsamości, które zawsze nosił przy sobie. Doszedł do wniosku, że jedynym wyjściem jest obstarwić dom Tiemana i czekać. W ten sposób, nawet jeśli nie złapią dziewczyny, ona nie skontaktuje się z lekarzem. Upewniwszy się, że auto wyposażone jest w telefon komórkowy, Al rozłożył mapę, którą otrzymał w punkcie wynajmu samochodów. Tieman mieszkał na przedmieściu, w dzielnicy Sausalito. Przynajmniej nie będą musieli czekać w korkach - dochodziła dopiero siódma rano.

Telefonistka w hotelu Fairmont zgodnie z poleceniem zadzwoniła do pokoju Marissy o siódmej trzydzieści. Poprzedniej nocy dziewczyna miała dużo szczęścia. Jakaś grupa zrezygnowała w ostatniej chwili z rezerwacji, zwalniając kilku pokoiów. Jeden z nich

przypadł Marissie.

Czekając w łóżku na zamówione śniadanie, dziewczyna spróbowała sobie wyobrazić doktora Tiemana. Prawdopodobnie nie różnił się wiele od doktora Krause: samolubny, chciwy facet, który dbając o własną kieszeń, posunął się za daleko.

Wstała z łóżka i odsunęła zasłony. Oczom jej ukazał się zapierający dech w piersiach widok na Bay Bridge, wzgórze Marin County i przypominającą średniowieczną fortecę budowlę na wyspie Alcatraz w tle. Marissa mogła tylko życzyć sobie, by jej problemy przybrały podobną postać.

Zdążyła wziąć prysznic i nałożyć biały, aksamitny szlafrok, kiedy przyniesiono śniadanie, składające się z kawy i nadzwyczajnego wyboru świeżych owoców.

Obierając brzoskwinie, zwróciła uwagę na bardzo ostry, staroświecki nożyk z drewnianą rękojeścią. Podczas jedzenia zastanawiała się, czy lepiej będzie odwiedzić Tiemana w gabinecie, czy w domu. Była przekonana, że po jej wizycie u doktora Krause ktoś uprzedził o tym Tiemana, nie sądziła więc, że go zaskoczy. W takich okolicznościach bezpieczniej było złożyć mu wizytę w gabinecie.

Książkę telefoniczną znalazła w jednej z szuflad biurka. Otworzyła ją na dziale medycznym i bez trudu znalazła nazwisko Tiemana. Był specjalistą ginekologii i położnictwa.

Aby upewnić się, że lekarz nie wyjechał, Marissa zatelefonowała do jego gabinetu.

Urzędniczka w centrali poinformowała ją, że gabinet rozpoczyna działalność o ósmej trzydzieści. Brakowało jeszcze dziesięciu minut.

Marissa ubrała się i zadzwoniła ponownie. Tym razem odebrała recepcjonistka, która powiedziała, że doktor Tieman będzie przyjmował dopiero od piętnastej. W tym dniu bowiem przeprowadzał operacje w szpitalu San Francisco General.

Odłożywszy słuchawkę, Marissa zapatrzyła się na Bay Bridge. Rozważała nową

możliwość. Spotkanie z Tiemanem w szpitalu było korzystniejsze niż konfrontacja w gabinecie. Będzie tam bezpieczniejsza, gdyby doktorowi przyszło na myśl spróbować ją zatrzymać.

Spojrzała na siebie w lustrze. Z wyjątkiem bielizny, resztę ubrania nosiła już od dwóch dni. Postanowiła, że tego dnia wstąpi do paru sklepów i kupi sobie trochę ciuchów. Powiesiła na drzwiach tabliczkę z napisem „Nie przeszkadzać”. Była nieco spokojniejsza o swoje bezpieczeństwo niż w Nowym Jorku. Wierzyła, że zyskała na czasie względem swych prześladowców.

Szpital San Francisco General był przepięknie usytuowany, ale wewnątrz przypominał inne szpitale wielkomiejskie, z typową dla nich mieszaniną stylów. Panowała tam też przytłaczająca dezorganizacja, charakterystyczna dla takich instytucji. Marissa bez problemu odnalazła przebieralnię doktora Tiemana.

Właśnie szukała dla siebie fartucha, kiedy pojawił się ktoś z personelu.

- W czym mogę pani pomóc? zapytał mężczyzna.

- Jestem doktor Blumenthal - przedstawiła się Marissa. - Będę obserwować doktora Tiemana podczas operacji.

- Dam pani oddzielną szafkę - odparł, bez wahania wręczając jej klucz.

W nowym fartuchu, z kluczem od szafki przypiętym do kieszeni, Marissa przeszła na oddział operacyjny. W pomieszczeniu klubowym kilkanaście osób piło kawę, dyskutowało i przeglądało prasę.

Marissa udała się bezpośrednio do sal operacyjnych. W przedsionku założyła czepek i buty ochronne, następnie zatrzymała się przed wielką tablicą z rozkładem operacji. Tieman operował w sali numer jednaście. Była to druga wykonywana przez niego tego dnia histerektomia.

- Słucham? - Pielęgniarka za biurkiem wyraźnie nie lubiła, by zawracano jej głowę byle czym.

- Mam obserwować operację przeprowadzaną przez doktora Tiemana - wyjaśniła Marissa.

- Proszę wejść. Sala jedenaście. - Nie tracąc więcej czasu, pielęgniarka zajęła się czymś innym.

- Dziękuję - powiedziała Marissa i ruszyła szerokim korytarzem. Sale operacyjne znajdowały się po obu jego stronach. Przez owalne okna w drzwiach Marissa dostrzegła postaci w ubiorach operacyjnych, pochylone nad pacjentkami.

Marissa weszła do pomieszczenia przygotowawczego pomiędzy salą dziesiątą a jedenastą. Tutaj założyła maskę, a następnie weszła na salę, gdzie znajdował się doktor Tieman.

Stół operacyjny otaczało pięć osób. Anestezjolog siedział na wysokości głowy pacjentki, dwóch chirurgów stało po przeciwnych stronach stołu, a pielęgniarka podająca narzędzia siedziała na podnóżku. Druga pielęgniarka krążyła po sali. Kiedy tam Marissa weszła, dziewczyna siedziała w rogu pomieszczenia, czekając na polecenia. Podniosła się ze stołka i zapytała Marissę, czy czegoś potrzebuje.

- Jak długo potrwa jeszcze ta operacja?

- Jakies trzy kwadranse. - Pielęgniarka wzruszyła ramionami. - Doktor Tieman szybko pracuje.

- Który to? - spytała Marissa.

Pielęgniarka posłała jej zdumione spojrzenie.

- Ten po prawej - odparła. - Kim pani jest?

- Koleżanką po fachu z Atlanty - odrzekła Marissa.

Nie miała zamiaru wdawać się w szczegóły. Podeszła do stołu i przyjrzała się bliżej Tiemanowi. W mgnieniu oka zrozumiała, dlaczego pielęgniarkę zaskoczyło jej pytanie - Tieman był czarny.

To dziwne, pomyślała. Sądziła dotąd, że wszyscy szefowie Kongresu należeli do starej gwardii, byli w stu procentach biali i pełni uprzedzeń rasowych.

Stała przez chwilę nad pacjentką, obserwując przebieg operacji. Macica była już odkryta i lekarze zabierali się do cięcia. Tieman operował dobrze. Jego ręce poruszały się ze szczególną ekonomią ruchów, której nie można się nauczyć. To talent, dar od Boga, nie do wypracowania nawet po latach praktyki. I Tieman go posiadał.

- Zapuszczaj tego grata - powiedział Al, wyłączając telefon komórkowy. Stali naprzeciw okazałego domu, zbudowanego z drewna sekwojowego, przycupniętego na wzgórzu wznoszącym się nad miasteczkiem Sausalito. Pomiędzy drzewami eukaliptusa prześwitywały błękitne wody zatoki.

Jake przekręcił kluczyk w stacyjce.

- Dokąd? - zapytał.

Doskonale zdawał sobie sprawę z tego, że mając za pasażera wkurzonego Ala, najlepiej będzie milczeć.

- Z powrotem do miasta.

- Co powiedzieli w gabinecie Tiemana? - spytał George, siedzący z tyłu siedzenia.

Jake chciał mu nakazać, żeby się zamknął, ale nie miał odwagi się odezwać.

- Że operuje dzisiaj w San Francisco General - odrzekł Al. - Pierwsza operacja rozpoczęła się o siódmej trzydzieści i nie spodziewają się go w gabinecie przed trzecią.

- Nic więc dziwnego, że go nie złapaliśmy - powiedział z rozczarowaniem George. -

Facet wyjechał pewnie jakąś godzinę przed naszym przybyciem. Co za strata czasu.

Mówiłem, że powinniśmy od razu udać się do hotelu.

Z szybkością błyskawicy Al odwrócił się na przednim siedzeniu i złapał George'a za różowy krawat, kupiony u Diora. Oczy George'a wyszły z orbit, a twarz nabrzmiała krwią.

- Posłuchaj, jeżeli kiedykolwiek będę chciał poznać twoje zdanie, to cię zapytam.

Zrozumiano?

Wypuścił z ręki krawat i popchnął George'a z powrotem na siedzenie. Jake skulił się jak żółw chowający się do skorupy. Zaryzykował jednak spojrzenie w kierunku Ala.

- A ty na co się gapisz? - warknął Al.

Jake nawet nie pisnął. Miał nadzieję, że po tej lekcji George nauczy się milczeć.

Dopiero przy wjeździe na most Al się odezwał.

- Powinniśmy mieć jeszcze jeden samochód - powiedział spokojnym głosem, jak gdyby nic się nie wydarzyło. - Na wypadek, gdybyśmy musieli się rozdzielić. Potem pojedziemy do szpitala. Im prędzej odnajdziemy Tiemana, tym lepiej.

Mając do dyspozycji dużo czasu oraz pewność, że rozpozna Tiemana, Marissa wyszła z sali operacyjnej w chwili, kiedy asystent chirurga zabrał się do zszywania cięcia. Przebrała się w swoje ubranie, gdyż chciała opuścić szpital zaraz po rozmowie z Tiemanem. Weszła do klubu i usiadła przy oknie. Parę osób uśmiechnęło się do niej, lecz nikt się nie odezwał.

Minęło pół godziny nim pojawił się Tieman, poruszający się z tą samą lekkością, z jaką przeprowadzał operację.

Marissa zbliżyła się do niego, kiedy nalewał sobie kawę. Koszulka, którą miał na sobie, odsłaniała wspaniale umięśnione ramiona. Kolor jego skóry przypominał wypolerowany orzech włoski.

- Jestem doktor Marissa Blumenthal - przedstawiła się, bacznie obserwując jego reakcję.

Miał szeroką, męską twarz, starannie przyciętego wąsa, a w oczach czaił się smutek, który świadczył o tym, że mężczyzna przeszedł w życiu bardzo wiele. Spojrzał na Marissę i uśmiechnął się. Najwyraźniej nie wiedział, z kim ma do czynienia.

- Czy możemy porozmawiać na osobności? - spytała dziewczyna.

Tieman spojrzał w kierunku swego asystenta, który właśnie wszedł do klubu.

- Zobaczymy się na operacyjnym - rzucił w jego kierunku i ujął Marissę pod ramię.

Zabrał ją do kabiny, oddzielonej od klubu wahadłowymi drzwiami, a przeznaczonej do dyktowania. Stało tam jedno krzesło, które Tieman odwrócił, gestem zapraszając Marissę, by usiadła, sam zaś oparł się o blat, trzymając kubek z kawą w prawej ręce.

Mając świadomość swej niezbyt imponującej postury i znikomego efektu psychologicznego, jaki ona wywołuje, Marissa zdecydowała się stać. Podsunęła krzesło w jego stronę, nalegając, by usiadł ze względu na to, iż cały czas był na nogach podczas operacji.

- Dobrze, dobrze - roześmiał się. - Już siedzę. A teraz, czym mogę pani służyć?

- Dziwię się, że moje nazwisko nic panu nie mówi - zaczęła Marissa, wpatrując się w jego oczy. Nadal było w nich wyłącznie zaciekawienie i życzliwość.

- Proszę mi wybaczyć - powiedział. Zaśmiał się znowu, tym razem z lekkim zakłopotaniem. - Spotykam codziennie tyle osób...

- Czy doktor Jack Krause nie dzwonił do pana w mojej sprawie?

- Nie jestem pewien, czy znam jakiegoś doktora Krause - odparł Tieman, skupiając uwagę na kubku z kawą.

Pierwsze kłamstwo, pomyślała Marissa.

Wzięła głęboki oddech i powtórzyła wszystko to, co mówiła doktorowi Krause. Od chwili, gdy wspomniała o epidemii Eboli w Los Angeles, ani razu nie podniósł wzroku.

Widziała, że jest zdenerwowany. Kawa w kubku chlupnęła kilka razy, gdy zadrżała mu ręka.

Marissa pomyślała, że nie chciałaby być jego następną operowaną pacjentką.

- Nie mam najmniejszego pojęcia, dlaczego mi pani o tym opowiada - powiedział

Tieman, podnosząc się z krzesła. - Poza tym, przepraszam, ale mam kolejny zabieg.

Z niespotykaną u niej śmiałością, Marissa lekko popchnęła go z powrotem na krzesło.

- Jeszcze nie skończyłam - zauważyła - i bez względu na to czy zdaje pan sobie z tego sprawę, czy nie, jest pan osobiście zamieszany w tę aferę. Posiadam dowody, że Ebola jest rozmyślnie rozprzestrzeniana przez Kongres Akcja Lekarzy, a pan jest jego skarbnikiem. Muszę przyznać, że jestem zaszokowana faktem, iż człowiek o pana reputacji może brać udział w tak śmierdzącej sprawie.

- Jest pani zaszokowana, a to dobre - odparł Tieman, podnosząc się z krzesła i spoglądając na nią z góry. - To ja jestem zaszokowany, że ma pani czelność insynuować coś tak nieodpowiedzialnego.

- Niech pan sobie tego oszczędzi - powiedziała Marissa. - Powszechnie wiadomo, że jest pan członkiem zarządu Kongresu, jak również współwłaścicielem jednego z niewielu laboratoriów w tym kraju, wyposażonych w sprzęt do doświadczeń z wirusami takimi jak Ebola.

- Mam nadzieję, że jest pani dobrze ubezpieczona - ostrzegł Tieman - bo wkrótce będzie pani miała do czynienia z moim adwokatem.

- To świetnie, że ma pan zaufanego prawnika - odrzekła Marissa, zupełnie ignorując groźbę. - Może on uświadomi panu, że najlepszym wyjściem będzie współpraca z władzami. - Cofnęła się o krok i spojrzała mu prosto w twarz. - Teraz, kiedy pana poznałam, nie wierzę, że wyraził pan zgodę na zarażenie kogokolwiek śmiertelną chorobą. Będzie to dla pana podwójną tragedią, jeśli straci pan wszystko, na co pan dotąd pracował, z powodu czyjegoś

falszywego kroku. Niech się pan nad tym zastanowi, doktorze Tieman. Nie ma pan zbyt wiele czasu.

Wyszła przez wahadłowe drzwi, zostawiając Tiemana w osłupieniu. Musiała pilnie zatelefonować. Zapomniała wprowadzić lekarzowi, że zamierza spotkać się z pozostałymi członkami Kongresu, lecz doszła do wniosku, że ta informacja nie była konieczna. Przestraszyła Tiemana wystarczająco.

- Mamy ją! - wrzasnął Al, klepiąc Jake'a po ramieniu. Ich samochód stał zaparkowany po drugiej stronie ulicy, naprzeciwko wejścia do szpitala. W drugim samochodzie, za nimi, czekał George. Kiedy Al odwrócił się w jego stronę, mężczyzna uniesionym kciukiem potwierdził, że również spostrzegł Marissę.

- Dziś już nam nie umknie - zapowiedział Al.

Jake włączył silnik i wyjechał na ulicę w momencie, gdy Marissa wsiadała do taksówki. Al obserwował, jak taksówka rusza za nimi w kierunku miasta, mając z tyłu samochód George'a. Nareszcie wszystko szło po jego myśli.

- Musiała rozmawiać z Tiemanem, jeśli już wychodzi - zauważył Jake.

- Co za różnica? - odparł Al. - Mamy ją. - A po chwili milczenia dodał: - Ułatwiłaby nam zadanie, gdyby pojechała teraz do hotelu.

Minęła ich wioząca Marissę taksówka. Za nią podążał George. Jake dodał gazu. Tuż przed nimi George wyprzedził taksówkę. Taktyka ta obowiązywać ma aż do chwili, gdy znajdą się na miejscu.

Jakiś kwadrans później taksówka zatrzymała się w kolejce wozów, czekających, by podjechać przed wejście hotelu Fairmont.

- Wygląda na to, że twoje modlitwy zostały wysłuchane - zauważył Jake, zatrzymując się po drugiej stronie ulicy.

- Ja zajmę się samochodem. Ty rusz tyłek i dowiedz się, w którym pokoju się zatrzymała - polecił Al.

Jake wysiadł, natomiast Al przesunął się za kierownicę. Zanim Marissa zdążyła wysiąść z taksówki, Jake znalazł się przy wejściu. W holu złapał pierwszą lepszą gazetę i złożywszy ją tak, jak czyni się to w pociągach, ustawił się w ten sposób, by mieć na oku każdego, kto wejdzie do hotelu.

Marissa od razu podeszła do kontuaru. Jake błyskawicznie ustawił się za nią, sądząc, że dziewczyna poprosi o klucz do pokoju. Pomylił się jednak. Zamiast tego powiedziała, że chce skorzystać z sejfów depozytowych.

Recepcjonistka wpuściła Marissę do biura, Jake zaś podszedł do tablicy, na której widniały ogłoszenia dotyczące różnorodnych konferencji. Nagle zauważył, że Marissa już wróciła i pośpiesznie zamyka torebkę. Ku jego zdziwieniu, szła wprost na niego.

W pierwszej chwili pomyślał, że go rozpoznała i wpadł w panikę, lecz dziewczyna minęła go, kierując się do holu, gdzie znajdowały się sklepy z upominkami.

Jake ruszył za nią korytarzem, ozdobionym starymi zdjęciami trzęsienia ziemi w San Francisco. Domyśliwszy się, że Marissa kieruje się do windy, postarał się tam dotrzeć przed nią i zmieszać z tłumem oczekujących osób.

Kiedy winda nadjechała, Jake wszedł do niej pierwszy, upewniwszy się jednak zawczasu, że dla Marissy starczy miejsca. Stał przy tablicy z przyciskami i udając, że czyta gazetę, patrzył, jak Marissa naciska guzik jedenastego piętra. Do windy weszły kolejne osoby i Marissa musiała przesunąć się głębiej.

Podczas jazdy Jake udawał wielkie zainteresowanie jakimś artykułem. Gdy zajechali na jedenaste piętro, wysiadł z windy, nadal udając zaabsorbowanego lekturą, i pozwolił wyprzedzić się Marissie oraz jeszcze jednemu z gości. Widząc, że dziewczyna zatrzymuje się

przed pokojem 1127, Jake nie odwracając się przeszedł obok. Zawrócił do windy dopiero wtedy, gdy usłyszał odgłos zamykanych drzwi.

Na ulicy podszedł do samochodu, w którym czekał Al.

- No i? - zapytał Al, zaniepokojony, że coś poszło nie tak.

- Pokój 1127 - odparł Jake z uśmiechem zadowolenia.

- Jeśli się pomyliłeś, to krucho z tobą - rzucił Al, wysiadając z samochodu. - Czekaj tu. To nie potrwa długo.

Uśmiechnął się tak szeroko, że Jake po raz pierwszy zauważył, iż jego dziąsła odsłaniają korzenie przednich zębów. Al podszedł do wozu George'a i oparł się o szybę.

- Chcę, żebyś pokręcił się tu trochę i miał na oku tylne wyjście. Tak na wszelki wypadek.

Al przeszedł na drugą stronę ulicy i wkroczył do szykownego holu, urządzonego w kolorach czerni i czerwieni. Od kilkunastu dni nie czuł się tak wspaniale.

Podszedł do recepcji, gdzie zobaczył, że w przegródce z numerem 1127 leżą zapasowe klucze do pokoju. Recepcjonistka nie była jednak na tyle zajęta, by mógł liczyć na to, że bez wypytywania wręczy mu klucze. Musiał sobie poradzić inaczej. Skierował się do windy.

Na jedenastym piętrze rozejrzał się za wózkiem sprzątaczką. Odnalazł go przed jednym z apartamentów, załadowany czystymi prześcieradłami, ręcznikami i środkami utrzymania czystości. Wziął jeden z ręczników, starannie złożył go po przekątnej, a następnie skręcił w grubą linę. Uchwycił go za oba końce i wszedł do apartamentu, gdzie spodziewał się zastać pokojówkę.

Salon był pusty. Na środku sypialni stał odkurzacz, a obok leżała sterta brudnej pościeli. Nadal jednak nie dostrzegł pokojówki. Przeszedł do garderoby, gdzie doszedł go szmer bieżącej wody.

Pokojówka klęczała przy wannie, myjąc jej ścianki. Na podłodze stała puszka z proszkiem.

Bez wahania Al stanął za kobietą i zacisnął ręcznik na jej szyi. Napadnięta wydała z siebie stłumione dźwięki, lecz zagłuszył je szum wody. Jej twarz poczerwieniała, a potem przeszła w purpurę. Al rozluźnił uchwyt i kobieta jak szmaciana lalka osunęła się bezwładnie na podłogę.

Z jej kieszeni Al wyjął pęk kluczy, zawieszonych na kółku wielkości bransoletki.

Wyszedłszy z apartamentu, zawiesił na klamce tabliczkę „Nie przeszkadzać” i zamknął drzwi.

Następnie popchnął wózek na klatkę schodową. Ruszył w kierunku pokoju 1127, prostując palce jak pianista przed recitalem.

24 maja

Marissa skończyła jeść ostatni owoc pozostały ze śniadania i odłożyła na nocny stolik obierki razem z nożem o drewnianej rękojeści. Telefonowała właśnie do Northwest Airlines, usiłując załatwić rezerwację na lot do Minneapolis. Sądziła, że prześladowcy z Kongresu i spółki pomyślą, iż następnym jej celem będzie Los Angeles, więc Minneapolis wydało jej się sprytnym rozwiązaniem.

W końcu agent potwierdził jej rezerwację na popołudniowy lot. Opadła z powrotem na łóżko, zastanawiając się nad sposobem spędzenia następnej godziny, lecz problem rozwiązał się sam, kiedy zmęczenie wzięło górę i zapadła w sen.

Obudził ją metaliczny szczęk. Dobiegał od strony drzwi, choć przecież zostawiła wywieszkę „Nie przeszkadzać”. Spojrzała w tamtą stronę i zobaczyła, że gałka obraca się powoli.

Natychmiast ożyły wspomnienia z hotelu w Chicago. W panice sięgnęła po telefon.

Nim zdążyła podnieść słuchawkę drzwi ustąpiły z hukiem, odłupując część futryny w miejscu, gdzie trzymające płytkę łańcucha śruby zostały wyrwane z listwy.

Mężczyzna, który wtargnął do pokoju, zatrzasnął drzwi i rzucił się na Marissę. Złapał ją obiema rękami za kark i potrząsnął wściekle, jak zaślepiiony walką pies. Następnie przyciągnął jej twarz, z której odpłynęła cała krew, do swojej i wycharczał:

- Pamiętasz mnie?

Marissa pamiętała. To był blondyn strzyżony na Juliusza Cezara.

- Daję ci dziesięć sekund na oddanie strzykawki - syknął Al, zwalniając nieco uchwyt na jej gardle. - Inaczej skręcę ci kark. - Dla potwierdzenia swych słów, szarpnął gwałtownie jej głowę, powodując przeszywający ból w kręgosłupie.

Pozbawiona oddechu Marissa bezsilnie próbowała odsunąć jego zaciśnięte dłonie.

Potrząsnął nią ponownie, tym razem uderzając jej głową o ścianę. Odruchowo cofnęła rękę, by zamortyzować upadek.

Z nocnego stolika spadła lampa i roztrzaskała się na podłodze. Pokój zakołysał się w oczach Marissy, gwałtownie próbowała złapać oddech.

- To twoja ostatnia szansa - pienił się Al. - Co zrobiłaś ze strzykawką?

Palce Marissy natrafiły na drewnianą rękojeść nożyka do obierania owoców. Zebrała wszystkie siły i zadała niespodziewany cios w brzuch mężczyzny. Nie była pewna, czy uszkodziła jakieś organy, lecz nagle Al zamilkł w pół słowa, puścił jej szyję i zgiął się wpół. Jego twarz wyrażała zaskoczenie i niedowierzanie. Marissa przełożyła nożyk do prawej ręki i skierowała się w stronę Ala, który z niepewną miną patrzył na powiększającą się plamę krwi na koszuli.

Marissa liczyła na to, że wycofa się do drzwi i ucieknie, lecz nim zrobiła krok, Al rzucił się na nią jak oszalałe z wściekłości zwierzę. Musiała szukać schronienia w łazience.

Wydarzenia z Chicago powtarzały się z okrutną dokładnością.

Nim zdołała zamknąć drzwi, mężczyzna zablokował je ramieniem. Wymierzyła na ślepo kilka szaleńczych ciosów, czując w pewnym momencie, że nożyk ześlizguje się po kości. Al wrzasnął przeraźliwie i cofnął rękę, zostawiając krwawą smugę na drzwiach.

Marissa zatrzasnęła je i błyskawicznie zamknęła na klucz.

Zaledwie dotknęła telefonu znajdującego się w łazience, kiedy z potwornym trzaskiem drzwi runęły na podłogę, wyrwane z zawiasów. Al wyszarpnął Marissie telefon, lecz dziewczyna nadal trzymała w ręku nóż, którym kłuła przeciwnika gdzie popadło. Trafiła go parę razy w brzuch, lecz nie dało to widocznych efektów.

Nie zwracając uwagi na nóż, Al złapał dziewczynę za włosy i pchnął na umywalkę.

Próbowała go ugodzić, lecz chwycił ją za nadgarstek i walił nim o ścianę, dopóki nóż nie

wypadł z jej poranionej dłoni.

Al pochylił się, by podnieść jej broń i kiedy już się prostował, Marissa złapała za telefon, który kołysał się na przewodzie i z całej siły uderzyła ciężką słuchawką w głowę napastnika. Przez sekundę nie była pewna, komu wyrządziła w ten sposób większą krzywdę, gdyż uderzenie sparaliżowało jej ramię aż po bark.

Al stał przez moment w bezruchu jak w zatrzymanym kadrze. Potem jego błękitne oczy uciekły w głąb czaszki. Jak na zwolnionym filmie upadł do wanny, uderzając jeszcze głową o kran.

Marissa stała nad nim, czekając aż się podniesie i rzuci na nią. Nagle dotarł do niej natarczywy sygnał dochodzący z ucha. Sięgnęła do telefonu i odwiesiła słuchawkę. Kiedy patrzyła na bezwładne ciało spoczywające w wannie, strach walczył w niej z odruchem wyszkolonego lekarza. Na twarzy mężczyzny, nieco nad łukiem nosa widniało paskudne rozcięcie, przód zaś jego koszuli był cały zakrwawiony. Zwyciężyło jednak przerażenie i Marissa wybiegła z pokoju, zdążywszy tylko złapać swą torebkę. Pamiętając, że w Nowym Jorku mężczyzna nie działał w pojedynkę, zdawała sobie sprawę z tego, iż musi jak najprędzej wydostać się z hotelu.

Zeszła na parter, lecz trzymała się z daleka od głównego wejścia. Dotarła do klatki schodowej i podążyła za strzałkami, wskazującymi drogę do tylnego wyjścia. Poczekała w drzwiach na pojawienie się tramwaju. Ruszyła w stronę pojazdu w ostatnim momencie, tak aby jak najkrócej być widoczną. Sprintem przebiegła dystans dzielący ją od tramwaju i w ostatniej chwili wskoczyła na pomost.

Przez tłum pasażerów przepchnęła się na koniec wagonu i spojrzała w stronę hotelu.

Nikt za nią nie wyszedł.

George zamrugał oczami ze zdumienia. To była ona. Pospiesznie wykręcił numer

Jake'a.

- Właśnie wyszła z hotelu - zasapał - i wskoczyła do tramwaju.

- Czy Al jest z nią? - spytał Jake.

- Nie - odparł George. - Jest sama. Wygląda, jakby trochę utykała.

- Coś tu nie gra.

- Jedź za nią - przykazał George. - Tramwaj rusza. Ja idę do hotelu sprawdzić, co się stało z Alem.

- W porządku. - Jake był szczęśliwy, że to George będzie rozmawiał z Alem. Kiedy Al dowie się, że dziewczyna znów się wymknęła, będzie zły jak nigdy.

Marissa spoglądała w stronę hotelu, czekając na potwierdzenie swoich podejrzeń, że jest śledzona. Nikt się nie pojawił. Lecz kiedy tramwaj ruszył, zobaczyła, że z samochodu wysiada jakiś mężczyzna i wbiega do hotelu. Zbieżność w czasie była bardzo sugestywna, choć mężczyzna nawet nie spojrzał w jej kierunku. Uznała, że to zbieg okoliczności. Oglądała się za siebie do momentu, kiedy tramwaj skręcił i straciła z oczu Fairmont. A więc udało się.

Rozluźniła się i w tym momencie głośny dźwięk dzwonka omal nie przyprawił jej o zawał serca. Była w połowie drogi do drzwi, kiedy uświadomiła sobie, że to konduktor pobierający opłatę za przejazd.

Jakiś mężczyzna wysiadł na przystanku i Marissa skwapliwie zajęła jego miejsce.

Drżała na całym ciele, a ponadto nagle ogarnęła ją obawa, że może mieć na ubraniu plamy krwi.

Tego jeszcze tylko brakowało, by w ten sposób zwróciła na siebie czyjąś uwagę!

Kiedy ustąpił strach, do głosu zaczął dochodzić fizyczny ból. Bolało ją stłuczone o umywalkę biodro, nie mówiąc już o szyi, którą prawdopodobnie pokrywały w tej chwili sińce.

- Opłata za przejazd - rozległ się nad nią głos konduktora.

Nie podnosząc wzroku, Marissa wyłowiła z torebki trochę drobnych. Nagle struchlała.

Na wierzchu prawej dłoni widniała plama zakrzepłej krwi. Szybko przełożyła torebkę do drugiej ręki i wręczyła pieniądze konduktorowi lewą dłonią.

Kiedy konduktor odszedł, Marissa zaczęła dociekać, w jaki sposób prześladowcy ją znaleźli. Zachowała przecież daleko idącą ostrożność. Nagle zrozumiała. Oni pilnowali Tiemana. Tak, to było jedyne możliwe wyjaśnienie.

Jej poczucie bezpieczeństwa legło w gruzach. Marissa zaczęła się nawet zastanawiać, czy ucieczka z hotelu była właściwym posunięciem. Może gdyby została i pozwoliła policji zająć się całą sprawą, byłaby teraz bezpieczna. Ostatnimi czasy wykształciła jednak w sobie instynkt ucieczki. Czowała się ścigana i zgodnie z tym uczuciem postępowała. Pomyśleć, że wydawało jej się, iż zmyliła swych prześladowców! Ralph miał rację. Nie powinna była lecieć do Nowego Jorku, nie mówiąc już o San Francisco. Tłumaczył jej, że ma poważne kłopoty, zanim jeszcze znalazła się w obu tych miastach. A teraz było jeszcze gorzej - prawdopodobnie zabiła dwóch mężczyzn. To było ponad jej siły. Nie pojedzie do Minneapolis. Wróci do domu i powie adwokatowi wszystko to, co wie, oraz to, co podejrzewa.

Tramwaj ponownie zwolnił. Marissa rozejrzała się dokoła. Znajdowała się gdzieś w Chinatown. Wagon zatrzymał się i w momencie, kiedy ruszał, Marissa wstała i wyskoczyła na jezdnię. Biegając na chodnik, widziała, jak konduktor z dezaprobatą kręci głową. Nikt jednak nie wysiadł za dziewczyną.

Marissa odetchnęła głęboko i potarła kark dłonią. Ucieszył ją widok zatłoczonej ulicy.

Na chodniku stały ręczne wózki z towarami i leżały wystawione produkty z pobliskich sklepów. Na ulicy zatrzymywały się ciężarówki dostawcze. Wszystkie szyldy nad witrynami

sklepów były w języku chińskim. Poczuli się, jakby krótka przejażdżka tramwajem przeniosła ją nagle w magiczny świat Orientu. Nawet zapachy były tu inne: królowała woń ryby i ostrych przypraw.

Zauważyła chińską restaurację i po chwili wahania weszła do niej. Chinka, ubrana w czerwoną, jedwabną, rozciętą do kolan suknię z mandaryńskim kołnierzem podeszła do niej i wyjaśniła, że restaurację otwiera się na lunch dopiero za pół godziny.

- Czy mogłabym skorzystać z toalety i telefonu? - zapytała Marissa.

Kobieta przyglądała się jej przez chwilę, po czym najwyraźniej uznała, że przybyła nie ma złych zamiarów, bo zaprowadziła ją na tyły restauracji. Otworzyła drzwi i wskazała Marissie miejsce.

Było to małe pomieszczenie z umywalką po jednej stronie i telefonem po drugiej. Z tyłu znajdowało się dwoje drzwi. Na jednych za pomocą szablonu wymalowano napis „Panie”, na drugich zaś „Panowie”. Ściany pokryte były wieloletnimi zbiorami graffiti.

Marissa najpierw skorzystała z telefonu. Zadzwoiła do hotelu i powiedziała urzędnicze, że w pokoju 1127 znajduje się człowiek, który potrzebuje pomocy lekarskiej. Telefonistka kazała jej się nie rozłączać, na co Marissa odwiesiła słuchawkę. Następnie zastanowiła się, czy należy zawiadomić policję i wszystko wyjaśnić. Zdecydowała, że sprawa jest zbyt skomplikowana, a ona sama uciekła z miejsca wypadku. Lepiej będzie, jeśli wróci do Atlanty i spotka się z adwokatem.

Umyła ręce i przejrzała się w lustrze. Wyglądała okropnie. Wyjęła grzebień i rozczesała włosy, następnie splotła kilka pasemek, żeby niesforne kosmyki nie spadały na twarz. Zgubiła opaskę, kiedy blondyn pociągnął ją za włosy. Skończywszy toaletę, obciągnęła blezer i poprawiła kołnierzyk bluzki. To było wszystko, co mogła zrobić, by doprowadzić swój wygląd do porządku.

Jake dzwonił do samochodu George'a chyba po raz setny. Telefony pozostawały bez odpowiedzi, choć kilka razy włączyło się nagranie informujące, że abonent jest w danej chwili nieosiągalny.

Nie mógł zrozumieć, co się stało. Al i George powinni już dawno być z powrotem w drugim samochodzie. Jake śledził w tym czasie dziewczynę, której omal nie przejechał, kiedy niespodziewanie wyskoczyła z tramwaju. Wiedział, że Marissa znajduje się obecnie w chińskiej restauracji o nazwie Peking Cuisine. Dobrze, że nie stracił dziewczyny z oczu. Nagle skulił się na siedzeniu. Marissa właśnie wyszła z restauracji i zatrzymała taksówkę.

Godzinę później, na lotnisku, bezradny Jake patrzył, jak Marissa wsiada na pokład samolotu Delty, lecącego do Atlanty. Rozważał przedtem możliwość wykupienia biletu, ale zrezygnował, nie wiedząc, czy Al by zaaprobował taką decyzję. Ostatnie pół godziny przed odlotem dziewczyna spędziła w toalecie, a w tym czasie Jake kilkanaście razy próbował połączyć się z Georgem, w nadziei otrzymania jakichś instrukcji. Lecz po drugiej stronie nadal nikt nie odbierał.

Kiedy samolot rozpoczął kołowanie nad pasem startowym, Jake pospieszył do samochodu. Za wycieraczką tkwił mandat za niewłaściwe parkowanie, ale Jake nie przejął się tym. Miał szczęście, że nie odholowali mu wozu. Postanowił wrócić przed hotel Fairmont i spróbować odszukać towarzyszy. Może całą akcję odwołano i kumple siedzieli teraz w barze, zaśmiewając się do rozpuku, podczas gdy on zasuwał po całym mieście.

Gdy wjechał na autostradę, postanowił jeszcze raz zadzwonić. Ku jego zdziwieniu, George odebrał telefon.

- Gdzie się, u diabła, podziewałeś? - zażądał wyjaśnień Jake. - Wydzwaniam do ciebie przez cały cholerny dzień.

- Mamy problem - odparł stłumionym głosem George.
- Cholera, mam nadzieję, że to coś ważnego, bo dziewczyna odfrunęła nam do Atlanty. Dostawałem szału na lotnisku. Nie wiedziałem, co robić.
- Al został pokłuty nożem, prawdopodobnie przez tę dziewczynę. Zabrali go na operację do San Francisco General. Nie mogłem się do niego zbliżyć.
- Chryste Panie! - ze zdumieniem wykrzyknął Jake. Nie mieściło mu się w głowie, że ta kurduplowata dziwka mogła załatwić Ala nożem i zwiać.
- Nie jest z nim tak źle - mówił dalej George - ale najgorsze, że Al prawdopodobnie załatwił pokojówkę. Miał jej klucze w kieszeni. Został oskarżony o morderstwo.
- Niech to szlag! - zaklął Jake. Sprawy przybierały coraz gorszy obrót.
- Gdzie jesteś teraz? - spytał George.
- Na autostradzie. Dopiero co wyjechałem z lotniska.
- Wracaj tam i zrób rezerwacje dla nas dwóch na następny lot do Atlanty. Myślę, że jesteśmy Alowi winni małą zemstę.

24 maja

- Coś do czytania? - spytała uśmiechnięta stewardesa.

Marissa skinęła głową. Potrzebowała jakiegoś zajęcia, żeby nie myśleć o horrorze w hotelu.

- Magazyn czy gazeta? - kontynuowała stewardesa.

- Raczej gazeta - odparła Marissa.

- „San Francisco Examiner” czy „New York Times”?

Marissa nie była w nastroju do podejmowania decyzji.

- „New York Times” - zdecydowała w końcu.

Wielki odrzutowiec wyrównał lot, jednocześnie zgasły światła, wzywające do zapięcia pasów. Marissa wyjrzała przez okno na postrzępione góry wyrastające z piaszczystej pustyni.

W samolocie odczuła dużą ulgę. Na lotnisku bardzo bała się, że zostanie zaatakowana albo aresztowana za to, że ukryła się w toalecie.

Rozłożyła gazetę i przejrzała spis treści. Ciąg dalszy relacji na temat epidemii Eboli znajdował się na stronie czwartej.

Artykuł donosił, że liczba ofiar w Filadelfii wyniosła pięćdziesiąt osiem osób, podczas gdy w Nowym Jorku wzrosła do czterdziestu dziewięciu, a zanotowano tam również masę nowych zachorowań. Nie zdziwiło to Marissy, która wiedziała, że przypadek wyjściowy był specjalistą w dziedzinie laryngologii. Przeczytała również, że Klinika Rosenberga ogłosiła upadłość.

Na tej samej stronie znalazła zdjęcie doktora Ahmeda Fakkry, głównego specjalisty od spraw epidemiologii w Światowej Organizacji Zdrowia. Artykuł wspominał, że jego wizyta w CKE związana jest z obawą, że wirus Ebola może wkrótce przekroczyć Atlantyk.

Być może doktor Fakkry mógłby jakoś pomóc, pomyślała Marissa. Może ten prawnik,

którego załatwił jej Ralph, będzie w stanie zaaranżować spotkanie z nim.

Ralph zajęty był uzupełnianiem rejestrów, kiedy zabrzmiał dzwonek do drzwi. Była dwudziesta pierwsza trzydzieści. Któż mógł go odwiedzać o takiej porze? Wyrzął przez oszklony otwór w drzwiach i ze zdumieniem poznał Marissę.

- Marissa! - wybąkał z niedowierzaniem, otwierając drzwi. Zdążył jeszcze dostrzec żółtą taksówkę, odjeżdżającą długim, krętym podjazdem.

Na widok jego wyciągniętych ramion Marissa przytuliła się do niego i wybuchnęła gwałtownym płaczem.

- Myślałem, że jesteś w Kalifornii - powiedział Ralph. - Dlaczego nie zadzwoniłaś wcześniej? Wyjechałbym po ciebie na lotnisko.

Marissa tuliła się do niego, wciąż płacząc. Jak cudownie było znów czuć się bezpieczną!

- Co się stało? - spytał Ralph, lecz w odpowiedzi usłyszał jeszcze głośniejszy szloch.

- Usiądź przynajmniej - zaproponował, sadzając ją na kanapie. Trzymając rękę na jej ramieniu czekał, aż dziewczyna się wypłacze.

- Wszystko w porządku - uspokajał, oczami pożerając telefon i hamując niecierpliwe pragnienie skorzystania z niego. Musiał zadzwonić, a ona w tym stanie za żadne skarby nie pozwoli mu odejść ani na chwilę.

- Może napijesz się czegoś? - zapytał. - Lampka wyborowego koniaku z pewnością dobrze ci zrobi.

Marissa potrząsnęła głową.

- A wino? Mam w lodówce wyśmienite Chardonnay Ralphowi powoli wyczerpywał się concept.

Marissa tylko objęła go mocniej. Szlochała ciszej, a oddech powoli wracał do normy.

Minęło pięć minut. Ralph westchnął.

- Gdzie jest twój bagaż?

Marissa nie odpowiedziała, natomiast wyjęła z kieszeni chusteczkę i otarła łzy.

- W kuchni mam jeszcze trochę kurczaka na zimno.

Marissa nareszcie wyprostowała się.

- Może za chwilę. Zostań jeszcze ze mną. Tak bardzo się bałam.

- Dlaczego więc nie zadzwoniłaś z lotniska? I co się stało z twoim samochodem?

Zostawiłaś go gdzieś?

- To długa historia - odparła Marissa. - Nie chcę ci się narzucać, ale jesteś moim jedynym przyjacielem.

- Czy mam cię zawieźć do domu, żeby zabrać stamtąd trochę twoich rzeczy?

- Dziękuję ci, ale nie chcę się tam pokazywać z tego samego powodu, dla którego nie zbliżam się do mojego samochodu. Jeśli mam dzisiaj jeszcze dokądś pojechać, to tylko do CKE, żeby odebrać paczkę, którą Tad miał dla mnie przechować. Ale, prawdę mówiąc, mogę z tym poczekać do rana. Podobnie jak na spotkanie z prawnikiem, któremu być może uda się uchronić mnie przed więzieniem.

- Dobry Boże - westchnął Ralph. - Mam nadzieję, że nie mówisz poważnie. Nie uważasz, że powinnaś mi wyjaśnić, o co tu chodzi?

Marissa ujęła jego dłoń.

- Wyjaśnię ci, obiecuję. Daj mi się tylko uspokoić. Może powinnam coś zjeść.

- Przyniosę ci kurczaka.

- Nie trzeba. Znam drogę do kuchni. Przygotuję sobie jajecznicę.

- Zaraz do ciebie przyjdę. Muszę zadzwonić.

Marissa powlokła się do kuchni. Patrząc na nowoczesne urządzenia kuchenne,

pomyślała, że przygotowanie tutaj jajeczniczy jest profanacją. Miała jednak ochotę na to danie.

Wyjęła z lodówki jajka oraz kilka kawałków chleba tostowego. Nagle zorientowała się, że zapomniała spytać Ralpha, czy będzie z nią jadł. Już miała go zawołać, lecz pomyślała, że i tak nie usłyszy.

Odłożyła jajka na blat i podeszła do interkomu. Próbując domyślić się jak działa, nacisnęła kolejno przyciski na konsoli, mówiąc przy tym: „Halo, halo”. Przypadkowo natrafiła na właściwą kombinację i z głośnika popłynął nagle głos Ralpha.

- Nie ma jej w San Francisco - mówił nerwowo. - Ona jest tu, w moim domu.

Przerwa.

- Posłuchaj Jackson, nie mam pojęcia, co się wydarzyło. Jest roztrzęsiona. Powiedziała jedynie, że ma do odebrania paczkę w CKE. Słuchaj, nie mogę teraz rozmawiać. Muszę do niej wracać.

Przerwa.

- Nie obawiaj się, zatrzymam ją tu. Przyjedź jak najprędzej.

Przerwa.

- Nie, nikt nie wie, że u mnie jest. Jestem tego pewien. No to cześć.

Marissa kurczowo uchwyciła się blatu, czując że zaraz zemdleje. Jedynek człowiek, któremu ufała, należał do „nich”. I jeszcze Jackson! Ten sam Jackson, którego spotkała na przyjęciu u Ralpha. Sam szef Kongresu jechał tu po nią. O Boże!

Wiedząc, że Ralph idzie już do kuchni, Marissa z największym wysiłkiem powróciła do przygotowywania posiłku. Kiedy jednak próbowała rozbić jajko o brzeg patelni, wypadło jej z dłoni i spadło wraz ze skorupką na patelnię. Ralph wszedł w momencie, kiedy zabierała się do rozbijania drugiego jajka. Czynność wypadła nieco zgrabniej, po czym Marissa wymieszała na patelni jajka razem ze skorupką.

- Nieźle pachnie - powiedział Ralph pogodnie. Odstawił przyniesioną dla niej

szklankę z drinkiem i dotknął delikatnie karku dziewczyny. Marissa podskoczyła jak oparzona.

- Oho, jesteś cała spięta. Musisz się odprężyć, rozluźnić.

Nie odpowiedziała. Chociaż głód przeszedł jej momentalnie, przyrządziła do końca jajecznicę, posmarowała tosty masłem i dżemem. Gdy patrzyła na kosztowną koszulę z jedwabiu, ciężkie złote spinki, zdobione buty od Gucciego, w które ubrany był Ralph, wszystko to wydało jej się nagle załosną pozą podobnie jak cały ten kunsztownie urządzony dom. Dostrzegła w tym świadectwo hołdu konsumpcyjności, składanego przez bogatego lekarza, który nagle traci grunt pod nogami w obliczu młodej konkurencji, nowych czasów i zmian na rynku medycznym, bo nie może już dyktować własnych warunków.

To oczywiste, że Ralph był członkiem Kongresu i zwolennikiem Markhama. To właśnie Ralph - a nie Tad - zawsze był najlepiej poinformowany o jej aktualnym miejscu pobytu. Podając jajecznicę, Marissa pomyślała, że nawet jeśli uda jej się uciec, to i tak nie ma do kogo się zwrócić. Z pewnością nie mogła skorzystać z usług prawnika poleconego jej przez Ralpha. Teraz, kiedy wiedziała, że Ralph jest zamieszany w spisek, łatwiej skojarzyła nazwisko prawnika, które już wcześniej wydało jej się znajome. Cooper, Hodges, McQuinllin i Hanks to była kancelaria obsługująca i reprezentująca Kongres.

Poczuła się jak w potrzasku. Jej prześladowcy mieli rozległe koneksje. Mogli nawet przeniknąć do CKE. Z całą pewnością w spisku był też kongresman, który sprawował kontrolę nad budżetem Centrum.

Marissie zakręciło się w głowie. Z przerażeniem pomyślała, że nikt jej nie uwierzy.

Doszła do tego bolesna świadomość, iż jedyny konkretny dowód, który posiadała, czyli pistolet do szczepień, spoczywał gdzieś w zakamarkach głównego laboratorium CKE, do

którego - jak miała okazję się przekonać - jej przeciwnicy mieli swobodny dostęp. Jednego była pewna: musi wydostać się z domu Ralph, zanim nadjedzie Jackson, a być może także inni.

Wyjęła z szuflady widelec, kiedy nagle przed oczami stanął jej obraz blondyna, wpadającego do hotelowej łazienki w San Francisco wśród drzazg, lecących z wyważonych drzwi. Widelec wypadł jej z dłoni. Poczwała, że zaraz zemdleje.

Ralph ujął ją pod łokieć i pomógł usiąść. Nałożył na talerz jajecznicę i zachęcał do jedzenia.

- Przed chwilą świetnie dawałaś sobie radę. Od razu poczujesz się lepiej, jeśli coś zjesz. - Podniósł upuszczony przed chwilą widelec i wrzucił go do zlewu. Z szuflady ze sztuccami wyciągnął następny i podał jej.

Marissa ukryła twarz w dłoniach. Musiała się opanować. Czas pracował na jej niekorzyść.

- Nie jesteś zbyt głodna - zauważył Ralph.

- Raczej nie - przyznała Marissa. Sam zapach jajecznicy wystarczył, by zrobiło jej się niedobrze. Wzdrygnęła się.

- Może powinnaś zażyć środek uspokajający. Mam coś na górze. Jak uważasz?

- Dobrze - zgodziła się Marissa.

- Zaraz wracam - Ralph ścisnął delikatnie jej ramię.

To była okazja, o którą się modliła. Gdy tylko Ralph zniknął za drzwiami, Marissa skoczyła na równe nogi i podbiegła do telefonu. W słuchawce panowała głucha cisza. Ralph musiał go w jakiś sposób wyłączyć. Wobec tego kontakt z policją niemożliwy. Odłożyła słuchawkę i zaczęła szperać po kuchni w poszukiwaniu kluczyków do samochodu Ralph.

Bez powodzenia. Spróbowała w przyległym pokoju. Na ścianie działowej znalazła niewielki

pojemnik z kilkoma zestawami kluczy, lecz żaden z nich nie przypominał kluczyków samochodowych. Wróciła do kuchni i przeszła do maleńkiego korytarzyka prowadzącego do tylnego wyjścia. Na ścianie wisiała korkowa tablica informacyjna, obok stały stare meble: biurko szkolne oraz komoda. Znajdowały się tu też drzwi prowadzące do łazienki. Zaczęła od biurka. Przerzuciła zawartość szuflad, lecz znalazła jedynie klucze od domu, mające nietypowy kształt. Podeszła do komody, która zawierała całą masę rękawiczek, szalików i płaszców przeciwdeszczowych.

- Czego szukasz? - spytał Ralph, który nagle stanął za jej plecami. Wyprostowała się, czując się przyłapana na gorącym uczynku, rozpaczliwie szukając jakiegoś wytłumaczenia. Ralph patrzył na nią wyczekująco. Prawą dłoń miał zaciśniętą, w lewej trzymał szklanę z wodą.

- Szukałam swetra - powiedziała w końcu.

Ralph nie mógł ukryć zdziwienia. Jego zdaniem, w domu było aż za ciepło.

Ostatecznie, był już prawie czerwiec.

- Włączę ogrzewanie w kuchni - obiecał, prowadząc ją z powrotem do stołu kuchennego.

Wyciągnął w jej stronę prawą dłoń.

- Proszę, weź to - podał jej czerwono-kremową kapsułkę.

- Dalmane? - zdziwiła się Marissa. - Sądziłam, że dasz mi środek uspokajający.

- Odprężysz się po tym i będziesz spokojnie spać - wyjaśnił.

Potrząsnęła głową i oddała kapsułkę.

- Wolalabym coś na uspokojenie.

- Może valium?

- Świetnie - zgodziła się.

Gdy poszedł, Marissa pobiegła do głównego holu. Ani na marmurowym stoliku, ani w jedynej szufladzie nie znalazła kluczyków. Otworzyła szafę i pobieżnie sprawdziła w kieszeniach wiszących tam kurtek. Bez rezultatu.

Znalazła się w kuchni dokładnie w momencie, kiedy Ralph zszedł na dół.

- Proszę bardzo - powiedział, kładąc na jej dłoni niebieską tabletkę.

- Jaka to dawka?

- Dziesięć miligramów.

- Nie sądzisz, że to trochę za dużo?

- Jesteś roztrzęsiona. Działanie będzie znacznie mniej intensywne niż normalnie.

Ralph podał jej szklankę z wodą. Marissa udała, że zażywa tabletkę, lecz zamiast tego, wsunęła ją zręcznie do kieszeni kurtki.

- Bierzmy się teraz do jedzenia - zaproponował Ralph.

Marissa wmusiła w siebie trochę jajecznicy, obmyślając plan ucieczki, który musiała zrealizować przed przybyciem Jacksona. Jedzenie nie smakowało jej, toteż odłożyła widelec po kilku kęsach.

- Nadal nie masz apetytu? - spytał Ralph. Marissa potrząsnęła głową.

- Przejdźmy może do pokoju.

Z ulgą opuściła kuchnię, wypełnioną zapachami gotowania. Kiedy usiedli na kanapie,

Ralph zaproponował kolejnego drinka.

- Nie powinnam. Zażyłam valium - zaproponowała.

- Odrobina alkoholu nie zaszkodzi.

- Jesteś pewien, że nie próbujesz mnie upić? - Marissa zmusiła się do uśmiechu. -

Może lepiej ja zajmę się drinkami.

- To mi odpowiada - zgodził się Ralph, kładąc nogi na stoliku. - Proszę o szkocką.

Marissa podeszła do barku i naląła Ralphowi okazałą porcję whisky. Następnie, upewniwszy się, że nie patrzy, wyjęła z kieszeni tabletkę valium, przełamała ją na pół i wrzuciła do alkoholu. Na nieszczęście, nie chciała się rozpuścić. Marissa wyłowiła kawałki palcami, starła je na proszek za pomocą butelki i strzepnęła do kieliszka.

- Pomóc ci?! - zawołał Ralph.

- Nie trzeba - odparła, nalewając odrobinę brandy do swojej szklanki. - Już idę.

Ralph wziął od niej kieliszek i rozsiadł się na kanapie.

Sadowiąc się obok niego, Marissa wyteżyła umysł, starając się odgadnąć, gdzie schował kluczyki. Zastanawiała się, jak by zareagował, gdyby niespodziewanie poprosiła o nie. Uznała jednak, że ryzyko jest zbyt duże. Gdyby zorientował się, że go przejrzała, mógłby zatrzymać ją siłą, a tak nadal miała szansę, jeśli tylko uda jej się znaleźć kluczyki.

Nagle zaświtała jej nieprzyjemna myśl: z pewnością ma je przy sobie, w kieszeni spodni. Walcząc z odrazą, przysunęła się do niego. Prowokacyjnie położyła mu rękę na biodrze. Pod cienką gabardyną wyraźnie wyczuła kształt kluczyków. Jak jednak miała się do nich dostać?

Zaciskając zęby, zbliżyła swą twarz do jego, zachęcając go do pocałunku. Kiedy ramiona Ralpa objęły ją w talii, wsunęła dłoń do kieszeni jego spodni. Wstrzymując z napięcia oddech, namacała łańcuszek i pociągnęła. Klucze wydały cichy brzęk. Marissa obsypała twarz Ralpa gorącymi pocałunkami. Czując jego reakcję, zdecydowała się zaryzykować. Proszę cię, Boże, proszę, modliła się w duchu, wyciągając klucze i chowając je do swej kieszeni.

Ralph najwyraźniej zapomniał o tym, że oczekuje na przyjazd Jacksona, lub też uznał, że seks będzie najlepszym sposobem, by zatrzymać Marissę na miejscu. A jednak jego zapędy należało w tej chwili powstrzymać.

- Kochanie - odezwała się Marissa - tak mi przykro, ale chyba zaczęły działać środki uspokajające. Pójdę się położyć na chwilę.

- Połóż się tutaj. Będę przy tobie.

- To miło z twojej strony, ale musiałbyś potem wnieść mnie na górę. - Uwolniła się z jego uścisku i pozwoliła się odprowadzić na górę do gościnnej sypialni.

- Nie chcesz, żebym został z tobą? - spytał Ralph.

- Przepraszam cię, Ralph. Za chwilę zasnę. Pozwól mi trochę odpocząć. - Przywołała na twarz wymuszony uśmiech. - Możemy zawsze dokończyć, co zaczęliśmy, gdy przestanie działać valium. - Żeby przerwać rozmowę, położyła się na łóżku w ubraniu.

- Pożyczę ci pizamę - zaproponował Ralph z nadzieją w głosie.

- Nie, nie. Oczy same mi się zamykają.

- Cóż, jeśli będziesz czegoś potrzebować, jestem na dole.

Gdy tylko odszedł, Marissa zeskoczyła z łóżka i na palcach podbiegła do drzwi, by sprawdzić, czy rzeczywiście usiadł na dole. Następnie otworzyła okno. Balkon wyglądał dokładnie tak, jak go zapamiętała. Najciszej jak umiała wydostała się przez okno. Była gorąca, wiosenna noc, niebo przypominało kobierzec utkany z gwiazd, drzewa wyglądały jak czarne cienie. Powietrze było nieruchome, nie mącił go nawet najlżejszy podmuch wiatru. Gdzieś w oddali zaszczekał pies. Następnie rozległ się odgłos nadjeżdżającego samochodu. Marissa dokonała szybkiej oceny sytuacji. Od asfaltowego podjazdu dzieliła ją wysokość co najmniej piętnastu stóp. Nie było mowy o skoku w dół. Balkon otaczała niska balustrada, oddzielająca go od spadzistego dachu rozpiętego nad tarasem. Po lewej stronie dach tarasu dochodził do wieży, po prawej zaś wystawał poza narożnik budynku. Marissa przeszła przez balustradę i wolno dotarła do narożnika. Dach kończył się jakieś dwadzieścia stóp dalej. Z trzeciego piętra wiodły schody pożarowe, lecz do nich

Marissa nie była w stanie dotrzeć. Odwróciła się i przeszła z powrotem do punktu wyjścia. Była w połowie drogi, kiedy samochód, który wcześniej słyszała, zajechał przed dom Ralpha. Marissa przyłgnęła do stromej dachu. Zdawała sobie sprawę z tego, że jest widoczna dla każdego, kto idąc w stronę domu podniesie wzrok do góry. Światła samochodu przez chwilę tańczyły wśród drzew, a następnie omiotły front domu, na moment oświetlając dziewczynę jaskrawym blaskiem. Po chwili samochód zatrzymał się na podjeździe. Usłyszała odgłos otwieranych drzwi i męskie głosy. Nie było w nich zdenerwowania, najwyraźniej nikt nie zauważył jej na dachu. Ralph otworzył drzwi. Nastąpiła krótka rozmowa, po czym głosy umilkły we wnętrzu.

Marissa spiesznie przeszła przez balustradę z powrotem na balkon, a potem przez okno do sypialni. Otworzyła ostrożnie drzwi i wyjrzała na korytarz. Gdy wychodziła z pokoju, dobiegł ją głos Ralpha, choć nie zrozumiała, co powiedział. Najciszej jak potrafiła ruszyła w kierunku tylnych schodów.

Światło padające z przedsionka nie docierało za drugi zakręt korytarza, tak że Marissa zmuszona była posuwać się po omacku wodząc ręką po ścianie. Minęła kilka ciemnych sypialni, nim za ostatnim załomem zobaczyła światło płynące z kuchni, znajdującej się na dole.

Na schodach zawahała się. Odgłosy docierające do jej uszu były mylące. Nadal słyszała rozmowę, lecz również kroki. Nie potrafiła jednak określić, skąd owe dźwięki dochodzą. W tym momencie, nieco poniżej, zauważyła czyjaś dłoń na poręczy.

Natychmiast ruszyła schodami w przeciwnym kierunku niż planowała, to znaczy do góry, i błyskawicznie znalazła się na trzecim piętrze. Któryś ze stopni zaskrzypiał pod jej stopą i Marissa na chwilę zamarła. Serce biło jej jak młotem, kiedy nasłuchiwała kroków nieuchronnie, z każdą sekundą rozlegających się coraz bliżej. Kiedy mężczyzna dotarł na

drugie piętro i zawrócił w kierunku frontu domu, Marissa odetchnęła z ulgą.

Podążyła jeszcze wyżej, wzdrygając się na każdy dźwięk. Drzwi do mieszkania służących, mieszczącego się na samej górze, nie były zamknięte na klucz.

Najciszej jak umiała przeszła przez tonący w mroku pokój do sypialni, skąd, jak sądziła, można było dostać się na schody pożarowe.

Z wielkim wysiłkiem Marissa uporała się z oknem, które nie chciało się otworzyć, po czym wypełzła przez nie na ażurową kratownicę z metalu. Pokonując lęk wysokości, zebrła całą odwagę, by się wyprostować. Z wahaniem zaczęła schodzić w dół. Kiedy dotarła do drugiego piętra, usłyszała podniesione głosy i trzaskanie drzwiami. W ciemnych dotąd pokojach kolejno zapalały się światła. Musieli odkryć, że zniknęła.

Ponaglając samą siebie, Marissa zeszła na pomost drugiego piętra i stanęła przed wielką metalową konstrukcją. Macając na oślep dłońmi, domyśliła się, że drabina stanowiąca ostatni odcinek schodów, została wciągnięta do budynku w obawie przed złodziejami.

Gorączkowo usiłowała domyślić się, w jaki sposób należy ją opuścić. Nie znalazła żadnej dźwigni, ani przycisku. Odwróciła się i namacała za sobą wielką przeciwwagę.

Postawiła stopę na pierwszym szczeblu. Towarzyszyło temu przeraźliwe skrzypnięcie metalu. Nie mając już nic do stracenia, Marissa przeniosła na szczebel cały ciężar ciała. Z ogłuszającym pośród ciszy hałasem, który zdawał się rozrywać nerwy na strzępy, drabina runęła w dół, a Marissa pomknęła po jej szczeblach.

Gdy tylko stopami dotknęła ziemi, ruszyła pędem do garażu, wymachując ramionami.

Była pewna, że mężczyźni przebywający w domu wiedzieli już, którędy uciekła. Miała zaledwie kilka sekund przewagi. Zaraz zaczną ją ścigać.

Pobiegła do bocznych drzwi garażu, błagając niebiosa, by nie były zamknięte. Nie były. Wbiegając do środka, usłyszała, że otwierają się drzwi na tyłach domu. Gorączkowo

zamknęła za sobą bramę garażu i zatonąła w zupełnych ciemnościach. Niemal natychmiast wpadła na mercedesa 300, należącego do Ralpha. Znalazła po omacku klamkę, otworzyła drzwi i wśliznęła się na siedzenie kierowcy. Chwilę manipulowała kluczykiem przy stacyjce nim w końcu znalazł się na miejscu. Przekręciła go i deska rozdzielcza zapłonęła kilkoma światełkami wskaźników, lecz silnik nie zaskoczył. Przypomniała sobie nagle, jak Ralph wyjaśniał jej kiedyś, że trzeba poczekać, aż zgaśnie pomarańczowe światełko, ponieważ samochód ma silnik diesla. Przekręciła kluczyk ponownie. Pomarańczowe światełko zapaliło się i Marissa posłusznie czekała, aż zgaśnie. Usłyszała, że ktoś podnosi bramę wjazdową garażu; jednym ruchem dosięgła przycisku centralnego zamka.

- No, dalej! - wyszeptała przez zaciśnięte zęby. Światełko zgasło. Przekręciła kluczyk i wcisnęła do deski pedał gazu. Samochód odpowiedział rykiem silnika. Rozległa się seria głośnych uderzeń w okno auta, lecz Marissa nie zwróciła na nie uwagi. Wrzuciła wsteczny bieg i wbiła pedał gazu w podłogę. Sekundę później wielki mercedes skoczył do tyłu, rzucając Marissę z potworną siłą na kierownicę. Napięła wszystkie mięśnie, gdy samochód jak pocisk wystrzelił z garażu, zmuszając dwóch mężczyzn do ucieczki na boki.

Na podjeździe mercedes ostro zarzucił. Marissa kopnęła pedał hamulca w momencie, gdy samochód z wściekłym piskiem opon wypadł z za narożnika domu, lecz było już za późno. Tył mercedesa staranował stojący na podjeździe samochód Jacksona. Marissa przełączyła automat na „jздę”, myśląc już, że uda jej się zbiec, kiedy jeden z mężczyzn, korzystając z tego, że na mgnienie oka musiała się zatrzymać, rzucił się na maskę. Marissa zwiększyła obroty. Koła obracały się w miejscu, lecz samochód nie ruszał. Drogę tarasował mu wóz Jacksona. Zmieniając biegi kolejno w przód i w tył, Marissa rozkołysała mercedesa, tak jakby utknął w śniegu lub piasku. Rozległ się przeraźliwy zgrzyt rozdieranego metalu i mercedes wystrzelił do przodu z piskiem opon, zrzucając z maski napastnika.

- Do niczego - oznajmił Jake, gdy wyczołgał się spod samochodu Jacksona i wytarł ręce ze smaru. - Rozwaliła chłodnicę na amen - wyjaśnił doktorowi. - Wyciekł cały płyn chłodzący, więc nawet jeśli zapali, to nie ujedzie daleko.

- Cholera - zaklął Jackson, wysiadając z wozu. - Ta kobieta jest w czepku urodzona. - Rzucił Heberlingowi wściekłe spojrzenie. - Wszystko potoczyłoby się inaczej, gdybym przyjechał od razu, nie czekając aż twoi durnie raczą przytelepać się z lotniska.

- Czyżby? - zjadliwie zapytał Heberling. - I co byś zrobił? Poszedłbyś z nią na ugodę? Potrzebowaliśmy Jake'a i George'a do tej roboty.

- Możecie wziąć mojego drugiego mercedesa 450 - zaproponował Ralph - ale jest tylko dwuosobowy.

- Ona ma zbyt wielką przewagę - powiedział George - nigdy jej nie dopadniemy.

- Nie mam pojęcia, w jaki sposób udało jej się uciec - usprawiedliwił się Ralph. - Sam dałem jej dziesięć miligramów valium, na litość boską.

Poczuł, że jego również zaczyna ogarniać senność.

- Dokąd mogła się udać? - zapytał Jackson.

- Nie sędzę, żeby na policję - stwierdził Ralph. - Boi się każdego, zwłaszcza teraz.

Może pojedzie do CKE. Wspomniała coś o paczce, którą ma odebrać.

Jackson wymienił porozumiewawcze spojrzenie z Heberlingiem. Myśleli o tym samym: jechała po pistolet do szczepień.

- Możemy wysłać tam Jake'a i George'a - odezwał się Heberling. - Jesteśmy zgodni co do tego, że ona nie wróci teraz do domu, a po tym, co zrobiła z Alem, chłopcy aż się palą, żeby jej za to odpłacić.

Piętnaście minut jazdy pozwoliło Marissie ochłonać do tego stopnia, że zaczęła się zastanawiać, gdzie się znajduje. Wykonała tyle nagłych skrętów w celu zmylenia

ewentualnego pościgu, że straciła w końcu orientację. Pomyślała nawet, że być może kręci się w kółko po tych samych drogach.

Przed sobą ujrzała światła latarni i stację benzynową. Zatrzymała się przy niej i opuściła szybę. Podszedł do niej młody chłopak w czapce baseballowej Atlanta Braves.

- Możesz mi powiedzieć, gdzie jestem? - poprosiła Marissa.

- To jest stacja benzynowa Shella - odparł młodzieniec, oceniając wzrokiem uszkodzenia samochodu. - Wie pani, że oba tylne światła są stłuczone?

- Mogłam się tego spodziewać - ucięła temat Marissa. - A jak się dostać do Uniwersytetu Emory? - zapytała.

- Wygląda tak, jakby brała pani udział w wyścigu, w którym nie obowiązują żadne reguły - skomentował stan samochodu chłopak, kręcąc z dezaprobatą głową.

Marissa musiała powtórzyć pytanie, zanim otrzymała od niego dość niejasne wskazówki.

Dziesięć minut później zajęła przed gmach CKE. Budynek wyglądał na opustoszały, lecz nadal nie mogła się zdecydować, komu może zaufać i co powinna uczynić.

Wolałyby udać się najpierw do dobrego prawnika, ale nie znała żadnego osobiście i nie wiedziała, jak takiego znaleźć. Rzecz jasna, McQuinlin nie wchodził w rachubę.

Jedyną osobą, którą w jej pojęciu mogła poprosić o pomoc był doktor Fakkry ze Światowej Organizacji Zdrowia. Bez wątpienia nie należał do spisku i - jak się dowiedziała - zajmował pokój w Peachtree Plaza. Problem polegał na tym, czy jej uwierzy, czy też po prostu zadzwoni do Dubcheka lub kogoś innego z CKE, oddając ją z powrotem w ręce prześladowców.

Strach popchnął ją do działania, które uważała za jedyne logiczne wyjście. Musi odzyskać pistolet do szczepień, będący jedynym konkretnym dowodem. Bez niego nikt nie

potraktuje jej zeznań poważnie. Nadal miała przy sobie kartę magnetyczną Tada, dzięki której

- jeżeli chłopak nie był zamieszany w spisek - mogła się prawdopodobnie dostać do laboratorium. Obawiała się również, że strażnik nie wpuści jej do budynku.

Marissa skręciła na podjazd i ustawiła samochód naprzeciwko wejścia do budynku.

Chciała mieć wóz pod ręką, na wypadek, gdyby ktokolwiek usiłował ją zatrzymać.

Patrząc w kierunku wejścia, dostrzegła pogrążonego w lekturze strażnika siedzącego za biurkiem. Kiedy usłyszał jej kroki, podniósł głowę, lecz jego twarz nie wyrażała żadnych emocji.

Marissa przygryzła dolną wargę, zbliżała się do stanowiska strażnika. Usiłowała iść swobodnie i nie okazywać strachu. Ujęła pióro i wpisała swoje nazwisko do rejestru.

Spojrzała na mężczyznę, oczekując jakiegoś komentarza z jego strony, lecz on tylko patrzył bez słowa.

- Co czytamy? - spytała Marissa, jękając się lekko ze zdenerwowania.

- Camusa.

Nie miała zamiaru dociekać dalej.

Poszła w kierunku wind, czując na plecach wzrok strażnika. Nacisnęła guzik z numerem swego piętra i obejrzała się. Wciąż ją obserwował.

Gdy tylko zwały się drzwi windy, strażnik chwycił słuchawkę telefonu i wykręcił numer. Kiedy na drugim końcu odezwał się męski głos, strażnik zameldował:

- Właśnie przyszła doktor Blumenthal. Jedzie windą na górę.

- Wspaniale, Jerome - odparł Dubchek. Jego głos brzmiał chrapliwie, jak gdyby lekarz był śmiertelnie zmęczony lub chory. - Zaraz tam będziemy. Nie wpuszczaj nikogo więcej.

- Jak pan sobie życzy, panie doktorze.

Marissa wysiadła na piętrze, na którym znajdował się jej gabinet. Zatrzymała się przez

kilka minut, obserwując wskaźniki pięter nad windą. Obie windy stały tam, gdzie się poprzednio zatrzymały. Budynek był opustoszały. Przekonawszy się, że nikt jej nie śledzi, Marissa zeszła schodami jedno piętro w dół, a następnie przeszła pasażem do budynku wirusologii. Tam przemknęła długim, zagraconym korytarzem, gdzie za rogiem napotkała masywne stalowe drzwi. Wstrzymując oddech wsunęła kartę Tada i wystukała jego numer. Przez moment nic się nie działo. Marissa zmartwiała w oczekiwaniu na sygnał alarmu, ale usłyszała jedynie szcęk odblokowanego zamka. Drzwi ustąpiły i znalazła się w środku. Najpierw zapaliła światło i włączyła kompresory, następnie zaś otworzyła hermetyczne drzwi i weszła do pierwszego pomieszczenia. Tam, zamiast nałożyć ubranie robocze, przeszła od razu do następnej komory. Walcząc z opornym plastikowym kombinezonem, zastanawiała się, gdzie też Tad mógł ukryć pistolet do szczepień. Dubchek pędził jak wariat, hamując jedynie w sytuacjach krytycznych i nie zważając na czerwone światła. W samochodzie siedziało jeszcze dwóch mężczyzn: na przednim siedzeniu John, wparty kurczowo w boczne drzwi, oraz Mark, który miał duże problemy z zachowaniem równowagi. Twarze wszystkich trzech wyrażały niepokój. Obawiali się, że przybędą za późno.

- Jesteśmy na miejscu - George pokazał tablicę z napisem: Centrum Kontroli Epidemiologicznej. - Jest samochód Ralpa! - dodał, wskazując mercedesa, stojącego na półkolistym podjeździe. - Coś mi się zdaje, że szczęście uśmiechnęło się w końcu do nas. Zatrzymał wóz przed Sheraton Motor Inn po drugiej stronie ulicy. George wyciągnął broń i sprawdził, czy wszystkie komory zawierają naboje. Otworzył drzwi samochodu i wyszedł na ulicę, trzymając rewolwer wzdłuż uda. Refleksy światła tańczyły odbite od stalowej lufy.

- Jesteś pewien, że chcesz użyć tej armaty? - zapytał Jake. - Narobisz tym piekielnego

hałasu.

- Żałuję, że nie miałem go przy sobie, kiedy ta dziwka zrzuciła cię z maski - odciął się

George. - Idziemy!

Jake wzruszył ramionami i wysiadł z samochodu. W kaburze pod pachą tkwiła jego automatyczna beretta - o wiele bardziej wyrafinowana broń od rewolweru magnum.

Dzierżąc w ręce wąż tlenowy, Marissa pospiesznie przeszła przez ostatnie drzwi do głównej sali laboratorium.

Podłączyła się do centralnego rozgałęźnika i rozejrzała dokoła. Wprawdzie szkody, do powstania których się przyczyniła, zostały całkowicie usunięte, lecz wspomnienie koszmarnej nocy powróciło z niezwykłą wyrazistością. Marissa zadrżała. Pragnęła jedynie odnaleźć swoją paczkę i wynieść się stąd do diabła. Ale łatwiej było to powiedzieć niż zrobić. Jak w każdym laboratorium, istniały setki miejsc, w których można było ukryć zawiniątko tak małych rozmiarów.

Zaczęła od prawej strony pomieszczenia, otwierając szuflady i biurka. Przeszukała połowę laboratorium i zreflektowała się. Musi istnieć jakiś lepszy sposób. Zaczęła od centralnej wysepki. Podeszła do filtra ochronnego, pod którym pracował Tad. W dolnych szafkach znalazła buteleczki z odczynnikami, ręczniki papierowe, plastikowe worki na odpadki, kartony z nowymi naczyniami szklanymi i całą masę innych przedmiotów. Żaden z nich jednak nie przypominał jej paczki. Już miała stamtąd odejść, kiedy jej wzrok padł na przeszklony kaptur filtra. Schowany za sprzętem doświadczalnym, używanym przez Tada, zamajaczył jej fragment ciemnozielonego, plastikowego worka na śmieci.

Marissa włączyła wentylator nad kapturem i podniosła szklaną pokrywę. Następnie uważając, by nie dotknąć sprzętów Tada, wyciągnęła worek. Wewnątrz znalazła paczkę ze stemplami Federal Express. Sprawdziła adres, aby się upewnić. Był wypisany jej ręką.

Włożyła paczkę do nowego worka, starannie go zamykając. Następnie odłożyła na miejsce zielony worek i spuściła szklaną pokrywę. Pospiesznie odłączyła przewód tlenowy i ruszyła do wyjścia. Nadszedł czas, by porozmawiać z doktorem Fakkry lub kimś innym, komu mogła zaufać.

Pod dezynfekującym prysznicem fenolowym, Marissa musiała pohamować niecierpliwość. Czas dezynfekcji był programowany automatycznie, tak że musiała zaczekać aż proces sam się zakończy i drzwi zostaną odblokowane. W następnym pomieszczeniu wy dostała się z plastikowego skafandra, ze złością szarpiąc błyskawiczny zamek, który, jak na złość, się zacinał. Kiedy w końcu zrzuciła z siebie kombinezon, jej ubranie przesiąknięte było potem.

Z przeraźliwym piskiem hamulców Dubchek zatrzymał samochód przed wejściem do budynku CKE. Wszyscy trzej mężczyźni wyskoczyli z wozu i wbiegli do środka. Jerome przytrzymał szklane drzwi.

Dubchek nie tracił czasu na pytania, przekonany, że strażnik poinformowałby ich, gdyby Marissa zdążyła przedtem wyjść. Pędem wbiegł do stojącej na parterze windy, do której wskoczyło za nim jego dwóch towarzyszy. Nacisnął guzik trzeciego piętra.

Marissa szybkim krokiem szła właśnie przez pasaż, kiedy drzwi w głównym budynku otworzyły się gwałtownie i wypadło wprost na nią trzech mężczyzn. Błyskawicznie odwróciła się i pomknęła z powrotem do gmachu wirusologii.

- Marisso, stój! - usłyszała czyjś okrzyk.

To chyba był Dubchek. O Boże, czyżby on także ją ścigał?

Zamknęła za sobą drzwi na zasuwę i rozejrzała się gorączkowo w poszukiwaniu schronienia. Po prawej stronie miała windę, po lewej klatkę schodową. Nie było czasu na zastanowienie.

Kiedy Dubchek sforsował wreszcie drzwi, wszyscy trzej rzucili się do windy, która - jak wynikało ze wskaźnika - jechała właśnie na dół. Marissa była już na parterze, toteż mężczyźni bez namysłu wypadli na klatkę schodową i ruszyli pędem w dół.

Wiedząc, że Dubchek jest tuż za nią, Marissa pomyślała, iż nie może sobie pozwolić na to, by zwolnić kroku, nawet jeśli jej pośpiech miałby zwrócić uwagę strażnika przy głównym wyjściu. Ten zdążył jedynie podnieść wzrok znad książki, kiedy Marissa pędem przemknęła koło niego. Wstał, lecz nim pomyślał, że doktor Dubchek mógłby chcieć zatrzymać ją siłą, ona była już na zewnątrz.

Dziewczyna nerwowo szukała w kieszeni kluczyków. Przełożyła paczkę do lewej ręki.

Usłyszała krzyki, a drzwi wejściowe CKE otworzyły się z impetem. Ostatkiem sił szarpnęła drzwiczki mercedesa i wśliznęła się na siedzenie. Była tak pochłonięta myślą o ucieczce, że minęła dobra chwila nim dotarło do niej, że ktoś siedzi na miejscu pasażera. Z tyłu także zamajaczyła jakaś postać. Odwróciwszy głowę w stronę mężczyzny znajdującego się obok, Marissa spojrzała prosto w otwór lufy olbrzymiego rewolweru.

Próbowała się poruszyć, lecz poczuła się tak, jakby otoczyła ją gęsta i lepka ciecz.

Ciało odmówiło jej posłuszeństwa. Ujrzała jeszcze, że lufa rewolweru unosi się na wysokość jej głowy, lecz nie była zdolna do żadnej reakcji. W półmroku zamajaczyła czyjaś twarz, a potem ktoś powiedział „żegnaj”. Broń wypaliła z potwornym wstrząsem i czas się zatrzymał.

Odzyskawszy przytomność, Marissa poczuła, że leży na czymś miękkim. Usłyszała swoje imię i powoli otworzyła oczy. Leżała na kanapie stojącej w holu budynku Centrum.

Dostrzegła czerwono-niebieskie błyski, przywodzące na myśl podejrzaną punkowską dyskotekę. Ludzie kręcili się we wszystkie strony. To było zbyt męczące, ponownie więc zamknęła oczy. Rozmyślała, co się stało z uzbrojonymi mężczyznami, którzy czekali na nią w samochodzie.

- Marisso, nic ci nie jest?

Jej rzęsy zatrzepotały, kiedy otworzyła oczy i ujrzała Dubcheka, pochylonego nad nią z zatroskaną miną. Jego ciemne oczy stały się niemal czarne z obawy.

- Marisso - powtórzył. - Czy nic ci się nie stało? Tak bardzo się martwiłem. Kiedy w końcu zorientowaliśmy się, co się dzieje, umieraliśmy ze strachu, że będą próbowali cię zabić.

Ale nigdzie nie byłaś dość długo, byśmy cię mogli odnaleźć.

Marissa nadal była w szoku.

- Proszę, odezwij się - błagał Dubchek - Czy oni coś ci zrobili?

- Myślałam, że jesteś jednym z nich. Że jesteś w spisku - tylko tyle zdołała powiedzieć.

- Tego się obawiałem - jęknął Dubchek. - Zasłużyłem sobie na to. Byłem tak zajęty obroną dobrego imienia CKE, że zlekceważyłem twoje podejrzenia. Ale uwierz mi, nie miałem z tym nic wspólnego.

Marissa ujęła jego dłoń.

- Chyba nie dałam ci zbyt wielu okazji, by coś wytłumaczyć. Tak bardzo byłam zajęta łamaniem wszelkich przepisów.

Podszedł do nich sanitariusz z ambulansu.

- Czy pani chce pojechać do szpitala? - zapytał.

- Marisso? - spojrzał na nią Dubchek.

- Chyba tak, chociaż pewnie nic mi nie jest.

Nadszedł drugi sanitariusz, by pomóc ją umieścić na noszach. Marissa zwróciła się do Dubcheka:

- Kiedy usłyszałam huk, myślałam, że umieram.

- To jeden z chłopców z FBI, których przywiozłem, zastrzelił twego niedoszłego

zabójcę.

Marissa zadrzała. Dubchek szedł obok noszy, odprowadzając ją do ambulansu.

Marissa ujęła jego dłoń i mocno ścisnęła.

Epilog

Kiedy rozległ się dzwonek do drzwi, Marissa rozpakowywała się właśnie po powrocie z dwutygodniowych wakacji, na które pojechała za gorącą namową doktora Carbonary'ego. Spędziła te dwa tygodnie w Wirginii, gdzie rodzina rozpieszczała ją na wszelkie możliwe sposoby. Podarowali jej nawet nowego szczeniaka, którego nazwała Taffy Drugi.

Schodząc po schodach, nie mogła sobie wyobrazić, kto mógłby ją odwiedzić. Nikt nie wiedział dokładnie, kiedy wraca. Otworzyła drzwi i z zaskoczeniem ujrzała w nich Cyrilla Dubcheka w towarzystwie jakiegoś mężczyzny.

- Mam nadzieję, że nie będziesz miała nic przeciwko naszej niespodziewanej wizycie, ale doktor Carbonary powiedział, że być może będziesz już w domu, a doktor Fakkry koniecznie chciał cię poznać. To jego ostatni dzień w Ameryce. Dziś wieczorem odlatuje do Genewy.

Nieznajomy wysunął się krok do przodu i złożył ukłon. Następnie spojrzął na Marissę. Miał oczy przypominające Dubcheka: ciemne i świetliste.

- Jestem głęboko zaszczycony - odezwał się doktor Fakkry z wyraźnie angielskim akcentem. - Chciałbym osobiście pogratulować pani wspaniałej roboty detektywistycznej.

- Bez żadnej pomocy z naszej strony - przyznał Dubchek.

- Pochlebia mi pan - odparła Marissa, nie wiedząc, co powiedzieć.

Dubchek odchrząknął. Marissa stwierdziła, że jego brak pewności siebie robi na niej wrażenie. Doszła do wniosku, że z wyjątkiem momentów, kiedy doprowadzał ją do ślepej furii, uważała go zawsze za atrakcyjnego mężczyznę.

- Sądziliśmy, że zechcesz wiedzieć, co wydarzyło się podczas twych wakacji - powiedział Cyrill. - Prasie podaliśmy niewiele szczegółów, ale nawet policja zgodziła się, byś poznała całą prawdę.

- Z przyjemnością posłuchani - odparła Marissa - ale proszę najpierw wejść do środka.

Może podać coś do picia?

Kiedy usiedli, doktor Fakkry rozpoczął:

- Dzięki pani udało się zatrzymać niemal wszystkich zamieszanych w spisek w sprawie Eboli. Człowiek, którego pokaleczyła pani w San Francisco wymienił nazwisko Heberlinga, gdy tylko odzyskał przytomność po operacji.

- Policjanci twierdzą, że ochoczo szedł do więzienia, żeby uniknąć ponownego spotkania z tobą - zauważył Dubchek z ironicznym uśmiechem, czającym się w kącikach ust.

Marissa wzdrygnęła się na wspomnienie walki, którą stoczyła z tamtym człowiekiem w San Francisco. Przez chwilę zamarła, gdy przypomniała sobie jego zimne, błękitne oczy. Otrząsnęła się jednak i zapytała, co stało się z Heberlingiem.

- Stanie przed sądem pod zarzutem wielokrotnego morderstwa z premedytacją - powiedział Dubchek. - Sędzia prowadzący sprawę odrzucił wniosek o kaucję, bez względu na jej proponowaną wysokość. Motywuje decyzję tym, że Heberling jest elementem równie niebezpiecznym dla społeczeństwa jak zbrodniarze hitlerowscy.

- A człowiek, do którego wystrzeliłam z pistoletu do szczepień? - Marissa bała się tego pytania. Nie chciała mieć na sumieniu czyjejś śmierci lub być odpowiedzialną za epidemię Eboli.

- Przeżył i również stanie przed sądem. Zaaplikował sobie na czas surowicę, która poskutkowała, ale z kolei dostał z jej powodu poważnego uczulenia. Gdy tylko jego stan się poprawi, zostanie umieszczony w więzieniu.

- A pozostali członkowie Kongresu Akcja Lekarzy?

- Wielu z nich zdecydowało się zeznawać. To ułatwiło śledztwo. Wygląda na to, że

szeregowi członkowie Kongresu myśleli, że popierają jedynie zwykłe działania lobbystyczne.

- A doktor Tieman? Nie wydał mi się człowiekiem, który mógłby maczać w tym palce. Przynajmniej odniosłam wrażenie, że on jeden ma sumienie.

- Jego adwokat negocjuje warunki łżejszego wyroku w zamian za zeznania. Sam Kongres zbankrutował. Prawie wszyscy członkowie rodzin ofiar Eboli wnieśli sprawy do sądu. Równocześnie skarżą indywidualnie poszczególnych lekarzy. Większość z grubych ryb Kongresu to po prostu przestępcy kryminalni. Czeka ich parę ładnych lat za kratkami, zwłaszcza Jacksona.

- On i Heberling zostaliby, jak to się u was mówi, zlinczowani, gdyby ludzie dostali ich w swoje ręce - dodał doktor Fakkry.

- Ralph też pewnie dostanie wyrok - powiedziała z wahaniem Marissa. Nadal nie mogła się pogodzić z faktem, że człowiek, którego uważała za swego obrońcę, usiłował ją zabić.

- Jako jeden z pierwszych zgłosił chęć współpracy z prokuratorem. Zostanie potraktowany ulgowo, ale wątpię, by wypuścili go na stałe. Oprócz powiązań z Kongresem jest również bezpośrednio zamieszany w próby morderstwa niejkiej Marissy Blumenthal.

- Tak - westchnęła Marissa - To chyba już koniec.

- Dzięki twojej wytrwałości - zauważył Dubchek. - Poza tym epidemia w Nowym Jorku została całkowicie opanowana.

- Dzięki Bogu.

- Kiedy wracasz do pracy w CKE? - zapytał wesoło Dubchek. - Załatwiliśmy ci prawo wstępu do laboratorium głównego. - Uśmiechnął się szeroko. - Nie muszę chyba mówić, że nikogo nie radowała perspektywa kontynuowania twoich nocnych wycieczek do laboratorium.

Marissa mimowolnie oblała się rumieńcem.

- Jeszcze nie podjęłam decyzji. Tak naprawdę, rozważam możliwość powrotu do pediatrii.

- Wracasz do Bostonu? - Twarz Dubcheka wyrażała zawód.

- Będzie to wielka strata dla naszej dziedziny - oznajmił doktor Fakkry. - Stała się pani bohaterką międzynarodowej epidemiologii.

- Zastanowię się jeszcze - obiecała Marissa. - Nawet jeśli powrócę do pediatrii, zamierzam pozostać w Atlancie. - Pogłaskała szczeniaka po łebku. Zawahała się przez moment. Ale miałabym jedną prośbę.

- Jeśli tylko leży to w naszej mocy...- odparł doktor Fakkry.

Marissa przecząco potrząsnęła głową.

- Tylko Cyrill może tu pomóc. Bez względu na to, czy wrócę do pediatrii, czy nie, mam nadzieję, że jeszcze raz zaprosi mnie na kolację.

Zaskoczenie było pełne. Czegoś takiego Dubchek nie mógł się spodziewać. Widząc niemądry wyraz twarzy doktora Fakkry, głośno się roześmiał i mocno, serdecznie przytulił Marissę do siebie.